

Meg Cabot

# Papla

## Część 1

*Ubranie. Dlaczego je nosimy? Wielu ludzi sądzi, że ubranie wkłada się dla przyzwoitości. A jednak cywilizacje starożytne stworzyły ubranie nie po to, żeby zasłaniać nasze intymne części ciała, lecz wyłącznie po to, żeby było nam cieplej. W pewnych kulturach uważało się, że ubranie chroni swojego właściciela przed magią, a w jeszcze innych miało charakter wyłącznie dekoracyjny lub wabiący.*

*W tej pracy chciałabym prześledzić historię ubioru - a także mody - począwszy od praczłowika, który okrywał się zwierzęcymi skórami, żeby mu było ciepło, skończywszy na współczesnym człowieku, czy raczej kobietach; wiele z nich nosi wąski pasek materiału między pośladkami (patrz: stringi) z powodów, których autorce tej pracy nikt jeszcze nie zdołał satysfakcjonująco wyjaśnić.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## Rozdział 1

*Owszem, czasem rozważa*

*Lepiej nam służy niż najumiejtniej*

*Obmyślony plan.*

William Szekspir (1564-1616), angielski poeta i dramaturg

W głowie mi się to nie mieści. W głowie mi się nie mieści, że nie pamiętam, jak on wygląda! Jak mogę nie pamiętać. Przecież wkładał mi język w usta. Jak mogłam zapomnieć, jak wygląda ktoś, kto wkładał mi język w usta? W końcu nie aż tak wielu facetów całowało mnie z języczkiem. Może ze trzech.

I to jeden jeszcze w liceum. A drugi okazał się gejem.

Boże, to takie przygnębiające. Dobra, nie będę o tym teraz myśleć.

I przecież wcale nie aż tak dużo czasu minęło, odkąd go widziałam. To było tylko trzy miesiące temu! Powinnam przecież pamiętać, jak wyglądał ktoś, z kim się spotykałam trzy miesiące.

Nawet jeśli większość z tych trzech miesięcy każde z nas spędziło w innym kraju.

Ale mimo wszystko. Mam jego zdjęcie. No dobra, w zasadzie nie widać na nim jego twarzy. Właściwie w ogóle nie widać na nim twarzy, bo to jest zdjęcie jego - o Boże - gołego tyłka.

Po co ktoś miałby komuś coś takiego wysyłać? Nie prosiłam go o zdjęcie gołego tyłka. Czy to miało być coś erotycznego? Bo zupełnie nie robiło takiego wrażenia.

Ale może tylko ja to tak odbieram. Shari ma rację, muszę przestać być taka pełna zahamowań.

Tylko że tak mnie to zaszokowało, kiedy w skrzynce mailowej znalazłam wielkie zdjęcie gołego tyłka swojego chłopaka.

I dobra, wiem, że on się tylko wygłupiał z przyjaciółmi. I wiem, że Shari mówi, że to kwestia kulturowa, bo Brytyjczycy są o wiele mniej drażliwi w sprawach nagości niż większość Amerykanów, i że jako społeczeństwo powinniśmy dążyć do większej otwartości i swobody, jaką oni już się odznaczają.

I że on pewnie sądził, jak większość mężczyzn, że tyłek to jego najciekawszy fragment.

Ale mimo wszystko.

Dobra, nie będę się nad tym w tej chwili zastanawiać. Przystanę rozmyślać o tyłku mojego chłopaka. Zamiast tego zacznę go szukać. Musi tu gdzieś być, przysięgał, że po mnie przyjedzie...

O mój Boże, to nie może być on, prawda? Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego miałby nosić taką kurtkę? Dlaczego ktokolwiek miałby wkładać taką kurtkę? Chyba że się jest Michaeliem Jacksonem. To jedyny facet, jaki przychodzi mi na myśl, który włożyłby czerwoną skórę z epoletami. Pomijając zawodowych break-dancerów.

To nie może być on. Boże, nie pozwól, żeby to był on...

Och, nie, patrzy tu... Patrzy w moją stronę! Spuść wzrok, spuść wzrok, unikaj kontaktu wzrokowego z facetem w czerwonej skórzanej kurtce z epoletami. To na pewno bardzo miły facet, szkoda, że musi się zaopatrywać w lumpeksach Armii Zbawienia w kurtki z lat osiemdziesiątych.

Ale nie chcę, żeby wiedział, że na niego patrzyłam, bo mógłby sobie pomyśleć, że mi się spodobał czy coś.

Ja przecież nie mam żadnych uprzedzeń wobec bezdomnych. Bo wiem doskonale, jak wielu z nas jest zaledwie o parę czeków z wypłatą od bezdomności. Niektórzy, w gruncie rzeczy, są mniej niż o jedną wypłatę od bezdomności. Inni są tak splukani, że nadal mieszkają z rodzicami.

Ale nie będę teraz o tym wszystkim myślała.

Chodzi o to, że nie chcę, żeby Andrew pojawił się tu i zastał mnie na rozmowie z jakimś bezdomnym facetem ubranym w czerwoną skórzaną kurtkę breakdancera. To znaczy nie takie pierwsze wrażenie chciałabym zrobić. Nie żeby, rozumiecie, to miało być jego pierwsze wrażenie na mój temat, skoro chodzimy ze sobą od trzech miesięcy, i tak dalej. Ale to będzie jego pierwsze wrażenie na widok nowej mnie, tej, której jeszcze nie widział...

Dobra. Dobra, już jest bezpiecznie, przestał patrzeć w moją stronę.

O Boże, to okropne. W głowie mi się nie mieści, że tak się wita gości w tym kraju. Stłoczyli nas wzdłuż tego przejścia, gdzie wszyscy ludzie się na nas gapią... Miałam wrażenie, że każdemu z nich z osobna i wszystkim razem sprawiam rozczerowanie, bo nie jestem tą osobą, na którą czekają. To bardzo nieuprzejme tak potraktować ludzi, którzy właśnie odsiedzieli w samolocie sześć godzin - w moim przypadku osiem, jeśli doliczyć lot z Ann Arbor do Nowego Jorku. Dziesięć, jeśli doliczyć dwugodzinną przerwę w podróży na JFK...

Zaraz. Czy Czerwona Kurtka przed chwilą się na mnie nie gapił?

O mój Boże, gapił się! Ja wiem, to moja bielizna. Ale skąd on to wie? To znaczy, że nie mam na sobie żadnej bielizny? Fakt, nie mam żadnych widocznych linii od majtek, ale przecież mogłabym mieć na sobie stringi. Powinnam była włożyć stringi, Shari miała rację.

Ale są takie niewygodne, kiedy wpijają ci się w...

Wiedziałam, że nie powinnam była wybierać takiej obcisłej sukienki, biorąc pod uwagę moment, kiedy wyjdę z samolotu - nawet jeśli osobiście ją poprawiłam, skracając nieco powyżej kolan, żebym nie musiała drobić nogami przy wąskiej spódnicy.

Ale po pierwsze, strasznie marznę - jak może być tak zimno w sierpniu?

A po drugie, ten gatunek jedwabiu szczególnie przylega do ciała, więc pozostaje cała ta kwestia linii majtek...

Ale i tak wszyscy w sklepie twierdzili, że wyglądam w niej świetnie... Chociaż ja wcale bym się nie spodziewała, że sukienka chinka - nawet taka w stylu vintage - będzie mi rzeczywiście pasowała, skoro jestem rasy białej i tak dalej.

Ale chciałam dobrze wyglądać, bo on mnie od tak dawna nie widział, a ja przecież straciłam jednak tych piętnaście kilo wagi i nikt by się nie zorientował, że aż tyle schudłam, gdybym wysiadła z samolotu w dresie. Czy nie to zawsze mają na sobie sławni ludzie, kiedy pokazują ich zdjęcia w kolumnie Co oni sobie myślą? w „US Weekly”? No wiecie, kiedy wysiadają z samolotu w dresach i zeszlorocznym modelu uggów, z rozczochranymi włosami? Jeśli człowiek chce być gwiazdą, to powinien przynajmniej wyglądać jak gwiazda, nawet kiedy wysiada z samolotu.

Nie żebym sama była jakąś gwiazdą, ale i tak chciałam wyglądać dobrze. Zadałam sobie przecież tyle trudu, od trzech miesięcy nie miałam w ustach ani okruszka chleba, a poza tym...

Zaraz. A co będzie, jeśli on mnie nie pozna? Poważnie. No bo w końcu straciłam tych piętnaście kilo i mam nową fryzurę, i tak dalej...

O Boże, może on tu gdzieś jest i nie może mnie rozpoznać? Czy ja już go minęłam? Może powinnam zawrócić i przejść się jeszcze raz tym czymś w rodzaju wybiegu i rozejrzeć się za nim? Ale będę się czuła jak straszna idiotka. Co ja mam robić? O mój Boże, to jest okropnie nie w porządku. Ja tylko chciałam ładnie dla niego wyglądać, a nie zgubić się w obcym kraju, bo tak się zmieniłam, że nie poznaje mnie własny chłopak! A co, jeśli on uzna, że ja nie przyleciałam, i po prostu wróci do domu? Nie mam przecież pieniędzy - no dobra, mam tysiąc dwieście dolców, ale to ma mi wystarczyć aż do powrotnego lotu do domu, pod koniec miesiąca...

Czerwona kurtka nadal patrzy w tę stronę!!! O Boże, czego on może ode mnie chcieć?

A co, jeśli jest z jakiegoś gangu porywającego na lotniskach białe niewolnice? Co, jeśli przez cały dzień kręci się tu i wypatruje naiwnych młodych turystek z Ann Arbor w stanie Michigan, żeby je potem porwać i wysłać do Arabii Saudyjskiej, gdzie staną się siedemnastymi żonami jakiegoś szejka? Kiedyś czytałam książkę, w której coś takiego się stało... Chociaż muszę przyznać, że tamtej dziewczynie się to spodobało. Ale tylko dlatego, że na koniec szejk rozwiódł się ze wszystkimi swoimi pozostałymi żonami i zatrzymał tylko ją, bo była taka niewinna, a jednocześnie taka dobra w łóżku.

A co, jeśli on tylko porywa dziewczyny dla okupu, zamiast je sprzedawać? Przecież ja nie jestem taka bogata! Wiem, że ta sukienka wygląda na drogi ciuch, ale kupiłam ją w Vintage to Vavoom za dwanaście dolarów (wliczając moją zniżkę pracowniczą)!

A mój tata nie ma żadnego majątku. Na litość boską, przecież on pracuje w cyklotronie!

Nie porywaj mnie, nie porywaj mnie, nie porywaj mnie...

Zaraz, a co to za kontuar? Przywołaj Znajomych. Och, świetnie! Punkt obsługi klienta! Właśnie tak zrobię. Poproszę, żeby wywołali Andrew przez megafon. I w ten sposób, jeśli on tu jest, będzie mógł mnie znaleźć. A ja będę miała ochronę przed Czerwoną Skórzaną Kurtką Breakdancera, bo nie odważy się mnie porwać i wysłać do Arabii Saudyjskiej na oczach tego faceta z punktu obsługi...

- Halo, kochanie, wyglądasz na zagubioną. Mogę ci w czymś pomóc?

Och, facet z tego punktu jest bardzo miły! I taki ma słodki akcent!

Chociaż ten krawat to nie najlepszy wybór.

- Cześć, nazywam się Lizzie Nichols - mówię. - Miał mnie odebrać z lotniska mój chłopak, Andrew Marshall. Tylko że chyba go tutaj nie ma i...

- Chcesz, żebym go przywołał?

- Tak, bardzo pana proszę. Bo tu za mną chodzi jakiś taki facet, o, proszę tam spojrzeć. Obawiam się, że to może być jakiś bezdomny albo porywacz, albo członek gangu handlującego żywym towarem...

- Który?

Nie chciałam wskazywać palcem, ale uważam, że mam obowiązek, no wiecie, donieść władzom na Czerwoną Kurtkę, a już przynajmniej pracownikowi tego punktu Przywołał Znajomych, bo ten facet naprawdę wygląda bardzo dziwnie w tej swojej kurtce i nadal się na mnie gapi, bardzo niegrzecznie, a już co najmniej znacząco, jakby nadal chciał mnie porwać.

- Tam - mówię, wskazując głową w stronę Czerwonej Breakdance'owej Kurtki. -To ten w tej paskudnej kurtce z epoletami. Widzi go pan? Ten, który się na nas gapi.

- Och, faktycznie! - Pracownik punktu Przywołał Znajomych kiwa głową. - Rzeczywiście. Bardzo groźny. Proszę chwileczkę poczekać, zaraz zawołamy pani chłopaka, a już on da temu dupkowi taki wycisk, na jaki sobie słusznie zasłużył. Pan Andrew Marshall. Pan Andrew Marshall. Panna Nichols oczekuje pana przy punkcie Przywołał Znajomych. Pan Andrew Marshall proszony jest o zgłoszenie się do punktu Przywołał Znajomych, gdzie oczekuje na niego panna Nichols. No i co? W porządku?

- Och, wypadło świetnie - mówię pokrzepiającym tonem, bo mi go żal. To musi być ciężka praca, tak siedzieć przez cały dzień za jakimś kontuarem i wrzeszczeć przez megafon. - Było naprawdę...

- Liz?

Andrew! Nareszcie!

Ale kiedy się obracam, widzę Czerwoną Breakdance'ową Kurtkę.

Bo jednak...

Bo jednak przez cały czas to był Andrew.

I tylko ja go nie poznałam, bo zmyliła mnie ta kurtka - najbrzydliwsza kurtka, jaką w życiu widziałam. Poza tym chyba się ostrzygł. Niezbyt twarzowo.

W sumie tak trochę złowrogo.

- Ooo - mówię. Strasznie trudno jest mi ukryć zmieszanie i konsternację. - Andrew. Cześć.

Za szklaną szybą punktu Przywołał Znajomych pracownik wybucha bardzo, bardzo donośnym śmiechem.

A ja ze ściśniętym sercem zdaję sobie sprawę, że to zrobiłam.

Znowu.

*Pierwsze tkane materiały powstały z włókien roślinnych, takich jak kora drzew, bawełna i konopie. Włókna zwierzęce wykorzystano dopiero w czasach neolitu kultury, które - w przeciwieństwie do koczowniczych przodków - potrafiły zakładać stałe siedziby, w których pobliżu mogły się paść owce, a w domu można było sporządzić krosna.*

*W każdym razie - aż do podboju przez Aleksandra Wielkiego - Egipcjanie nie chcieli nosić wełny, najwyraźniej powołując się na to, że w ciepłych klimatach wełna drapie.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## Rozdział 2

*Plotka nie musi skandalizować i nie jest wyłącznie czymś złośliwym. To pogawędka na temat ludzkiej rasy przez teźe rasy miłośników.*

Phyllis McGinley (1905-1978), poetka i pisarka

Dwa dni wcześniej, w Ann Arbor (a może trzy dni... zaraz, która jest teraz godzina w Stanach?)

Sprzeniewierzasz się swoim feministycznym zasadom. - Tak mi ciągle powtarza Shari.

- Przestań - mówię.

- Poważnie. To do ciebie zupełnie niepodobne. Odkąd poznałaś tego faceta...

- Shari, ja go kocham. To coś złego, że chcę być z osobą, którą kocham?

- Nie ma nic złego w tym, że pragniesz z nim być. Ale źle, że chcesz odłożyć na później rozpoczęcie własnej kariery. Zamierzasz czekać, aż on zrobi swój dyplom.

- I cóż by to miała być za kariera? - W głowie mi się nie mieści, że rozmawiam na ten temat. Po raz kolejny. Ani to, że Shari stanęła przy chipsach i dipie, chociaż doskonale wie, że usiłuję zrzucić jeszcze trzy kilo.

Och, nieważne. Przynajmniej ma na sobie szeroką spódnicę w czarno-biały meksykański wzór, z lat pięćdziesiątych, którą wybrałam dla niej w sklepie, chociaż się upierała, że ta spódnica powiększa jej tyłek. Nic jej nie powiększa. Chyba że w korzystny sposób.

- No wiesz - mówi Shari. - Kariera, którą mogłabyś robić, gdybyś tylko przeprowadziła się ze mną do Nowego Jorku po powrocie z Anglii, zamiast...

- Mówiłam ci, że nie zamierzam się dzisiaj na ten temat z tobą kłócić - przerywam. - To moja impreza dyplomowa, Shar. Nie możesz mi pozwolić się nią nacieszyć?

- Nie. Bo jesteś okropnie upartą oślicą i dobrze o tym wiesz.

Chłopak Shari, Chaz, podchodzi do nas i nabiera sobie trochę dipu cebulowego chipsem ziemniaczanym o smaku barbecue.

Mniam... Chipsy ziemniaczane o smaku barbecue. Może gdybym zjadła tylko jednego...

- A w jakiej to sprawie Lizzie jest upartą oślicą tym razem? - pyta, przeżuując.

Ale nie sposób zjeść tylko jednego chipsa ziemniaczanego o smaku barbecue. Po prostu się nie da.

Chaz jest wysoki i chudy. Założę się, że jeszcze nigdy w życiu nie mu-siał schudnąć trzech kilogramów. On nawet musi nosić pasek, żeby pod-trzymać swoje levisy To pasek ze skórzanej plecionki. Ale jemu skórzana plecionka pasuje.

Nie pasuje mu, oczywiście, czapeczka bejsbolowa Uniwersytetu Michigan. Ale mnie się nigdy nie udało przekonać go na dłużej, że czapeczki bejsbolowe, jako dodatek, nikomu nie pasują. Pomijając dzieci i prawdziwych graczy w bejsbol.

- Ona nadal planuje tutaj zostać, kiedy już wróci z Anglii - wyjaśnia Shari, maczając w dipie swojego chipsa. - Zamiast przeprowadzić się do Nowego Jorku z nami i zacząć prawdziwe życie.

Shari też nie musi zwracać uwagi na linię. Zawsze miała szybki z na-tury metabolizm. Kiedy byliśmy dziećmi, jej szkolne pudełko z lunchem składało się z trzech kanapek z masłem orzechowym i galaretką i paczki ciasteczek Oreo, i nigdy nie utyla ani grama. Moje lunche? Jajko na twardo, jedna pomarańcza i nóżka kureczaka. A byłam grubasem. I to jakim.

- Shari... - mówię. -Ja mam tutaj prawdziwe życie. Mam gdzie mieszkać...

- Z rodzicami!

- ... mam pracę, którą kocham...

- Jako zastępczyni kierowniczkii sklepu z używanymi ciuchami w stylu retro. To nie jest kariera!

- Mówiłam ci - tłumaczę po raz chyba dziewięćsetny. - Będę mieszkać tutaj i odkładać pieniądze. Potem Andrew i ja przeniesiemy się do Nowego Jorku, po jego dyplomie. To tylko jeszcze jeden semestr.

- Przypomnijcie mi, kto to jest ten Andrew? - odzywa się Chaz. A Shari uderza go po ramieniu.

- Auć - jęczy Chaz.

- Pamiętasz - mówi Shari. - To ten stażysta z akademika McCracken. Na studiach magisterskich. Ten, o którym Lizzie nie przestawała mówić przez całe lato.

- A, jasne. Andy. Ten Angol. Ten, który prowadził nielegalny klub pokerowy na siódmym piętrze.

Wybucham śmiechem.

- To nie Andrew! On nie uprawia hazardu! Studiuje, żeby zostać nauczycielem i wychowawcą i dbać później o nasze najcenniejsze zasoby...  
następne pokolenia.

- Facet, który wysłał ci zdjęcie swojego gołego tyłka? Z trudem łapię oddech.

- Shari, powiedziałaś mu o tym?

- Chciałam się dowiedzieć, co sądzi o czymś takim inny facet - oświadcza Shari i wzrusza ramionami. - No wiesz, żeby się przekonać, czy może wyjaśnić, jakiego typu indywiduum mogłoby zrobić coś takiego.

W ustach Shari, która zrobiła magisterkę z psychologii, to nawet całkiem logiczne wyjaśnienie. Patrząc na Chaza pytającym wzrokiem. On wie dużo ciekawych rzeczy na mnóstwo tematów. Wie, ile razy trzeba obejść Palmer Field, żeby przejść kilometr (cztery - informacja była mi potrzeb-na, kiedy spacerowałam tam codziennie, żeby zrzucić wagę), co oznacza liczba 33 po wewnętrznej stronie butelki Rolling Rock, dlaczego aż tylu facetów uważa, że wyglądają dobrze w szortach za kolano...

Ale Chaz też wzrusza ramionami.

- Nie umiałem w niczym pomóc - mówi - bo nigdy wcześniej nie robiłem zdjęcia swojego gołego tyłka.

- Andrew nie zrobił zdjęcia swojego gołego tyłka - powiadam. - Jego kumple je zrobili.

- Cóż za homoerotyzm - komentuje Chaz. - Dlaczego nazywasz go Andrew, skoro wszyscy inni mówią na niego: Andy?

- Bo Andy to imię dla głupka, a Andrew nie jest głupkiem. Robi magisterium z pedagogiki. Któregoś dnia będzie uczył małe dzieci czytać. Czy może być na świecie jakieś ważniejsze zajęcie od tego? I nie jest gejem. Tym razem sprawdziłam.

Brwi Chaza podjechały w górę.

- Sprawdziłaś? Jak? Zaraz... Chyba nie chcę wiedzieć.

- Ona tylko lubi udawać, że on jest księciem Andrzejem - mówi Shari. - Hm, zaraz, o czym to ja mówiłam?

- Że Lizzie to uparta oślica - podrzuca uprzejmie Chaz. - Ale moment. Ile czasu minęło, odkąd widziałas tego faceta? Trzy miesiące?

- Mniej więcej.

- Człowieku... - wzdycha Chaz i kręci głową.- Kiedy jutro wysiądziesz z tego samolotu, czeka cię niezła akcja w parterze.

- Andrew nie jest taki - mówię z uczuciem. - On jest romantykiem. Pewnie będzie chciał pozwolić mi zaaklimatyzować się i dojeść do siebie po podróży odrzutowcem w jego wielkim łóżku, na prześcieradłach o wyjątkowo gęstym splocie. Poda mi śniadanie do łóżka. Takie urocze angielskie śniadanie z... różnymi angielskimi rzeczami.

- Na przykład smażonymi pomidorami? - pyta Chaz, udając niewinność.

- Akurat - mówię. - Tak się składa, że Andrew wie, że nie lubię pomidorów. Pytał w swoim ostatnim mailu, czy jest coś, czego nie lubię jeść, i uprzedziłam go co do tych pomidorów.

- Lepiej miej nadzieję, że śniadanie to jeszcze nie wszystko, co ci przy-niesie do łóżka - stwierdza Shari ponuro. - W przeciwnym razie, po co gnać na drugi koniec świata, żeby się z nim zobaczyć?

To jest właśnie problem z Shari. Ona jest taka nieromantyczna. Zawsze się dziwię, że ona i Chaz już tak długo ze sobą chodzą. No bo dwa lata to dla niej prawdziwy rekord.

Ale z drugiej strony, jak lubi mnie zapewniać, ich wzajemna atrakcyjność opiera się niemal w całości na sprawach czysto fizycznych, skoro Chaz właśnie zrobił magisterium z filozofii i w związku z tym, w opinii Shari, jest osobnikiem całkowicie niezatrudnialnym.

- Więc po co sobie w ogóle próbować wyobrazić jakąś wspólną przyszłość z Chazem? - pyta mnie często. - No bo w końcu zacznie mu doskwierać poczucie niższości - chociaż ma ten swój fundusz powierniczy, oczywiście - i w efekcie jego wydolność w sypialni ucierpi. Więc na razie potrzymam go w odwodzie jako chłopaka, bo jeszcze mu jakoś staje.

Shari bywa w takich sprawach szalenie praktyczna.

- Chwilę nie mogę pojąć, dlaczego lecisza aż do Anglii, żeby się z nim zobaczyć - mówi Chaz. -To znaczy, do faceta, z którym nawet jeszcze nie spałaś, który najwyraźniej nie zna cię zbyt dobrze, skoro nie jest świadomy twojej awersji do pomidorów i uważa, że frajdę zrobi ci zdjęcie czyjegokolwiek gołego tyłka.

- Dobrze wiesz dlaczego - mówi Shari. -To jego akcent.

- Shari! - wołam.

- No dobra - ustępuje Shari i przewraca oczami. - Uratował jej życie.

- Kto komu uratował życie? - Podszedł mój szwagier, Angelo, bo zauważył dip.

- Nowy chłopak Lizzie - wyjaśnia Shari.

- Lizzie ma nowego chłopaka? -Angelo, jak widzę, usiłuje ograniczyć węglowodany. Macza w dipie tylko kawałki selera naciowego. Może przeszedł na South Beach, żeby pozbyć się otluszczonego brzucha, który brzydko podkreśla biała poliestrowa koszula, jaką ma na sobie. Dlaczego on mnie nie chce posłuchać i trzymać się naturalnych włókien? - Jak to się stało, że nic o tym nie słyszałem? APS widocznie się popsuło.

- APS? - powtarza Chaz z uniesionymi brwiami.

- Agencja Prasowa Lizzie - wyjaśnia Shari. - Nieprzytomny jesteś?

- Aaa, jasne - mówi Chaz i popija piwo.

- Wszystko powiedziałaś Rosę. - Obrzucam ich gniewnym spojrzeniem. Któregoś dnia zemszczę się na swojej siostrze Rosę za tę nazwę: Agencja Prasowa Lizzie. Może to i było zabawne, kiedy byłyśmy małe, ale teraz mam dwadzieścia dwa lata! - Nie powtórzyła ci, Angie?

Angelo ma zagubioną minę.

- Czego mi nie powtórzyła?

Wzdycham.

- Jakaś dziewczyna z pierwszego roku spaliła gulasz, który podgrzewała na swojej nielegalnej elektrycznej maszynie, i akademik wypełnił się dymem, i musieli nas ewakuować - wyjaśniam.

Zawsze chętnie relacjonuję historię o tym, jak poznaliśmy się z Andrew. Bo jest super romantyczna. Któregoś dnia, kiedy Andrew i ja pobierzemy się i będziemy mieszkać w starym, bez pomidorów, wiktoriańskim domu w Westport, w stanie Connecticut, z naszym złotym retrieverem, Roilą, i czwórką naszych dzieci - Andrew juniorem, Henrym, Stellą i Beatrice - a ja będę sławną... no cóż, kim tam sławnym uda mi się zostać, a Andrew będzie dyrektorem pobliskiej szkoły dla chłopców, gdzie będzie uczył dzieci czytać, a ktoś zechce zrobić ze mną wywiad dla „Vogue”, to będę mogła opowiedzieć tę historię - wyglądając ekscentrycznie, ale znakomicie, od stóp do głów ubrana w ciuchy retro Chanel - ze śmiechem serwując reporterce idealnie zaparzoną po francusku kawę na werandzie za moim domem, która będzie umeblovana wyłącznie gustownymi meblami z białej wikliny krytej kretonem w kwiatki.

- No cóż, brałam właśnie prysznic - ciągnę - więc nie poczułam dymu ani nie usłyszałam alarmu, ani nic. Aż wreszcie Andrew wpadł do łazienki dla dziewczyn i krzyknął: „Pali się!”, i...

- Czy to prawda, że w damskich łazienkach w akademiku McCracken są wspólne prysznice? - chce wiedzieć Angelo.

- To prawda - informuje go Chaz swobodnym tonem. -Wszystkie muszą się kąpać razem. Czasami namydlają sobie nawzajem plecy, jednocześnie plotkując o swoich dziewczęcych wyglupach z poprzedniego wieczoru.

Angelo gapi się na Chaza wytrzeszczonymi oczami.

- Robisz mnie w konia?

- Angelo, nie zwracaj na niego uwagi - mówi Shari i sięga po kolejne-go chipsa. - On to sobie zmyśla.

- W Beuerly Hills Bordello cały czas zdarzają się takie rzeczy - twierdzi Angelo.

- Nie kąpałyśmy się wspólnie - wyjaśniam. - To znaczy ja i Shari owszem, czasami...

- Opowiedz nam o tym, proszę, trochę obszerniej - mówi Chaz, otwierając kolejne piwo otwieraczem, który mama położyła obok turystycznej lodówki.

- Przestań - napomina go Shari. - Tylko ich zachęcaj.

- A jakie fragmenty sobie myślaś, kiedy on wszedł? - pyta Chaz. - I czy była z tobą wtedy jeszcze jakaś inna dziewczyna? Które fragmenty ona sobie myśla? Czy może pomagała tobie umyć twoje własne fragmenty?

- Nie. Byłam tam sama. I, oczywiście, kiedy zobaczyłam faceta w damskiej łazience, zaczęłam wrzeszczeć.

- Och, naturalnie - skwitował Chaz.

- No więc złapałam ręcznik, a ten facet - nie widziałam go zbyt dobrze przez tę całą parę wodną i dym, i tak dalej - odzywa się takim najbardziej uroczym brytyjskim akcentem, jaki kiedykolwiek słyszeliście: „Proszę pani, budynek się pali. Obawiam się, że musi się pani ewakuować”.

- Zaraz, zaczekaj - mówi Angelo. -Ten pacan widział cię na golasa?

- Goła była jak święty turecki - potwierdza Chaz.

-Do tego czasu na korytarzach było już pełno dymu i nic nie widziałam, więc on mnie wziął za rękę i sprowadził na dół po schodach, na zewnątrz, gdzie było bezpiecznie, i tam zaczęliśmy rozmawiać -ja w ręczni-ku i tak dalej. I to wtedy zrozumiałam, że spotkałam miłość swojego życia.

- Po jednej rozmowie? - Chaz jest odrobinę sceptyczny. Jako magister filozofii, Chaz podchodzi sceptycznie do wszystkiego. Oni ich w takiej postawie szkoła.

- No cóż, przez całą resztę wieczoru się całowaliśmy. To stąd wiem, że nie jest gejem. No bo stanął mu jak trzeba.

Chaz krztusi się piwem.

-W każdym razie - mówię, usiłując sprowadzić rozmowę z powrotem na temat - całą noc się całowaliśmy. Ale on musiał następnego dnia wracać do Anglii, bo kończył się semestr...

- ...i teraz, skoro Lizzie wreszcie skończyła studia, leci do Londynu, żeby spędzić z nim resztę wakacji - kończy za mnie Shari. - A potem wraca, żeby dalej gnić tutaj, zupełnie jak jej...

- Daj spokój, Shar - przerywam jej szybko. - Obiecałaś.

Ona tylko się wykrzywia w moją stronę.

- Posłuchaj, Liz- zaczyna Chaz i sięga po kolejne piwo.- Wiem, że ten facet jest miłością twojego życia i tak dalej. Ale będziesz mogła być z nim przez cały następny semestr. Jesteś pewna, że nie chcesz jechać z na-mi do Francji na resztę lata?

- Daruj sobie, Chaz - mówi Shari. - Pytałam ją już osiemdziesiąt milionów razy.

- A wspominałaś o tym, że zatrzymamy się we francuskim chateau z XVII wieku, z własną winnicą, wzniesionym na wzgórzu ponad doliną pełną bujnej zieleni, przez którą wije się długa i leniwa rzeka? - chce wiedzieć Chaz.

- Shari mi mówiła. I to bardzo miło, że mnie zapraszasz. Nawet jeśli niezupełnie jesteś do tego upoważniony, żeby zapraszać tam ludzi, bo czy to chateau nie należy do jednego z twoich kumpli z prywatnego liceum, a nie do ciebie?

- Nieistotny drobiazg - twierdzi Chaz. - Luke byłby przeszczęśliwy, gdybyś przyjechała.

- Ha - powiada Shari. - Jasne. Więcej niewolniczej siły roboczej przy tym jego amatorskim interesie ze ślubami.

- O czym oni mówią? - pyta mnie Angelo ze zdezorientowaną miną.

- Chaz ma takiego kumpla z czasów prywatnego liceum, Luke'a - wyjaśniam mu. - A Luke ma po przodkach dom we Francji, który latem jego ojciec wynajmuje na uroczystości ślubne. Shari i Chaz wyjeżdżają tam jutro i spędzą w chateau miesiąc za darmo, w zamian za pomoc przy tych imprezach.

- Na śluby - powtarza Angelo. - Takie jak w Vegas?

- Tak - mówi Shari. - Tylko w dobrym guście. I trzeba mieć więcej niż dolar dziewięćdziesiąt dziewięć, żeby się tam dostać. I nie podaje się darmowych śniadań przy bufecie.

Angelo ma zaszokowaną minę.

- No to po co w ogóle?...

Ktoś szarpie mnie za połę sukienki, opuszczam wzrok. Pierworodna córka mojej siostry Rosę, Maggie, wyciąga w moją stronę naszujnik zrobiony z makaronu.

- Ciociu Lizzie. Dla ciebie. Zrobiłam go. Na twój dyplom.

- Dziękuję ci, Maggie - mówię, przyklekając, żeby Maggie mogła mi go włożyć przez głowę.

- Farba jeszcze nie wyschła - zauważa Maggie, wskazując na czerwone i niebieskie plamy farby, które przeniosły się z makaronu na przód mojej sukienki koktajlowej z różowego jedwabiu, model Uszy Perette z 1954 roku (która nie była tania nawet z moją zniżką pracowniczą).

- Nie ma sprawy, Maggie. - Mimo wszystko ona ma tylko cztery lata. - Jest śliczny.

- Tu jesteś! - Babcia Nichols chwiejnym krokiem zmierza powoli w naszą stronę. - Anno Mario, wszędzie cię szukałam. Już czas na Doktor Queen.

- Babciu! - Wstaję, żeby złapać ją za cienkie jak patyk ramię, zanim się przewróci. Widzę, że już jej się udało coś wylać na przód zielonej tuniki z krepdeszynu z lat sześćdziesiątych, którą przyniosłam jej ze sklepu. Na szczęście ślady po farbie z naszyjnika z makaronu, który zrobiła Maggie dla niej, trochę kryją mokrą plamę.

- Jestem Lizzie. Nie Anna Maria. Mama stoi przy stole z deserami. I co ty popijasz?

Sięgam po butelkę heinekena, którą dzierży babcia, i wącham jej zawartość. Powinna była zostać napełniona piwem bezalkoholowym, zgodnie z umową całej rodziny, a potem znów zamknięta, ze względu na słabą głowę babci Nichols, która prowadzi do, jak to mama lubi nazywać, „wypadków”. Mama miała nadzieję uniknąć wszelkich „wypadków” w czasie imprezy z okazji mojego dyplomu, pozwalając babci pić wyłącznie bezalkoholowe piwo - ale nie mówiąc jej, że jest bezalkoholowe, oczywiście. Bo wtedy babcia zrobiłaby nam awanturę, dowodząc, że chcemy jej zepsuć całą zabawę i tak dalej.

Ale nie jestem pewna, czy piwo w tej butelce to piwo bezalkoholowe. Fałszywego heinekena dla babci ustawiliśmy w jednym rogu lodówki turystycznej. Mogła jednak znaleźć ten prawdziwy. Ona ma do tego talent.

A może po prostu myśli, że trafiła na prawdziwe piwo, i w efekcie wy-daje jej się, że jest pijana.

- Lizzie! - Babcia ma podejrzliwą minę. - Co ty tu robisz? Nie powinnaś być na studiach?

- Skończyłam studia w maju, babciu. - No cóż, w pewnym sensie. Nie licząc dwóch miesięcy, które spędziłam na letnich kursach, żeby zaliczyć zajęcia z języka obcego. - To moja impreza z okazji dyplomu. No cóż, z okazji dyplomu i wyjazdu.

- Wyjazdu? - Podejrzliwość babci zamienia się w oburzenie. - A niby dokąd się wybierasz?

- Do Anglii, babciu, wyjeżdżam pojutrze, żeby odwiedzić swojego chłopaka. Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym.

- Chłopaka? - Babcia piorunuje wzrokiem Chaza. - A to nie ten tu?

- Nie, babciu. To Chaz, chłopak Shari. Pamiętasz Shari Dennis, prawda, babciu? Mieszkała przy naszej ulicy?

- Och, dziewczyna Denni sów - mówi babcia i patrzy na Shari, mrużąc oczy. - Już cię pamiętam. Chyba widziałam twoich rodziców przy grillu. Zaśpiewacie z Lizzie tę piosenkę, którą zawsze razem śpiewacie?

Shari i ja wymieniamy przerażone spojrzenia. Angelo pogwizduje.

- Hej, jasne! - woła. - Rosie mi opowiadała. Co to za piosenkę zawsze razem śpiewałyście? Na szkolnych pokazach talentów i innych takich?

Rzucam Angelowi ostrzegawcze spojrzenie, bo Maggie nadal kręci się przy nas, i mówię:

- Małe dzbanuszki.

Widzę po jego minie, że nie ma pojęcia, o czym mówię. Wzdycham i zaczynam prowadzić babcie w stronę domu.

- Lepiej już chodź, babciu - tłumaczę - bo spóźnisz się na serial.

- A co z piosenką? - chce wiedzieć babcia.

- Piosenkę zaśpiewamy później, pani Nichols - zapewniają Shari.

- Mam zamiar trzymać cię za słowo.- Chaz robi do niej oko. Shari mówi bezgłośnie: „Możesz sobie pomarzyć”. Chaz posyła jej buziaka nad szyjką swojej butelki piwa.

Razem wyglądają tak uroczo. Nie mogę się doczekać, aż będę w Londynie i razem z Andrew będę mogła też tak uroczo wyglądać.

- Chodźmy, babciu. Doktor Queen już się zaczyna.

- Och, dobrze - powiada babcia. A w stronę Shari się zwierza: - Nic mnie nie obchodzi ta durnowata doktor Queen. To na tego byczka, który się koło niej kręci, nie mogę się napatrzeć!

- Dobra, babciu - mówię szybko, a Shari opluwa się łykiem amstel light, właśnie pociągniętym z butelki. - Zaprowadźmy cię do środka, za-nim film...

Ale ledwie przeszliśmy parę metrów po werandzie, kiedy zatrzymuje nas doktor Rajghatta, szef mojego taty z cyklotronu, i jego ładna żona, Nishi, promieniejąca w różowym sari u jego boku.

- Serdeczne gratulacje z okazji dyplomu - mówi doktor Rajghatta.

- Tak - zgadza się jego żona. - I czy mogę dodać, że wyglądasz ślicznie i szczupło?

- Och, dziękuję! Dziękuję bardzo!

- I co będziesz robiła teraz, kiedy masz już ten licencjat z... Jak to się nazywa? - pyta doktor Rajghatta. Okropnie wygląda ten piterek na pióra, który ma chronić kieszeń garnituru przed poplamieniem, ale

własnego ojca też nie zdołałam zmusić, żeby go odstawił, więc wątpię, żeby udało mi się zrobić jakieś postępy z jego szefem.

- Historia mody - odpowiadam.

- Historia mody? Nie wiedziałem, że na tej uczelni jest taki kierunek studiów - dziwi się doktor R.

- Och, bo nie ma. Miałam indywidualny tok studiów. No wie pan, wtedy można dowolnie wybrać przedmiot kierunkowy...

- Ale historia mody? - Doktor Rajghatta ma zatroskaną minę. - Czy na tym polu jest wiele możliwości zrobienia kariery?

- Och, mnóstwo - mówię, usiłując nie wspominać, że zaledwie w zeszłym tygodniu sięgnęłam po niedzielne wydanie „New York Timesa” i zobaczyłam, że wszystkie związane z modą posady z działu Dam pracę - poza sprzedają - albo nie wymagały stopnia licencjackiego, albo wymagały lat praktyki w tej dziedzinie, których nie mam. - Mogłabym dostać pracę w Instytucie Kostiumu w Metropolitan Museum of Art. - Jasne. Jako woź-na. - Albo jako projektantka kostiumów na Broadwayu. - No wiecie, gdyby wszyscy inni projektanci kostiumów na całym świecie nagle razem padli trupem. - Albo nawet jako kupiec dla wielkiego magazynu mody, jak Saks na Piątej Alei.

- Gdybym posłuchała mojego taty, który mnie błagał, żebym jako kierunek uzupełniający wzięła administrację biznesu.

- Jak to „kupiec”? - Babcia ma zgorzsną minę. - Będiesz AK, nie żadnym kupcem! Przecież ona pruć wszystkie swoje ubrania i zszywała je na nowo jakoś tak dziwacznie od czasu, kiedy dorosła na tyle, żeby utrzymać w ręku igłę - opowiada doktorowi R. i jego żonie, którzy patrzą na mnie tak, jakby babcia właśnie oświadczyła, że w wolnych chwilach lubię tańczyć salsę nago.

- Hm - mamrocze i śmieje się nerwowo. - To było takie moje hobby. - Nie wspominam o tym, oczywiście, że przerabiałam swoje ubrania tylko dlatego, że byłam tak pulchna, że nie pasowały na mnie ładne, wesołe ciuszki z działu dla dzieci, więc musiałam rzeczy, które mama mi kupo-wała w dziale dla dorosłych, jakoś odmładszać.

I to dlatego tak bardzo lubię styl vintage. Kiedyś ubrania szyto o wiele lepiej - i były o wiele bardziej twarzowe, niezależnie od noszonego rozmiaru.

- Hobby. Całuj psa w nos - powiada babcia. - Widzicie tę koszulę? - Babcia wskazuje na swoją poplamioną tunikę. - Sama ją ufarbowała! Była pomarańczowa, a teraz tylko na nią spójrzcie! I skróciła rękawy, tak jak ją prosiłam, żeby było seksowniej!

- To bardzo piękna bluzka - mówi uprzejmie pani Rajghatta. - Jestem pewna, że Lizzie bardzo daleko zajdzie, z takim talentem.

- Och! - wzdycham, czując, że oblewam się buraczkowym rumieńcem. - To znaczy, ja bym nie mogła... No, rozumie pani. Tak zarabiać. To tylko takie hobby.

- No cóż, to dobrze - oświadcza jej mąż z miną pełną ulgi. - Nikt nie powinien spędzać paru lat na świetnej uczelni po to, żeby utrzymać się z szycia!

- Szkoda byłoby marnować wiedzę! - zgadzam się, woląc nie wspominać, że pierwszy semestr po studiach mam zamiar spędzić nadal na posadzie zastępcy kierownika sklepu, czekając, aż mój chłopak zrobi dyplom. Babcia zaczyna się złościć.

- A co się przejmujesz? - pyta, szturchając mnie w bok. - Przez te cztery lata i tak studiowałaś za darmo. Co to ma za znaczenie, co teraz zrobisz z tym, czego się tam nauczyłaś?

Państwo Rajghatta i ja uśmiechamy się do siebie, wszyscy w równym stopniu zażenowani wybuchem babci.

- Twoi rodzice są z ciebie na pewno bardzo dumni. - Pani Rajghatta nadal uśmiecha się uprzejmie. - No bo być tak pewną siebie, żeby studiować coś równie... niespotykanego, kiedy tylu młodych wykształconych ludzi w ogóle nie może znaleźć pracy na dzisiejszym rynku. Jesteś bardzo dzielna.

- Och! - wzdycham, przełykając strawione jedzenie, które zawsze podchodzi mi do gardła, kiedy zaczynam myśleć o przyszłości. Lepiej nie myśleć o tym teraz. Lepiej pomyśleć o tym, jak fajnie będzie u Andrew. - No cóż, jestem wystarczająco dzielna.

- No jasne, że jest dzielna - wtrąca się babcia. - Pojutrze jedzie do Anglii pieprzyć się z facetem, którego prawie nie zna.

- No cóż, musimy już wracać do domu. - Łapię babcie za ramię i ciągnę ją za sobą. - Dziękuję bardzo, że państwo przyszli!

- Och, zaczekaj. To dla ciebie, Lizzie - powiada pani Rajghatta i wsuwa mi w rękę małe, ozdobnie opakowane pudełeczko.

- Och, dziękuję bardzo! - wołam. - Nie musieli państwo!

- To naprawdę nic takiego. - Pani Rajghatta się śmieje. - To tylko latarka do książki. Rodzice mówili, że jutro jedziesz do Europy, więc pomyśleliśmy, że przyda ci się do czytania w pociągach czy coś...

- No cóż, bardzo państwu dziękuję. Na pewno mi się przyda. To na razie.

- Latarka do książki - gdera babcia, kiedy szybko ją odciągam od doktora Rajghatty i jego żony - Komu, u diabła, potrzebna jest latarka do książki?



- Wielu ludziom - mówię. - To bardzo przydatny przedmiot.

Babcia rzuca bardzo brzydkie słowo. Odetchnę z ulgą, kiedy wreszcie bezpiecznie ją usadzę przed powtórkowym odcinkiem Doktor Queen.

Ale zanim mogę to zrobić, pojawiają się kolejne przeszkody do ominięcia, w tym Rosę.

- Moja mała siostrzyczka! - woła Rosę, podnosząc wzrok znad maleństwa, które siedzi w wysokim krzeselku obok piknikowego stołu i które

karmi puree z groszku. -W głowie mi się nie mieści, że skończyła studia!

Czuję się przy tobie taka stara!

- Bo jesteś stara - stwierdza babcia.

Ale Rosę ją ignoruje, jak zwykle zresztą.

- Angelo i ja jesteśmy z ciebie tacy dumni. - Oczywiście Rosę napełniają się łzami. Szkoda, że nie posłuchała mnie co do długości dzinsów. Te kuse nie pasują, chyba że ma się nogi tak długie, jak Cindy Crawford. A niestety żadna z nas, Nicholsówien, ich nie ma. - I nie tylko z powodu tego dyplomu, ale... No cóż, sama wiesz, bo tak schudłaś. Naprawdę. Wyglądasz rewelacyjnie. No i... Zaraz, mamy tu dla ciebie drobiazg... -Wsuwa mi w dłoń małą paczuszkę w ozdobnym papierze. - To nic wielkiego... Rozumiesz, teraz, kiedy Angelo nie ma pracy i jest opiekunka do dziecka na dzień, i tak dalej... Ale pomyślałam sobie, że mogłaby ci się przydać latarka do książki. Wiem, jak bardzo lubisz czytać.

- Woju - wołam. - Dzięki wielkie, Rosę. Naprawdę miło, że pomyślałaś.

Babcia zaczyna coś mówić, ale ściskam jej ramię, i to mocno.

- Au! - jęczy babcia. - Następnym razem pchnij mnie nożem, dobrze?

- No cóż, muszę zabrać babcię do środka. Czas na Doktor Queen.

Rosę patrzy z góry na babcię.

- O Boże - mówi. - Nie wspominała chyba przy wszystkich o swoim pożądaniu dla Byrona Sulhego, prawda?

- On przynajmniej ma pracę - zaczyna babcia - czego nie da się nijak powiedzieć o tym twoim mężu...

- Okay - rzucam, chwytając babcię za ramię i kierując się w stronę rozsuwanych drzwi werandy. - Chodźmy, babciu. Nie chcesz chyba, żeby Sully czekał.

- Nie można tak mówić - słyszę za nami Rosę - o zięciu swojego syna, babciu! Poczekaj, powiem tacie!

- Aha, biegnij od razu - odpala babcia. A potem, kiedy ją za sobą ciągnę, narzeka: -Ta twoja siostra. Jak tyją tyle lat zniosłaś?

Zanim mogę sformułować jakąś odpowiedź - co nie jest łatwe - słyszę, że moja druga siostra, Sarah, woła mnie. Obracam się i widzę, jak idzie w naszą stronę, potykając się lekko, z półmiskiem do zapiekania w rękach. Niestety, ma na sobie białe elastyczne spodnie do pół łydki, które są na nią wyraźnie za ciasne.

Czy moje siostry nigdy się niczego nie nauczą? Niektóre rzeczy, jak widać, muszą na zawsze pozostać tajemnicą.

Ale skoro tego typu styl zapewnił Sarah męża, Chucka, trzyma się już raz sprawdzonych recept.

- Och, hej - mówi Sarah, nie do końca wyraźnie. Widać, że sama też już popijała heinekena. - Zrobiłam ci niespodziankę, żeby uczcić twój wielki dzień. - Ściągnęła plastikową folię z naczynia do zapiekania i podektnęła mi je pod nos. Złapała mnie fala mdłości.

- Ratajuja z pomidorami! - wrzeszczy Sarah, śmiejąc się do rozpuku. - Pamiętasz, jak kiedyś ciocia Karen zrobiła ratajuję, a mama powiedziała, że musisz je zjeść przez grzeczność, a potem ty puściłaś pawia na tarasie?

- Tak - mówię, czując, że zaraz też puszcze pawia.

- Nie było przezabawnie? No więc zrobiłam je przez wzgląd na dawne czasy. Hej, co się stało? - Zdaje się, że dopiero teraz zauważa moją minę. - Och, daj spokój. Nie mów mi, że nadal nie cierpisz pomidorów! Myślałam, że z tego wyrosłaś!

- A czemu miałyby wyrosnąć? - pyta ostro babcia. -Ja nigdy nie wyrosłam. Weź sobie to świństwo i wsadź je sobie...

- Okay, babciu - mówię szybko. - Chodźmy. Doktor Queen czeka...

Odciągam babcię, zanim dojdzie do wymiany ciosów. Za rozsuwanymi drzwiami stoją moi rodzice.

- O, tu jest. - Tata rozjaśnia się na mój widok. - Pierwsza z Nicholsówien, której udało się skończyć studia!

Mam nadzieję, że Rosę i Sarah go nie usłyszały. Chociaż, ściśle rzecz biorąc, to prawda.

- Cześć, tato - mówię. - Cześć, mamó. Świetna impre... - A wtedy zauważam stojącą obok nich kobietę. - Doktor Sprague! - wołam. - Przyszła pani!

- Oczywiście, że przyszłam. - Doktor Sprague, moja opiekunka ze studiów, ściska mnie i całuje. - Za nic bym nie przepuściła takiej okazji. Popatrz na siebie, jaka teraz jesteś szczuplutka! Ta dieta niskowęglowodanowa naprawdę działa!

- Ach - odpowiadam. - Dzięki.

- A tutaj... Przyniosłam ci mały drobiazg na wyjazd... Przepraszam, że nie zdążyłam go zapakować. - Doktor Sprague wciska mi coś do rąk.

- Och - mówi tata. - Latarka do książki! Popatrz, Lizzie! Założę się, że ci się przyda.

- Absolutnie - dodaje mama. - W tych pociągach, którymi będziesz jeździć po Europie. Latarka do książki zawsze się przydaje.

- Jezu Chryste! - wzdycha babcia. - Mieli je gdzieś na wyprzedaży?

- Dziękuję, pani doktor - mówię szybko. - To bardzo miło z pani strony. Ale naprawdę nie trzeba było.

- Wiem - powiada doktor Sprague. W swoim czerwonym lnianym kostiumie wygląda jak chłodna profesjonalistka. Ale nie jestem pewna, czy akurat w tym odcieniu czerwieni jest jej do twarzy. - Zastanawiałam się, Elizabeth, czy nie mogłybyśmy chwilę porozmawiać na osobności?

- Nie ma sprawy. Mamo, tato, przepraszam was na moment... Może któreś z was pomoże babci znaleźć Hallmark Chanel? Jej serial się zaczyna.

- O Boże - jęknęła mama. - Tylko nie...

- Wiesz? - mówi babcia. - Mogłabyś się wiele nauczyć od doktor Queen, Anno Mario. Ona umie zrobić mydło z owczych wnętrzności. I urodziła bliźniaki w wieku pięćdziesięciu lat. Pięćdziesięciu! - Słyszę, jak babcia woła, kiedy mama prowadzi ją w stronę pokoju. - Chciałabym zobaczyć, jak rodzisz bliźniaki w tym wieku.

- Coś jest nie tak? - pytam doktor Sprague, wprowadzając ją do salonu rodziców, który bardzo niewiele się zmienił podczas tych czterech lat, kiedy mieszkałam w akademiku mniej więcej na drugim końcu tej samej ulicy. Para foteli, w których rodzice co wieczór czytają - on powieści szpiegowskie, ona romanse - nadal są okryte pokrowcami, żeby je ochronić przed sierścią Molly, naszego owczarka. Nasze zdjęcia z dzieciństwa na każdym kolejnym wyglądają coraz grubiej, a Rosę i Sarah coraz szczuplej i śliczniej - zajmują każdy centymetr wolnej powierzchni. Jest tu przytulnie i chociaż wszystko jest podniszczone, nie zamieniłabym go na żaden inny salon na świecie.

Może z wyjątkiem tego w domu Pam Anderson w Malibu Beach, który widziałam w zeszłym tygodniu w MTV Cribs. Był zaskakująco uroczy.

- Nie dostałaś moich wiadomości? - pyta doktor Sprague. - Od rana wydzwaniam do ciebie na komórkę.

- Nie - mówię. - To znaczy, byłam zajęta bieganiną i pomaganiem mamie w przygotowaniach do imprezy. Dlaczego? Co się stało?

- Nie da się tego powiedzieć jakoś przyjemniej - wzdycha doktor Sprague - więc powiem wprost. Lizzie, kiedy zapisywałaś się na indywidualnie wybraną specjalizację, zdawałaś sobie sprawę, że jednym z warunków otrzymania dyplomu jest napisanie pracy licencjackiej, prawda?

Patrzę na nią z osłupieniem.

- Czego?

- Pracy licencjackiej. - Doktor Sprague najwyraźniej widzi z mojej miny, że nie mam pojęcia, o co jej chodzi, i z jękiem opada na fotel taty. - O Boże, wiedziałam. Lizzie, ty nie przeczytałaś żadnych materiałów z dziekanatu?

- Oczywiście, że czytałam - mówię obronnym tonem. - To znaczy... Przynajmniej większość. To wszystko było takie nudne.

- Nie zastanawiałaś się na wczorajszej ceremonii, czemu twoja tuba na dyplom była pusta?

- No cóż, owszem - przyznaję. - Ale sądziłam, że to dlatego, że nie za-liczyłam jeszcze kursu językowego. To dlatego zapisałam się na obie letnie sesje...

- Ale pracę też miałaś napisać - mówi doktor Sprague - podsumowującą wiadomości z wybranej przez ciebie dziedziny. Liz, nie skończysz oficjalnie studiów, dopóki nie zaliczysz tej pracy.

- Ale... - Wargi mam jak odrętwiałe. - Ja wyjeżdżam pojutrze do Anglii, na miesiąc. Żeby odwiedzić chłopaka.

- No cóż - mówi doktor Sprague z westchnieniem. - W takim razie będziesz ją musiała napisać po powrocie. Teraz ja powinnam opaść na fotel, z którego ona przed chwilą wstała.

- W głowie mi się to nie mieści - mruczę, pozwalając, żeby na kolana spadły mi wszystkie latarki do książek.

- Rodzice urządzają dla mnie tę wielką imprezę - przyszło chyba z sześćdziesiąt osób. Mają się pojawić nawet niektórzy moi nauczyciele ze szkoły średniej. A pani mi mówi, że nie jestem nawet jeszcze absolwentką?

- Nie, dopóki nie napiszesz tej pracy - tłumaczy doktor Sprague. - Przykro mi, Lizzie, ale będą chcieli dostać co najmniej pięćdziesiąt stron.

- Pięćdziesiąt stron? - Równie dobrze mogła powiedzieć: pięćset. Jak ja mam się cieszyć angielskimi śniadaniem w wielkim łóżku Andrew, jeśli będę wiedziała, że nad moją głową wisi pięćdziesięciostronicowa praca? - O Boże. - A potem uderza mnie jeszcze gorsza myśl. Już nie jestem pierwszą z Nicholsówien, która rzeczywiście skończyła studia. - Proszę o tym nie wspominać moim rodzicom, doktor Sprague. Bardzo proszę.

- Nie powiem. I naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu - sumituje się doktor Sprague. - Nie mam pojęcia, jak do tego doszło.

- Ja mam - mówię żałośnie. - Powinam była pójść do małego, prywatnego college'u. Na takim wielkim uniwersytecie stanowym bardzo łatwo pogubić się w tłumie, a potem się jeszcze okazuje, że człowiek wcale nie zrobił dyplomu.

- Ale nauka w małym, prywatnym college'u kosztowałoby tysiące do-larów, o których spłatę musiałabyś się teraz martwić - mówi doktor Sprague. - Uczęszczając na wielki stanowy uniwersytet, na którym pracuje twój ojciec, otrzymujesz znakomite wykształcenie zupełnie za darmo, a teraz, zamiast musieć z miejsca iść do pracy, możesz sobie śmignąć do Anglii, żeby spędzić trochę czasu z tym, jak mu tam...?

- Z Andrew - mówię ponuro.

- Właśnie. Z Andrew. No cóż! - Doktor Sprague zakłada na ramię swoją drogą torebkę.- Chyba lepiej już pójde. Chciałam tylko zajrzeć na chwilę i przekazać ci tę wiadomość. Jeśli to cię choć trochę pocieszy, Lizzie, jestem pewna, że twoja praca będzie świetna.

- Nie wiem nawet, na jaki temat ją napisać -jęczę.

- Krótka historia mody wystarczy - mówi doktor Sprague. - Żeby pokazać, że się czegoś nauczyłaś w czasie pobytu tutaj. Poza tym - dodaje rześko - możesz przecież zbierać materiały, kiedy będziesz w Anglii.

- To prawda.- Zaczynam się czuć nieco lepiej. Historia mody?

Uwielbiam modę. A doktor Sprague ma rację, Anglia to idealne miejsce na zbieranie materiałów do pracy na ten temat. Mają tam wszystkie te muzea. I mogłabym się wybrać do domu Naje Austen! Może nawet mają tam jakieś jej ubrania! Tak, jak te w Dumie i uprzedzeniu, na kanale A&E!

Strasznie mi się podobały tamte ciuchy!

Boże. To może być nawet całkiem fajne.

Nie mam pojęcia, czy Andrew będzie miał ochotę wybrać się do domu Naje Austen. Ale czemu nie? Jest Brytyjczykiem. I jako Brytyjczyk na pewno będzie zainteresowany poznawaniem historii własnego kraju. Tak, będzie po prostu świetnie!

- Dziękuję, że przysłała pani osobiście, żeby mnie zawiadomić, doktor Sprague. -Wstaję i odprowadzam ją do drzwi. - I dziękuję też za latarkę.

- Och. Nie ma o czym mówić. Oczywiście, nie powinnam ci tego zdradzać, ale naprawdę będzie nam ciebie w dziekanacie brakowało. Zawsze wносиłaś ze sobą tyle koloru, kiedy pojawiałaś się u nas w jednej z tych swoich, hm... - Zauważam, że opuszcza wzrok na mój naszyjnik z makaronu i sukienkę poplamioną farbą - niezwykłych kreacji.

- No cóż, dziękuję, doktor Sprague. A jeśli kiedykolwiek będzie pani chciała, żebym znalazła i dla pani jakąś niezwykłą kreację, zapraszam do nas, do Vintage to Vavoom, wie pani, w Kerrytown...

I dokładnie w tej chwili do salonu wpada moja siostra Sarah, najwyraźniej zapomniawszy już o swoim gniewie w związku z incydentem przy ratatui, bo śmieje się nieco histerycznie. Za nią idzie jej mąż Chuck, i moja druga siostra Rosę, i jej mąż Angelo, Maggie, nasi rodzice, państwo Rajghatta, różni inni goście z imprezy oraz Shari i Chuck.

- Tu jest, tu jest, tu jest! - wrzeszczy Sarah. Z miejsca widzę, że jest bardziej pijana niż zwykle. Łapie mnie za ramię i zaczyna ciągnąć w stronę podestu - tego, który wykorzystywałyśmy w charakterze sceny, kiedy byłyśmy małe, żeby wystawiać tam krótkie przedstawienia dla naszych rodziców. No cóż, tego podestu, na który Sarah i Rosę kiedyś wypychały mnie, żebym wystawiała niewielkie przedstawienia dla naszych rodziców. I dla nich.

- Chodź, absolwentko! - mówi Sarah, nieco zacinając się przy tym słowie. - Śpiewaj! Wszyscy chcemy usłyszeć ciebie i Shari w tej waszej piosence!

Tylko że w jej ustach brzmi to jak: Ssssiewaj! Szzyscy chcemy usłyszeć ciebie i Szzzzari w tej waszej piosszneczce.

- Hm - zastanawiam się, widząc, że Sarah trzyma Shari w tak żelaznym uścisku, w jakim Rosę trzyma mnie.

- Nie.

- Och, nie bądź taka! - wola Rosę. - Chcemy posłuchać pioszsenki mojej małej sioszczyszczki i jej przyjasssióleszki!- I pcha Shari mocno w moją stronę, tak że obie się potykamy i o mało nie przewracamy na podest.

- Twoje siostry - mruczy mi do ucha Shari - to dwa najgorsze przypadki zazdrości o rodzeństwo, jakie widziałam w życiu. W głowie mi się nie mieści, że cię aż tak nie cierpią za to, że w przeciwieństwie do nich nie zaszłaś w ciążę z jakimś pacanem w drugiej licealnej i nie musiałaś zrezygnować ze szkoły, żeby przez cały dzień siedzieć w domu z zaślinionym bachorem.

- Shari! - Jestem zaszokowana taką oceną życia moich sióstr. Nawet jeśli, technicznie rzecz biorąc, jest to ścisły opis.

- Wszystkie abssssolwentki uniwersytetu - ciągnie Rosę, najwyraźniej nieświadoma, że tonem przeznaczonym dla dzieci zwraca się do dorosłych - muszą sssszpiewać!

-Rosę, nie. Naprawdę. Może później. Nie jestem w nastroju.

- Wszystkie absssssolwentki uniwersytetu - powtarza Rose, tym razem groźnie mrużąc oczy - muszą sssszpiewać!

- W takim razie mnie możesz do nich nie zaliczać.

A potem staję twarzą w twarz z trzydziestoma zdumionymi osobami. I łapię się na tym, że coś mi się znów wypsnęło.

- Żartuję - poprawiam się szybko.

I wszyscy się śmieją. Poza babcią, która właśnie wyszła z gabinetu.

- Sully'ego nawet nie ma w tym odcinku - oświadcza. - Cholera. Kto przyniesie starszej pani jakiegoś drinka?

A potem przewraca się na dywan i zaczyna lekko pochrapywać.

- Uwielbiam tę kobietę - mówi do mnie Shari, kiedy wszyscy rzucają się cucić babcię, kompletnie zapominając o mnie i o mojej przyjaciółce.

- Ja też - przytakuję. - Nawet nie masz pojęcia jak bardzo.

*Starożytni Egipcjanie, którzy wynaleźli zarówno papier toaletowy, jak i pierwszą znaną ludzkości antykoncepcję (skórka z cytryny jako kapturek dopochwowy plus łajno aligatora, które tworzyło skuteczny, chociaż nieco ostro pachnący środek plemnikobójczy), byli szalenie higieniczni i woleli delikatny len od wszelkich innych materiałów, ponieważ dobrze się pierze - nastawienie, które nawet specjalnie nie dziwi, biorąc pod uwagę to łajno aligatora.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

### **Rozdział 3**

*Każdy, kto przestrzegał praw natury, rozprzestrzeniając plotkę, doświadcza niesłychanej ulgi, jaka towarzyszy zaspokojeniu każdej podstawowej potrzeby.*

Primo Levi ( 1919-1987), włoski chemik i pisarz

Tak właśnie sądziłem, że to ty! - wyrzuca z siebie Andrew z tym uroczym brytyjskim akcentem, który wprawiał w omdlenie wszystkie dziewczyny z akademika McCracken, nawet jeśli „s” wymawia jak „f”. - Co się stało? Minęłaś mnie i nic!

- Myślała, że jesteś porywaczem - wyjaśnia facet zza kontuaru Przywołaj Znajomych między jednym dzikim wybuchem śmiechu a drugim.

- Porywaczem? - Andrew patrzy to na faceta z punktu obsługi, to na mnie. - O czym on mówi?

- O niczym. - Łapię Andrew za ramię i odciągam go stamtąd. -Naprawdę o niczym. O mój Boże! Jako dobrze cię znów zobaczyć.

- Też się cieszę, że cię widzę. - Andrew obejmuje mnie w talii i ściska -tak mocno, że jeden z epoletów jego kurtki wbija mi się w policzek. Wyglądasz, cholercia, fantastycznie! Schudłaś czy co?

- Tylko troszkę - odpowiadam skromnie. Andrew nie musi wiedzieć, że żadna skrobina - w postaci choćby jednej frytki ani nawet jako okruszek chleba - nie przeszła mi przez usta od chwili, kiedy pomachał mi na po-żegnanie pod koniec maja.

A potem Andrew zauważa, że spoglądam na jakiegoś starszego, łysego mężczyznę, który podszedł do nas i uśmiecha się do mnie grzecznie. Ma na sobie granatową wiatrówkę i brązowe sztruksowe spodnie. A jest sierpień.

To nie jest dobry znak. Tak tylko mówię.

- Liz, to jest mój tata. Tato, to jest Liz!

Och, jakie to słodkie! Zabrał na lotnisko swojego ojca, żeby mógł się ze mną przywitać! Andrew naprawdę musi traktować nasz związek poważnie, skoro zadaje sobie tyle trudu. Już mu wybaczyłam tę kurtkę.

No, prawie.

- Miło mi pana poznać, panie Marshall - mówię i wyciągam do niego rękę. -Jak się pan miewa?

- Też się cieszę, że mogę cię poznać - odpowiada tata Andrew z miłym uśmiechem. - I proszę, mów mi Arthur. Nie zwracajcie na mnie uwagi, jestem tu tylko szoferem.

Andrew wybuchu śmiechem. Ja też. Ale, zaraz... Andrew nie ma własnego samochodu?

No tak, to możliwe. Shari mówiła, że w Europie jest inaczej, że tu wielu ludzi nie ma samochodów, bo są strasznie drogie. A Andrew przecież faktycznie usiłuje związać koniec z końcem z pensji nauczycielskiej...

Muszę przestać tak łatwo wygłaszać krytyczne sądy o przedstawicielach innych kultur. Moim zdaniem to bardzo miłe, że Andrew nie ma swojego samochodu. Musi być bardzo wyczulony na problemy środowiska naturalnego! Poza tym mieszka w Londynie. Wyobrażam sobie, że wielu mieszkańców Londynu nie ma samochodów. Jeżdżą transportem publicznym albo chodzą piechotą, jak nowojorczyści. To właśnie dlatego

w Nowym Jorku jest tak mało otyłych ludzi, bo oni wszyscy tyle spacerują dla zdrowia. W Londynie też pewnie nie ma wielu grubych ludzi. No bo spójrzcie tylko na Andrew. Jest chudy jak szczapa.

A jednak ma te wspaniałe bicepsy wielkości grejpfruta...

Chociaż teraz, kiedy na nie patrzę, wydają się bardziej przypominać mandarynki.

Ale chyba nic się nie da stwierdzić na pewno pod tą kurtką.

I to słodkie, że on ma taki bliski kontakt z ojcem. To znaczy, że mógł go poprosić, żeby odebrał jego dziewczynę z Heathrow. Mój tata jest zawsze zbyt zajęty, żeby znajdować czas na takie rzeczy. Ale jego praca w tym cyklotronie jest szalenie ważna, bo oni tam bez przerwy rozbijają atomy i tak dalej. Tata Andrew jest nauczycielem, a Andrew chce nim kiedyś zostać. Nauczyciele mają latem wakacje.

Doktor Rajghatta dostałby ataku histerycznego śmiechu, gdyby tata po-prosił go kiedyś o letnie wakacje.

Andrew bierze moją walizkę, która ma kółka, więc jest w zasadzie najlżejszą częścią mojego bagażu. Mój bagaż podręczny jest znacznie cięższy, bo mam w nim zapasy kosmetyków. Nie przejęłabym się tak strasznie, gdyby linie lotnicze zgubiły mi ubrania, ale totalnie bym zginęła bez swoich kosmetyków do makijażu. Bez niego wyglądam jak zwierzę. Mam takie małe i przymrużone oczka bez eyelinera i tuszu, że przypominam świnkę... Nawet jeśli Shari, z którą mieszkałam przez ostatnie cztery lata, przysięga, że to nieprawda. Shari mówi, że gdybym chciała, mogłabym się obyć bez makijażu.

Ale dlaczego miałabym tego chcieć, skoro makijaż jest takim genialnym i pomocnym wynalazkiem dla tych z nas, których nieszczęściem są świńskie oczka?

Niemniej jednak kosmetyki strasznie dużo ważą, a przynajmniej wtedy, kiedy ma się ich tyle, co ja. Nie wspominając już o środkach i sprzęcie do pielęgnacji włosów. Musisz targać ze sobą tony tego towaru, jeśli chcesz mieć włosy porządnie umyte, potraktowane odżywką, łatwe do rozczesania i ułożenia, lekkie, błyszczące i pełne życia. Nie wspominając już o tych wszystkich przejściówkach do mojej suszarki i prostownicy do włosów, które musiałam zabrać, bo Andrew okazał się wyjątkowo mało pomocny, kiedy prosiłam o opisanie mi, jak wyglądają brytyjskie gniazdzka elektryczne („No, wyglądają jak gniazdzka”, powtarzał mi przez telefon. Czy to nie typowy facet?), więc musiałam ze sobą zabrać wszystkie typy przejściówek, jakie udało mi się znaleźć w CVS.

Ale może to i dobrze, że Andrew ciągnie walizkę na kółkach i nie niesie mojej torby podróźnej. Bo wtedy zapytałby, co jest w środku i dlaczego jest taka ciężka. A ja musiałabym powiedzieć mu prawdę, ponieważ przysięgałam sobie, że nasz związek nie będzie się opierał na gierkach, jak ten z facetem, T.J., którego poznałam na Nocny Filmów w akademiku McCracken, a który okazał się praktykującym czarownikiem - co by mi nawet zupełnie nie przeszkadzało, jako że totalnie szanuję ludzi o odmiennych wyznaniach religijnych...

Tyle że okazało się jeszcze, że ma upodobanie do potężnych kobiet, o czym przekonałam się, kiedy złapałam go na całowaniu się z Amy De Soto (i wybaczcie, ale ja nigdy nie zbliżałam się do stu kilo, tak jak ona, kiedy ją ostatnio widziałam. To dopiero jest ktoś, kto powinien na jakiś czas odstawić Froot Loops!) Usiłował mi wmawiać, że duch towarzyszący mu pod postacią zwierzęcia zmusił go, żeby się z nią przespał.

I dlatego będę zawsze mówić Andrew prawdę, bo T.J. nie zaoferował mi nawet tyle szacunku. Ale to nie znaczy, że nie zamierzam zadać sobie trochę trudu, żeby uniknąć konieczności mówienia mu prawdy, jeśli zajdzie taka potrzeba. No bo absolutnie nie musi znać powodów, dla których moja torba podróźna jest tak ciężka, zapełniona mniej więcej siedemdziesięcioma pięcioma miliardami próbek kosmetyków Clinique, pojemnikiem bibulek matujących (bo strasznie się świecę, dzięki genom po rodzi-nie z mamy strony), rodzinnej wielkości pojemnikiem tums (bo słyszałam, że angielskie jedzenie niekoniecznie jest najlepsze), rodzinnej wielkości pojemnikiem tabletek z błonnikami, do żucia (to samo), wcześniej wspomnianą prostownicą do włosów i suszarką, ubraniami, które miałam na sobie w samolocie, zanim przebrałam się w sukienkę-chinę, grę boyem z Tetrisem, ostatnią powieścią Dana Browna (bo nie sposób lecieć przez Atlantyk i nie mieć nic do czytania), iPodem mini, trzema latarkami do książek, Sun-Inem do rozjaśniania pasemek... Niezbędnik do szycia - na sytuacje awaryjne, do napraw odzieży - musiałam włożyć do walizki ze względu na. nożyczki i rozcinacz do szwów, ale w torbie mam też wszystkie swoje leki, takie jak aspiryna, plastry na odciski, których na pewno się dorobię (spacerując z Andrew za rękę po British Museum, kiedy będę chłonęła w siebie sztukę), pigułki antykoncepcyjne i antybiotyki na wypryski, recepty, no i oczywiście notes, w którym zaczęłam pisać swoją pracę licencjacką.

Nie ma żadnego powodu, żeby na tym etapie rozwoju naszego związku Andrew musiał odkrywać, że wcale nie urodziłam się taka ładna - że trzeba do tego tylu sztuczek. Co, jeśli się okaże jednym z tych facetów, którym się podobają z natury różowo lice piękności, takie jak Liv Tyler? Jakie mam szanse przy takiej angielskiej róży? Dziewczyna musi mieć jakieś swoje sekrety.

Och, zaraz. Andrew coś do mnie mówi. Pyta, jak mi minęła podróz. Dlaczego włożył tę kurtkę? Przecież nie myśli chyba serio, że w niej dobrze wygląda?

- Podróz była świetna. - Nie opowiadaj Andrew o dziewczynce na siedzeniu koło mnie, która ignorowała mnie przez cały lot, kiedy miałam na sobie zwykłe dżinsy i T-shirt, a włosy zaczesane w kucyk. Dopiero

kiedy wróciłam z nową fryzurą, makijażem i jedwabnej sukience pół godziny przed lądowaniem, dzieciak zmienił kurs o sto osiemdziesiąt stopni i zanim się zorientowałam, mała już mnie pytała:

- Przepraszam. Ale pani to chyba ta aktorka, Jennifer Garner? Jennifer Garner! Ja! Ten dzieciak sądził, że jestem Jennifer Garner!

I okay, miała chyba tylko z dziesięć lat czy coś, i była ubrana w koszulkę z żabą Kermitem (na pewno zrobiła to dla żartu i wcale nie należy do fanek Ulicy Sezamkowej, bo wydawała się na to trochę za duża).

Wszystko jedno. Nikt jeszcze nigdy w życiu nie wziął mnie przez pomyłkę za gwiazdę filmową! A co dopiero tak chudą jak Jennifer Garner.

Jakby się uprzeć, z makijażem i dobrą fryzurą jestem trochę podobna do Jennifer Garner... No wiecie, gdyby nie straciła tak do końca dziecięcego sadelka. I miała grzywkę. I tylko metr sześćdziesiąt pięć wzrostu.

Chyba tej małej w ogóle nie przyszło do głowy, że Jennifer Garner raczej nie leciałaby klasą ekonomiczną do Anglii. Ale nieważne.

I zanim zdążyłam się powstrzymać, wyrwało mi się:

- No cóż, owszem. Jestem Jennifer Garner.

No bo przecież nigdy w życiu już tej małej nie spotkam. Czemu mam nie zrobić jej frajdy?

Mała wytrzeszczyła oczy z podniecenia.

- Cześć - powiedziała, aż podskakując na swoim miejscu. - Mam na imię Marnie! Jestem twoją największą fanką!

- Cześć, Marnie - przywitałam się. - Miło mi cię poznać.

- Mamo! - Marnie obróciła się i szepnęła do swojej drzemiącej matki. - To jest Jennifer Garner! Mówiłam ci!

A zasnana matka dziewczynki spojrzała na mnie nadal półprzymkniętymi oczami i wymamrotała:

- Aha. Cześć.

- Cześć - powiedziałam, zastanawiając się, czy brzmię wystarczająco podobnie do Jennifer Garner.

Ale chyba tak, bo następne słowa, jakie padły z ust dzieciaka, brzmiały:

- Strasznie mi się podobałaś w Dziś 13, jutro 30.

- Dziękuję- odparłam.- Uważam, że to jedna z moich najlepszych ról. Poza Agentką o stu twarzach, oczywiście.

- Nie wolno mi wieczorem aż tak długo siedzieć, żeby to obejrzeć - stwierdziła z żalem Marnie.

- No cóż, może będziesz mogła to zobaczyć na DVD.

- Mogę cię prosić o autograf? - zapytała dziewczynka.

- Oczywiście, że tak. -Wzięłam długopis i serwetkę koktajlową British Airways i nabazgrałam na niej: Z najlepszymi życzeniami dla Marnie, mojej największej fanki! Całuję, Jennifer Garner.

Mała wzięła serwetkę z takim nabożeństwem, jakby nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

- Dzięki! - powiedziała.

Doskonale wiedziałam, że zabierze tę serwetkę do Ameryki, kiedy będzie wracała do domu po swoich fajnych, europejskich wakacjach, i pokaże ją wszystkim koleżankom.

I dopiero wtedy poczułam się trochę niezręcznie. Bo jeśli któraś z przyjaciółek Marnie ma autograf prawdziwej Jennifer Garner i porówna charakter pisma? A potem Marnie nabierze podejrzeń! I może nawet zadać sobie pytanie, czemu Jen nie miała przy sobie rzeczownika prasowego i dla-czego w ogóle leciała klasą ekonomiczną. I wtedy zda sobie sprawę, że nie byłam prawdziwą Jennifer Garner i że przez cały czas kłamałam. A to mogłoby zachwiać jej wiarą w dobrą naturę ludzkości. Marnie mogłaby mieć poważne problemy z zaufaniem, takie same, jakich ja się dorobiłam, kiedy chłopak, z którym poszłam na bal maturalny, powiedział mi, że musi wracać do domu, żeby pomalować sufit, zamiast zabrać mnie na after-party, a tak naprawdę pojechał na after-party, tylko z tą chudą jak patyk Melissą Kempelbaum, po tym, jak mnie już odwiózł do domu.

Ale potem powiedziałam sobie, że to nie ma znaczenia, bo już nigdy więcej nie zobaczę Marnie. Więc kto by się tam przejmował?

Ale i tak nie wspominałam o całym tym incydencie Andrew, bo biorąc pod uwagę, że stara się o dyplom z pedagogiki, trudno, żeby pochwalał okłamywanie dzieci.

Poza tym jestem trochę senna, chociaż w Anglii jest teraz ósma rano, i zastanawiam się, jak daleko jest stąd do mieszkania Andrew i czy jest jakaś szansa, że znalazłoby się tam trochę coli light. Bo totalnie by mi dobrze zrobiła.

- Och, wcale nie tak daleko - mówi pan Marshall, tata Andrew, kiedy pytam Andrew, jak daleko od lotniska mieszka.

To trochę dziwne, że odpowiedział mi tata Andrew, a nie Andrew. Ale z drugiej strony, tata Andrew jest nauczycielem i odpowiadanie na pytania to jego praca. Pewnie nic na to nie może poradzić, nawet kiedy ma wolne od szkoły.

Dobrze, że są na świecie mężczyźni tacy jak Andrew i jego tata, którzy chcą być odpowiedzialni za edukację młodych pokoleń. Marshallowie to naprawdę wymierająca rasa. Tak bardzo się cieszę, że jestem z Andrew, a

nie, dajmy na to, z Chazem, który zdecydował się na dyplom z filozofii tylko po to, żeby móc jeszcze skuteczniej kłócić się z rodzicami. I jak to miałyby niby pomóc przyszłym pokoleniom?

Tymczasem Andrew celowo obrał karierę, która nie przyniesie mu wielkich korzyści, ale dzięki niemu rozwijać się będą mogły młode umysły.

I czy to nie jest najszlachetniejsza rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszeliście?

Do samochodu pana Marshalla jest bardzo daleka droga. Musimy minąć wszystkie te korytarze obwieszane reklamami kompletnie mi nieznanymi produktami. Chaz skarżył się, kiedy ostatnim razem pojechał w odwiedzinach do swojego kumpla Luke'a - tego od chateau - na amerykańską Europę i na to, że nigdzie się nie mógł ruszyć, żeby nie zobaczyć reklamy coca-coli.

Ale ja w Anglii żadnej amerykańskiej nie zauważam. Jak do tej pory. Nie widziałam tu jeszcze nic choć w przybliżeniu amerykańskiego. Nawet automatu z colą. Nawet jednego automatu sprzedającego colę light.

Nie żeby to było coś złego. Ja tylko tak mówię. Chociaż cola light nie byłaby w tej chwili taka zła.

Andrew i jego tata rozmawiają teraz o pogodzie i o tym, jakie mam szczęście, że przyjechałam, kiedy jest tak ładnie. Ale kiedy wychodzimy z budynku na parking, zdaję sobie sprawę, że jest zaledwie jakieś piętnaście stopni, a i to maksymalnie, i że niebo - tyle, ile go mogę zobaczyć z parkingu - jest szare i zachmurzone.

Jeśli to ma być ładna pogoda, to co Brytyjczycy uważają za brzydką pogodę? I rzeczywiście, jest dość chłodno, żeby włożyć skórzaną kurtkę. Ale to nie tłumaczy faktu, że Andrew nosi tę skórę. Przecież muszą istnieć jakieś reguły - jak ta, że nie wolno nosić białych spodni przed Dniem Pamięci Narodowej, czyli ostatnim poniedziałkiem maja - co do noszenia skóry w sierpniu.

Jesteśmy już prawie przy samochodzie - małym, czerwonym, typu compact, dokładnie takim, jaki moim zdaniem mógłby prowadzić nauczyciel w średnim wieku - kiedy słyszę jakiś wrzask i rozglądając się, widzę małą dziewczynkę z samolotu, stojącą obok SUV-a z matką i jakimś starszym państwem, którzy pewnie są jej dziadkami.

- Tam jest! - wrzeszczy Marnie, wskazując na mnie palcem. - Jennifer Garner! Jennifer Garner!

Idę dalej, spuszczać głowę, i próbuję ją zignorować. Ale i Andrew, i je-go ojciec spoglądają na nią z niewinnymi uśmiechami na twarzach. Andrew jest trochę podobny do swojego ojca. Czy on też będzie kompletnie łysy, kiedy skończy pięćdziesiąt lat? Czy łysienie to cecha przekazywana po stronie matki, czy ojca w tej rodzinie? Dlaczego ja nie brałam pod uwagę chociaż jednego kursu z biologii, kiedy planowałam studia? Mogłam przynajmniej jeden gdzieś wcisnąć...

- Czy to dziecko zwraca się do ciebie? - pyta mnie pan Marshall.

- Do mnie? - Oglądałam się przez ramię i udaję, że dopiero teraz za-uważam, że jakieś dziecko wrzeszczy do mnie z drugiego końca parkingu.

- Jennifer Garner! To ja! Marnie! Ta z samolotu! Pamiętasz?

Uśmiecham się i macham do niej ręką. Rumieni się z radości i łapie matkę za ramię.

- Widzisz?! - wrzeszczy. - Mówiłam ci! To naprawdę ona!

Marnie macha do mnie jeszcze parę razy. Odmachuję jej, kiedy Andrew mocuje się z moją walizką, wkładając ją do niewielkiego bagażnika, trochę przy tym klnąc. Ponieważ cały czas ciągnął ją na kółkach, nie miał pojęcia, jaka jest ciężka, dopóki nie musiał jej unieść.

Ale naprawdę miesiąc to bardzo dużo. Nie wiem, jak mogłabym zabrać mniej niż dziesięć par butów. Shari powiedziała, że jest ze mnie dumna, z mojego rozsądku, że nie zabrałam swoich espadryli wiązanych wokół kostki. Ale w ostatniej chwili przed wyjściem z domu udało mi się wcisnąć je do środka.

- Dlaczego to dziecko nazywa cię Jennifer Garner? - chce wiedzieć pan Marshall, również machając do Marnie, której dziadkowie, czy kim tam są ci ludzie, nie zdołali jeszcze zagonić do środka samochodu.

- Siedziałyśmy obok siebie w samolocie - mówię i czuję, że zaczynam się rumienić. - To tylko taka gra, w którą się bawiłyśmy dla zabicia czasu w trakcie lotu.

- Jak to miło z twojej strony - mówi pan Marshall, machając teraz jeszcze bardziej energicznie. - Nie wszyscy młodzi ludzie zdają sobie sprawę z tego, jak ważne jest, żeby traktować dzieci z szacunkiem i godnością, a nie protekcyjnie. To takie ważne dawać młodszym generacjom dobry przykład, zwłaszcza kiedy weźmie się pod uwagę, jak wiele dzisiejszych komórek rodzinnych jest niestabilnych.

- Ma pan słuszość - mówię, starając się zachować z szacunkiem i godnie.

- Chryste! - jęczy Andrew. Właśnie spróbował podnieść moją torbę podróżną z ziemi. - Co ty tu masz, Liz? Czyjesz zwłoki?

- Och - mówię i obawiam się, że moja pełna szacunku i godności postawa osłabnie - tylko kilka najpotrzebniejszych drobiazgów.

- Żałuję, że mój pojazd nie jest pokaźniejszy. - Pan Marshall otwiera drzwi samochodu po stronie kierowcy.

- Na pewno w Ameryce przywykłaś do czegoś innego. Ale ja rzadko korzystam z samochodu, bo prawie codziennie do szkoły, w której uczę, chodzę pieszo.

Z miejsca oczarowuje mnie wizja pana Marshalla, który przechadza się wysadzaną drzewami podmiejską aleją, w marynarce w jodełkę ze skórzany-mi łatami na łokciach - a nie w tej wyjątkowo nieciekawej wiatrówce, którą teraz ma na sobie - i może z cocker spanielem czy dwoma przy nodze.

- Jest świetny- mówię o jego samochodzie.- Mój nie jest wcale większy.

Zastanawiam się tylko, czemu stoi przy drzwiach, zamiast wsiąść do środka, aż on wreszcie mówi:

- Proszę, wsiadaj, eee, Liz.

On chce, żebym to ja prowadziła? Ależ... ja dopiero co tu przyjechałam! Nawet nie znam okolicy!

A potem zdaję sobie sprawę, że on wcale nie trzyma drzwi kierowcy... to siedzenie dla pasażera. Kierownica jest po prawej stronie samochodu.

Oczywiście! Jesteśmy przecież w Anglii!

Śmieję się z własnej pomyłki i siadam na przednim siedzeniu.

Andrew zatrzaskuje bagażnik, obchodzi samochód i widzi mnie na siedzeniu dla pasażera. Spogląda na ojca i mówi:

- To znaczy, że ja mam siedzieć z tyłu?

- Jak ty się zachowujesz, Andy - strofuje go pan Marshall. Strasznie to dziwnie brzmi, kiedy mówi do Andrew: Andy. Dla mnie tylko Andrew do niego pasuje. Ale najwyraźniej nie dla jego rodziny.

Chociaż, szczerze mówiąc, w tej kurtce wygląda trochę bardziej na Andy'ego niż na Andrew.

- Damy na przednim siedzeniu - oświadcza pan Marshall i uśmiecha się do mnie. - A panowie z tyłu.

- Liz, sądziłem, że jesteś feministką - mówi Andrew (tylko że brzmi to jak: „Liz, fądziłem, że jeftes feministką”.- Masz zamiar znosić takie traktowanie?

- Rzeczywiście. Andrew powinien siedzieć z przodu, ma dłuższe nogi.

- Nie chcę o tym słyszeć - upiera się pan Marshall. - Pognieciesz sobie swoją śliczną chińską sukienkę, tłocząc się na tylnym siedzeniu. - A potem stanowczym ruchem zatrzaskuje moje drzwi.

I zaraz obchodzi samochód, i podnosi siedzenie kierowcy, żeby Andrew mógł wsiąść do środka. Odbywają krótką sprzeczkę, której nie mogę do-słyszeć, a potem pojawia się Andrew. Nie wiem, jak inaczej opisać jego minę, poza tym, że jest poirytowana.

Ale czuję się źle na samą myśl, że Andrew mógłby się irytować tym, że dostało mi się miejsce z przodu w samochodzie. Najpewniej jest po prostu zażenowany, że nie ma własnego samochodu, żeby mnie odebrać z lotniska. Biedacek. Pewnie uważa, że mierzę go amerykańskimi standardami kapitalistycznego materializmu! Będę musiała znaleźć jakiś sposób, żeby go zapewnić, że jego ubóstwo wydaje mi się szalenie pociągające, biorąc pod uwagę te wszystkie wyrzeczenia, jakich się podejmuje na rzecz dzieci.

Oczywiście nie myślę o Andrew Juniorze, Henrym, Stelli i Beatrice. Chodzi mi o dzieci całego świata, te, które pewnego dnia będzie uczył.

Wow. Na samą myśl o tych wszystkich młodych istotach, które będzie kształcił Andrew, poświęcając się swojej nauczycielskiej profesji, robię się nieco podekscytowana.

Pan Marshall wsiada do samochodu i uśmiecha się do mnie.

- Gotowa? - pyta pogodnie.

- Gotowa - odpowiadam i czuję się rześko mimo zmęczenia długim lotem. Anglia! Nareszcie jestem w Anglii! Niedługo będę jechała przez podmiejskie okolice w stronę Londynu! Może nawet zobaczę jakieś owce!

Ale zanim udaje nam się wyjechać z parkingu, mija nas SUV, w którym opuszcza się tylna szyba. Marnie, moja mała przyjaciółka z samolotu, wychyla się z okna, żeby wrzasnąć:

- Do widzenia, Jennifer Garner! Opuszczam własne okno i macham ręką.

- Cześć, Marnie!

A potem SUV odjeżdża, z rozpromienioną Marnie na tylnym siedzeniu.

- Kim, u licha - pyta pan Marshall, cofając samochód -jest ta Jennifer Garner?

- To tylko jakaś amerykańska gwiazda filmowa - mówi Andrew, zanim zdążyłam otworzyć usta.

Tylko jakaś amerykańska gwiazda filmowa? Tylko jakaś amerykańska gwiazda filmowa, która, tak się składa, wygląda zupełnie jak twoja dziewczyna! - mam ochotę wrzasnąć. I to tak bardzo, że mała dziewczynka w samolocie chce od niej wziąć autograf

Ale chociaż raz udaje mi się trzymać gębę na kłódkę, bo nie chcę, żeby Andrew nabawił się kompleksu niższości, wiedząc, że umawia się z sobowtórem Jennifer Garner. To by mogło naprawdę przerazić, no wiecie, faceta. Nie tylko Anglika.

*W przeciwieństwie do stroju egipskiego, w którym istniał wyraźny podział na ubiór damski i męski, kostium grecki z tego samego okresu nie podkreślał różnic między kobietami i mężczyznami. Duże prostokąty tkaniny, w różnych rozmiarach, jedynie drapowano na cieple i spinano dekoracyjną broszą.*

*Ubiór taki, nazwany togą, stał się ulubionym strojem w czasie imprez organizowanych przez studenckie bractwa, z przy-czyn dla autorki niniejszej pracy niepojętych, jako że toga nie jest ani twarzowa, ani wygodna, zwłaszcza kiedy nosi się ją na obciskającej bieliźnie.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols



## Rozdział 4

*Mężczyźni zawsze pogardzali kobiecymi plotkami,  
ponieważ podejrzewali prawdę: że są wtedy omawiane  
i porównywane ich parametry.*

Ericajong (ur. 1942), amerykańska publicystka i pisarka

Nie widzę żadnych owiec. Okazuje się, że lotnisko Heathrow nie leży wcale tak daleko za miastem. Gdybym nie mogła się zorientować, że już nie jestem w Michigan, po samym wyglądzie domów (wiele z nich to bliźniaki, jak w tym filmie *The Snapper...* który, jak się nad tym zastanowić, w zasadzie nakręcono w Irlandii, no ale nieważne), mogę domyślić się tego po billboardach, które koło nas przelatują. W wielu przypadkach nie umiem nawet określić, jaki produkt usiłują reklamować - na jednym z nich jest kobieta w bieliźnie z napisem: Vodafone na dole, co mogłoby być reklamą sekstelefonu.

Równie dobrze może to być też reklama fig.

Ale kiedy pytam, ani Andrew, ani jego ojciec nie są w stanie mi tego powiedzieć, bo na dźwięk słowa „figi” wybuchają perlistym śmiechem.

Nie przeszkadza mi to, że wydaję się im (w niezamierzony sposób) przezabawna, bo w ten sposób Andrew przestanie myśleć o tym, że siedzi na tylnym siedzeniu.

Kiedy wreszcie skręcamy w ulicę, którą rozpoznaję jako ulicę Andrew, ze względu na paczki żywnościowe, jakie mu wysyłałam na ten adres przez całe lato - pudełka pełne jego ulubionych amerykańskich słodczy, wafelków

Necco i marlboro lights, jego ulubionej marki papierosów (choć sama nie palę i zakładam, że Andrew rzuci palenie na długo przed narodzinami pierwszego dziecka) - zaczynam czuć się z tym wszystkim o wiele lepiej, niż się czułam na tamtym parkingu. To dlatego że słońce wreszcie raczyło się pojawić, wyglądając nieśmiało zza chmur, i dlatego że ulica, przy której mieszka Andrew, jest taka ładna i europejska, z czystymi chodnikami i staroświeckimi domami. Wygląda zupełnie jak z tego filmu *Notting HM*.

Muszę przyznać, że mi trochę ulżyło: wahałam się między wyobrażaniem sobie „mieszkania” Andrew jako tak high-techowego jak dom Hugh Granta w filmie *Był sobie chłopiec*, albo jako poddasza takiego jak w *Małej księżniczce* (gdzie wszystko zaczęło wyglądać bardzo słodko, kiedy ten starszy pan wreszcie je dla niej urządził), tylko w trochę bardziej zaniedbanej części miasta, z widokiem na nabrzeże. Zakładałam jednak, że nie będę musiała chodzić sama po tej okolicy po zmierzchu; boję się napastowania przez jakichś narkomanów. Albo Cyganów.

Cieszę się, widząc, że to coś pomiędzy tymi dwoma skrajnościami.

Jesteśmy, jak zapewnia mnie pan Marshall, tylko o półtora kilometra od Hampstead Heath, parku, gdzie miało miejsce mnóstwo ciekawych zdarzeń, z których żadnego sobie w tej chwili nie mogę przypomnieć, a gdzie teraz ludzie organizują sobie pikniki i puszczają latawce.

Z miłym zdziwieniem konstatuje, że Andrew mieszka w takim fajnym, po-rządym miejscu. Nie sądziłam, że nauczyciele zarabiają dosyć, żeby wynajmować apartamenty w takich kamienicach. Nie wątpię, że jego mieszkanie jest na ostatnim piętrze jednej z nich - zupełnie jak apartament Mickeya Rooneya w *Śniadaniu u Tiffany'ego*. Może uda mi się poznać zwariowanych, ale wielkodusznych sąsiadów Andrew. Może będę ich mogła zaprosić - i rodziców Andrew, żeby podziękować panu Marshallowi za przywiezienie mnie z lotniska - na jakąś niewielką kolacyjkę, żeby popisać się moją amerykańską gościnnością. Umiem zrobić szybkie spaghetti mojej mamy. W smaku jest złożone, ale nie ma nic prostszego do przygotowania. To po prostu makaron, oliwa z oliwek, płatki ostrej papryki i parmezan. Jestem pewna, że nawet w Anglii mają wszystkie składniki potrzebne do tej potrawy.

- No cóż, jesteśmy na miejscu - mówi pan Marshall, parkując przed jednym z domów z brązowej cegły i wyłączając silnik. - Nie ma to jak w domu.

Jestem nieco zdziwiona, że pan Marshall z nami wysiada. Sądziłam, że tylko nas odwiezie i wróci do siebie do domu - no cóż, tam, gdzie mieszka rodzina Andrew, rodzina, która się składa, o ile pamiętam z jego maili, z ojca nauczyciela, matki pracownicy socjalnej, dwóch młodszych braci i owczarka collie.

Ale może pan Marshall chce nam pomóc przy bagażach, skoro Andrew pewnie mieszka na ostatnim piętrze tej uroczej kamienicy, przed którą zaparkowaliśmy.

Kiedy jednak pokonujemy schodki, które prowadzą pod drzwi frontowe, pan Marshall wyjmuje z kieszeni klucz i je otwiera.

I wita go ciekawski, złoto-biały pysk pięknego owczarka collie.

- Halo! - woła pan Marshall w głąb czegoś, co wcale nie jest klatką schodową prowadzącą do osobnych mieszkań, ale przedpokojem domu jednorodzinnego. - Już jesteśmy!

Taszcze swoją torbę podróżną, a Andrew wciąga po schodach moją walizkę, nawet nie zadając sobie trudu, żeby ją unieść, tylko targając ją w górę schodek po schodku - bum, bum, bum. Przysięgam, o mało nie upuściłam torby - z cholerną suszarką w środku - kiedy zobaczyłam tego psa.

- Andrew - szepczę, obracając się na pięcie, bo on jest na stopniu za mną - ty mieszkasz... w domu? Z rodzicami?

Bo jeśli nie opiekuje się akurat psem, to jest to jedyne wyjaśnienie tego, co przed sobą widzę. A i to wyjaśnienie jest marne.

- Oczywiście - mówi Andrew z rozzłoszczoną miną. - A co myślałaś?

Tylko, że brzmi to jak: „A co ty myślałaś”?

- Myślałam, że mieszkasz w jakimś apartamencie.- Naprawdę próbuję nie mówić oskarżycielskim tonem. Naprawdę. Jestem tylko... zdziwiona. -To znaczy, w mieszkaniu. Mówiłeś mi na uczelni, w maju, że wynajmiesz latem, po powrocie do Anglii, jakieś mieszkanie.

- Racja - potakuje Andrew. Ponieważ przystanęliśmy na tych schodach, uważa, że to właściwa pora na papierosa, bo wyjmuje paczkę z kieszeni i zapala jednego.

No cóż, podróż z lotniska była długa. A jego ojciec rzeczywiście powie-dział, że nie może palić w samochodzie.

- Taa, z tym mieszkaniem nie wypaliło. Mój kumpel - pamiętasz, pisałem ci o nim? - miał zamiar wynająć mi swoje mieszkanie, bo dostał robotę na fermie pereł w Australii. Ale potem poznał jedną laskę i zdecydował że jednak nie pojedzie, więc wprowadziłem się do rodziców. A co? To jakiś problem?

„To jakiś problem?” Wszystkie moje marzenia o tym, że Andrew przy-nosi mi śniadanie do łóżka - podwójnego łóżka z prześcieradłami o bardzo gęstym splocie - rozpadły się na kawałeczki i zniknęły. Nie będę robiła spaghetti dla sąsiadów i rodziców Andrew. No cóż, dla jego rodziców może, ale to nie będzie to samo, jeśli po prostu zejda na nie do kuchni po schodach, w przeciwieństwie do przyjazdu z wizytą z ich własnego domu...

I wtedy przychodzi mi do głowy myśl, od której robi mi się zimno.

- Ależ, Andrew - mówię.- No wiesz, w jaki sposób ty... W jaki sposób my będziemy... Jeśli twoi rodzice są w pobliżu?

- Aa, o to się nie martw. - Andrew wydmuchuje dym jednym kącikiem ust, w sposób, który - muszę przyznać - wydaje mi się niesłychanie seksowny. W domu nikt nie pali... Nawet babcia, od czasu kiedy podpaliła dywan w salonie. - Wiesz, to Londyn, a nie Ameryka. Mamy tu luzackie podejście do tych spraw. A moi rodzice są bardzo wyluzowani.

- Jasne. Przepraszam. Byłam po prostu, no wiesz. Jakby zaskoczona. Ale to oczywiście nie ma znaczenia. Póki możemy być razem. Twoim rodzicom naprawdę nie będzie to przeszkadzać? To znaczy, że będziemy dzielić jedną sypialnię?

- Taa - mówi Andrew z lekkim roztargnieniem, szarpiąc za moją walizkę. Łup. - No właśnie, co do tego. Ja nie mam sypialni w tym domu. Widzisz, rodzice wprowadzili się tu z braćmi w zeszłym roku, kiedy byłem w Ameryce. Powiedziałem im, że na lato nie będę wracał do domu, no wiesz, ale to było, zanim zacząłem mieć problemy z moją wiza studencką... W każdym razie oni stwierdzili, no wiesz, że ja się wyprowadziłem, więc kupili dom tylko z trzema sypialniami. Ale nie martw się. Ja mam -jak wy to mówicie w Stanach? Aha, łóżko piętrowe w pokoju mojego brata Aleksa...

Patrzę na Andrew stojącego na stopniu pode mną. Jest taki wysoki, że nawet kiedy stoi pode mną, nadal muszę nieco podnieść brodę, żeby spojrzeć w jego szarozielone oczy.

- Och, Andrew - mówię i czuję, że serce mi mięknie. - Twój brat oddał mi swój pokój? Nie trzeba było!

Przez twarz Andrew przemyka wyraz zdziwienia.

- Nie oddał. Nie zrobiłby tego. Wiesz, jakie są dzieciaki.- Spogląda na mnie z krzywym uśmiechem. -Ale nie martw się. Mama jest specem od majsterkowania i zorganizowała dla ciebie spanie na antresoli - no cóż, właściwie zrobiła je dla mnie. Ale możesz z niego korzystać, póki tu jesteś.

Unoszę brwi.

- Spanie na antresoli?

- Taa, jest fantastyczne. Zrobiła takie łóżko z płyt MDF w pralni. Tuż nad pralko-suszarką! - Andrew, widząc moją minę, dodaje: - Ale nic się nie martw. Między pralnią a kuchnią powiesiła zasłonkę. Będziesz miała mnóstwo prywatności. Zresztą i tak nikt tam nie wchodzi, poza psem. To tam stoi jego miska zjedzeniem.

Jedzenie? Psie jedzenie? Więc... Zamiast spać z moim chłopakiem, będę spać z psem. I jego miską.

Ale nie ma sprawy. Nie ma sprawy. Pedagogzy, tacy jak tata Andrew - i pracownicy socjalni, tacy jak jego mama - nie zarabiają za dużo, a nieruchomości w Anglii są drogie. Mam szczęście, że w ogóle znaleźli dla mnie jakiś ką! No bo przecież nawet nie mają pokoju dla swojego najstarszego dziecka, a jednak znaleźli miejsce, żeby wcisnąć tam jakieś łóżko dla mnie!

I dlaczego jeden z braci Andrew miałby oddawać mi swój pokój? Ja w domu zawsze musiałam oddawać swój każdemu, kto do nas przyjeżdżał spoza miasta, ale to jeszcze nie znaczy, że rodzina Andrew musi robić tak samo...

Zwłaszcza że nie jestem żadnym ważnym gościem. Jestem, mimo wszystko, tylko przyszłą żoną Andrew.

No cóż, przynajmniej tak mi się wydaje.

- Chodź już - mówi Andrew. - Rusz się. Muszę się przebrać do pracy. Miałam już wejść na kolejny schodek, ale na nowo zamieram.

- Do pracy? Musisz iść do pracy? Dzisiaj?

- Taa.- Ma przynajmniej tyle przyzwoitości, że robi przepraszającą minę. - Ale to nic takiego, Liz, ja tylko chodzę na zmianę obejmującą lunch i obiad...

- Jesteś... Jesteś kelnerem?

Nie chcę, żeby to brzmiało niepocholebie. Nie chcę. Nie mam nic przeciwko ludziom, którzy pracują w restauracjach, naprawdę. Sama od-pracowałam swoje w usługach, jak każdy, i też nosiłam poliestrowe spodnie z dumą.

Ale...

- Co się stało z twoją praktyką? - pytam. - Tą w renomowanej szkole podstawowej dla dzieci uzdolnionych?

- Praktyką? - Andrew wyrzuca papierosa, który wpada między krzaki róż poniżej. Ale popiół bywa często wykorzystywany jako nawóz, więc nie można tego tak naprawdę zaliczać do śmiecenia. - Och, to się okazało niewypałem o epickim wydzwieku. Ty sobie wyobrazasz, że oni nie mieli zamiaru mi płacić? Ani pieprzonego centa.

- Ale... - Z trudem przełykam ślinę. Słyszę ptaki śpiewające w koronach drzew przy ulicy. Przynajmniej ptaki śpiewają tu tak samo, jak te w domu, w Michigan. - Właśnie dlatego to się nazywa praktyka. Zapłata jest doświadczenie, jakie zyskujesz.

- No cóż, doświadczeniem nie zapłacę za piwko z kumplami, praw-da? - żartuje Andrew. - No i, oczywiście, okazało się, że mają dwa tysiące zgłoszeń na tę posadę... Posadę, za którą nawet nie płacą! I tu nie jest tak, jak w Stanach, gdzie masz przewagę nad wszystkimi, jeśli mówisz z brytyjskim akcentem, bo wy, Jankesi, jesteście przekonani, że każdy, kto mówi „pomidohh” zamiast „pomidor”, jest jakimś cudem bardziej inteligentny... Prawdę mówiąc, Lizzie, nawet nie zwracałem sobie głowy składaniem podania. Bo niby po co?

Patrę tylko na niego bez słowa. Gdzie się podziała jego chęć do podejmowania pracy dla samego wyzwania i zdobycia doświadczenia? Co się stało z uczeniem dzieci czytania?

- Poza tym - dodaje - chciałbym pracować z prawdziwymi dzieciaka-mi, a nie małymi geniuszkami z wyższych sfer... Dzieciakami, które rzeczywiście potrzebują pozytywnych męskich wzorców w swoim życiu...

- A więc - mówię, czując, że serce mi rośnie - złożyłeś podanie o pracę w jakichś szkołach w podupadłej części śródmieścia na lato?

- O kurde, nie. Tam płacą gówniane pieniądze. W tym świecie da się związać koniec z końcem, tylko pracując w lokalach gastronomicznych. I dostałem najlepszą zmianę, od jedenastej do jedenastej. Naprawdę muszę już lecieć, jeśli mam zdążyć na czas...

Ale ja dopiero co przyjechałam! - mam ochotę zawołać. Ja dopiero co przyjechałam, a ty gdzieś idziesz? Nie dość, że idziesz, to jeszcze zostawiasz mnie z twoją rodziną, której nigdy nie widziałam na oczy - i to na dwa-naście godzin?

Ale nic nie mówię. No bo przecież Andrew zaprosił mnie, żebym za-trzymała się za darmo w jego rodzinnym domu, a ja dostaję świra, bo on musi pracować - i na temat rodzaju wykonywanej przez niego pracy? Jaką ja w ogóle jestem dziewczyną dla niego?

Chyba moja mina musiała zdradzić, że jestem raczej niezbyt entuzjastycznie nastawiona, bo Andrew mówi, wyciągając rękę, obejmując mnie ramieniem w tali i przyciągając do siebie:

- Słuchaj, nie martw się, Liz. Zobaczmy się dziś wieczorem, kiedy wrócę z pracy.

I nagle zdusza kolejnego papierosa butem, a jego usta są na mojej szyi.

- A kiedy wrócę - mruczy - mam zamiar zapewnić ci najlepszą rozrywkę w twoim życiu. Dobrze?

Bardzo trudno jest myśleć logicznie, kiedy jakiś facet z brytyjskim akcentem całuje cię po szyi.

Nie żeby było nad czym rozmyślać, naprawdę. Mój chłopak totalnie mnie uwielbia. Jestem najszcześniejszą dziewczyną na świecie.

- No cóż. To brzmi...

I zanim się zorientowałam, usta Andrew są na moich ustach i całujemy się na frontowych stopniach domu jego rodziców.

Mam nadzieję, że Marshallowie nie mają żadnych nerwowych starszych pań wśród sąsiadów, a jeśli mają, to że sąsiadki akurat teraz nie wyglądają przez okna.

- Cholera. - Andrew przerywa pocałunek, żeby się odezwać.- Muszę iść do pracy. Ale słuchaj, widzimy się wieczorem, taa?

Wargi nadal trochę mnie pieką od jego ostrego jak brzytwa zarostu. Są teraz, po tym mocnym pocałunku, pewnie równie obrzmiałe jak usta Angeliny Jolie.

Nie żebym miała coś przeciwko temu. Nie mam zbyt wielkiego do-świadczenia w całowaniu.

Ale uważam, że Andrew chyba całuje najlepiej na świecie.

Poza tym nie mogę nie zauważyć, że coś się zaczyna dziać w okolicy rozporzeczka Andrew i to też bardzo mi się podoba.

- Naprawdę musisz już iść do pracy? - pytam. - Nie możesz się urwać?

- Nie dzisiaj. Ale jutro mam wolne - mówi. - Jest coś, co muszę załatwić na mieście. Ale potem możemy robić, na co tylko będziesz miała ochotę. O Boże. - Całuje mnie jeszcze kilka razy, a potem opiera czoło o moje czoło. - W głowie mi się nie mieści, że to robię. Poradzisz sobie, prawda?

Patrząc na niego i myśląc, jaki jest przystojny, mimo tej obrzydliwej kurtki, i jaki jest przy tym słodki i bezpretensjonalny. No bo jest tak zdeterminowany, żeby iść w ślady swojego ojca i uczyć te małe dzieci czytać. Tylko że nie zamierza się zadowolić byle czym. Czekał, aż pojawi się ta właściwa...

Miałam wielkiego farta, że brałam prysznic dokładnie w tej samej chwili, kiedy gulasz tej dziewczyny się przypalił, i że Andrew w tym czasie był akurat na dyżurze jako opiekun piętra.

Myślę o tym pierwszym razie, kiedy mnie pocałował przed akademikiem McCracken (ja w ręczniku, a on w lewisach, które były wytarte we wszystkich właściwych miejscach), z tym oddechem pachnącym dymem - ale od papierosów, nie od pożaru - i gorącymi wargami.

Pamiętam wszystkie te telefony i maile, jakie wymieniliśmy od tamtej pory. Pamiętam, że wydałam kupę kasy na bilet lotniczy do Anglii, bo nie przeprowadzam się do Nowego Jorku z Shari i Chazem, więc mogę mieszkać w domu i zamiast tego jesienią być blisko Andrew.

I mówię z szerokim uśmiechem:

- Poradzę sobie.

- No to buźka - rzuca Andrew. I całuje mnie po raz ostatni.

A potem odchodzi.

*Jedną z najwcześniejszych znanych kobiet arbitrow mody była bizantyńska cesarzowa Teodora, córka tresera niedźwiedzi, która pobili tysiące innych dziewczyn w wyścigu do ręki cesarza Justyniana. Plotka głosi, że w trakcie Polowania na Rękę Cesarza w niemalym stopniu pomogło jej doświadczenie taneczne i akrobatyczne.*

*Chociaż trzeba było specjalnego aktu prawnego, żeby zezwolić Justynianowi na poślubienie osoby tak niskiego stanu, Teodora dowiodła, że jest wartościową władczynią, wysyłając dwóch królewskich szpiegów do Chin, skąd wykradli larwy jedwabników, żeby cesarzowa mogła ubierać się w sposób, do którego, jak twierdziła, przywykła. Skoro Teodora nie mogła dostać się do Chanel, no cóż - sprowadziła Chanel do siebie.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## Rozdział 5

„Ja nigdy niczego nie powtarzam ” -

To rytualna fraza ludzi z towarzystwa,

dzięki której za każdym razem plotce

zapewnia się nieprzemijający byt.

Marcel Proust (1871-1922), francuski powieściopisarz, krytyk i eseista

Jestem tu! Nareszcie jestem w Anglii! No i dobra, nie jest tu dokładnie tak, jak oczekiwałam. Naprawdę sądziłam, że Andrew ma własne mieszkanie.

Ale przecież to nie tak, że mnie okłamał.

I może to nawet lepiej, niż gdybyśmy po prostu zaszyli się we dwoje w jego mieszkaniu, kochając się słodko dzień i noc. Teraz zostanę zmuszona do kontaktów z jego rodziną. Możemy się nawzajem przetestować, Marshallowie i ja, i zobaczyć, czy do siebie pasujemy. Przecież człowiek nie chciałby się wżenić w rodzinę, która go nienawidzi.

Poza tym, skoro Andrew poszedł do pracy, ja mogę zacząć pisać swoją pracę. Może któryś z Marshallów pozwoli mi skorzystać z komputera. I mogłabym pozbierać materiały w British Museum. Czy jak to się tam nazywa.

Rzeczywiście tak będzie lepiej. Naprawdę muszę poznać Andrew i jego rodzinę i porządnie się zabrać do pracy. Może nawet uda mi się ją skończyć przed powrotem do domu! To by było naprawdę świetnie! Rodzice nigdy się nie dowiedzą, że dyplom dostałam z pewnym niewielkim opóźnieniem.

Hm... Czuję jakiś zapach dochodzący z kuchni. Ciekawe, co to jest. Pachnie ładnie... w pewnym sensie. To zupełnie nie pachnie jak jajecznica na bekonie, która jest specjalnością mojej mamy. Naprawdę, to bardzo miłe ze strony pani Marshall, że robi mi śniadanie. Powiedziałam jej, że nie trzeba... Wydaje się taka miła z tymi swoimi piaskowo brązowymi włosami ostrzyżonymi na pazia. Prosiła, żebym zwracała się do niej Tanya - chociaż, oczywiście, nie będę do niej tak mówić. Jej oczy tak jakoś się rozszerzyły, kiedy weszłam

do środka, a pan Marshall mnie przedstawił. Ale czy to dlatego, że denerwowała się przed poznaniem mnie, tego mi już nie powiedziała.

Mam szczerą nadzieję, że nie połapała się co do mojej bielizny. Czy raczej jej braku. Bo co, jeśli dlatego tak mi się przyglądała? Pewnie myślała sobie: ze wszystkich dziewczyn z całej Ameryki mój syn musiał sprowadzić sobie puszczalską. Wiem, że powinnam była włożyć coś innego na wyjście z samolotu. I tak marznę w tej głupiej sukience, że na pewno było mi widać sterczące sutki. Może powinnam się przebrać w coś... grubsze-go. Tak, to właśnie zrobię. Przebiorę się w dzinsy i bliźniak wyszywany paciorkami - chociaż sądziłam, że będę to wkładać wieczorami, kiedy zrobi się nieco chłodniej...

Nie miałam pojęcia, że tu wieczorny chłód panuje przez cały dzień.

Wow, cokolwiek tam szykuje pani Marshall, pachnie na pewno - zdecydowanie. Ciekawe, co to jest. Dlaczego ten zapach jest jakiś znajomy.

I wiecie, moje łóżko z płyt MDF nie jest takie złe. Jest całkiem słodkie, naprawdę. To coś w rodzaju łóżka, jakie Ty Pennington skonstruowałby dla jakiegoś dzieciaka z rakiem w tym swoim programie: Dom nie do poznania.

Tylko że jego wersja miałaby kształt komory serca albo statku kosmicznego czy czegoś w tym rodzaju.

No dobra. Jestem gotowa. Jeszcze tylko przyczeszę włosy i... Hm, szkoda, że tu nie ma lustra. Cóż, Brytyjczycy najwyraźniej nie są aż tak próżni jak my, Amerykanie. Kto by się tam przejmował, czy rozmazał mu się tusz? Jestem pewna, że wyglądam dobrze. Okay, jeszcze tylko odsunę tę zasłonę i ...

- Ojej - mówi pani Marshall. - Myślałam, że trochę się zdrzemniesz.

Czy to właśnie przed chwilą do mnie powiedziała? Mogę jej zbyt dobrze nie zrozumieć. Dlaczego Andrew musiał wyjść do pracy? Ja wyraźnie potrzebuję tłumacza.

- Przepraszam - mówię. - Jestem o wiele za bardzo podekscytowana, żeby zasnąć!

- Zatem to pierwsza twoja wizyta w Anglii? - pyta pani M.

- To moja pierwsza w życiu wizyta poza Stanami - zdradzam. - Nie wiem, co pani gotuje, ale pachnie ślicznie. - Trochę kłamię. To, co ona go-tuje, po prostu... pachnie mocno. Ale i tak prawdopodobnie będzie pyszne. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Dziękuję, kochanie, wszystko jest pod kontrolą. No i jak ci się spodobało twoje łóżko? Nie za twarde? Może być?

- Jest świetne - mówię i siadam na stołku przy końcu kuchennego kontuaru. Nie wiem, co tam się pichci w tych garnkach na kuchence przed nią, bo wszystkie mają pokrywki. Ale jestem pewna, że pachnie... intensywnie. Kuchnia jest maleńka, to bardziej aneks kuchenny niż praw-dziwa kuchnia. U jej końca jest okno, które wygląda na jasny, zalany słońcem ogród eksplodujący pąkami róż. Pani M. sama wygląda jak róża, z ty-mi różowymi i błyszczącymi policzkami, w dzinsach i bluzce-chłopce.

Chociaż ta bluzka-chłopka chyba nie pochodzi z obecnego sezonu bluzek chłopiek. To może być bluzka-chłopka jeszcze z tych czasów, kiedy te bluzki po raz pierwszy wyszły poza kręgi pańszczyźnianego chłopstwa, jeszcze w czasach największego rozkwitu Haight-Ashbury jako dzielnicy San Francisco!

Teraz już wiem, czemu Andrew uważa, że można chodzić w takiej break-dance'owej kurtce. Ale chociaż niektóre ciuchy vintage - takie jak bluzka-chłopka pani Marshall - są świetne, to inne - jak kurtka Andrew - takie nie są. Najwyraźniej rodzinie Marshallów przyda się nieco wiedzy z zakresu mody vintage.

Dobrze, że mogę im pomóc. Będę musiała bardzo zwracać uwagę na fakt, że nie mają zbyt wiele pieniędzy na ciuchy. Ale sama jestem żywym dowodem na to, że nie trzeba wydawać dużo, żeby wyglądać znakomicie. Ten zestaw sweterków kupiłam na eBay za dwadzieścia dolarów! A moje lewisy ze stretchem są z Sears. I dobra, kupiłam je w dziale dla dzieci... ale jaka ja byłam zachwycona, mogąc się wcisnąć w coś z działu dla dzieci!

Nie żeby w naszym zwariowanym na punkcie wagi społeczeństwie było to coś, czym należy się przechwalać. Dlaczego kobiety muszą się mieścić w rozmiary dziecięce, żeby można je było uznać za godne pożądania? To jest i chore, i przygnębiające.

Ale... to dziewiątka! Zmieściłam się w dziewiątkę! Nigdy się nie mieściłam w dziewiątkę, nawet w czasach, kiedy powinnam się była w nią mieścić.

- To bardzo ładna bluzka - mówi pani M. o moim bliźniaku.

- Dziękuję - odpowiadam. - Właśnie podziwiałam pani bluzkę! Śmieje się na te słowa.

- Co, ten stary ciuch? Ma chyba ze trzydzieści lat, o ile pamiętam, Jak nie więcej.

- Jest świetna - mówię. - Uwielbiam staroświeckie ubrania.

Ale super! Matka Andrew i ja się zaprzyjaźniamy. Może później pójdziemy na zakupy, tylko pani M. i ja. Ona pewnie nie ma za wiele okazji do babskich pogaduszek, skoro ma trzech synów i tak dalej. Może mogły-byśmy pójść razem na manikiur i pedikiur, a potem iść do Harrodsa na szampana! Zaraz - czy ludzie w Anglii chodzą na manikiur i pedikiur?

- Nawet nie umiem pani powiedzieć, jak miło mi was poznać, zwłaszcza że wiele o was słyszałam już od dawna. - Wcale nie staram się podlizywać. Mówię to naprawdę szczerze. - Tak się cieszę, że mogłam tu przyjechać!

- To bardzo miło - mówi pani M. I wygląda, jakby naprawdę się z tego ucieszyła. Widzę, że jej paznokcie są krótko obcięte i mocne, i pozbawione śladu lakieru. No cóż, pewnie nie ma czasu na takie głupstwa jak manikiur, skoro jest bardzo zajęętym pracownikiem socjalnym. - A co byś w takim razie najbardziej chciała zobaczyć?

Z jakiegoś powodu przed oczyma miga mi zdjęcie gołego tyłka Andrew. W głowie mi się nie mieści, że o czymś takim pomyślałam! To chyba zmęczenie po tym długim locie.

Mówię:

- Pałac Buckingham, oczywiście. I British Museum. - Nie wspominam o tym, że jedyne części muzeum, które chciałabym zwiedzić, to te sale, gdzie trzymają historyczne stroje. Jeśli w ogóle mają tam takie sale. Zwykłą nudną sztukę mogę sobie pooglądać w domu, kiedy tylko będę miała ochotę. Przecież i tak przeprowadzę się do Nowego Jorku, kiedy Andrew zrobi już magisterkę. On się zgodził. - I wieżę Tower. - Bo słyszałam, że tam przechowują różne piękne klejnoty- I... aha, jeszcze dom Naje Austen.

- A więc jesteś jej fanką, tak? - Pani Marshall ma nieco zdziwioną minę. Najwyraźniej żadna z poprzednich dziewczyn Andrew nie miała takiego wyszukanego gustu literackiego. - To co Naje Austen lubisz najbardziej?

- Och, wersję pokazywaną na kanale A&E, tę z Colinem Firthem, oczywiście. Chociaż kostiumy w wersji z Gwyneth Paltrow też były bardzo ładne, naprawdę.

Pani Marshall zerka na mnie nieco dziwnie - może ma takie same kłopoty z moim akcentem ze środkowego wschodu, jak ja z jej brytyjską wy-mową. Ale naprawdę staram się mówić wyraźnie. A potem łapię, o co jej chodzi, i dodaję:

- Pani chodziło o książki? Sama nie wiem. Wszystkie są bardzo dobre.

Tyle że we wszystkich jest za mało opisów tego, w co ubierają się postaci.

Pani Marshall śmieje się i pyta:

- Chcesz się napić herbaty? Na pewno jesteś bardzo spragniona po tej podróży.

Oczywiście, najchętniej napiłabym się coli light. Ale kiedy pytam, czy Marshallowie mają ją w domu, pani Marshall rzuca mi kolejne dziwne spojrzenie i mówi, że będzie musiała trochę później poszukać jej „w markecie”.

- Och, nie - mówię, śmiertelnie zawstydzona. - Naprawdę, nie trzeba. Napiję się herbaty.

Pani Marshall wygląda, jakby jej ulżyło.

- To dobrze. Bo nie podoba mi się myśl o tym, że miałabyś poić organizm tymi wszystkimi paskudnymi chemikaliami. To nie może człowiekowi wychodzić na dobre.

Uśmiecham się do niej, chociaż nie mam pojęcia, o czym ona mówi. Cola light nie zawiera żadnych paskudnych chemikaliów. Zawiera urocze i smaczne bąbelki, kofeinę i słodzik. Co w tym nienaturalnego?

Ale jestem teraz w Anglii, więc będę postępować tak jak Anglicy. Nalewam sobie trochę herbaty z ceramicznego dzbanka, który stoi obok elektrycznego czajnika, i za namową pani Marshall dolewam do niej mleka, bo najwyraźniej tak właśnie Brytyjczycy ją piją, zamiast dodać miodu i cytryny.

Ze zdziwieniem przekonuję się, że jest w tej wersji całkiem smaczna. O czym napomykam na głos.

- Co jest smaczne?

Chłopak o włosach koloru piasku, może piętnasto- albo szesnastoletni, ubrany w ciemną dzinsową kurtkę do spranych dzinsowych spodni (Wow... Chociaż pod kurtką ma T-shirt Killers, co go nieco ratuje w moich oczach), wchodzi do kuchni, a potem zamiera na mój widok.

- Kto to? - chce wiedzieć.

- Jak to kto to? - odzywa się cierpko pani M. - To jest Liz z Ameryki, dziewczyna twojego brata Andy'ego...

- Och, daj spokój, mama- mówi Alex i uśmiecha się szeroko.- Nie zalewaj. To nie ona. Ona nie jest...

- Alex, to jest Liz - przerywa pani M. Jeszcze bardziej kwaśno. Już nie wygląda jak róża. A może i owszem, ale taka, która właśnie pokazuje kolce. - Przywitaj się z nią jak należy, proszę.

Alex, z zawstydzoną miną, wyciąga do mnie prawą dłoń. Potrząsam nią.

- Przepraszam - mówi. - Miło mi cię poznać. Tylko że Andy mówił, że...

- Alex, proszę to zanieść na stół - przerywa pani M., wręczając najmłodszemu synowi garść widelców i noży. - Śniadanie za chwilę.

- Śniadanie? Już czas na lunch, nie?

- No cóż, Liz jeszcze nie jadła śniadania, więc zjemy śniadanie.

Alex bierze od matki sztućce i niesie je do jadalni. Geronimo, bo tak nazwali swojego owczarka collie - czy to nie słodkie imię? - który przytulał się do moich nóg przez cały czas, kiedy siedziałam, idzie za nim, najwyraźniej z nadzieją, że znajdzie jakiś zapomniany kasek.

- Masz braci, Liz? - pyta mnie pani M., z której cała kolczastość uszła po wyjściu syna z kuchni.

- Nie. Tylko dwie starsze siostry.

- Twoja matka miała dużo szczęścia - twierdzi pani M. - Z chłopcami jest urwanie głowy. - A potem odwraca się od kuchenki i woła: - Alex, powiedz ojcu, że śniadanie gotowe! I pogoń przy okazji Alistaira!

Andrew, Alistair i Alexander. Uwielbiam imiona, jakie rodzice Andrew wybrali dla swoich trzech chłopców! Jaki to sympatyczny pomysł, żeby wszystkim dać imiona na A... Zupełnie jak Paul Anka, tylko że on miał same córki - Alexandrę, Amandę, Alicie, Antheę i Amelię.

I jak to miło, że mówią do mnie Liz, a nie Lizzie. Nikt nie nazywa mnie Liz. To znaczy, nikt oprócz Andrew. Nie żebym go kiedykolwiek o to po-prosiła. On... po prostu tak mówi.

- No cóż. - Pani Marshall uśmiecha się do mnie. - Może usiądziesz przy stole, Liz? Będziemy mogli zacząć śniadanie.

- Pomogę pani pozanosić wszystko na stół - mówię, zsuwając się ze stołka.

Ale pani Marshall wygania mnie z kuchni, mówiąc, że nie potrzebuje pomocy. Idę do jadalni - to wydzielona część salonu, który ma kształt li-tery L, gdzie ustawiono duży stół. Geronimo już siedzi obok krzesła u szczytu stołu, mając nadzieję na smaczne kąski.

- Gdzie mam siadać? - pytam Aleksa, który, w sposób typowy dla nastolatka - to chyba coś uniwersalnego - wzrusza ramionami.

W tym samym momencie wchodzi pan Marshall i odsuwa dla mnie krzesło od stołu ruchem pełnym galanterii. Dziękuję mu i siadam, usiłując sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni mój ojciec odsunął dla mnie krzesło przy stole, ale mi się nie udaje.

- No, to zaczynamy - mówi pani Marshall, wychodząc z kuchni z kilkoma półmiskami, z których leci para. - Z okazji pierwszej wizyty w tym kraju Liz, przyjaciółki Andy'ego, prawdziwe tradycyjne angielskie śniadanie!

Prostuję się nieco na krześle, żeby okazać, jak mi miło, i jak mi to pochlebia.

- Dziękuję bardzo. Naprawdę nie trzeba było zadawać sobie tyle...

I wtedy zauważam, co jest na półmiskach.

- Ratatuja z pomidorami - mówi z dumą pani Marshall. - Twoje ulubione! I nasza własna angielska wersja tego dania, smażone pomidory. I jeszcze pomidory nadziewane, i omlet z pomidorami. Andy powiedział mi, że bardzo lubisz pomidory, Liz. Mam nadzieję, że po tym posiłku poczujesz się zupełnie jak w domu!

O. Mój. Boże.

- Liz? - Pani Marshall patrzy na mnie z troską na swojej różanej twarzy. - Nic ci nie jest, kochanie? Wyglądasz trochę... mizernie.

- Nic mi nie jest - mówię. I biorę duży łyk swojej herbaty z mlekiem. - Pani Marshall, to wszystko wygląda wspaniale. Dziękuję bardzo, że zadała pani sobie tyle trudu. Nie trzeba było...

- Cała przyjemność po mojej stronie - mówi rozpromieniona pani Marshall, siadając na krześle po przeciwnej stronie stołu. - I proszę, mów do mnie Tanya.

- Tak Tanya. - Mam nadzieję, że w moich oczach nie widać łez, którymi się napęlniają. Jak on mógł tak się pomylić? Czy on w ogóle czytał moje maile? Czy on mnie w ogóle nie słuchał tamtego wieczoru, kiedy był pożar?

- Kogo nie ma? - pyta pani Marshall, patrząc na puste krzesło naprzeciw krzesła Andrew.

- Alistaira - mówi Alex, wyciągając rękę po tosta. Tost! Mogę zjeść tosta. Nie, zaraz. Nie mogę. Nie, jeśli chcę pozostać dziecięcym rozmiarem dziewczęć. Boże. Będę musiała coś zjeść. Omlet z pomidorami. Może jajka zabiją smak pomidorów.

- Alistair! - ryczy pan Marshall.

Gdzieś z głębi domu odzywa się męski głos:

- Już idę!

Próbuję omletu. Jest smaczny. Prawie nie czuje się tych...

Och, nie. Jednak się czuje.

Ale to była zwykła pomyłka. To znaczy, z tymi pomidorami. Każdemu mogłoby się coś takiego zdarzyć. Nawet bratniej duszy.

No i przecież przynajmniej pamiętał, że wspominałam coś o pomidorach. Może nie zapamiętał, co o nich mówiłam. Ale pamiętał, że coś mówiłam.

Głowę ma pochłoniętą tym uczeniem dzieci czytać i pisać.

I, najwyraźniej, kelnerowaniem.

Widząc, że nikt na mnie nie patrzy, odkrawam kawałek omletu ze swojego talerza i zsuwam go na serwetkę na kolanach. A potem zerkam na Geronimo, który odszedł od krzesła pana Marshalla, najwyraźniej czując, że tam mu żadne kęski nie spadną.

Collie spotyka moje spojrzenie.

I za chwilę mam psi nos między udami.

- Co jest? - Chłopak, który musi być drugim młodszym bratem Andrew, Alistairem, staje w drzwiach. W przeciwieństwie do swojej matki i dwóch braci, Alistair ma włosy miedziano-rude - pewnie tego samego koloru co ojciec, zanim mu wypadły, przynajmniej sądząc po brwiach pana Marshalla.

- Cześć, Ali - mówi pani Marshall. - Siadaj. Mamy dziś tradycyjne angielskie śniadanie na powitanie przyjaciółki Andrew z Ameryki, Liz.
- Cześć - witam rudzielca, który jest chyba tylko z rok czy dwa młodszy ode mnie. Od stóp do głów jest ubrany w ciuchy Adidasa... Dres Adidasa, kurtka od dresu, T-shirt i buty. Może poprosili go o lansowanie swoich produktów, bo jest przecież zawodowym tancerzem.- Mam na imię Lizzie. Milo mi cię poznać. Alistair gapi się na mnie przez chwilę. A potem wybucha głośnym śmiechem.
- Jasne! - mówi. - Mamo, daj spokój. I w ogóle co to za żarty?
- To nie są żadne żarty - odzywa się pan Marshall zimnym głosem.
- Ale - wyrywa się Alistairowi - to nie może być Liz! Andy mówił, że Liz to grubaska!

*Niewiele wiadomo o strojach z okresu obejmującego czasy od II stulecia aż do końca VII wieku z powodu barbarzyńskich najazdów Gotów, Wizygotów, Ostrogotów, Hunów i Franków. Z pewnością jednak niewielu ludzi miało wtedy czas myśleć o modzie, bo głównie zajmowali się uciekaniem i ratowaniem życia. Dopiero kiedy Karol Wielki zaczął rządzić w wieku VIII, pojawiają się szczegółowe opisy garderoby noszonej w tych czasach, która to garderoba składała się ze spodni z podwiązka-mi, znanymi później jako pumpy albo bryczesy, ulubiony przez wszystkich autorów romansów historycznych szczegół garderoby.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## Rozdział 6

*Ale mów prawdę, a cała natura i wszystkie duchy wspomogą cię w tej dobrej sprawie. Mów prawdę, a wszystkie istoty, żywe czy martwe, będą dowodem, a nawet trawa pod stopami zda się poruszać i świadczyć na twoją rzecz.*

Ralph Waldo Emerson (1803-1882), amerykański eseista, poeta i filozof

Shari odbiera dopiero po piątym dzwonku. Przez chwilę już się martwię, że w ogóle nie odbierze. A jeśli śpi? Wiem, że jest przecież dopiero dziewiąta czasu europejskiego, ale co, jeśli nie przystosowała się do zmiany czasu tak dobrze, jak ja? Nawet jeśli jest tu już dłużej niż ja. Miała przyjechać do Paryża dwa dni temu, zostać tam na jedną noc w hotelu, a potem jechać następnego dnia do chateau.

Ale trzeba wziąć pod uwagę, że to przecież Shari - świetna w sprawach uczelnianych, ale już nie taka bystra w sprawach życia codziennego. Upuszczała komórkę do toalety niezliczoną liczbę razy. Kto wie, czy w ogóle uda mi się z nią połączyć.

A potem, ku mojej uldze, Shari jednak odbiera. I słyszę, że wcale jej nie obudziłam - bo w tle ryczy muzyka. Jakaś piosenka, w której powtarza się refren Vamos a la playa, w latyńskim rytmie.

- Lizzie! - drze się Shari do telefonu. -To tyyyyyyyyyyyyy?

Och, jasne. Jest pijana.

- Jak się maaaaaaaasz? - pyta. - Jak w Londynie? Jak tam seksi, seksi, seksi Andrew? Jak tam jego tyyyyyyyyyyyylek?

- Shari - mówię cicho. Nie chcę, żeby Marshallowie mnie słyszeli, więc puszczam wodę do wanny. Nie marnuję jej. Naprawdę zamierzam się wykąpać. Za chwilę. - Tutaj jest dziwnie, naprawdę dziwnie. Chciałam chwilę porozmawiać z kimś normalnym.

- Zaraz. Zobaczą, czy uda mi się znaleźć Chaza - mówi Shari. A potem wybucha śmiechem. - Żartowałam! O mój Boże, Lizzie, powinnaś zobaczyć to miejsce. Padłabyś. Tu jest tak, jakby połączyć w jedno Pod tokańskim niebem i Yalmona. Dom Luke'a jest wielki. Ma nawet nazwę - Mirac. Ma własną winnicę. Lizzie, oni tu robią własnego szampana. Oni go tu robią sami.

- To świetnie - mówię. - Shari, wydaje mi się, że Andrew powiedział swoim braciom, że jestem gruba.

Shari przez chwilę milczy. Znów ktoś mnie zachęca, żebyśmy Vamos a la playa. A potem Shari wybucha:

- On to, kurwa, powiedział? On, kurwa, powiedział, że jesteś gruba? Nie ruszaj się stamtąd. Nie ruszaj się, kurwa, z miejsca. Wsiadłam w ten pociąg przez Eurotunel i przyjeżdżam po ciebie, i utnę jaja temu...

- Shari - mówię. Ona wrzeszczy tak głośno, że boję się, że Marshallowie ją usłyszą. Przez zamknięte drzwi. Przez odgłosy telewizora i leżącej wody.- Shari, zaczekaj, nie o to mi chodziło. To znaczy, ja nie wiem, co on powiedział. Wszystko jest takie jakieś dziwne. Przyjechałam tu i pierwsza rzecz, Andrew pojechał do pracy. I nie ma sprawy. To znaczy, nie mam pretensji. Bo prawdę mówiąc... - Czuję, że do oczu napływają mi łzy. No, świetnie. - Andrew nie pracuje z dziećmi. Jest kelnerem. Pracuje od jedenastej przed południem do jedenastej wieczorem. Nawet nie wiedziałam, że to legalne. Poza tym on nawet nie ma własnego mieszkania. Mieszkamy u jego rodziców. Z jego młodszymi braćmi. Którym powiedział, że jestem gruba. Poza tym powiedział im, że lubię pomidory.



- Cofam to - oświadcza Shari. - Nie jadę tam. To ty przyjeżdżasz tutaj. Kup bilet na pociąg i przyjeżdżaj do nas. Nie zapomnij oniżce studenckiej. Będziesz musiała przesiąść się na inny pociąg w Paryżu. Tam sobie kup bilet do Souillac. A potem po prostu do mnie zadzwoń. Odbierzemy cię ze stacji.

- Shari. Nie mogę tego zrobić. Nie mogę tak po prostu wyjechać.

- Możesz, i to jak cholera - mówi Shari. Słyszę jakiś inny głos w tle. Shari mówi do kogoś innego: -To Lizzie. Ten pieprzony Andrew pracuje od rana do nocy i zmusza ją do mieszkania z jego rodzicami i jedzenia cholernych pomidorów. I powiedział, że ona jest gruba.

- Shari. - Czuję się trochę winna. -Ja nie wiem, czy on to powiedział. I on nie... Zaraz, komu ty to wszystko opowiadasz?

- Chaz mówi, że rano masz zapakować swój bardzo chudy tyłek do pociągu. Osobiście odbierze cię ze stacji jutro wieczorem.

- Nie mogę jechać do Francji - mówię przerażona. - Bilet powrotny do domu mam z Heathrow. Nie mogę go wymienić ani przestemplować, ani... Nic.

- No to co? Pod koniec miesiąca możesz wrócić do Anglii i polecieć do domu stamtąd. Daj spokój, Lizzie. Będziemy się cudownie bawić.

- Shari, ja nie mogę jechać do Francji - mówię z wielkim żalem. - Ja nie chcę jechać do Francji. Kocham Andrew. Ty nie rozumiesz. Ten wieczór przed akademikiem McCracken... To było coś magicznego, Shar. On zjrzał w głąb mojej duszy, ja zjrzałam w głąb jego.

- Jakim cudem? - pyta ostro Shari. - Było ciemno.

- Nie, nie było. Mogliśmy się widzieć przy świetle płomieni z pokoju tamtej dziewczyny.

- No cóż, może w takim razie zobaczyłaś to, co chciałaś zobaczyć. Albo może poczułaś to, co chciałaś poczuć.

Wiem, że ona mówi o erekcji Andrew. Gapię się niewidzącym wzrokiem w wodę lejącą się do wanny. Problem w tym, że ja na ogół jestem bardzo szczęśliwą osobą. Nawet roześmiałam się, kiedy Alistair powiedział przy stole, że miałam być gruba. No bo co innego można zrobić, kiedy dowiadujesz się, że twój chłopak rozpowiadał ludziom, że jesteś gruba?

Zwłaszcza że kiedy Andrew widział mnie po raz ostatni, ja byłam gruba. A przynajmniej o piętnaście kilo grubsza niż teraz.

Musiałam się roześmiać. Nie chciałam, żeby Marshallowie pomyśleli, że jestem jakimś nadwrażliwym dziwadłem.

No i chyba mi się udało, bo pani Marshall tylko rzuciła synowi oburzone spojrzenie... A potem, ponieważ chyba wyglądało na to, że nie poczułam się dotknięta, po prostu zapomniała o całej sprawie. I wszyscy inni też.

A Alistair okazał się całkiem sympatyczny i zaproponował mi, żebym skorzystała z komputera. Zaczęłam więc pisać moją pracę, nad którą siedziałam potem przez cały dzień, aż do czasu przerwy na „curry”, kupione „na wynos” w knajpcie na rogu przez Marshallów, bo chłopcy gdzieś wyszli. Zjedliśmy, oglądając jakiś brytyjski kryminał, z którego rozumiałam mniej więcej jedno słowo na siedem dzięki akcentowi aktorów. Chodzi o to, że ja byłam zdecydowana nie dopuścić do tego, żeby ta sprawa z grubaską mnie przygnębiła. Bo mimo tego, co mogłam myśleć moje siostry - a one zawsze z wielką radością informowały mnie, co na ten temat sądzą, kiedy dorastałyśmy - waga nie ma znaczenia. Naprawdę. To znaczy ma, jeżeli jest się modelką czy coś.

Ale to, że miałam o kilka kilo za dużo, jeszcze mnie nie zdołało powstrzymać przed robieniem tego, na co miałam ochotę. Jasne, wiele razy bywało, że na lekcjach WF do drużyny siatkówki wybierano mnie jako ostatnią.

I czasami czułam się zażenowana, kiedy musiałam pokazać się facetowi, w którym się podkochiwałam, w kostiumie kąpielowym gdzieś w plenerze.

I byli ci durni faceci ze studenckiego bractwa, którzy omijali mnie wzrokiem, bo byłam grubsza niż dziewczyny, które im się podobały.

Ale kto chciałby się spotykać z facetami ze studenckiego bractwa? Chcę się spotykać z facetami, którzy interesują się czymś więcej niż tylko tym, gdzie będzie następna impreza z baryłką piwa. Chcę się spotykać z facetami, którzy zamierzają naprawiać ten świat - jak Andrew. Chcę być z facetami, którzy potrafią patrzeć nie tylko na powierzchowność dziewczyny, lecz także zająrzeć w głąb jej duszy -jak Andrew.

Tylko że... No cóż, sądząc po uwadze Alistaira, wydaje mi się, że Andrew może jednak wcale nie zjrzał w głąb mojej duszy tamtego wieczoru przed akademikiem McCracken.

No i jeszcze te pomidory. Mówiłam Andrew - czy też pisałam mu - że nienawidzę pomidorów. Że to jedyna rzecz zjedzenia, której totalnie nie mogę znieść. Rozwodziłam się nawet szczegółowo o tym, jak okropnie było dorastać w na wpół włoskim domu, nienawidząc pomidorów. Mama zawsze pichciła wielkie kotły pomidorowego sosu do swoich lasani i makaronów. Za domem miała wielki ogród z pomidorami, który kazano mi odchwaszczać, ponieważ za nic nie chciałam dotykać tych paskudnych czerwonych kul, więc w żaden sposób nie mogłam pomagać przy ich zbieraniu i gotowaniu.

Powiedziałam Andrew o tym wszystkim, nie tylko w odpowiedzi na jego pytanie o to, co lubię jeść, ale także tego wieczoru, który spędziliśmy razem, trzy miesiące temu, ja w ręczniku, a on w T-shircie Aerosmith - na pewno wszystkie pozostałe miał w praniu - z plakietką opiekuna piętra, pod gwiazdami i wśród dymu.

A on mnie nie słuchał. W ogóle nie zwrócił najmniejszej uwagi na nic z tego, co mówiłam.

Ale udało mu się poinformować swoją rodzinę, że jestem - co to było za słowo? Aha, „grubaska”.

Czy to możliwe, że popełniłam pomyłkę? Czy to możliwe -jak kiedyś zasugerowała Shari - że kocham Andrew nie za to, kim naprawdę jest, ale za to kim chciałabym, żeby był?

Czy to możliwe, że ona ma rację i że przez cały czas uparcie nie chciałam widzieć go takim, jaki jest naprawdę, bo całowanie się z nim sprawiło mi aż taką frajdę (i tak mi pochlebiła jego pełna erekcja), że nie chciałam się przyznać, że moje zainteresowanie Andrew jest czysto fizycznej natury?

Nie rozmawiałam z Shari prawie przez dwie godziny po tym, jak mi to powiedziała, aż tak byłam na nią wściekła i ona w końcu mnie przeprosiła.

Ale co, jeśli Shari miała rację? Bo ten Andrew, którego znałam - albo wydawało mi się, że znam - nie powiedziałby swoim braciom, że jestem gruba. Andrew, którego znam, nawet by nie zauważył, że jestem gruba.

- Lizzie? - Głos Shari trzeszczy przez telefon, który przyciskam do policzka. - Umarłaś tam?

- Nie, jestem. - Nadal słyszę muzykę rockową dudniącą w tle. Shari, jak widać, nie ma ani odrobiny jet-laga. Chłopak Shari nie poszedł do pracy. Czy raczej, jest w pracy. Ale oni pracują razem.- Ja tylko... Słuchaj, muszę kończyć. Zadzwoń do ciebie później.

- Zaraz - mówi Shari. - Czy to znaczy, że jednak jesienią pojedziesz ze mną do Nowego Jorku?

Odkładam słuchawkę. Niezupełnie o to chodzi, że jestem na nią wściekła. Jestem tylko...

Tak strasznie zmęczona.

Nawet nie pamiętam, jak się kąpałam i przebierałam w piżamę, a potem powlokłam do łóżka. Wydaje mi się, że godzina jest jakaś milionowa w nocy, kiedy Andrew budzi mnie łagodnym potrząśnięciem. Ale tak naprawdę jest dopiero północ - przynajmniej według tarczy zegarka, którą podsuwa mi pod nos, kiedy zaspanym głosem pytam, która godzina.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że nosi zegarek, którego wskazówki w nocy świecą. To takie... mało seksowne.

Ale może on go potrzebuje. Żeby wiedzieć, która jest godzina, kiedy pracuje jak niewolnik w tej mrocznej, oświetlonej świecami restauracji...

- Przepraszam, że cię budzę - mówi. Stoi obok mojego posłania na antresoli, które wisi na tyle wysoko nad ziemią, że nie musi się pochylać, żeby do mnie szepnąć: - Ale chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku. Nic ci nie potrzeba?

Patrzę na niego zmrużonymi oczyma w tym półmroku. Jedyne oświetlenie zapewnia księżyc, którego promienie wpadają przez pojedyncze, wąskie okno pralni. Andrew, jak widzę, ma na sobie czarne dzinsy i białą koszulę - typowy strój kelnera.

Nie wiem, co każe mi to zrobić. Może to dlatego, że przez cały wieczór czułam się taka samotna i przygnębiona. Może dlatego, że nadal jeszcze prawie śpię.

A może dlatego, że naprawdę go kocham. Ale zanim się mogę zorientować, co robię, siedzę i trzymając go palcami za przód koszuli, szepczę:

- Och, Andrew, wszystko jest takie okropne! Twój brat Alistair powie-dział... on dzisiaj powiedział coś o tym, że twierdziłeś kiedyś, że jestem tłusta. To nieprawda, prawda?

- Co? -Andrew śmieje mi się we włosy i całuje mnie w kark. Całkiem nieźle całuje w kark. - O czym ty mówisz?

- O twoim bracie Alistairze. Był bardzo zaszokowany, kiedy mnie po-znał, bo mówiłeś mu podobno, że jestem gruba.

Andrew przestaje całować mnie w kark i spogląda na mnie w świetle księżycyca.

- Zaraz - mówi. - Powiedział to? Czy robisz mnie w konia?

- Nic nie wiem o żadnym koniu. Ale naprawdę powiedział, że spodziewał się, że będę gruba. „Grubaska” to słowo, jakiego użył.

Zdaję sobie sprawę, trochę za późno, że Andrew może się zdenerwować na brata, że coś takiego powiedział - zwłaszcza że to nieprawda. Bo przecież to nie może być prawda. Tak? Andrew nigdy by czegoś takiego nie powiedział...

- Och, Andrew, przepraszam cię - mówię, oplatając ramionami jego szyję i całując go czule. - Nie mogę uwierzyć, że w ogóle tę sprawę wywlokłam. Zapomnij o tym. Alistair najwyraźniej tylko się ze mną droczył.

A ja się nabrałam. Zapomnijmy już o tym wszystkim, dobrze?

Ale Andrew nie ma ochoty o tym zapomnieć. Jego ramiona zaciskają się mocniej wokół mnie i używa kilku bardzo obrazowych przymiotników na temat swojego brata, szepcząc je tuż koło moich ust. A potem mówi:

- Uważam, że wyglądasz cholernie fantastycznie. Zawsze tak uważałem. Jasne, kiedy się poznaliśmy, byłaś nieco pulchniejsza niż teraz. Kiedy zobaczyłem cię, jak wychodziłaś z odprawy celnej w tej małej chińskiej

sukienczce, nawet cię w pierwszej chwili nie poznałem. Zastanawiałem się, kim jest ten szczęściarz, który wyjdzie na lotnisko po taką seksowną laskę.

Mrugam oczami i milczę, patrząc na niego. Jakoś jego słowa nie podnoszą mnie na duchu tak, jak tego chyba po nich oczekiwał.

Może dlatego, że nie umie wymówić „s” inaczej niż jako „f”, więc jego „chińska” wychodzi jak „chińka”.

- A potem, kiedy podszedłem do punktu Przywołań Znajomych i zobaczyłem, że ty to - no cóż, ty - zrozumiałem, że to ja jestem tym szczęściarzem - ciągnie Andrew. - Przykro mi za wszystko, co na razie tak się popieprzyło: że nie wyszło z mieszkaniem mojego kumpla i że nie masz nawet porządnego łóżka, za tego dupka, mojego brata, i za te cholerne godziny mojej pracy. Ale musisz wiedzieć - tutaj otacza ramieniem moją talię - że strasznie się cieszę, że wreszcie tu jesteś.

I wtedy pochyla się i znów całuje mnie po karku.

Kiwam głową. Chociaż bardzo mi się podoba to całowanie mnie po karku, jeszcze jedna rzecz nie daje mi spokoju. Więc mówię:

- Andrew. Jeszcze tylko jedna sprawa.

- Taa, o co chodzi, Liz? - pyta, zbliżając usta do mojego ucha.

- Problem w tym, Andrew, że... - mówię powoli. -Ja naprawdę... Ja...

- O co chodzi, Liz? - pyta znowu Andrew.

Biorę głęboki oddech. Muszę to zrobić. Muszę to powiedzieć. Inaczej to będzie wisiało nad naszymi głowami przez cały czas mojego pobytu.

- Ja naprawdę nienawidzę pomidorów - kończę szybko, żeby już mieć to z głowy.

Andrew podnosi głowę i patrzy na mnie nierozumiejącym wzrokiem. A potem odrzuca głowę w tył i wybucha śmiechem.

- O Boże! - szepcze.- Jasne! Pisałaś mi o tym! Mama pytała mnie, czy jest coś, co lubisz szczególnie, żeby mogła to dla ciebie zrobić na powitalne śniadanie. Ale ja nie mogłem sobie przypomnieć. Wiedziałem, że wspominałaś coś o pomidorach...

Usiłuję nie brać sobie do serca, że chociaż zapamiętał, że mówiłam o pomidorach, to nie zapamiętał, co o nich mówiłam. Na przykład, że nie ma na świecie niczego, czego nienawidziłabym bardziej.

Andrew krztusi się teraz ze śmiechu. Cieszę się, że ta cała sytuacja tak go rozbawiła.

- Och, moja biedna dziewczynko. Nie martw się, dam im po cichu

znać. Chodź, niech cię jeszcze raz pocałuję. - I robi to. - Jesteś prawdziwym aniołem, wiesz?

Nie miałam pojęcia, że mogą być co do tego jakieś wątpliwości.

Ale wiem, o co mu chodzi.

A przynajmniej, wydaje mi się, że wiem. Ciężko mi stwierdzić, co właściwie sobie myślę, kiedy on mnie całuje, poza: Hura! On mnie całuje!

A potem przez jakiś czas nie ma już żadnych szeptów, kiedy się całuje-my.

I widzę, że brat Andrew się myli - on wcale nie uważa, że jestem grubaską. .. Chyba że grubaską w takim sympatycznym znaczeniu. Lubi mnie. Naprawdę mnie lubi. Czuję, jak to lubienie uciska mnie przez jego kelnerskie spodnie.

Które czuję się w obowiązku pomóc mu zdjąć. Bo go chyba jakoś tak ograniczają.

A kiedy ze śmiechem wdrapuje się na moje łóżko - dzięki Bogu łóżko wytrzyma. Albo powinnam może powiedzieć: dzięki pani Marshall... - I znów możemy się wziąć nawzajem w ramiona, i już widzę dlaczego. To znaczy, dlaczego te spodnie tak go piły.

- Andrew - szepczę. - Masz prezerwatywę?

- Prezerwatywę? -Andrew powtarza to słowo szeptem, jakbym mówiła w obcym języku.- A nie jesteś na pigułce? Myślałem, że wszystkie Amerykanki są na pigułce.

- No cóż - mówię, czując się niezręcznie. - Jestem. Ale... No wiesz. Pigułka nie chroni przeciwko chorobom.

- Sugerujesz, że mam jakąś chorobę? - pyta Andrew i to bynajmniej nie żartobliwym tonem.

Ojej. Dlaczego ja nigdy nie umiem trzymać buzi na kłódkę?

- Hm... - mruczę i bardzo szybko myślę. Co nie przychodzi mi łatwo, kiedy jestem taka zmęczona. I napalona. - Nie. Ale, hm, ja mogłabym jakąś mieć. Nigdy nic nie wiadomo.

- Wow - mówi Andrew i chichocze. - Jasne. Ty? Nigdy. Jesteś na to za słodka. - I wraca do całowania mnie po karku.

Co jest bardzo miłe. Ale nadal nie odpowiedział na moje pytanie.

- No i ? - pytam. - Masz jakąś?

- Na miłość boską, Liz - mówi Andrew i siada. Grzebie po kieszeniach i wreszcie wyciąga trojana z kieszeni kelnerskich spodni, które leżą zwinięte w nogach łóżka. - Zadowolona?

- Tak - mówię. Bo jestem. To znaczy, zadowolona. Chociaż mój chłopak najwyraźniej chodzi do pracy z kondomem w kieszeni, a więc gdyby ktoś się nad tym zastanowił i gdyby ten ktoś był osobą podejrzliwą

(którą przecież nie jestem), to mógłby sobie zadać pytanie, co on zamierza z tym kondomem robić. To znaczy, biorąc pod uwagę, że jego dziewczyna jest w domu, a nie w jego miejscu pracy.

Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że on ma prezerwatywę, więc wreszcie możemy się zabrać do rzeczy.

Czym zaczynamy się zajmować już bez dalszej zwłoki.

Tyle że...

No cóż, wszystko idzie tak, jak chyba powinno, biorąc pod uwagę, że moje doświadczenie w tych sprawach jest ograniczone do miętoszenia się w za długim łóżku w akademiku z Jeffem, moim jedynym chłopakiem na dłuższą metę (trzy miesiące), z którym spotykałam się na drugim roku, a który pod koniec semestru ze łzami w oczach wyznał mi, że jest zakochany w swoim współlokatorze z pokoju, Jimie.

Ale i tak przeczytałam dość numerów „Cosmo”, żeby wiedzieć, że każ-da dziewczyna jest odpowiedzialna za własny orgazm - tak jak każdy gość sam odpowiada za to, czy dobrze się będzie bawił na imprezie... Żadna gospodyni nie zdoła skontrolować wszystkiego! No bo naprawdę czegoś takiego nie można zostawić do załatwienia facetowi. On to wszystko tylko zepsuje albo, co gorsza, nawet nie będzie mu się chciało próbować (chyba że jest taki jak Jeff, który był bardzo moimi orgazmami zainteresowany..

Tak jak bardzo zainteresowany był też moimi lakierkami Herberta Levine'a gdzieś tak z 1950 roku, z klamerkami z kryształami górskimi; przekonałam się o tym, kiedy złapałam go, że się w nich podziwiał w lustrze).

Ale chociaż ja mogłam zająć się własną dobrą zabawą, Andrew najwyraźniej ma ze swoją jakieś problemy. Nagle przestał robić to, co robił, i po-łożył się na plecach na łóżku.

- Hm, Andrew? - mówię, przepełniona troską. - Wszystko w porządku?

- Nie mogę dojść, cholera - dobiega mnie jego romantyczna odpowiedź. - To przez to cholerne łóżko. Za mało miejsca.

Jestem, żeby to ująć łagodnie, zaskoczona. Nigdy nie spotkałam się z mężczyzną, który nie może dojść. Chociaż wiem, że dla niektórych osób - na przykład dla Shari - facet z permanentnym wzwodem byłby darem niebios, dla mnie to tylko pewna niedogodność. Już się zajęłam własną dobrą zabawą, zgodnie z radami „Cosmo”. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak długo jeszcze tam na dole wytrzymam. Zaczynam mieć otarcia.

No, ale niedobrze jest myśleć o sobie, kiedy leżąca obok osoba tak bardzo cierpi. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, jak musi się czuć Andrew.

Z całego serca mu współczując, całuję go i pytam:

- Mogę coś zrobić, żeby ci w tym pomóc?

I wkrótce się dowiaduję, że owszem, mogę. A przynajmniej, jeśli da się coś wywnioskować z tego, jak Andrew zaczyna popychać moją głowę w kierunku południowym.

Problem w tym, że ja jeszcze nigdy tego nikomu nie robiłam. Nawet nie jestem pewna, w jaki sposób... Chociaż tamta dziewczyna z mojego piętra w akademiku, Brianna, kiedyś usiłowała mnie nauczyć, wykorzystując banana.

Naprawdę nie tak wyobrażałam sobie skonsumowanie naszego związku.

A jednak tego typu rzeczy robi się dla ludzi, których się kocha, kiedy są w potrzebie.

Ale najpierw każę mu zmienić prezerwatywę. Aż tak nie kocham nikogo. Nawet Andrew.

*W wyprawach krzyżowych wcale nie chodziło tylko o to, że jedna kultura chciała drugiej narzucić swoje poglądy religijne. Chodziło również o modę! Powracający krzyżowcy przywozili swoim kobietom nie tylko zdobyte na nieprzyjaciolach złoto, ale także nowinki kosmetyczne od dam Orientu, włącznie z goleniem wżórką łonowego (o czym nie słyszano w przeważającej części Europy od czasów wczesnego Imperium Rzymskiego).*

*Czy angielskie damy przejęły tę praktykę od swoich siostr z Dalekiego Wschodu, czy nie, pozostawiamy wyobraźni czytelnika, ale wiemy z portretów z tamtej epoki, że wiele z nich zaczęło się posuwać nieco zbyt daleko, depilując i podgalając sobie włosy u nasady czoła, nie pomijając przy tym rzęs i brwi. Ponieważ większość z nich w tamtych czasach nie potrafiła czytać ani pisać, trudno się dziwić, że coś im się pokręciło.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## **Rozdział 7**

*Chroń własne sekrety, ale bądź otwarty na cudze.*

Philip Dormer Stanhope, czwarty hrabia Chesterfield (1694-1773), brytyjski polityk

Budzę się z uczuciem głębokiego i całkowitego zadowolenia, chociaż śpię sama, bo Andrew powłókł się do własnego łóżka po tym, jak próbowaliśmy zasnąć razem na wąskim posłaniu na płytach MDF, co nam się

zupełnie nie udało, ze względu na długie nogi Andrew i moją tendencję do spania z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Ale i tak opuszczał moje łóżko szczęśliwy i zaspokojony. Zadbaliśmy o to. Jestem może początkująca, ale szybko się uczę.

Przeciągając się, odtwarzam w myślach ostatni wieczór. Andrew jest śliczny. No cóż, nie śliczny, bo przecież nie da się określać faceta słowem śliczny. Ale słodki. Całe to martwienie się, że uważał, że jestem gruba... W głowie mi się nie mieści, że tyle czasu zmarnowałam na coś tak niemądrego! Oczywiście, że nigdy nie myślał, że jestem gruba, ani niczego takiego nie mówił swojej rodzinie. Jego bratu pewnie się coś pomyliło z jakąś inną dziewczyną.

Nie, Andrew jest idealnym chłopakiem. I już ja go szybko oduczę noszenia tej czerwonej skórzanej kurtki. Może, żeby mu to wynagrodzić, na-wet mu kupię nową, kiedy dzisiaj pójdziemy po zakupy. Bo to właśnie Andrew mi obiecał (w czasie naszej postkoitalnej pogawędki wczoraj w nocy) - zakupy i zwiedzanie (kiedy już załatwi tę jedną krótką sprawę, którą ma do załatwienia na mieście).

Oczywiście, zwiedzanie, którym jestem najbardziej zainteresowana (poza tym, że jestem zainteresowana Andrew, oczywiście), obejmuje sklepy Oxfam, gdzie mogłabym znaleźć jakieś nieodkryte skarby, i może jeszcze to miejsce pod nazwą Topshop, które jest czymś w rodzaju brytyjskiego odpowiednika T.J. Maxx albo może H&M, którego nie mamy w Michigan, ale o którym, oczywiście, słyszałam, że jest mekką miłośników mody.

Ale nie wspominam o tym Andrew, bo, oczywiście, chcę mu się wydać osobą nastawioną bardziej intelektualnie. Powinno się interesować historią jego kraju, która jest niesłychanie urozmaicona i sięga wielu tysięcy lat wstecz... A przynajmniej dwustu lat, jeśli chodzi o interesującą modę. Andrew jest taki miły. Cała jego rodzina była taka urocza, pomijając tę uwagę o grubasce - chciałabym móc jakoś im się odwdziżyć za okazaną mi serdeczność...

I właśnie to mi przychodzi do głowy parę minut później, kiedy w wannie gołę nogi - Andrew jeszcze śpi, a reszta rodziny chyba wyszła do swoich zajęć! Dzisiaj wieczorem odwdziczę się rodzinie Marshallów za gościnność, robiąc dla nich słynne szybkie spaghetti mojej mamy! Jestem pewna, że wszystkie potrzebne składniki powinny mieć w domu - to przecież tylko makaron, czosnek, oliwa, parmezan i płatki ostrej czerwonej papryki.

A jeśli czegoś nie mają - na przykład świeżej, chrupiącej bagietki, która jest naprawdę niezbędna do wygarniania tej pysznej oliwy - Andrew i ja możemy wstąpić po zakupy, wracając do domu po zwiedzaniu!

Wyobraźcie sobie, jak zaskoczeni i uradowani będą państwo Marshallowie, kiedy wrócą do domu po długim dniu pracy i przekonają się, że obiad już na nich czeka!

Niezwykle zadowolona ze swojego planu, nakładam makijaż i właśnie maluję paznokcie u nóg dodatkową warstwą lakieru - ponieważ będę włóczyła się po mieście w pantoflach bez palców, chciałabym zabezpieczyć swój francuski manikiur - kiedy Andrew wreszcie zbiega po schodach, mrugając zaspanymi oczami. Fundujemy sobie bardzo przyjemną poranną sesję seksu na moim łóżku z płyt MDF, zanim wrzucam na siebie swoją zabawną letnią sukienkę w listki Aleksa Colmana z lat sześćdziesiątych (mam też pasujący do niej kaszmirowy sweterek... Dzięki Bogu, że w ostatniej chwili go zabrałam, bo bardzo mi się przyda), i poganiam Andrew, żeby się ubierał, bo mamy wypełniony zajęciami dzień. Muszę jeszcze przecież wymienić pieniądze, a on ma w centrum to swoje spotkanie.

Mój pierwszy prawdziwy dzień w Londynie - wczorajszy się nie Uczy, bo byłam taka senna, że prawie nic z niego nie pamiętam - zaczął się już tak dobrze (śniadanie bez pomidorów, niespieszna kąpiel, seks), że trudno oczekiwać, że potem będzie jeszcze lepszy. A jednak tak się dzieje: słońce świeci i jest za gorąco, żeby Andrew mógł włożyć swoją breakdance'ową kurtkę!

Z domu państwa Marshallów wychodzimy ręka w rękę - Geronimo spogląda za nami ze smutkiem zza szklanych drzwi („Ten pies naprawdę cię polubił” - zauważył Andrew. Tak! Zdobyłam serce ulubieńca rodziny, dyskretnie podsuwając mu jedzenie! Jak długo to potrwa, zanim zdobędę serca całej rodziny?) i kierujemy się w stronę metra. Po raz pierwszy będę jechała londyńskim metrem!

I wcale się nie boję, że wylecę w powietrze, bo jeśli pozwalasz, żeby cię ogarnął strach, to znaczy, że pozwoliłeś terrorystom zwyciężyć.

Ale i tak uważnie wypatruję młodych mężczyzn (i kobiet - równie źle jest dyskryminować ludzi ze względu na płeć, co na rasę), ubranych w obszerne płaszcze w ten wspaniały dzień. Kiedy się rozglądam za terrorystami, nie mogę nie zauważyć, o ile lepiej ubierają się ludzie w Londynie niż w Ann Arbor. To straszne mówić takie rzeczy o własnym kraju, ale wygląda na to, że ludziom w Londynie o wiele bardziej zależy na wyglądzie niż ludziom w moim rodzinnym mieście. Nie widziałam jeszcze ani jednej osoby - poza Alistairem, który w końcu jest nastolatkiem - w dresie ani nawet w spódnicy na gumkę w talii.

Fakt, że nikt tu nie wygląda na tak otyłego, jak wielu ludzi w Stanach. Czemu londyńczycy są tacy szczupli? Czy to może przez herbatę?

A reklamy! Reklamy, które wiszą na ścianach na stacji w metrze! Są takie... interesujące. Chociaż, w wielu przypadkach nie rozumiem, co reklamują. Ale może to dlatego, że nigdy wcześniej nie widziałam, żeby kobiety w toples reklamowały sok pomarańczowy.

Shari ma chyba rację, Brytyjczycy mają o wiele mniej zahamowań, jeśli chodzi o swoje ciała - chociaż ubierają je lepiej - niż my.

Kiedy wreszcie docieramy do przystanku, przy którym Andrew jest umówiony - twierdzi, że w pobliżu jest bank, gdzie będę mogła wymienić pieniądze - znów wychodzimy na światło dzienne - a mnie zapiera dech w piersi...

Jestem w Londynie! W centrum miasta! W miejscu, gdzie rozegrało się tak wiele wydarzeń historycznych, włącznie z wprowadzeniem ruchu punkowego (gdzie byśmy dzisiaj byli, gdyby Madonna nie włożyła kiedyś pierwszego gorsetu, a Seditonaries na Kings Road nie przedstawiło światu Vivienne Westwood?) i tą czarną suknią wieczorową, w której księżna Diana (znana wtedy jeszcze jako lady Diana) wystąpiła w czasie swoich zaręczyn?

Ale zanim zaczynam naprawdę chłonać w siebie to wszystko, Andrew ciągnie mnie do banku, gdzie ustawiam się w kolejce (czy raczej w ogon-ku, jak to nazywa Andrew), żeby wymienić część swoich czeków podróży na brytyjskie funty. Kiedy stoję przed urzędniczką, ta chce obejrzeć mój paszport, a kiedy go jej podaję, podejrzliwie ogląda moje zdjęcie.

No cóż, trudno się dziwić. Kiedy robiłam to zdjęcie, ważyłam piętnaście kilo więcej.

Kiedy zwraca mi paszport, Andrew pyta, czy może obejrzeć zdjęcie, i pęka ze śmiechu na jego widok.

- W głowie mi się nie mieści, że byłaś taka gruba - mówi. - Popatrz na siebie teraz! Wyglądasz jak modelka. Czy ona nie wygląda jak modelka? - zwraca się Andrew do urzędniczki.

Urzędniczka odpowiada niezobowiązującym:

- Hm, mhm.

Oczywiście, bardzo miło usłyszeć, że się wygląda jak modelka. Ale nie mogę się nie zacząć zastanawiać: czyja naprawdę przedtem wyglądałam aż tak źle? No bo tego wieczoru, kiedy był pożar i Andrew zobaczył mnie po raz pierwszy, ważyłam piętnaście kilo więcej niż teraz, ale i tak wiem, że uznał mnie za atrakcyjną. Poczulałam ten jego wzwód.

Dobra, miałam na sobie tylko ręcznik, bo straż pożarna nie chciała nas wypuścić z powrotem do budynku. Ale i tak...

Moje myśli odwraca urzędniczka, wręczając mi pieniądze - są takie ład-ne! O wiele ładniejsze niż pieniądze w Ameryce. I są w aż tylu rozmiarach - brytyjska jednofuntowa moneta wygląda i ciąży mi w dłoni jak złoto. Już się nie mogę doczekać, aż wyjdę stąd i wydam trochę z moich nowych brytyjskich pieniędzy, więc poganiam Andrew, żeby się pośpieszył i załatwił swoją sprawę, żebyśmy wreszcie mogli iść do Harrodsa (już mu wspomniałam, że tam chcę iść najpierw. Ale nie chcę niczego kupować...

Tylko chcę obejrzeć tę kapliczkę, którą właściciel, Mohamed Al Fayed, wznosił dla swojego syna, który zginął w wypadku samochodowym z księżną Dianą). Andrew mówi:

- No to chodźmy.

I kierujemy się w stronę bardzo nieciekawie wyglądającego budynku z napisem: Biuro Pośrednictwa Pracy (swoją drogą, Brytyjczycy dziw-nie nazywają swoje różne instytucje!) na drzwiach, gdzie Andrew ustawia się w długiej kolejce razem z mnóstwem innych ludzi bo, jak mówi, musi „zapisać się” do pracy czy coś takiego.

Oczywiście, bardzo mnie interesuje wszystko, co brytyjskie, bo kiedy Andrew i ja się pobierzemy, Anglia może się dla mnie stać przybraną ojczyzną, jak dla Madonny, więc zwracam pilną uwagę na anonse, które mijamy, kiedy kolejka posuwa się naprzód. Są na nich takie rzeczy, jak: Zapytaj nas o nowe posady dla poszukujących pracy -Departament do spraw Pracy i Emerytur oraz Czy myślałeś o pracy w Europie? Spytaj nas, co i jak.

I myślę o tym, jakie to dziwne, że w Anglii nazywają Europę Europą, jakby nie byli jej częścią, a w Stanach wszyscy uważają, że Anglia to część Europy. Prawdopodobnie niesłusznie.

Dopiero kiedy jesteśmy na początku kolejki i Andrew podaje wypełniony przez siebie formularz facetowi O surowej twarzy stojącemu za kontuarem, dociera do mnie, że jesteśmy w biurze rejestracji dla bezrobotnych.

I że ten facet za kontuarem pyta Andrew, czy szukał pracy, a Andrew mówi, że tak, ale żadnej nie znalazł.

Co? Co on mówi? Jak to nie znalazł pracy? Przecież wyłącznie to robi, odkąd tu jestem - pracuje.

- Ależ Andrew! - słyszę swój własny okrzyk.- Przecież jesteś kelnerem?

Andrew błędnie. Co jest w sumie pewnym osiągnięciem, bo i tak ma jasną karnację. Tak seksowną... jak Hugh Grant.

- Sorry - mówi Andrew do faceta za kontuarem. - Ona żartuje.

Żartuję? Co on wygaduje?

- Przecież byłeś wczoraj w pracy przez cały dzień – przypominam mu.- Od jedenastej do jedenastej.

- Liz. Nie żartuj sobie z tego miłego pana. Ma mnóstwo pracy, nie widzisz?

Oczywiście, że widzę. Pytanie, czemu nie widzi tego Andrew?

- Zaraz. Wczoraj pracowałeś jako kelner. Musiałeś wziąć tę pracę, bo posada w szkole nie opłacała się finansowo. Zapomniałeś?

Czy to możliwe, że Andrew zażywa jakieś narkotyki? Jak może nie pamiętać, że tego samego dnia, kiedy przyjechałam na swoje pierwsze wakacje w Anglii, on pracował?

Jedno spojrzenie na jego twarz i wiem już, że pamięta i wcale nie jest pod wpływem narkotyków. Nie, jeśli jakąś wskazówką może być spojrzenie, jakie mi rzuca - mordercze.

No cóż. Widzę wyraźnie, że zrobiłam coś złego. Ale co? Przecież mówię prawdę.

Więc Andrew:

- Zaraz. O co tutaj chodzi?

Wtedy ten człowiek za kontuarem biura pośrednictwa pracy podnosi słuchawkę telefonu i mówi:

- Panie Williams, mam tu pewien problem. Taa, zaraz przyjdę.

A potem stawia przed sobą plakietkę z napisem Okienko nieczynne i dodaje:

- Proszę za mną, panie Marshall, panienko...

I trzyma w górze klapę kontuaru, żebyśmy mogli za nią wejść.

A potem prowadzi nas do tego małego pokoju - pustego, pomijając biurko, kilka półek, na których nic nie leży, i krzesło - na zapleczu biura pośrednictwa pracy.

Po drodze na zapleczu czuję, że wszyscy na nas patrzą - i ludzie z kolejki, i pracownicy zza kontuaru, a ich spojrzenia palą mnie w kark. Niektórzy coś szepczą. Niektórzy się śmieją.

Trwa to z dobrych pięć sekund, zanim wreszcie orientuję się dłaczego.

Bo wtedy dociera do mnie, że znów to zrobiłam. Tak. Znów otworzyłam swoją wielką, niewyparzoną, głupią gębę, kiedy powinnam była trzy-mać ją na kłódkę.

Ale skąd miałam wiedzieć, że biuro pośrednictwa pracy to miejsce, gdzie Brytyjczycy zgłaszają się po zasiłek dla bezrobotnych?

I w ogóle co Andrew sobie wyobraża, rejestrując się po zasiłek dla bezrobotnych, skoro nie jest bezrobotny?

Tyle że Andrew chyba nie widzi tego w taki sposób - no wiecie, jako coś nielegalnego. Co chwila otwiera usta i wyrzywa mu się:

- Ale przecież wszyscy to robią!

Bo zdaje się, że ludzie z biura pośrednictwa pracy są innego zdania, jeśli można coś wnioskować ze spojrzenia, jakie nam rzuca urzędnik, zanim idzie znaleźć „swojego przełożonego”.

- Posłuchaj, Liz - mówi do mnie Andrew w tej samej minucie, kiedy urzędnik znika z pokoju. - Wiem, że nie miałaś zamiaru, ale kompletnie pogmatwałam mi sprawę. Nic mi nie zrobią, jeśli po powrocie tego faceta powiesz mu, że się pomyliłaś. Że zaszło małe nieporozumienie i ja wczoraj wcale nie pracowałam. W porządku?

Patrzę na niego skonsternowana.

- Ale, Andrew... -W głowie mi się nie mieści, że to się dzieje. Musiała zajść jakaś pomyłka. Andrew - mój Andrew, który będzie kiedyś uczył dzieci czytać - nie może wyłudzać zasiłku. To po prostu niemożliwe. - Przecież wczoraj pracowałeś. Czy nie tak? Powiedziałeś mi, że idziesz do pracy. To dlatego zostawiłam mnie samą z twoją rodziną na cały dzień i większość wieczoru. Bo pracujesz jako kelner. Prawda?

- Prawda - odpowiada Andrew. Zauważam, że się poci. Jeszcze nigdy nie widziałam, Żeby Andrew się pocił. Ale wzdłuż linii włosów widać wy-raźnie połysk wilgoci. Linii włosów, która, jak widzę, zaczyna się nieco cofać. Czy któregoś dnia będzie równie łysy jak jego ojciec? - Prawda, Liz. Ale musisz dla mnie trochę ich okłamać.

- Okłamać - powtarzam zmieszana. Tak jakbym... zaczynała rozumieć, co on do mnie mówi. Rozumieć te słowa.

Tylko nie mogę uwierzyć, że Andrew - mój Andrew - wypowiada te słowa.

- To tylko takie niewinne kłamstewko - wyjaśnia Andrew. -To nie jest takie niewłaściwe, jak ci się wydaje, naprawdę, Liz. Kelnerzy zarabiają tutaj gównianą kasę, nie tak jak w Stanach, gdzie masz zagwarantowane piętnaście procent napiwków. Przysięgam ci, wszyscy kelnerzy, jakich znam, też są na zasiłku...

- No ale... - mówię. W głowie mi się nie mieści, że to się dzieje. Naprawdę, nie mieści. - To jeszcze nie znaczy, że tak wolno. Tak czy inaczej, to jest... trochę nieuczciwe, Andrew. Odbierasz pieniądze ludziom, którzy rzeczywiście ich potrzebują.

Jak on może tego nie rozumieć? Chce uczyć dzieci z zaniedbanych rodzin... Tych samych rodzin, dla których rzeczywiście przeznaczone są pieniądze, do których rości sobie takie prawa. Jak on może tego nie wiedzieć? Na litość boską, przecież jego matka jest pracownikiem socjalnym! Czy ona wie, że jej syn tu przychodzi po dodatkowy zastrzyk gotówki?

- Ja ich potrzebuję - upiera się Andrew. Teraz poci się mocniej, chociaż we wnętrzu małego gabinetu panuje całkiem przyjemna temperatura. -To znaczy, ja jestem jedną z tych osób, Liz. I to wcale nie jest łatwe

znaleźć dobrze płatną pracę, kiedy wszyscy wiedzą, że za kilka miesięcy i tak wracasz z powrotem na studia...

No cóż... Ma tu trochę racji. To znaczy, mnie się udało dojść do stanowiska zastępczyni kierowniczkii sklepu Vintage to Vavoom, ponieważ przez cały rok jestem na miejscu.

I dlatego że jestem bardzo dobra w tym, co robię.

Ale i tak...

- I wiesz, ja to robię nie tylko dla siebie. Chciałem, żebyś mogła miło spędzić czas, kiedy tu jesteś - ciągnie Andrew, zerkając nerwowo w stronę uchylonych drzwi gabinetu. - Zabierać cię w jakieś fajne miejsca, zaprosić na parę sympatycznych posiłków. Może nawet zabrać cię... Sam nie wiem. Na jakąś wycieczkę statkiem czy coś.

- Och, Andrew. - Serce wypełnia mi się miłością do niego. Jak mogłam pomyśleć, no cóż, to, co sobie o nim pomyślałam? Może zabrał się do tego w niewłaściwy sposób, ale intencje miał szlachetne.

- Ależ, Andrew. Zaoszczędziłam masę kasy. Nie musisz tego dla mnie robić - to znaczy pracować tak długo i... hm, pobierać zasiłku czy co to właściwie jest. Ja mam mnóstwo pieniędzy. Dla nas obojga.

Nagle nie wydaje się już taki spocony.

- Naprawdę? Więcej niż wymieniłaś dzisiaj w banku?

- Oczywiście. Odkładałam ze swojej wypłaty w sklepie od wieków. Chętnie się tym podzielę. - I mówię to zupełnie szczerze. Mimo wszystko jestem feministką. Nie widzę żadnego problemu w kwestii wspierania finansowego mężczyzny, którego kocham. Absolutnie żadnego problemu.

- Ile? - pyta szybko Andrew.

- Ile mam? - Patrzę na niego i mrugam oczami. - No cóż, ze dwa tysiące...

- Serio? Rewelacja! To mogę trochę od ciebie pożyczyć?

- Andrew, mówiłam ci. Z największą radością zapłacę za nas, kiedy gdzieś pójdziemy...

- Nie, chodzi mi o to, czy mogę pożyczyć trochę z góry? - pyta Andrew. Przestał się już pocić, ale teraz na odmianę twarz ma jakby ściągniętą. Co chwilę zerka na drzwi, w których może pojawić się przełożony tego urzędnika zza kontuaru. -Widzisz, ja jeszcze nie zapłaciłem czesnego za szkołę...

- Czesnego? - powtarzam.

- Właśnie - mówi Andrew. Teraz uśmiecha się szeroko, z lekkim zażenowaniem jak dziecko przyłapane z ręką w słoiku z cukierkami. -Widzisz, miałem tu taką kompletną obsuwę, tuż przed twoim przyjazdem. Czy ty kiedyś czasem chodziłaś na te pokerowe wieczory w akademiku McCracken?

W głowie mi wiruje. Poważnie.

- Wieczory pokerowe? Akademik McCracken?

O czym on mówi?

- Taa, była tam cała grupa asystentów, którzy co piątek wieczór grali w teksańskiego pokera. Kiedyś z nimi grywałem i nawet nieźle mi to szło...

„Ten Angol - powiedział Chaz o kimś... Teraz widzę, że tym kimś był Andrew. - Ten, który prowadzi nielegalne rozgrywki w pokera na siódmym piętrze”.

- To byłeś ty? - Gapię się na niego.- Ale... Ale ty jesteś opiekunem piętra. Hazard w akademiku jest zakazany.

Andrew rzuca mi niedowierzające spojrzenie.

- Owszem - mówi. - Może i tak, ale wszyscy to robili...

A gdyby wszyscy nagle zaczęli nosić epolety, to ty też zaczniesz? - chcę zapytać... A potem w samą porę się powstrzymuję. Bo, oczywiście, znam odpowiedź.

- W każdym razie - mówi Andrew - grałem tu raz niedawno i... No cóż, stawki były nieco Wyższe, niż przywykłem, a gracze nieco bardziej doświadczeni, i ja...

- Przegrałeś - kończę bezbarwnym głosem.

- Mówiłem ci, trochę przeceniłem własne umiejętności i sądziłem, że uda mi się wygrać tę partię, do której się włączyłem, ale... Zamiast tego dostałem po tyłku i straciłem pieniądze na czesne za następny semestr. To dlatego pracowałem tak dużo, rozumiesz? Nie mogę powiedzieć rodzicom, co się stało z ich pieniędzmi - oni są całkowicie przeciwni hazardowi i prawdopodobnie wywaliliby mnie z domu. I tak ledwie mogę tam liczyć na jakieś łóżko, jak sama dobrze wiesz. Ale jeśli mogłabyś mi pożyczyć... No to wtedy jestem uratowany, nie? Nie będę musiał pracować i będziemy mogli spędzać czas razem przez cały dzień. - Wyciąga ramię, obejmuje mnie w talii i przyciąga do siebie. - I przez całą noc też - doda-je, wymownie unosząc brwi. - Czy to nie byłoby cudowne?

W głowie nadal mi się kręci. Chociaż wyjaśnił sprawę, to jednak nic z tego nie brzmi sensownie... A raczej brzmi sensownie...

Tylko że nie podoba mi się ten sens, który zaczynam wyłapywać.

Patrzę na niego i mrugam oczami.

- Kilka setek? Żeby opłacić twoje czesne?



- Ze dwieście funtów, taa - mówi Andrew. - To znaczy jakieś... z pięć-set dolarów. Nie tak dużo, jeśli weźmiesz pod uwagę, że to wszystko inwestycja w moją przyszłość... W naszą przyszłość. A ja ci to wynagrodzę. Nawet jeśli mi to zajmie resztę życia, wynagrodzę ci to.- Pochyliła głowę nad moim karkiem, żeby go pocałować. - Nie żeby - zaznacza - poświęcanie reszty życia na wynagrodzenie czegoś takiej dziewczynie jak ty miało być ciężką pracą.

- Chyba mogłabym ci tyle pożyczyć... - mówię. -Ale jakiś głos w głowie wrzeszczy mi coś zupełnie przeciwnego. - Moglibyśmy... Moglibyśmy pójść i nadać przekaz telegraficzny na uczelnię, jak stąd wyjdziemy.

- Jasne - mówi Andrew. - Słuchaj, a może... Może byłoby lepiej, gdy-byś dała mi gotówkę, a ja ją prześlę sam. Znam takiego faceta w pracy, który może to załatwić tak, żeby nie było opłat manipulacyjnych ani nic...

- Chcesz, żebym ci dała gotówkę - powtarzam.

- Tak - mówi Andrew. - Będzie taniej, niż gdybyśmy nadawali przekaz telegraficzny tu, z miasta. Opłaty są zabójcze... - A potem, słysząc kroki na korytarzu, dodaje szybko:- Słuchaj, powiedz temu palantowi, kiedy tu przyjdzie, że pomyliłaś się i ja nie mam pracy. Że coś źle zrozumiałaś. Dobrze? Możesz to dla mnie zrobić, Liz?

- Lizzie - mówię w jakimś takim oszołomieniu.

Patrzy na mnie z osłupieniem.

- Co?

- Lizzie. Nie Liz. Zawsze nazywasz mnie Liz. Nikt mnie tak nie nazywa. Na imię mam Lizzie.

- Jasne - zgadza się Andrew. -Jak chcesz. Słuchaj, on już idzie. Po pro-stu mu powiedz, dobrze? Powiedz mu, że się pomyliłaś.

- Powiem mu to - odpowiadam.

Ale moja pomyłka, jak sobie zdaję sprawę, wcale nie dotyczyła pracy Andy'ego.

*Podczas gdy epokę elżbietańską wielu historyków uważa za czas oświecenia, biorąc pod uwagę pojawienie się takich geniuszy, jak Szekspir i sir Walter Raleigh (patrz: peleryna rzucona w kałużę itp.), nie sposób wątpić, że Elżbieta, pod koniec swojego panowania, zaczęła się zachowywać w sposób nieprzewidywalny, narowisty. Wiele osób uważa, że mogło się tak stać wskutek obfitego stosowania białego podkładu, którym pokrywała twarz, chcąc jej nadać wygląd uważany wówczas za młodzieńczy. Na nieszczęście dla królowej Elżbiety, w barwnikach do twarzy znajdował się ołów, który mógł spowodować zatrucie, wpływające na pracę mózgu.*

*Elżbieta I nie jest ostatnią osobą, która musiała znosić ciężkie próby, chcąc zachować urodę (patrz: Jackson Michael).*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## Rozdział 8

*Kobiety mówią, bo mają na to ochotę,  
podczas gdy mężczyzna mówi tylko, jeśli zmusi go  
do mówienia coś spoza jego własnej osoby -  
na przykład, jeśli nie może znaleźć żadnych czystych skarpetek.*

Jean Kerr (1923-2003), amerykańska pisarka i dramaturg

Nie wiem, czemu to zrobiłam. W jednej chwili pytałam pana Williamsa - przełożonego urzędnika, który zaprowadził nas do tego małego gabinetu na zapleczu - czy może pokazać mi drogę do damskiej łazienki (choć tutaj, w Anglii, najwyraźniej nazywają je toaletami, bo trwa to sekundę, zanim udaje mi się wytlumaczyć innym, o jakie pomieszczenie mi chodzi), a w następnej zwiałam stamtąd.

Tak właśnie. Zwiałam. Uciekłam z biura pośrednictwa pracy - i od Andrew. Udałam, że wychodzę do damskiej łazienki.

Ale zamiast tego wyszłam szybko z tego budynku na ruchliwe angielskie ulice, nie mając pojęcia, dokąd idę, a co dopiero, jak mam tam dotrzeć.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Powiedziałam to, o co prosił mnie Andrew - że się pomyliłam co do tego, że był w pracy. Podejrzewam, że skoro Andrew dostaje wypłatę na czarno, ludzie z biura pośrednictwa pracy i tak nie mogą sprawdzić, czy mówiłam prawdę. Więc to nie tak, że ten pan Williams może cokolwiek zrobić Andrew... Na przykład go aresztować.

Zresztą kiedy przerwałam panu Williamsowi, żeby go zapytać, gdzie jest łazienka, on tylko robił Andrew wykład na temat, jakie to niewłaściwe, kiedy ludzie, którzy nie potrzebują korzystać z opieki społecznej, nadużywają jej.

To wtedy wyszłam.

I już nie wróciłam.

I to dlatego snuję się teraz po ulicach Londynu, nie mając pojęcia, gdzie jestem. Nie mam ze sobą przewodnika ani mapy, ani nic. Mam tylko portmonetkę pełną brytyjskiej waluty i złe przeczucie, że Andrew nie będzie szalał z zachwytu na mój widok, kiedy wrócę do domu jego rodziców - o ile w ogóle uda mi się wykombinować, jak się tam z powrotem dostać.

Może powinnam była zostać. Żle, że tak po prostu wyszłam. Andrew ma rację, studentom naprawdę ciężko się utrzymać...

Chociaż, oczywiście, w niczym im to nie pomaga, jeśli przegrywają swoje oszczędności w grach hazardowych.

A co z pieniędzmi? Obiecałam mu pięćset dolarów na chesne, a potem po prostu... Związałam. Jak mogłam uciec? Jeśli Andrew nie opłaci swojego chesnego, nie będzie mógł jesienią wrócić na studia. Jak ja mogłam tak po prostu odwrócić się do niego plecami?

Ale jak mogłabym zostać?

Nie chodzi o pieniądze. Nie chodzi o nie. Chętnie oddałabym mu każ-dego swojego centa. Prawdę mówiąc, nie przejmuję się tym, że kiedyś uważał, że jestem gruba.

I mogę się uporać z tym, że najwyraźniej skarżył się na moją tuszę swojej rodzinie.

I mogę się pogodzić z hazardem, a nawet z tym, że udawał, że nie może dojść, żebym tylko zrobiła mu laskę. Ale naciąganie biednych ludzi? Bo dokładnie coś takiego robi ktoś, kto wyłudza zasiłek dla bezrobotnych, kiedy ma jakieś płatne zajęcie.

Tego tolerować nie mogę.

I on chce być nauczycielem! Nauczycielem! Wyobraźcie sobie, że taki człowiek kształtuje potem podatne na wpływy młode umysły!

Jestem taką idiotką. W głowie mi się nie mieści, że się nabrałam na te wszystkie głupoty w rodzaju: „Chcę uczyć dzieci czytać i pisać”. To był tylko pretekst, żeby mnie zaciągnąć do łóżka - a potem sięgnąć do mojego portfela. Dlaczego nie zauważyłam niepokojących sygnałów? No bo jaki człowiek, który chce uczyć dzieci czytać - szczerze i uczciwie tego chce - wysłał mailem zdjęcie swojego gołego tyłka niewinnym amerykańskim dziewczynom?

Jestem taka głupia. Jak mogłam być tak ślepa?

Shari ma rację, oczywiście. To ten jego akcent. To na pewno to. Byłam kompletnie oszołomiona tym jego akcentem. Był po prostu taki... czarujący.

Ale teraz już wiem, że facet, który mówi jak James Bond, wcale nie musi postępować jak James Bond. Czy James Bond pobierałby zasiłek jeśli miałby jednocześnie pracę? Oczywiście, że nie.

O Boże, i pomyśleć, że chciałam za niego wyjść!!! Chciałam wyjść za niego i do końca życia go wspierać. Chciałam mieć z nim dzieci - Andrew juniora, Henry'ego, Stellę i Beatrice. I psa! Jak miał się wabić pies?

Och, nieważne. Jestem największą idiotką po tej stronie Atlantyku. Być może nawet po obu stronach. Szkoda, że nie połapałam się w tym wszystkim, zanim zrobiłam mu laskę. W głowie mi się teraz nie mieści, że mu ją zrobiłam.

Wiecie co? To ja poproszę teraz tę laskę z powrotem! Andrew Marshall nie jest wart, żebym mu robiła laskę. Ta laska to było coś specjalnego. To była pierwsza laska, jaką komuś zrobiłam. I była przeznaczona dla nauczyciela, a nie wyłudzacza zasiłku dla bezrobotnych!

Czy zapomogę. Czy jak oni to tutaj nazywają.

Co ja teraz zrobię? To dopiero drugi dzień wizyty u mojego chłopaka, a ja już zdecydowałam, że nie chcę go nigdy więcej widzieć na oczy. A przecież mieszkam u jego rodziny! Przecież nie uda mi się tam uniknąć jego widoku.

O Boże. Ja chcę do domu.

Ale nie mogę. Nawet gdyby było mnie na to stać - nawet gdybym mogła z miejsca zadzwonić do domu i powiedzieć im, żeby kupili mi bilet - nigdy nie zostawią mnie w spokoju. Sarah i Rose, pani Rajghatta - nawet moja matka - wszyscy. Nigdy mi tego nie zapomną. Wszyscy mi mówili - wszyscy - żebym tego nie robiła, żebym nie jechała aż do Anglii w odwiedziny do chłopaka, którego ledwie znam, chłopaka, który, owszem, okay, uratował mi życie...

Ale możliwe, że wcale bym nie zginęła. No bo w końcu zauważyłabym dym i wydostałabym się stamtąd sama.

Nigdy nie pozwolą mi zapomnieć o tym, że mieli rację. Boże! Oni wszyscy mieli rację! To przechodzi ludzkie pojęcie. Oni w niczym nigdy nie mieli racji. Wszyscy mówili, że nie uda mi się skończyć studiów...

No cóż, udało mi się.

No dobra, prawie. Muszę jeszcze tylko napisać jedną małą prackę.

I mówili, że nigdy nie pozbędę się tego szczenięcego tłuszczu.

No cóż, pozbyłam się. Pomijając te ostatnie trzy kilo. Ale naprawdę są niezauważalne dla nikogo, poza mną.

Powiedzieli, że nigdy nie uda mi się znaleźć pracy ani mieszkania w Nowym Jorku - no cóż, zamierzam im dowieść, że i tu się mylili. Mam nadzieję. Zresztą nie mogę w tej chwili o tym myśleć, bo robi mi się niedobrze.

Wiem tylko, że nie mogę wracać do domu. Nie mogę im pozwolić myśleć, że mieli w tej sprawie rację. Ale nie mogę też tu zostać! Nie po tym, w jaki sposób stamtąd wy-szłam - Andrew nigdy mi tego nie wybaczy. No bo ja tak po prostu wy-szłam. Zupełnie jakby moje stopy dorobiły się własnych małych mózdzków i po prostu sobie poszły, starając się jak najbardziej zwiększyć odległość dzielącą mnie od Andrew.

To nie jego wina. Nie, naprawdę. Bo hazard to uzależnienie! Gdybym była dobrym człowiekiem, zostałabym i próbowałabym mu pomóc. Dałabym mu pieniądze, żeby mógł wrócić na studia jesienią i zacząć wszystko od nowa... Byłabym przy nim. Razem moglibyśmy poradzić sobie ze wszystkimi przeciwnościami...

Ale zamiast tego ja po prostu sobie poszłam. No, świetna robota, Lizzie. Potrafisz być fantastyczną partnerką.

Coś mnie ściska w piersi. Chyba mam jakiś atak paniki. Jeszcze nigdy nie miałam ataku paniki, ale Brianna Dunleavy, ta z akademika, dostawała ich regularnie i trafiała do studenckiego ośrodka zdrowia, gdzie dawali jej kartkę, że może nie przystępować do egzaminu.

Nie mogę mieć ataku paniki na ulicy. Nie mogę! Mam na sobie sukienkę. Co, jeśli się przewrócę i wszyscy zobaczą moją bieliznę? To prawda, że jest śliczna, w groszki, z kokardkami, z Target. Ale i tak. Muszę usiąść. Muszę...

O, księgarnia. Księgarnie znakomicie pomagają na ataki paniki. A przynajmniej taką mam nadzieję, nigdy przedtem nie cierpiąc na ataki paniki.

Mijam półkę nowości i kontuar z kasą, wchodząc głęboko do wnętrza sklepu. Potem, zauważając skórzany fotel w dziale z poradnikami, poza tym pustym (Brytyjczycy widocznie nie widzą zbyt wielkiego zastosowania dla poradników. I wielka szkoda, bo niektórzy - a konkretnie Andrew Marshall- naprawdę ich potrzebują), padam na niego i chowam głowę między kolanami.

A potem oddycham. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

To. Nie. Może. Się. Dziać. Niemożliwe. Żebym. Miała. Atak. Paniki. W Obcym. Kraju. Mój. Chłopak. Nie. Mógł. Przegrać. Całej. Swojej. Kasy. Na. Czesne. W. Teksańskiego. Pokera.

- Przepraszam panią?

Podnoszę głowę. O nie! Jeden z pracowników księgarni przygląda mi się z zaciekawieniem.

- Cześć - mówię.

- Witam - odpowiada. Wydaje się całkiem sympatyczny. Ma na sobie dzinsy i czarny T-shirt. Jego dredloki są bardzo czyste. Nie wygląda na kogoś takiego, kto wykopie na ulicę kobietę, która właśnie ma atak paniki.

- Nic pani nie jest? - pyta. Identyfikator na koszulce mówi, że na imię ma Jamal.

- Nic - skrzeczę.- Dziękuję. Ja tylko... Nie czuję się najlepiej.

- Nie wygląda pani najlepiej - stwierdza Jamal. - Chciałaby pani szklanek wody?

Zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo jestem spragniona. Cola light. Tego naprawdę potrzebuję. Czy w tym nieoświeconym kraju nie ma żadnej coli light?

Ale na propozycję Jamala, że mi przyniesie wody, odpowiadam:

- Bardzo proszę.

Kiwa głową i odchodzi, z zatroskaną miną. Taki miły człowiek. Dlaczego nie spotykam się z takim człowiekiem zamiast z Andrew? Dlaczego mu-siałam się zakochać w facecie, który twierdzi, że chce uczyć dzieci czytać, a nie w takim, który naprawdę się o nie troszczy?

No cóż, dobra, Jamal nie pracuje w dziale z literaturą dziecięcą.

Założę się jednak, że zachęcał do czytania dzieci, które przychodziły do tej księgarni.

Ale może ja znów zajmuję się projekcją. Może wierzę na temat Jamala w to, w co chcę uwierzyć.

Podobnie jak chciałam uwierzyć, że Andrew to naprawdę Andrew, a nie zwykły Andy. Kiedy tak naprawdę to największy Andy, jakiego w życiu spotkałam.

Nie żeby było coś złego w imieniu Andy. Tylko że...

Nagle już wiem, czego potrzebuję, i nie jest to woda.

Nie chcę. Naprawdę nie chcę. Ale wiem, że muszę usłyszeć głos swojej mamy Po prostu muszę.

Trzęsącymi się palcami wybieram numer do domu. Nie powiem jej o Andrew, zdecydowałam, ani o tym, jakim Andym się okazał. Po prostu potrzebuję usłyszeć jakiś znajomy głos. Głos, który nazwie mnie Lizzie, a nie Liz. Głos...

- Mama?! - wołam, kiedy zgłasza się kobiecy głos po drugiej stronie linii.

- A co ty sobie, u diabła, wyobrażasz, dzwoniąc tak wcześnie rano? - pyta ostro babcia. - Nie wiesz, która jest u nas godzina?

- Babciu. - Zamykam oczy. W piersiach nadal mnie coś ściska. - Czy mama tam jest?

- Nie, do diabła - mówi babcia. - Jest w szpitalu. Wiesz, że pomaga ojcu Maćkowi roznosić komunię we wtorki.

Nie spieram się z nią, chociaż dzisiaj nie jest wtorek.

- No cóż, to może tata tam jest? Albo Rose? Albo Sarah?
- Co się stało, ja ci nie wystarczę?
- Nie - mówię. -Wystarczysz. Ja tylko...
- Masz taki głos, jakby cię coś brało. Złapałaś tam tę ptasią grypę czy co?
- Nie - mówię. - Babciu...

I wtedy zaczynam płakać.

Dlaczego? Dlaczego??? Jestem zbyt wściekła, żeby płakać. Już to sobie powiedziałam!

- A co ty się tak zalewasz łzami? - pyta babcia. - Masz paszport? Nie martw się, nadal cię wpuszczą z powrotem do domu. Wszystkich tu wpuszczają. Nawet ludzi, którzy chcą nas wysadzić prosto do Królestwa Niebieskiego.

- Babciu. Chyba... -Trudno mi mówić szeptem, kiedy jednocześnie szlocham, ale próbuję. Nie chcę zakłócać spokoju klientom księgarni i zostać stąd wywalona na ulicę. Wiem, że lada chwila wróci Jamal z moją wodą.- Chyba przyjeżdżając tutaj, popełniłam błąd. Andrew... nie jest osobą, za jaką go uważałam.

- Co zrobił? - pyta babcia.

- On... on... powiedział swojej rodzinie, że ja jestem gruba. I uprawia hazard. I wyłudza rządowe fundusze. I on... on... powiedział im, że ja lubię pomidory!

- Wracaj do domu - rozkazuje babcia. -Wracaj do domu natychmiast.

- No właśnie o to chodzi - mówię. - Ja n-nie mogę wracać do domu. Sarah i Rose - wszyscy - oni wszyscy mówili mi, że tak będzie. I teraz tak się stało. Jeśli wrócę do domu, wszyscy mi powiedzą, że tak właśnie mówi-li. Bo mówili. Och, babciu... - Teraz łzy płyną jeszcze szybciej. - Ja nigdy nie znajdę chłopaka! To znaczy, takiego prawdziwego, który pokocha mnie, a nie moją książeczkę oszczędnościową.

- Gówno prawda - odpowiada babcia. Zaskoczona, pytam:

- C-co proszę?

- Znajdziesz chłopaka - wyjaśnia babcia. - Tylko w przeciwieństwie do twoich siostr jesteś wybredna. Nie wyjdiesz za mąż za pierwszego lepszego dupka, który się nawinie i powie ci, że mu się podobasz, a potem zrobi ci dziecko.

To bardzo trzeźwa ocena związków moich starszych siostr. W jej efekcie łzy mi natychmiast wysychają.

- Babciu. No, naprawdę. Nie jesteś trochę za surowa?

- No więc ten ostatni okazał się durniem - ciągnie babcia. - Krzyżyk na drogę. Co masz zamiar zrobić, zostać u niego mimo wszystko, aż do powrotnego lotu?

- Nie wiem, jakie mam inne wyjście. No bo nie mogę ot tak... zosta-wić go.

- A gdzie on jest teraz?

- No cóż - mówię. - Chyba w biurze pośrednictwa pracy.

Czy on by mnie szukał?

No jasne, że tak. Ma u mnie pięćset dolarów.

- No to już go zostawiłaś- mówi babcia.- Słuchaj. Nie rozumiem, w czym taki wielki problem. Jesteś w Europie. Jesteś młoda. Od stu lat młodzi ludzie jeżdżą po Europie za grosze. Rusz głową, na litość boską. A co z tą twoją przyjaciółką, Shari? Czy nie ma jej gdzieś tam?

Zapomniałam o niej na śmierć. Shari, która jest tuż, po drugiej stronie kanału, we Francji. Shari, która faktycznie zaledwie wczoraj zapraszała mnie, żebym tam do niej pojechała do -jak to miejsce się nazywało? Aha, Mirac.

Mirac. To słowo równie dobrze może oznaczać niebo, brzmi teraz tak magicznie.

- Babciu - mówię, podnosząc się z fotela. - Naprawdę uważasz... to znaczy... że powinnam?

- Mówiłaś, że on się hazarduje? - pyta babcia.

- Najwyraźniej ma upodobanie do teksańskiego pokera.

Babcia wzdycha.

- Zupełnie jak twój wujek Ted. Ależ naturalnie, zostań z nim, jeśli chcesz do końca życia próbować go ratować z finansowych tarapatów. To właśnie zrobiła twoja ciocia Olivia. Ale jeśli jesteś bystra, a moim zdaniem jesteś, to wyniesiesz się stamtąd w cholere, póki jeszcze możesz.

- Babciu - mówię, połykając łzy. - Ja... ja chyba pójdę za twoją radą. Dziękuję.

- No cóż - kwituje babcia sucho. - To prawdziwe wydarzenie, że jedna z was, dziewczyn, raz mnie na odmianę posłucha. Naprawdę ktoś po-winien otworzyć szampana.

- Wzniosę toast za ciebie, babciu. A teraz lepiej zadzwonię do Shari. Dziękuję ci bardzo. I, hm, nie mów nikomu o tej rozmowie, dobrze, babciu?

- A komu miałabym mówić? - mruczy babcia i odkłada słuchawkę.

Ja też się rozłączam i szybko wybieram numer Shari. Nie mieści mi się w głowie, że nie pomyślałam o Shari! Shari jest we Francji. I powiedziała, że mogę do niej przyjechać. Eurotunelem. Czy ona nie mówiła, że tam się jedzie Eurotunelem? Czyja naprawdę mogę to zrobić? Czy powinnam?

O nie. Włącza się poczta głosowa Shari. Gdzie ona jest? Gdzieś w winnicy, wyciska sok z winogron palcami stóp? Shari, gdzie jesteś? Potrzebuję cię!

Zostawiam wiadomość:

- Cześć, Shar... To ja, Lizzie. Naprawdę muszę z tobą porozmawiać. To bardzo ważne. Chyba... Chyba całkiem na pewno rozstaję się z Andrew. -W umyśle miga mi jego mina, kiedy opowiadał, że kolega z pracy może przesłać moje pieniądze przelewem telegraficznym do Stanów bez dodatkowych opłat.

Serce mi się ściska.

- Hm, w sumie, między nami to definitywnie koniec. Więc jak, mogłabyś do mnie zadzwonić? Bo pewnie będę musiała skorzystać z twojej propozycji, żebym przyjechała do Francji. Więc oddzwon do mnie. Jak najszybciej. No cóż. Cześć.

Kiedy wypowiadam te słowa na głos, stają się jakieś takie bardziej realne. Mój chłopak i ja się rozstajemy. Gdybym tylko trzymała język za zębami w sprawie tego jego kelnerowania, nic z tego by się nie wydarzyło. To wszystko przeze mnie. Bo jestem taką papłą.

Naprawdę zdarzało mi się już popełniać gafy. Ale nigdy aż takiej.

Ale z drugiej strony... Gdybym się nie wtrąciła, czy on by mi kiedykolwiek powiedział? To znaczy, o tym hazardzie? Czy może przez całą resztę naszego wspólnego życia usiłowałby utrzymać to przede mną w sekrecie - tak jak mu się to całkiem skutecznie udawało przez te ostatnie trzy miesiące? Czy na koniec czekałoby nas to, co cioteczno dziadka Teda i cioteczną babcię Olivie - rozgoryczenie, rozwód, finansowa niewypłacalność i osobne życie -jedno w Cleveland, a drugie w Reno?

Nie mogę pozwolić na coś takiego. Ja na to nie pozwolę.

Nie mogę wrócić do domu Marshallów. I to już wszystko na ten temat. To znaczy, oczywiście, muszę tam jechać po swoje rzeczy. Ale nie mogę tam dzisiaj nocować. Nie na tym posłaniu z płyt MDF, na tym samym łóżku, na którym kochaliśmy się z Andrew... Na łóżku, na którym zrobiłam mu tę laskę.

Tę laskę, którą chcę teraz odzyskać z powrotem.

I zaczyna do mnie docierać, że nie muszę tam dzisiaj spać. Bo mam dokąd jechać.

Wstaję tak raptownie, że kręci mi się w głowie. Chwieję się na nogach, trzymając za głowę, kiedy Jamal wraca ze szklanką wody dla mnie.

- Proszę pani? - mówi z niepokojem.

- Och! - wzdycham, widząc wodę. Wyrwam mu szklankę i duszkiem wypijam jej zawartość. Nie chciałam być niegrzeczna, ale głowa mi pęka. -Dziękuję serdecznie - mówię, kiedy już się napiłam. I oddaję mu szklankę. Zaczynam się lepiej czuć.

- Czy mógłbym do kogoś w pani imieniu zadzwonić? - pyta.

Naprawdę, jest taki uprzejmy. Taki troskliwy! Czuję się prawie tak, jakbym była z powrotem w Ann Arbor. Pomijając ten angielski akcent.

- Nie - mówię. - Ale jest coś innego, w czym mógłby mi pan pomóc.

Muszę się dowiedzieć, jak się dostać do Francji Eurotunelem.

## Część 2

*W rewolucji francuskiej pod koniec XVIII wieku nie chodziło wyłącznie o obalenie monarchii przez prosty lud i ustanowienie demokracji i republikanizmu. Nie! Chodziło również o modę, czyli uprzywilejowani (którzy preferowali pudrowane peruki, sztuczne pieprzyki na twarzy i krynoliny, czasami sięgające pięciu metrów w obwodzie) kontra społecznie poszkodowani (którzy nosili buty z grubej skóry, wąskie spódnice i niebarwione płótno). W tym powszechnym powstaniu, jak wiadomo, biedniejsi zwyciężyli.*

*Ale moda przegrała.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## Rozdział 9

*Dobrych rozmówców znajdziesz wyłącznie w Paryżu.*

Franciszek Villon (1431-1463), francuski poeta

Ciągnę walizkę na kółkach przejściem w pociągu linii Paryż-Suillac i usiłuję nie płakać. Nie ze względu na walizkę. No cóż, w pewnym sensie przez nią. No bo to przejście jest bardzo wąskie, a ja mam na ramieniu torbę podróżną i muszę tak jakoś iść bokiem, jak krab, żeby nie walić nią ludzi po głowach, kiedy szukam - najwyraźniej bezskutecznie - miejsca w pierwszej klasie, dla niepalących, przodem do kierunku jazdy.

Gdybym paliła i gdybym nie miała nic przeciwko siedzeniu tyłem do kierunku jazdy, już bym wygodnie siedziała. Niestety, nie palę i boję się jeździć tyłem do kierunku jazdy, bo mogłoby mi się zrobić niedobrze. Zresztą jestem pewna, że robi mi się niedobrze, bo robi mi się niedobrze odkąd obudziłam się w Paryżu - po tym, jak zdrzemnęłam się na moim wygodnym siedzeniu w pociągu z Londynu, niczym babcia, kiedy wypije a dużo sherry - i zdałam sobie sprawę, co narobiłam.

A mianowicie, wyruszyłam w samotną podróż przez całą Europę, nie mając pojęcia, czy faktycznie uda mi się znaleźć miejsce, a co dopiero osobę, której szukam. Zwłaszcza że Shari nadal nie odbiera komórki, nie mówiąc już o tym, że nie oddzwania.

Możliwe, że robi mi się niedobrze także dlatego, że jestem tak niesamowicie głodna, że ledwie widzę na oczy. Od śniadania zjadłam tylko jabłko, które sobie kupiłam na stacji Waterloo, bo to było jedyne sensowne jedzenie bez dodatku pomidorów, które tam sprzedawali. Gdybym mogła zjeść baton Cadbury albo kanapkę z jajkiem i pomidorem, nie byłabym teraz głodna.

Mam nadzieję, że w pociągu będzie wagon restauracyjny. Ale zanim zacznę go szukać, muszę znaleźć sensowne miejsce, gdzie będę mogła zostać swoje rzeczy.

A to się okazuje niełatwe. Walizka jest tak szeroka i nieporęczna, że uderzam nią ludzi po kolanach, kiedy ich mijam, chociaż przepraszam jak szalona: Pardonnez-moi mówię do nich, kiedy ich nie częstuję kolejnymi: Excusez-moi.

Nikt chyba tych moich przeprosin nie docenia. Może to dlatego, że wszyscy są Francuzami, a ja jestem Amerykanką i nikt tutaj chyba nie lubi Amerykanów. A przynajmniej, sądząc po sposobie, w jaki ten dzieciak siedzący obok mnie na miejscu dla palących, tyłem do kierunku jazdy, które udało mi się przedtem znaleźć, odezwał się: „Etez-vous Americaine” - takim zde gustowanym tonem, kiedy podsłuchał, jak zostawiam kolejną wiadomość dla Shari na jej komórce.

- Hm - mruknęłam. - Owi?

A on jakoś tak się skrzywił i wyciągnął iPoda, nakładając słuchawki i odwracając twarz do okna, żeby nie musieć już na mnie patrzeć.

Vamos a la playa, dała się piosenkarka, którą mogłam wyraźnie dosłyszeć z tych słuchawek. Vamos a la playa.

Wiem, że ta piosenka będzie mi brzęczała w głowie do końca dnia. Albo może powinnam powiedzieć - wieczoru, bo już jest popołudnie, a mój pociąg dojedzie do Souillac dopiero za sześć godzin.

To dlatego wyruszam na poszukiwanie innego miejsca. Jak mam spędzić sześć godzin, siedząc obok siedemnastoletniego smarkacza w T-shircie z Eminemem, który słucha europopu, nienawidzi Amerykanów i pali?

Jednak wygląda na to, że to było ostatnie wolne miejsce w tym pociągu. Czy ja zdołam stać przez sześć godzin? Bo jeśli tak, to poradzę sobie śpiewająco. W przejściach między wagonami jest mnóstwo miejsca na mnie i na moją potężną walizkę.

Jak to możliwe, że mnie to spotyka? Wszystko wydawało się takie proste, kiedy Jamal, jeszcze w tamtej księgarni, wyjaśnił, co mam robić, żeby się dostać do Francji. Był taki dobrze poinformowany i uprzejmy, że z je-go słów wynikało, że dostanie się z Londynu do miejsca pobytu Shari to błahostka.

Nie wspomniał, oczywiście, o tym, że w tej samej chwili, w której otwierasz usta, żeby się odezwać do kogoś w tym kraju, a oni po akcencie rozpoznają w tobie Amerykankę, i tak od razu odpowiadają ci po angielsku.

I zwykle niezbyt uprzejmie.

Ale nieważne. Udało mi się poruszać zgodnie z oznaczeniami na dworcu Gare du Nord. A przynajmniej na tyle skutecznie, że zdołałam kupić bilet - który zarezerwowałam wcześniej przez telefon - z automatu. Udało mi się znaleźć mój pociąg. Udało mi się wdrapać do pierwszego wagonu pierwszej klasy, do którego dotarłam, i opaść na pierwsze z brzegu wolne miejsce.

Szkoda, że nie zauważyłam tego dymu - i tego, że siedzę zwrócona nie w tę stronę, co trzeba - zanim pociąg faktycznie ruszył.

Trudno mi się wyzbyć uczucia, że to wszystko było bardzo kiepskim pomysłem. Niekoniecznie mówię o szukaniu innego miejsca do siedzenia - już wiem, że to był kiepski pomysł. Chodzi mi o tę całą podróż do Francji. No bo co, jeśli nie uda mi się znaleźć Shari? Co, jeśli jej komórka znów wpadła do jakiejś toalety, tak jak wtedy w akademiku, a ona nie może sobie pozwolić na nową albo w pobliżu nie ma żadnej innej komórki, z której mogłaby skorzystać, i po prostu będzie się musiała obejść bez telefonu do końca swoich wakacji? Jak ja ją wtedy znajdę?

Pewnie mogłabym popytać ludzi, kiedy już dotrę do Souillac, czy wiedzą gdzie jest chateau Mirac. Ale co, jeśli tam nikt nic o chateau Mirac nie słyszał? Shari nie powiedziała, jak daleko jest od stacji do chateau. A jeśli to jest naprawdę bardzo daleko?

Przecież nie mogę zadzwonić do rodziców Shari i pytać ich, czy wiedzą, gdzie ona jest, i jak się z nią skontaktować. Bo wtedy będą pytali, dla-czego chcę to wiedzieć, a jeśli im powiem, to oni powtórzą mojej mamie i tacie, a wtedy rodzice się dowiedzą, że nie ułożyło mi się z Andrew - to znaczy, z Andym - i powiedzą o tym moim siostram.

A one potem już nigdy nie zostawią mnie w spokoju.

O Boże, dlaczego ja się w to wszystko wplątałam? Może powinnam była po prostu zostać u Andy'ego. Nic by mi się nie stało. Sama mogłam sobie jechać do domu Naje Austen i mogłabym zwyczajnie potraktować dom Andy'ego jako bazę wypadową. Nie musiałam wyjeżdżać. Mogłam po-wiedzieć po prostu coś w

rodzaju: „Słuchaj, Andy, nie układa się między nami, bo nie jesteś człowiekiem, za jakiego cię uważałam. Mam do napisania pracę licencjacką, więc po prostu umówmy się, że będziemy się na-wzajem ignorowali przez resztę mojego pobytu tutaj i ja będę się zajmować sobą, a ty się zajmuj sobą”.

Mogłam mu przecież coś takiego powiedzieć. Oczywiście, teraz jest już za późno. Nie mogę wrócić. Nie po tej kartce, którą mu zostawiłam, kiedy dostałam się taksówką do domu - najlepiej zainwestowane piętnaście funtów w moim życiu - żeby zabrać swoje rzeczy. Dzięki Bogu, że nikogo nie było w domu...

I dzięki Bogu, że Andy pomyślał o tym, żeby dać mi klucz dziś rano, zanim wyszliśmy, który to klucz wrzuciłam do skrzynki na listy Marshallów, wychodząc.

O mój Boże. Miejsce! Zwrocone w tę stronę, co trzeba! W wagonie dla niepalących! I obok okna!

Dobrze, zachowaj spokój. Być może ono jest zajęte i ta osoba tylko po-szła skorzystać z toalety czy coś... -

O Jezu, trzepnęłam tę panią w głowę swoją torbą podróżną...

- Je suis desolee, madame - mówię. To znaczy „przepraszam”, prawda?

A zresztą, nieważne. Miejsce! Miejsce!

O mój Boże. Miejsce obok faceta, który z wyglądu jest mniej więcej w moim wieku, ma ciemne kręcone włosy, duże brązowe oczy i szarą, rozpinaną koszulę, która włożona jest w lewisy wytarte we wszystkich właściwych miejscach. I które nosi z plecionym skórzanym paskiem.

To możliwe, że ja umarłam. Że wyzionęłam ducha w przejściach chemin de Jer - umarłam z głodu, odwodnienia i złamanego serca.

I trafiłam do nieba.

- Pardonnez-moi - mówię do tego totalnie seksownego faceta. – Mais est-ce que... est-ce que...

„Czy to miejsce obok pana jest wolne?”- chcę spytać. Ale, oczywiście, po francusku. Tylko że nie mogę sobie przypomnieć słowa: miejsce. Ani: zajęte. Obawiam się, że nigdy nie przerabiałam tej frazy na zajęciach z podstaw francuskiego. A może i ją przerabialiśmy, aleja byłam zbyt zajęta marzeniem na jawie o Andrew - to znaczy, Andym - i akurat tamtego dnia nie uważałam.

A może to dlatego, że ten facet jest tak przystojny, że ja nie mogę myśleć o niczym innym.

- Chcesz tu usiąść?

To właśnie powiedział do mnie facet z siedzenia przy przejściu, wskazując na puste miejsce pod oknem obok siebie.

Idealną angielszczyzną. Idealną amerykańską angielszczyzną.

- O mój Boże! - wybucham. - Jesteś Amerykaninem? Czy to miejsce naprawdę jest wolne? Mogę tu usiąść?

- Tak - mówi ten facet z uśmiechem, który ukazuje idealnie białe zęby. Idealnie po amerykańsku białe zęby.

- Na wszystkie trzy pytania.

I wstaje, żeby mnie przepuścić na miejsce pod oknem.

I nie tylko to, ale jeszcze pochyla się, łapie moją olbrzymią walizkę na kółkach, która dopiero co walnęła tysiąc francuskich rzepek kolanowych w czasie swojej drogi z przeszkodami przez kilka wagonów pociągu, i mówi:

- Pomogę ci.

I najwyraźniej bez wysiłku unosi walizkę i układa ją na jednej z półek nad naszymi głowami.

Okay. Teraz się już rozplakałam.

Bo to nie jest żadna halucynacja, a ja wcale nie umarłam. To się naprawdę dzieje. Wiem, bo właśnie zdjęłam z ramienia swoją torbę podróżną i wepchnęłam ją pod siedzenie, a cała prawa strona ciała mi zdrętwiała, kiedy nagle zniknął zawieszony na niej ciężar. Czy gdybym była martwa, czułabym odrętwienie?

Opadam na siedzenie - miękkie, obite poduszkami siedzenie - i mrugając oczami, patrzę na budynki migające obok torów w nieprawdopodobnym tempie, kompletnie niezdolna uwierzyć w swoje niewiarygodne szczęście. Jakim cudem ten totalny pech, który mnie ostatnio prześladował, mógł się tak odmienić? To nie może być prawda. W tym musi tkwić jakiś haczyk. Po prostu musi.

- Wody? - pyta facet siedzący obok mnie, podając mi plastikową butelkę evian.

Prawie go nie widzę przez te łzy.

- Ty... Ty mi oddajesz swoją wodę?

- Hm - mówi. - Niezupełnie. Przy każdym miejscu jest taka. To pierwsza klasa. Każdy dostaje wodę.

- Och! - wzdycham, bo czuję się jak idiotka (też mi coś nowego...)

Nie zauważyłam przedtem tej wody przy siedzeniu. Pewnie ten francuski dzieciak zwędził moją. Wyglądał na typka, który kradnie komuś wodę.

Biorę wodę od mojego nowego - i znacznie przyjemniejszego - towarzysza podróży.

- Dziękuję - mówię. - Przepraszam. To był... to był długi dzień.

- Widzę. Chyba że zawsze płaczesz w pociągach.

- Wcale nie. - Kręcę głową i pociągam nosem. - Naprawdę.

- No cóż, dobrze wiedzieć. Oczywiście, słyszałam o lęku przed lataniem. Ale nigdy nie słyszałam o strachu przed pociągami.

- Miałam okropny dzień - wyjaśniam, otwierając wodę. - Naprawdę. Nie uwierzyłbyś. Tak miło posłuchać amerykańskiego akcentu. W głowie mi się nie mieści, jak nas tu wszyscy nienawidzą.

- Oni nie są tacy źli - mówi ten facet, znów błyskając idealnie białymi zębami. - Gdybyś widziała, jak tu się zachowuje przeciętny amerykański turysta, pewnie miałabyś na nasz temat takie samo zdanie, co Francuzi. Wypijam duszkiem większość wody. Zaczynam czuć się nieco lepiej - już nie tak, jak żywy truposz. Choć pewnie tak wyglądam. Świetnie, zwłaszcza że teraz, mając okazję przyjrzeć mu się jeszcze bliżej, widzę, że mój sąsiad jest nie tylko przystojny. Z jego twarzy wyczytać można uprzejmość, inteligencję i miłe usposobienie.

Chyba że to tylko pragnienie przeze mnie przemawia.

- No cóż. - Podnoszę dłoń i nadgarstkiem ocieram oczy. Ciekawe, czy tusz nie rozmazał mi się po policzkach. Czy ja dzisiaj użyłam wodoodpornego tuszu? Nawet tego nie pamiętam. - Będę musiała uwierzyć ci na słowo.

- To twój pierwszy raz we Francji? - pyta ze współczuciem. Nawet jego głos jest miły. Dość głęboki i pełen zrozumienia.

- Mój pierwszy raz gdziekolwiek w Europie. No, pomijając Londyn, w którym byłam jeszcze dzisiaj rano. A potem, jak uszkodzona tama wodna, znów zalewam się łzami. Usiłuję nie robić tego głośno. No wiecie, nie szlochać ani nic. Ja po prostu nie mogę pomyśleć o Londynie - nawet nie wybrałam się do Oksfordu! - i się nie załamać.

Sąsiad trąca mnie łokciem. Kiedy otwieram zalane łzami oczy, widzę, że podsuwa mi plastikową torebkę.

- Prażone orzeszki ziemne w miodzie? - pyta.

Głód bierze nade mną górę. Bez słowa zanurzam dłoń w torebce, chwytam garść orzeszków i wpycham je do ust. Nic mnie nie obchodzi, że są prażone w miodzie i pełne węglowodanów. Jestem wygłodniała.

- Czy... czy one też dołączone są do miejsca? - pytam między jednym pociągnięciem nosem a drugim.

- Nie. Są moje. Weź sobie więcej, jeśli masz ochotę.

Mam ochotę. To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadłam. I nie tylko dlatego, że od tak dawna nie jadłam cukru.

- Dzięki - mówię. - I... przepraszam.

- Za co?

- Za to, że tu tak siedzę i płaczę. Zazwyczaj nie zachowuję się w taki sposób, przysięgam.

- Podróże bywają stresujące. Zwłaszcza w obecnych czasach.

- To prawda - przytakuję, biorąc jeszcze trochę orzeszków. - Nigdy nic nie wiadomo. Poznajesz ludzi i oni wydają się bardzo mili. A potem okazuje się, że przez cały czas cię okłamywali, żebyś za nich opłacił czesne na studiach, bo przegrali swoje pieniądze w teksańskiego pokera.

- Myślałem raczej o zamachach terrorystycznych - mówi mój sąsiad nieco suchym tonem. - Ale pewnie to, o czym wspomniałeś, eee... Też może być stresujące.

- Bo jest - zapewniam go przez łzy. - Nawet nie masz pojęcia. On beczelnie mnie okłamywał. Mówił mi, że mnie kocha i tak dalej, ale przez cały czas, jak sądzę, wykorzystywał mnie. To znaczy, Andy - ten facet, którego zostawiłam w Londynie - on się wydawał taki miły, wiesz? Miał zamiar zostać nauczycielem. Powiedział, że chce poświęcić życie na uczenie małych dzieci czytać. Słyszałeś kiedyś o czymś równie szlachetnym?

- Hm - mruczy mój sąsiad.

- Nie. Bo kto w dzisiejszych czasach poświęca się czemuś takiemu? Ludzie w naszym wieku... Ile masz lat?

- Dwadzieścia pięć - zdradza mój towarzysz z lekkim uśmiechem.

- Właśnie. - Otwieram torebkę, szukając w niej chusteczek. - No cóż, nie zauważyłeś, że ludzie w naszym wieku... Wydaje się, że myślą wyłącz-nie o zarabianiu pieniędzy? Okay, nie wszyscy. Ale większość. Nikt już nie chce być nauczycielem ani nawet lekarzem... Zwłaszcza przy tych prywatnych ubezpieczeniach zdrowotnych. Nie ma z tego dużych pieniędzy, Wszyscy chcą być bankierami inwestycyjnymi albo łowcami głów, albo prawnikami... Bo tam kryją się pieniądze. Nic ich nie obchodzi, że nie robią niczego dla ludzkości. Oni chcą mieć tylko rezydencje i bmw, poważnie.

-Albo spłacić swoje pożyczki za studia - wtrąca się mój sąsiad.

-Racja. Ale wiesz, nie musisz iść na najdroższą uczelnię, żeby zdobyć porządne wykształcenie. - Udało mi się znaleźć na dnie torebki zwiniętą w kłębek chusteczkę. Z jej pomocą osuszam łzy. - Edukacja to raczej to, co z nią robisz.

- Nigdy tak na to nie patrzyłem - mówi mój sąsiad. - Ale możliwe, że masz tu trochę racji.

-Tak mi się wydaje. - Budynki, które przelatywały za oknem, ustąpiły miejsca polom. Niebo robi się czerwono-złote, kiedy słońce zaczyna się zbliżać do horyzontu po zachodniej stronie. - Bo ja wiem, jak to wygina. Znam to z autopsji. Jeśli studiujesz coś takiego jak... sama nie wiem... historię mody, na przykład - ludzie uważają cię za dziwadło. Nikt już nie chce zajmować się kreatywnymi rzeczami, bo to zbyt ryzykowne. Mogą nie osiągnąć satysfakcjonujących zysków z inwestycji w swoją edukację, które, ich zdaniem,



się im należą. Więc wszyscy zaczynają zajmować się biznesem albo księgowością, albo prawem... albo szukają głupich młodych Amerykanek, z którymi chcą się ożenić, żeby na nich żerować.

- Brzmi to tak, jakbyś mówiła z własnego doświadczenia - oświadcza mój sąsiad.

-Przypuśćmy, że masz rację? - papłę. Wiem, że papłę. Ale nie bardzo umiem się powstrzymać. Tak samo, jak nie mogę powstrzymać łez, które nadal spływają mi po policzkach. - No bo co za człowiek - no wiesz, jeśli chcesz zostać nauczycielem - pracuje jako kelner i jednocześnie pobiera zasiłek dla bezrobotnych?

Mój sąsiad zdaje się nad tym zastanawiać.

-Taki, który ma finansowe kłopoty?

-Można tak pomyśleć- mówię, wydmuchując nos w chusteczkę.- A co, gdybym ci powiedziała, że to także człowiek, który przegrał wszystkie swoje pieniądze w teksańskiego pokera, a potem poprosił swoją dziewczynę, żeby zapłaciła za niego czesne, a poza tym, jakby tego wszystkiego jeszcze było mało, powiedział całej swojej rodzinie, że... no, że... że jestem grubaską.

- Ty? - Mój sąsiad jest totalnie zdumiony. - Ale ty nie jesteś. To znaczy, gruba.

- Teraz już nie - mówię z cichym szlochem. - Ale byłam. Kiedy się poznaliśmy. Jednak od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, straciłam piętnaście kilo. Ale nawet gdybym była gruba, nie powinien był opowiadać o tym ludziom! Nie, jeśli naprawdę mnie kochał. Prawda? Gdyby na-prawdę mnie kochał, nie zauważyłby nawet, że byłam gruba. Albo by zauważył, ale to by nie miało dla niego żadnego znaczenia. A skoro tak, to nie miałby powodu mówić o tym rodzinie.

- To prawda - potakuje sąsiad.

- Ale on to zrobił. Powiedział im, że jestem gruba! -Teraz łzy płyną strumieniem. - A kiedy tam przyjechałam, oni wszyscy mówili: „Nie jesteś gruba! ”Wtedy się zorientowałam, że on coś o tym mówił. A potem facet sobie idzie i przegrywa w karty pieniądze swoich rodziców, swoich ciężko pracujących rodziców, które dali mu na studia! Bo jego matka, jego biedna matka! Powinieneś ją zobaczyć. Jest pracownikiem socjalnym i zrobiła mi to niesamowite śniadanie i tak dalej. I pomijam, że nie lubię pomidorów, a we wszystkim, co przygotowała, były pomidory. A to kolejny znak, że Andy nigdy mnie nie kochał, mówiłam mu wyraźnie, że nie lubię pomidorów, ale on nie zwracał na to uwagi. To tak, jakby zupełnie mnie nie znał. No bo wysłał mi maila ze zdjęciem swojego gołego tyłka. Z jakiego powodu jakiś facet miałby sobie pomyśleć, że jakaś dziewczyna chciałaby dostać zdjęcie jego nagiego tyłka? Dlaczego on w ogóle uznał, że można zrobić coś takiego?

- Naprawdę nie mam pojęcia - oświadcza sąsiad.

Wydmuchuję nos.

- Ale to jest właśnie typowy przykład bezmyślności Andy'ego. Najbardziej mnie w tym wszystkim przeraża, że jest mi go żal. Poważnie. Nie wiedziałam o wyłudzeniu zasiłku ani że opowiadał wszem wobec, że jestem gruba, ani że chciał mnie wykorzystać, żeby spłacić swoje długi karciane. A najgorsze jest to, że... O Boże, przecież nie mogę być jedyną osobą, której się to w życiu przytrafiło, prawda? No bo czy nigdy nie wydawało ci się, że kogoś kochasz, i robięś z tą osobą rzeczy, których później żałowałaś? I nie miałaś potem wrazenia, że chciałbyś te rzeczy cofnąć, tylko że to niemożliwe?

- O jakiego typu rzeczach mówisz? - chce wiedzieć mój towarzysz.

- Och! - wzdycham. To zadziwiające, ale zaczynam się czuć nieco lepiej. Może to dzięki wygodnemu siedzeniu albo złotawej wieczornej zorzy, zalewającej wagon, w połączeniu ze spokojnym wiejskim krajobrazem, który mijamy. A może chodzi o to, że wreszcie trochę nawodniłam organizm. Może to ten cukier w orzeszkach ziemnych.

A może jednak wiarę w siebie przywraca mi wypowiedzenie tego, co mi się przytrafiło, na głos. No bo każdy mógłby się dać nabrać takiemu sprytnemu kombinatorowi jak Andrew - to znaczy, Andy. Każdy. No, może nie mój sąsiad, bo on jest facetem. Ale każda dziewczyna.

- Wiesz, o jakie rzeczy mi chodzi. - Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie podsłuchuje. Wszyscy inni pasażerowie drzemią, słuchają czegoś przez słuchawki albo są zbyt francuscy, żeby mnie zrozumieć. Ale i tak niżam głos. - Laska - mówię bezgłośnie, a znacząco.

- Wow - mówi mój sąsiad, unosząc obie ciemne brwi.

Chodzi o to, że on jest Amerykaninem. Moim rówieśnikiem. I jest taki miły. Czuję się totalnie swobodnie, rozmawiając z nim o tym, bo wiem, że nie będzie mnie osądzał.

Poza tym przecież ja go już nigdy więcej nie zobaczę.

- Jako facet nie masz o tym pojęcia. Zaraz, zaraz, a może jednak masz? Jesteś gejem?

Omam się nie krztusi wodą, którą właśnie popija z butelki.

- Nie! Czyja wyglądam na geja?

- Nie - mówię. - Ale mój gejdar nie działa najlepiej. Przed Andym byłam związana z kimś, kto rzucił mnie dla swojego kumpla z pokoju. Dla faceta.

- No cóż, nie jestem gejem.

- No bo problem w tym, że nie dowiesz się, o co chodzi, póki jej komuś nie zrobisz. To nie byle co.

- Ale co nie jest byle co?  
- Laska - szepczę znowu.  
- Ach - mówi sąsiad. - Jasne.  
- Ja wiem, że wy, faceci, wszyscy je lubicie, ale to nie jest wcale takie łatwe. A poza tym, czy on chociaż próbował w jakikolwiek sposób mi się odwdziaczyć? Skąd! Oczywiście, że nie! Nie, żebym o to nie zadbała. To znaczy, o swoją przyjemność. Ale i tak. To po prostu brak uprzejmości. Zwłaszcza że zrobiłam to tylko z litości.  
- Laska... z litości? - Mój sąsiad ma przedziwny wyraz twarzy. Trochę taki, jakby wstrzymywał się od śmiechu. Albo jakby nie mógł uwierzyć, że w ogóle prowadzi tę rozmowę. A może i jedno, i drugie. Fajnie, teraz będzie miał zabawną historię do opowiedzenia rodzinie po powrocie do domu. Jeśli jest z takiej rodziny, w której można opowiadać o robieniu laski. W przeciwieństwie do mnie, niestety. No, poza, ewentualnie, babcią.  
- Zrobiłam to dla niego z litości, bo nie mógł dojść do końca. Ale teraz zdaję sobie sprawę, że on tylko udawał, że nie może. On symulował! Po to, żebym mu zrobiła laskę! Czuję się okropnie wykorzystana. Mówię ci... Ja ją chcę z powrotem.  
- Tę... laskę? - pyta on.  
- Dokładnie. Gdybym tylko jakimś sposobem mogła ją odzyskać.  
- No cóż - mówi mój sąsiad. - Chyba to ci się udało. Zostawiłaś go. Jeśli to nie jest odebranie już zrobionej komuś laski, to ja już nie wiem, jak inaczej to załatwić.  
- To nie to samo - mówię przygnębiona.  
- Billets. - Widzę, że ktoś w mundurze stoi w przejściu między fotela-mi. - Billets, s'il vou plait.  
- Masz bilet? - pyta mnie mój towarzysz.  
Kiwam głową i otwieram torebkę. Udaje mi się znaleźć bilet i podaję go facetowi. Sekundę później konduktor idzie dalej, a mój sąsiad zasypuje mnie pytaniami:  
- Widzę, że jedziesz do Souillac. Z jakiegoś szczególnego powodu? Znasz tam kogoś?  
- Do mojej najlepszej przyjaciółki, Shari. Ma się tam ze mną spotkać. Na stacji. O ile odbierze moją wiadomość. Nawet nie wiem, czy ją odebrała, bo jakoś ciągle nie odbiera telefonu. Bo pewnie znów jej wpadł do toalety. Bo jej się zawsze zdarzają takie rzeczy.  
- A zatem... Shari nawet nie wie, że przyjeżdżasz?  
- Nie. To znaczy, ona mnie zaprosiła. Ale ja odmówiłam. Bo wtedy myślałam, że jeszcze się jakoś ułoży z Andym. Ale okazało się, że to niemożliwe.  
- No cóż, na pewno nie z twojej winy.  
Spoglądam na niego. Słońce, wpadające przez okna wagonu, zabarwiło na złoto jego profil. Zauważam, że ma naprawdę długie rzęsy. Trochę jak dziewczyna. A poza tym usta ma bardzo pełne i soczyste. W taki przyjemny sposób.  
- Jesteś naprawdę miły - mówię. Łzy już mi wyschły. To niesamowite jak terapeutyczny skutek może mieć opowiedzenie o wszystkich swoich problemach komuś nieznanemu. Nic dziwnego, że tyłu moich rówieśników korzysta z terapii. - Dzięki, że mnie wysłuchałeś. Chociaż muszę ci się wydawać kompletnie psychotyczną osobą. Założę się, że się zastanawiasz, czym sobie zasłużyłeś, żeby siedzieć obok takiej kompletnej świruski.  
- Uważam, że masz za sobą bardzo niemiłe chwile - mówi sąsiad z uśmiechem. - I masz pełne prawo być trochę nerwowa. Ale nie uważam cię za świruskę. A przynajmniej, nie totalną.  
- Naprawdę? - Poza uroczymi rzęsami i ustami ma jeszcze naprawdę ładne dłonie. Silne i czyste - opalone - i tylko leciutko porośnięte na grzbietach ciemnymi włoskami. - Nie chcę, żebyś myślał, że nic, tylko robię laski wszystkim facetom, bo mi ich żal. Tak nie jest, naprawdę. To była moja pierwsza. Pierwsza w życiu.  
- Serio? Wielka szkoda. Właśnie miałem zamiar opowiedzieć ci o tym, że wychowałem się w rumuńskim sierocińcu.  
Gapię się na niego.  
- Jesteś Rumunem?  
- To był żart. Żebyś mnie pożałowała. I zrobiła mi...  
- Już chwytam - mówię. - Zabawne.  
- Niezupełnie - powiada sąsiad i wzdycha. - Nie umiem żartować. Nigdy nie umiałem. Słuchaj, nie jesteś głodna? Chcesz iść do wagonu restauracyjnego? Do Souillac jeszcze daleka droga, a zjadłaś już wszystkie orzeszki.  
Patrzę na pustą torebkę, którą trzymam na kolanach.  
- O mój Boże. Bardzo cię przepraszam! Byłam wygłodniała... Tak, chodźmy do wagonu restauracyjnego. Postawię ci obiad. Za te orzeszki-I za ten płacz. I opowiadanie o laskach. Naprawdę przepraszam.  
- To ja zabiorę cię na obiad. Żeby ci wynagrodzić niedawne złe traktowanie przez jednego z przedstawicieli mojej płci. Co ty na to?  
- Hm - mruczę. - W porządku. Ale... Ja nawet nie wiem, jak się nazywasz. Ja jestem Lizzie Nichols.

- Jean-Luc de Villiers - mówi mężczyzna, wyciągając do mnie prawą rękę. - I uważam, że powinnaś wiedzieć, że jestem bankierem inwestycyjnym. Ale nie właścicielem rezydencji ani bmw. Przysięgam. Odruchowo biorę jego rękę, ale zamiast ją uściskać, po prostu się na niego gapię, podenerwowana.

- Przepraszam. Nie miałam zamiaru... Jestem pewna, że nie wszyscy bankierzy inwestycyjni są tacy źli...

- Nie ma sprawy - mówi Jean-Luc, ściskając moją dłoń. - Większość z nas jest zła. Tylko ja jeden nie. A teraz chodź. Pójdziemy coś zjeść.

Palce ma ciepłe i tylko troszkę szorstkie. Spoglądam na niego, zastanawiając się, czy ta różana poświata, którą widzę dokoła niego, naprawdę powstała dzięki zachodzącemu słońcu, czy też, jakimś cudem, on jest aniołem zesłanym mi z nieba na pomoc.

Nigdy nic nie wiadomo. Nawet bankier inwestycyjny mógłby być aniołem. Bóg działa tajemniczymi metodami.

*„Empirowa talia” - odcięta pod biustem - została spopularyzowana przez żonę Napoleona Bonaparte, Józefinę, która w czasie panowania swojego męża na cesarskim tronie, począwszy od 1804 roku, faworyzowała „klasyczny” styl rodem z greckiej sztuki i naśladowała podobne do tóg szaty przedstawiane na starożytnej ceramice.*

*Żeby wyglądać jak postaci z tej ceramiki, wiele młodych kobiet zanurzało halki w wodzie, żeby podkreślić kształt nóg ukrytych pod mokrymi tkaninami. Wierzy się, że to w tej tradycji należy szukać źródeł współczesnych konkursów „mokrego podkoszulka”.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## **Rozdział 10**

*Sposobem na przyciągnięcie i podtrzymanie zainteresowania mężczyzny było rozmawiać o nim, a potem stopniowo sprowadzić konwersację na temat samej siebie - i tam już ją utrzymać.*

Margaret Mitchell (1900-1949), amerykańska pisarka

On nie jest aniołem. Chyba że anioły rodzą się i wychowują w Houston, bo stamtąd pochodzi.

Poza tym anioły nie miewają dyplomów Uniwersytetu Pensylwania, tak jak Jean-Luc.

No i anioły nie miewają rodziców, którzy są w trakcie paskudnego rozwodu, tak jak rodzice Jean-Luca, więc kiedy chcą odwiedzić swojego ojca - tak jak Jean-Luc, który wziął kilka tygodni urlopu z pracy w firmie inwestycyjnej Lazard Freres - nie muszą jechać taki kawał drogi aż do Francji, bo tam mieszka tata Jean-Luca, Francuz.

Poza tym aniołowie opowiadają lepsze dowcipy. Nie okłamywał mnie w sprawie swoich żartów. Rzeczywiście opowiada je kiepsko.

Ale to nic. Bo ja wolę towarzystwo kogoś, kto opowiada kiepskie dowcipy, ale pamięta, że nie cierpię pomidorów, od uprawiających hazard wyłudza czy zasiłku dla bezrobotnych, którzy tego nie pamiętają.

Bo Jean-Luc pamięta, że nienawidzę pomidorów. Kiedy wróciłam z damskiej łazienki (obrazowo określanej we francuskich pociągach jako „toaleta”), dokąd poszłam naprawić zniszczenia dokonane na mojej twarzy przez łzy - na szczęście wystarczyło nałożyć nowy eyeliner, korektor pod oczy, szminke i puder i przeczesać nieco włosy - zobaczyłam kelnera stojącego przy naszym stoliku i odbierającego zamówienie. Jean-Luc zamawia sam, bo jako w połowie Francuz, po francusku mówi płynnie. I szybko. Nie chwytam wszystkiego, co mówi, ale parę razy wyławiam pas de tomates.

Co według mojej francuszczyzny rodem z letniego kursu językowego znaczy „bez pomidorów”.

Z trudem się powstrzymuję, żeby znów nie zalać się łzami. Bo Jean-Luc przywraca mi wiarę w mężczyzn. A więc są na świecie mężczyźni mili, zabawni i totalnie przystojni. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich szukać... I najwyraźniej, gdzie nie szukać. To znaczy pod damskim prysznicem we własnym akademiku.

Tego znalazłam w pociągu... Co znaczy, że kiedy z niego wysiądę, pewnie już nigdy więcej go nie spotkam. Ale to mi nie przeszkadza. Wszystko w porządku. No bo czego mogę się spodziewać? Że z jednego związku płynnie przejdę w kolejny? Przecież to wręcz niezdrowe. I nie miałoby najmniejszych szans na przetrwanie, skoro wyraźnie jeszcze nie doszłam do siebie po Andym.

Poza tym sami wiecie. Takie tam, o tych statkach mijających się nocą.

No i jest jeszcze fakt, że opowiedziałam mu o tej lasce. (Dlaczego? Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego muszę być największą gadułą w całym wszechświecie?)

Ale nieważne. On jest po prostu taki... słodki. I nie jest żonaty - nie nosi obrączki. Może ma jakąś dziewczynę - zresztą taki słodki facet nie może nie mieć dziewczyny - ale jeśli ją ma, to nic o niej nie mówi.

To dobrze. Bo dlaczego miałabym chcieć siedzieć tutaj i słuchać, jak ten totalnie słodki facet opowiada mi o swojej dziewczynie? No bo przecież gdyby zaczął o niej opowiadać, musiałabym słuchać, skoro on tak cierpliwie słuchał, kiedy opowiadałam mu o Andym.

Ale rozumiecie. Cieszę się, że tego nie robi.

Zamawia wino do obiadu, a kiedy nam je przynoszą i kelner nalewa, Jean-Luc unosi kieliszek, stuka się ze mną i mówi:

- Za laski.

O mało się nie krztuszę pieczywem, którym się opycham. Bo chociaż jedziemy pociągiem, to jednak jedziemy pociągiem francuskim, więc jedzenie jest niesamowite. A przynajmniej pieczywo. Tak niesamowite, że w żaden sposób nie mogę się powstrzymać. Idealnie chrupiąca skórka i ciepły, miękki miąższ? Jak miałabym się oprzeć? Jasne, że pożałuję później, kiedy dżinsy w rozmiarze dziewięć nie będą mi się chciały dopiąć.

Ale na razie nadal jestem w niebie. Bo jak na tak kiepskiego opowiadacza dowcipów, Jean-Luc i tak jest całkiem zabawny.

I brakowało mi pieczywa. Naprawdę bardzo brakowało.

- Za laski, których zwrotu pragniemy - poprawiam go.

- Mogę się tylko modlić - powiada Jean-Luc - żeby żadna kobieta na świecie nie żałowała kiedyś, że zrobiła mi laskę.

- Och - mówię, delikatnie kładąc wiórek masła na kawałku swojej bułki i patrząc, jak roztopia się na ciepłym miąższu. - Jestem pewna, że nie ma taki ej. To znaczy, nie wydajesz mi się wyzyskiwaczem.

- Ale on też się nie wydawał. Zaraz, jak on miał na imię? Chłopak od tej laski?

- Andy - mówię i się rumienię. Boże, dlaczego ja w ogóle wszystko mu opowiadam? - Zresztą instynkt mnie zmylił w przypadku Andy'ego. To przez ten akcent. I ciuchy. Gdyby był Amerykaninem, nigdy bym się nim nie zainteresowała. I nie nabrałabym się na jego kłamstwa.

- Ciuchy? - pyta Jean-Luc, kiedy kelner przynosi moje medaliony wieprzowe z grilla i jego łosiosia gotowanego na parze.

- Jasne - mówię. - Można mnóstwo powiedzieć o facecie na podstawie tego, w co się ubiera. Ale Andy był Brytyjczykiem, więc trochę mnie to zbiło z tropu. No bo póki tam nie pojechałam, myślałam, że w Anglii wszyscy noszą Tshirty Aerosmith, jak Andy tamtego wieczoru, kiedy go poznałam.

Jean-Luc unosi brwi.

- Aerosmith?

- No właśnie. Oczywiście, zakładałam, że on to robi dla żartu albo dla tego, że wszystko inne ma akurat w praniu. Ale potem przyjechałam do Londynu i zobaczyłam, że on się rzeczywiście tak ubiera. Nie ma w tym nic luzackiego. Gdyby wszystko się między nami ułożyło, pewnie w końcu bym go przekonała do porządnego ubrań. Ale... -Wzruszam ramionami. A to taki bardzo francuski gest, jak zauważyłam. Wszystkie inne panie w wagonie restauracyjnym też wzruszają ramionami i mówią: ouais, co odpowiada w slangowym francuskim: oui, jak się dowiedziałam z egzemplarza *Jedźmy do: Francja*, który kupiłam od Jamala i pobieżnie przejrzałam, zanim pomknęłam Eurotunelem.

- A więc twierdzisz - odzywa się Jean-Luc - że umiesz określić, jaki ktoś jest, sądząc tylko po tym, w co się ubiera?

- Absolutnie - mówię, zabierając się do swojej wieprzowej poledwiczki. Która jeśli mogę coś dodać, jest pyszna, nawet według standardów nie-pociągowego jedzenia. - Ludzkie ubranie tak wiele zdradza. Na przykład, weźmy ciebie.

Jean-Luc uśmiecha się szeroko.

- Dobra, strzelaj.

Patrzę na niego i mrużę oczy.

- Jesteś pewien?

- Jakoś się z tym uporam - zapewnia mnie Jean-Luc.

- No cóż... dobrze.- Przyglądam mu się.- Sądząc po tym, że chowasz koszulę do środka dżinsów, a to lewisy, wątpię, żebyś miał jakiegokolwiek dżinsy innej marki, jesteś człowiekiem zadowolonym ze swojego ciała i obchodzi cię własny wygląd, ale nie jesteś próżny. Prawdopodobnie nie zastanawiasz się zbyt długo nad swoim wyglądem, ale rano zerkasz do lustra, kiedy się golisz, i może jeszcze sprawdzasz, czy nie wystają ci jakieś metki. Ten pasek ze skórzanej plecionki jest swobodny i dyskretnie elegancki, ale założę się, że sporo kosztował, to znaczy, że chętnie płacisz za jakość, ale nie masz ochoty się nią popisywać. Koszulę masz od Hugo, nie Hugo Bossa, co znaczy, że przynajmniej trochę chciałbyś się odróżnić od innych, i nosisz buty do jazdy samochodem Cole Haan, ale bez skarpetek, czyli lubisz wygodę, nie niecierpliwi cię konieczność czekania w kolejce, nie masz nic przeciwko temu, żeby jakieś dziwne nieznane ci dziewczyny przysiadły się do ciebie w pociągach i wyplakiwały ci się w mankiet, i że nie masz też żadnych problemów z zapaskiem związanym z wydzieleniem gruczołów potowych. Aha, i nosisz zegarek Fossil, co oznacza, że jesteś wysportowany, założę się, że dla utrzymania formy lubisz pobiegać, i że lubisz gotować.

Odkładałam widelec i spoglądałam na niego.

- I jak mi poszło?

- Udało ci się to wszystko wywnioskować - pyta z niedowierzaniem Jean-Luc - tylko na podstawie moich ciuchów?

- No cóż - wyjaśniam, popijając łyk wina - to wszystko, i jeszcze fakt, że nie cierpisz na kompleks niższości na tle seksualnym, bo nie używasz wody kolońskiej.

Jean-Luc mówi:

- Pasek kupiłem za dwieście dolarów, koszule Hugo Bossa dziwnie na mnie leżą, w skarpetkach za gorąco mi w stopy, przebiegam pięć kilometrów dziennie, nienawidzę wód kolońskich i robię najlepsze omlety z dymką i serem, jakie kiedykolwiek próbowałam.

- Nie mam więcej pytań do świadka - podsumowuję i zabieram się do sałatki z zielonych warzyw, którą właśnie przyniósł nam kelner. Pełno w niej sera pleśniowego i kandyzowanych włoskich orzechów.

Mniam, kandyzowane orzechy włoskie.

- Ale tak poważnie? - pyta Jean-Luc. - Jak ty to robisz?

- To taki talent - mówię skromnie. - Coś, co zawsze potrafiłam robić. Tyle że, jak widać, nie zawsze się ujawnia. Wydaje mi się, że zawodzi mnie wtedy, kiedy jest mi najbardziej potrzebny: jeśli facet ma ambiwalentne podejście do własnej seksualności, totalnie nie umiem tego stwierdzić po jego ciuchach. Chyba że, rozumiesz, wkłada coś mojego. I tak jak mówiłam, Andy to obcokrajowiec. To mnie zmyliło. Następnym razem będę mądrzejsza.

- Przy następnym Brytyjczyku? - pyta Jean-Luc, znów unosząc brwi.

- Nie - odpowiadam. - Już nie będzie żadnych Brytyjczyków. Chyba że chodzi o członków rodziny królewskiej, oczywiście.

- Mądra strategia - kwituje Jean-Luc.

Dolewa mi wina i pyta, jakie mam plany po powrocie do Stanów. Opowiadam mu o tym, że zamierzałam zostać w Ann Arbor i czekać, aż Andy zrobi dyplom. Ale teraz...

Nie wiem, co zrobić.

A potem zaczynam mu opowiadać - temu nieznanemu, który postawił mi obiad - o swoich obawach, że kiedy zdecyduję się i pojadę z Shari do Nowego Jorku, to ona mnie w końcu zostawi na lodzie i zamieszka ze swoim chłopakiem, bo Chaz pewnie się wybierze na Uniwersytet Nowojorski, żeby zrobić doktorat z filozofii, a ja wtedy będę musiała dzielić mieszkanie z kimś kompletnie obcym. I że tak naprawdę nie mam jeszcze dyplomu, bo nie skończyłam (ani nawet na dobre nie zaczęłam) pisać pracy licencjackiej, więc pewnie nawet nie mogłabym zdobyć w Nowym Jorku pracy w interesującej mnie dziedzinie - jeśli w ogóle istnieją jakieś posady dla osób z licencjatem z historii mody - i prawdopodobnie skończy się na tym, że będę pracowała w Gap, co jest moim wyobrażeniem piekła na ziemi. Wszystkie te T-shirty z krótkimi rękawka-mi, każdy dokładnie taki sam jak reszta, i ludzie mieszkający ze sobą dzins o różnym stopniu wytarcia. Mogę tego nie przeżyć.

- Jakoś - mówi Jean-Luc - nie bardzo mogę sobie ciebie wyobrazić przy pracy w Gap.

Opuszczam wzrok na moją letnią sukienkę Aleksa Colmana i mówię:

- Masz rację. Sądzisz, że jestem szalona?

- Nie, podoba mi się ta sukienka. Jest taka trochę... retro.

- Nie, chodzi mi o to, że miałam zamiar siedzieć w Ann Arbor, póki Andy nie zrobi dyplomu, i mieszkać w domu. Shari mówi, że sprzeniewierzyłam się swoim feministycznym zasadom, podejmując taką decyzję.

- Moim zdaniem nie sprzeniewierzasz się swoim feministycznym zasadom - mówi Jean-Luc - chcąc być blisko kogoś, kogo naprawdę kochasz.

- Okay - mówię. - Ale co ja teraz zrobię? To szaleństwo przeprowadzać się do Nowego Jorku, nie mając tam pracy ani mieszkania.

- To nie jest szalone, tylko odważne. Zresztą wydajesz się całkiem odważną dziewczyną.

Odważną? O mało nie zakrztusiłam się łykiem wina. Jeszcze nigdy nikt mi nie powiedział, że jestem odważna.

A poza wagonem restauracyjnym słońce nadal zachodzi - we Francji latem jest jasno do bardzo późna! - i barwi niebo za zielonymi wzgórzami i lasami, przez które mkniemy, soczystym, zmysłowym różem. Wkoło nas kelnerzy roznoszą talerze z różnymi rodzajami serów, czekoladowe trufle i malutkie kieliszki czegoś na trawienie, a w części dla żałujących pasażerowie leniwie raczą się poobiednimi papierosami, z których dym w tym romantycznym otoczeniu nie śmierdzi ani w połowie tak paskudnie jak, powiedzmy, wtedy kiedy wydobywał się z nozdrzy moje-go byłego chłopaka.

A ja mam wrażenie, że gram w jakimś filmie. To nie jest żadna Lizzie Nichols, najmłodsza córka profesora Nicholisa, niedoszła absolwentka studiów, która całe swoje życie spędziła w Ann Arbor w stanie Michigan i chodziła tylko z trzema facetami (z czterema, jeśli doliczyć Andy'ego).

To jest Elizabeth Nichols, pełna odwagi (!), kosmopolityczna podróżniczka i osoba obyta w świecie, która je obiad w pociągu w towarzystwie idealnego (i to serio idealnego!) nieznanego, z przyjemnością pojadając sery (deska serów!) i sącząc coś, co nazywają pernod, kiedy słońce zachodzi nad migającym za oknami wiejskim krajobrazem...

I nagle, kiedy Jean-Luc jest w połowie opisu własnej pracy magisterskiej, która ma coś wspólnego z morskimi szlakami handlowymi (z całej siły staram się nie ziewać - no ale z drugiej strony, historia mody też by go pewnie nie przyprawiła o euforię), rozdzwania się moja komórka.

Ale na wyświetlaczu pojawia mi się numer zastrzeżony. Co jest dziwne, bo nikomu z zastrzeżonym numerem nie podawałam numeru swojej komórki.

- Przepraszam - mówię do Jean-Luca. A potem, pochylając głowę, odbieram. - Halo?

- Liz?

Zakłócenia i trzaski. Połączenie jest okropne.

Ale to niewątpliwie ostatnia osoba na świecie, z którą chciałabym rozmawiać.

Nie wiem, co mam robić. Po co on do mnie dzwoni? To straszne. Ja nie chcę z nim rozmawiać! Nie mam mu nic do powiedzenia. O kurczę.

- Chwileczkę - mówię do Jean-Luca i odchodzę od stolika, żeby porozmawiać w przejściu za przesuwanyymi drzwiami prowadzącymi do następnego wagonu, gdzie nie będę przeszkadzała reszcie pasażerów.

- Andy? - mówię do telefonu.

- Jesteś wreszcie! - W głosie Andy'ego słychać ulgę. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię słyszę. Nie odebrałaś moich wiadomości? Wydzwaniał na twoją komórkę od rana. Czemu nie odbierałaś?

- Przepraszam, a dzwoniłeś? Nie słyszałam żadnego dzwonka. - To prawda. W Eurotunelu komórki nie działają.

- Nie masz pojęcia, co ja tu przeszedłem - ciągnie Andy. - Wychodzę z tego okropnego biura, a ciebie nie ma. Przez całą drogę do domu myślałem: co, jeśli jej tam nie zastanę? A jeśli coś jej się stało? Mówię ci, chyba naprawdę muszę cię kochać, skoro tak się bałem, że coś się mogło stać zło-go!

Wyrwa mi się niepewny śmiech. Chociaż wcale nie mam ochoty się śmiać.

- Tak - mówię. - Na pewno musisz.

- Liz, Chryste... - ciągnie Andy. Teraz głos ma... spięty. - Gdzie ty jesteś, do kurwy nędzy? Kiedy wracasz do domu?

Spoglądam na coś, co w ukośnych promieniach zachodzącego słońca wygląda jak jakiś zamek na wzgórzu. Ale to, oczywiście, niemożliwe. Przecież zamki nie stoją ot tak, na otwartym terenie. Nawet we Francji.

- Jak to, kiedy wracam do domu? - pytam. - Nie dostałaś mojej kartki?

Zostawiłam kartkę dla pani Marshall i reszty rodziny Andy'ego, dziękując im za gościnność, i osobno liścik dla Andy'ego, w którym wyjaśniłam, że bardzo mi przykro, ale niespodziewanie muszę wyjechać i więcej się z nim nie spotkam.

- Oczywiście, że dostałam, ale jej nie rozumiem.

- Och! - mówię zaskoczona. Mam bardzo wyraźny charakter pisma. Ale płakałam tak rzęsiście, że może pisałam bardziej drżącą ręką, niż mi się wydawało. - No cóż... Tak jak pisałam w tym liście, Andy, naprawdę bardzo mi przykro, ale po prostu musiałam wyjechać. Naprawdę...

- Posłuchaj, Liz. Wiem, że to, co zaszło dziś rano w biurze pośrednictwa pracy, zdenerwowało cię. Bardzo mi przykro, że musiałem cię prosić, żebyś skłamała. Ale nie musiałabyś kłamać, gdybyś od samego początku tyle nie gadała.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - O Boże, to jest okropne. Ja nie chcę tego robić. Nie teraz. I z pewnością nie tutaj. - Wiem, że to wszystko moja wina, Andy. I naprawdę mi przykro. Mam nadzieję, że nie miałeś przeze mnie kłopotów z panem Williamsem.

- No cóż, nie będę cię oszukiwał, Liz - mówi Andy. - Niewiele brakowało. Bardzo niewiele. Ale... Zaraz. Dlaczego mówisz do mnie Andy?

- Bo tak masz na imię - mówię, schodząc z drogi jakimś ludziami, którzy wchodzą przez przesuwane drzwi z innego wagonu i szukają wolnego stolika.

- Ale ty nigdy nie mówiłaś do mnie: Andy. Zawsze nazywałaś mnie Andrew.

- No cóż, sama nie wiem. Chyba teraz wydaje mi się, że Andy do ciebie bardziej pasuje.

- Nie jestem pewien, czy mi się to podoba - mówi Andy smutnym tonem. - Posłuchaj, Liz... Wiem, że wszystko spieprzyłem. Ale nie musiałaś wyjeżdżać. Mogę to wszystko naprawić, Liz. Wierz mi. Sprawy źle się między nami zaczęły i wszyscy fatalnie się z tym czują, a już zwłaszcza ja. Skończyłem z teksańskim pokerem... Przysięgam. A Alex zrezygnował ze swojego pokoju, powiedział, że ty i ja możemy w nim mieszkać razem. Albo, jeśli chcesz, możemy wynieść się gdzie indziej... Gdzieś, gdzie moglibyśmy być sami. Dokąd to chciałaś pojechać? Do domu Charlotte Bronte?

- Naje Austen - poprawiam go.

- A tak, dom Naje Austen. Możemy jechać od razu. Tylko powiedz mi, gdzie jesteś, a ja po ciebie przyjadę. Jakoś się pogodzimy. Wynagrodzę ci to - wszystko ci wynagrodzę - zobaczysz.

- Och, Andy... - mamroczę, czując, że zalewa mnie fala poczucia winy. Jean-Luc płaci rachunek, żeby zwolnić miejsce dla nowych pasażerów, którzy wchodzą do wagonu. - Tylko widzisz... To znaczy, nie będziesz mógł po mnie przyjechać. Bo jestem we Francji.

- Jesteś gdzie? - Andy jest trochę za bardzo zdziwiony, żeby to zdziwienie mogło mi pochlebić. Chyba nie uważa mnie za odważną osobę, w przeciwieństwie do Jean-Luca. A przynajmniej nie na tyle odważną, żeby jechać samotnie do Francji.-Jak ty się tam dostałaś? Co ty tam robisz? Gdzie jesteś? Przyjadę do ciebie.

- Andy - mówię. To jest okropne. Nie cierpię konfrontacji. O ile łatwiej jest zwyczajnie odejść, niż musieć komuś wyjaśniać, że nie ma się ochoty widzieć go więcej na oczy- Chcę... Muszę przez jakiś czas po-być sama. Po prostu potrzebuję czasu, żeby pomyśleć.

- Ale Liz, na litość boską, nigdy wcześniej nie byłaś w Europie. Nie masz zielonego pojęcia, co robisz. Wiesz, to wcale nie jest zabawne. Naprawdę się niepokoję. Powiedz mi po prostu, gdzie jesteś, a ja...

- Nie, Andy - mówię cicho. Jean-Luc idzie w moją stronę z zatroskaną miną.- Słuchaj, nie mogę teraz rozmawiać. Naprawdę muszę kończyć. Bardzo mi przykro, Andy, ale... Jak sam powiedziałeś, popełniłam pomyłkę.

- Wybaczam ci! - krzyczy Andy. - Lizzie! Ja ci wybaczam! Tylko... posłuchaj. Co z pieniędzmi?

- Z... czym? - Jestem tak osłupiała, że o mało nie upuszczam telefonu.

- Z pieniędzmi - mówi nagłym tonem Andy. - Możesz mi przesłać pieniądze?

- Nie mogę o tym w tej chwili rozmawiać, - Jean-Luc podszedł już do mnie. Widzę, że jest naprawdę bardzo wysoki - wyższy od Andy'ego. - Bardzo mi przykro. Do widzenia.

Rozłączam się i przez sekundę czy dwie ćmi mi się w oczach. Nie sądziłam, że zostały mi jeszcze jakieś łzy, a jednak najwyraźniej tak.

- Wszystko w porządku? - słyszę, bo widzieć nie mogę, łagodne pyta-nie Jean-Luca.

- Zaraz mi przejdzie - zapewniam go z większą pewnością, niż faktycznie czuję.

- To był on? - pyta mnie.

Kiwam głową. Nie bardzo mogę złapać oddech. Nie umiem stwierdzić, czy to ze względu na z trudem powstrzymany płacz, czy bliskość Jean--Luca... Która, biorąc pod uwagę, że pociąg chwilami zarzuca, a wtedy jego ramię ociera się o moje, jest dość znaczna.

- Powiedziałaś mu, że jesteś tu ze swoim prawnikiem? - pyta Jean--Luc. - I że on pracuje nad pozwem, w którym zażadasz zwrotu zawłaszczonej laski?

Jestem tak zaszokowana jego żartem, że zapominam, że nie mogę złapać tchu. Zamiast tego zaczynam się szeroko uśmiechać... i w tajemniczy sposób łzy w oczach mi wysychają.

- Zawiadomiłaś go, że jeśli nie uda mu się natychmiast oddać ci tej laski, to nie będziesz miała innego wyjścia, jak podać go do sądu?

Teraz znów mam łzy w oczach, ale ze śmiechu.

- A mówiłaś, że nie umiesz żartować - stwierdzam oskarżycielskim tonem, kiedy przestałam się śmiać na tyle długo, żeby móc złapać oddech.

- Bo nie umiem. - Jean-Luc spogląda ponuro. - To był okropny żart. W głowie mi się nie mieści, że się śmiałaś.

Nadal chichoczę, kiedy siadam na swoim miejscu obok niego, czując przyjemną sytość i coraz większą senność. Usiłuję jednak nie zasnąć, spoglądając na okno po drugiej stronie wagonu, tuż nad głową Jean-Luca, gdzie słońce - które nadal jeszcze nie zaszło do końca - obrysowuje sylwetkę jakiegoś kolejnego zamku.

- Wiesz, to takie dziwne. Ale wydaje mi się, że tam stoi jakiś zamek.

Jean-Luc obraca głowę.

- Bo to jest zamek.

- Niemożliwe - mówię sennym głosem.

- Oczywiście, że tak - powiada Jean-Luc i się śmieje. - Lizzie, jesteś we Francji. Czego się spodziewałaś?

Nie zamków, które stoją, ot, tak sobie i pozwalają się oglądać ludziom z przejeżdżających pociągów. Nie tego zapierającego dech zachodu słońca, który zalewa nasz wagon różaną poświatą. Nie tego idealnie grzecznego, idealnie uroczego mężczyzny, który siedzi obok mnie.

- Nie tego - mruczę. - Nie tego.

Wtedy zamykam oczy.

*Tak zwane empirowe suknie, noszone przez kobiety na początku XIX wieku, często bywały równie przejrzyste jak dzisiejsze koszule nocne. Dla ciepła nosiło się pantalone w cielistym kolorze, wykonane z elastycznej, gęsto tkanej bawełny, sięgające do kostek u nóg albo tuż pod kolano. To dlatego, kiedy patrzy się na portrety z epoki, kobiety w empirowych sukniach zdają się nie mieć pod spodem żadnej bielizny, chociaż pomysł wkładania ubrania na gołe ciało nie przyszedł jeszcze ni-komu do głowy przynajmniej przez dwa kolejne stulecia.*

## Rozdział 11

*Czujemy się bezpieczniej przy szaleńcu, który mówi, niż przy takim, który nie może wydobyć z siebie ani słowa.*

E.M. Cioran (1911-1995), francuski filozof pochodzenia rumuńskiego

Budzę się, kiedy ktoś wypowiada moje imię i łagodnie mną potrząsa. - Lizzie. Lizzie, obudź się. Jesteśmy na twojej stacji.

Otwieram oczy z przestachem. Śnił mi się Nowy Jork - że ja i Shari przeprowadzamy się tam i nie udaje nam się znaleźć lepszego miejsca do spania niż kartonowe pudło na pasie zieleni rozdzielającym autostradę, a ja muszę iść do pracy przy składaniu T-shirtów - całych kilometrów T-shirtów z krótkimi rękawami - w Gap.

Ze zdziwieniem orientuję się, że nie jestem w Nowym Jorku, ale w po-ciągu. We Francji. W pociągu, który zatrzymał się na mojej stacji. A przy-najmniej, o ile można coś wnioskować z napisu za oknem, którego zarys widzę na tle nocnego nieba (kiedy zdążyło się zrobić tak ciemno?). Souillac.

- O nie! - wołam, zrywając się z miejsca. - O nie!

- Wszystko w porządku - mówi Jean-Luc uspokajająco. - Mam tu twoje bagaże.

I rzeczywiście. Moja walizka na kółkach została zdjęta z półki i Jean--Luc przekazuje mi jej rączkę razem z torbą podręczną i torebką.

- Zdązysz - mówi ze śmiechem, widząc moją panikę. - Pociąg nie ru-szy z tobą w środku.

- Och - mamroczę. W ustach mam okropny niesmak po tym winie. W głowie mi się nie mieści, że zasnęłam. Czy oddychałam na niego? Czy on wyczuł mój paskudny oddech po winie? - Przepraszam bardzo. Och! Bardzo miło było ciebie poznać. Dziękuję ci z całego serca za wszystko. Jesteś taki miły. Mam nadzieję, że zobaczę cię kiedyś znowu. Dzięki raz jeszcze...

Wypadam z pociągu, powtarzając po francusku: Pardon, pardon do każ-dego, kogo walę torbą po drodze do wyjścia.

I wreszcie stoję na peronie. Który znajduje się wyraźnie w szczerym polu. A jest środek nocy.

Słyszę wkoło tylko cykanie świerszczy. W powietrzu unosi się leciutki zapach dymu z węgla drzewnego.

Dokoła pasażerowie z mojego pociągu witają się z podekscytowanymi rodzinami i odchodzą do czekających na nich samochodów. W pobliżu cicho warczy silnik autobusu, do którego wsiada reszta pasażerów. Na tablicy na przedniej szybie jest napis: Sarlat.

Nie mam pojęcia, gdzie jest Sarlat. Wiem tylko, że Souillac to raczej nie jest duże miasto. Składa się tylko ze stacji kolejowej. Która jest w tej chwili zamknięta, jeśli sądzić po zatrzaśniętych drzwiach i ciemnych oknach.

Niedobrze. Bo mimo wielu wiadomości, które zostawiałam Shari, informując ją o godzinie mojego przyjazdu, ona nie pofatygowała się mnie odebrać. Tkwię na peronie kolejowym na środku francuskiego odludzia.

Sama. Zupełnie sama, pomijając...

Kogoś, kto koło mnie odchrząka. Obracam się i wpadam - niemal dosłownie - na Jean-Luca. Który stał za mną. A na twarzy ma szeroki uśmiech.

- Witaj ponownie - mówi.

- Co...? - Gapię się na niego. Czy on jest tylko produktem mojej wyobraźni? Czy w pociągu człowiekowi mogą się porobić skrzepy w nogach, a potem przedostać żyłami do mózgu? Jestem prawie pewna, że nie. One się biorą ze zmian ciśnienia w samolotach, prawda?

A więc on naprawdę tu jest. Stoi przede mną. Z długą, niesłychanie wypchaną szarą torbą na ubrania w rękach. A pociąg odjeżdża.

- Co ty tu robisz?! - wrzeszczę. - To nie twoja stacja!

- Skąd wiesz? Ani razu mnie nie spytałaś, dokąd jadę.

Ma absolutną rację, nagle zdaję sobie z tego sprawę.

- Ale... ale... -jąkam się - widziałeś mój bilet. Wiedziałeś, że wysiadam w Souillac. Nie powiedziałeś, że ty też.

- Nie - mówi Jean-Luc. - Nie powiedziałem.

- Ale... dlaczego?

Nagle dopada mnie straszna myśl. Co, jeśli ten czarujący, przystojny Jean-Luc jest jakimś seryjnym mordercą? Który zaleca się do niewinnych amerykańskich dziewcząt w zagranicznych pociągach, wywołuje w nich fałszywe poczucie bezpieczeństwa, a potem je zabija, kiedy wysiadają na swojej stacji docelowej? A jeśli on w tej swojej torbie ma coś w rodzaju kosi albo garotę? Pewnie by się tam zmieściły. Torba jest mocno wypcha-na. O wiele za mocno, żeby zawierać tylko garnitur czy spodnie.



Rozglądam się i widzę, że ostatni samochód wyjeżdża z parkingu - razem z autobusem do Sarlat - i zostajemy na peronie sami. Totalnie sami.

- Chciałem ci powiedzieć, że wysiadam w Souillac - mówi Jean-Luc, kiedy jestem już w stanie skupić się na nim, a nie na tym, że jestem kompletnie pozbawiona jakiegokolwiek ochrony, w razie gdyby chciał mnie zabić. - Ale bałem się, że poczujesz się skrępowana.

- Czym? - pytam.

- No cóż- tłumaczy się Jean-Luc. W jasnym świetle ulicznej latarni, wokół której émy tłuką się niemal tak głośno jak cykające dokoła świerszcze, zaczyna mieć bardzo zawstydzoną minę. Czego on się wstydzi? Bo zdał sobie sprawę, że musi mnie teraz zabić, i wie, że mnie się to nie spodoba? - Nie byłem z tobą do końca szczerzy... No bo brałaś mnie za jakiegoś zupełnie przypadkowego nieznanego z pociągu, któremu możesz się zwierzyć ze wszystkich swoich problemów...

- Naprawdę bardzo cię za to przepraszam. - Mój Boże, co za człowiek zabija innego człowieka tylko dlatego, że ten mu opowiedział w pociągu historię swojego życia? To jest totalnie niemądre. Wystarczyło przecież wyciągnąć książkę i udawać, że czyta czy coś, a ja bym się zamknęła. Prawdopodobnie. - Byłam taka zdenerwowana...

- Ale to było takie zabawne - mówi Jean-Luc i wzrusza ramionami. -. Muszę ci to przyznać, jeszcze nigdy żadna dziewczyna nie usiadła obok mnie w pociągu i nie zaczęła opowiadać o, no cóż, o tym, co zrobiłaś. Nigdy.

To się nie może dziać. Dlaczego opowiedziałam aż tyle o swoim prywatnym życiu kompletnie nieznanemu? Nawet jeśli był totalnie słodki i nosił koszulę Hugo?

- Chyba wyrobiłeś sobie na mój temat niewłaściwe zdanie - oświadczam, powoli się wycofując w stronę schodów na peronie. - Ja nie jestem tego typu dziewczyną. Naprawdę.

- Lizzie - mówi Jean-Luc. Podchodzi do mnie blisko. Nie pozwala mi cofnąć się w stronę schodów. - Nie powiedziałem ci, że wysiadam w Souillac dlatego, że, pomijając, iż o to nie pytałaś, ja nie jestem jakimś przypadkowym nieznanym z pociągu.

No świetnie. To jest właśnie ten moment, kiedy zaczniesz mi opowiadać jakieś psychotyczne bzdury o tym, że znaleźliśmy się w przeszłym życiu. To znów zupełnie jak z T.J. z mojego pierwszego roku. Dlaczego działam jak magnes na dziwadła? Dlaczego?

A wydawał się w tym pociągu taki świetny! Naprawdę! Powiedział, że jestem odważna! Totalnie przywrócił mi wiarę w mężczyzn! Dlaczego musiał się okazać mordercą psychopata? Dlaczego?

- Serio? - mówię. To wszystko przez Shari, oczywiście. Gdyby tylko od czasu do czasu odbierała ten swój cholerny telefon, nic z tego by się nie wydarzyło. - Co masz na myśli?

- To, że jestem twoim gospodarzem. Jean-Luc de Villiers. Twoja przyjaciółka Shari mieszka w domu mojego ojca, Mirac.

Przestaję się cofać. Przestaję się wpatrywać w jego torbę na ubrania. Przestaję myśleć o mojej nieuchronnie zbliżającej się śmierci. Mirac. Powiedział: Mirac.

- Nigdy ci nie mówiłam, że jadę do miejsca, które nazywa się Mirac. -Bo chociaż to prawda, że paplałam do niego niemal non stop, nie przypominam sobie, żebym choć raz wymieniła nazwę Mirac. Która właściwie wyparowała mi z głowy aż do tej chwili.

- Nie, nie mówiłaś. Ale to tam zatrzymała się twoja przyjaciółka Shari, prawda? Ze swoim chłopakiem Charlesem Pendergastem?

Charles Pendergast? On zna prawdziwe nazwisko Chaza! Wiem, że tego mu nigdy nie powiedziałam. Nikt nigdy nie używa prawdziwego imienia Chaza, bo on prawie nigdy nikomu go nie zdradza.

Kto mógłby znać prawdziwe imię Chaza? Tylko ktoś, kto go zna. I to dobrze.

- Zaraz - mówię, szukając w myślach jakiegoś -jakiegokolwiek - rozsądnego wyjaśnienia tego, co się dzieje.

- Ty jesteś... Luke? Przyjaciół Chaza, Luke? Ale... mówiłaś, że na imię masz Jean-Luc.

- No cóż - oświadcza Luke - czy Luc - czy Jean-Luc, czy jak on się tam w końcu nazywa, a minę nadal ma zawstydzoną. - Tak brzmi moje pełne nazwisko. Jean-Luc de Villiers. Ale Chaz zawsze mówił do mnie po prostu Luke.

- Ale... Czy ty nie powinieneś teraz być w Mirac z Chazem i Shari?

Zdejmuje z ramienia tę torbę na ubrania.

- Musiałem skoczyć na jeden dzień do Paryża i odebrać suknię ślubną mojej kuzynki. Nie ufała, że kurier ze sklepu dostarczy ją tutaj w jednym kawałku. Widzisz?

Nieco rozpina suwak i ze środka torby wylewa się piana białych - niewątpliwie ślubnych- koronek. Wpycha je z powrotem do środka i zapina suwak.

- Kiedy usiadłaś obok mnie, nigdy w życiu nie pomyślałbym, że jesteś tą Lizzie, o której tyle słyszałem od Shari i Chaza. Ale kiedy wymieniłaś imię Shari, już wiedziałem. Ale wtedy już zdążyłaś opowiedzieć mi o... No wiesz. - Teraz ma minę bardziej zażenowaną niż zawstydzoną. - A wiedziałem, że zrobiłaś to dlatego, że myślałaś, że nigdy mnie już w życiu nie spotkasz...

- Och! - jęczę, nagle czując, że robi mi się niedobrze. Bo dokładnie coś takiego sobie myślałam. - Mój Boże!

- Taa - kwituje Luke z bardzo francuskim wzruszeniem ramion. Jak na Amerykanina. Zresztą nic dziwnego. Bo jest w połowie Francuzem. - Przepraszam cię za to. Chociaż musisz przyznać... to całkiem zabawne.

- Nie - mówię. -Wcale nie.

- Taa! - wzdycha, już się nie uśmiechając- Domyślałem się, że tak na to spojrzysz. Dlatego nic ci nie mówiłem.

- A więc wiedziałeś - mówię, czując, że policzki zaczynają mnie palić.- Wiedziałeś przez cały czas, że jeszcze się będziemy widzieć. I to często. I nie spróbowałaś mnie powstrzymać. Pozwoliłaś mi po prostu gadać dalej. Jak idiotce.

- Nie, nie jak idiotce - sprzeciwia się, naprawdę już się nie uśmiechając. Zresztą minę ma trochę jakby zmartwioną. - Nic podobnego. Uznałem, że jesteś naprawdę czarująca. I zabawna. To dlatego nie próbowałem cię powstrzymać. To znaczy, po pierwsze, zorientowałem się, kim jesteś, dopiero kiedy już zaczęłaś odzyskiwać, hm... równowagę psychiczną. Wiedziałem po prostu, że musisz się wygadać, więc ci pozwoliłem, zwłaszcza że dobrze się przy tym bawiłem. Uznałem, że jesteś naprawdę słodka.

- O Boże! - Mam ochotę zarzucić sobie na głowę tę jego torbę na ubrania i schować się pod nią.- Słodka? Opowiadałam ci o tym, jak zrobiłam laskę swojemu facetowi!

- Opowiadałaś o tym w bardzo słodki sposób - zapewnia mnie Luke.

- Ja się zabiję - oświadczam przez palce, bo ukryłam rozpaloną twarz w dłoniach.

- Hej.

Słyszę kroki, a potem czuję dłonie obejmujące mnie za nadgarstki. Podnoszę oczy, zdziwiona, i widzę, że Luke położył torbę na ubrania na mojej walizce i stoi bardzo, bardzo blisko mnie, zaglądając mi w twarz i łagodnie odsuwając mi dłonie sprzed oczu.

- Hej - powtarza głosem równie łagodnym jak jego dotyk. - Poważnie.

Bardzo mi przykro. Nie pomyślałem. Ja nie... nie wiedziałem, co zrobić.

Chciałem ci powiedzieć, ale potem pomyślałem sobie... No cóż, pomyślałem, że to będzie zabawny żart. No ale. Tak jak mówiłem. Żarty to raczej nie jest moja mocna strona.

Jestem bardzo świadoma tego, jak ciemne ma oczy - tak ciemne jak gałęzie drzew za stacją kolejową; ich zarys widzę na tle granatowego nie-ba - i że jego usta aż się proszą o pocałunek. Zwłaszcza że są zaledwie o parę centymetrów od moich.

- Jeśli powtórzysz komukolwiek - słyszę swoje słowa wypowiedziane dziwnie gardłowym głosem - o tym, co ci opowiedziałam w pociągu, a już zwłaszcza Chazowi, to cię zabiję. I o tym, że jeszcze nie napisałam pracy licencjackiej, i o tym drugim. No wiesz, o czym. Nie możesz powiedzieć nikomu. Rozumiesz? Zabiję cię, jeśli to zrobisz.

- Totalnie rozumiem - mówi Luke, a jego dłonie jeszcze mocniej zaciskają się na moich nadgarstkach teraz, kiedy już odjęłam ręce od twarzy. Po prostu trzyma je swoimi dużymi, ciepłymi dłońmi. I to jest przyjemne. Naprawdę przyjemne. - Masz moje totalne, całkowite słowo. Nikomu nic nie powiem. Twoja laska jest przy mnie zupełnie bezpieczna.

- WouA - wołam. -Ja mówię serio! Nie wymieniaj przy mnie tego słowa!

- Którego słowa? - pyta. Teraz jego ciemne oczy rozbłysły jak gwiazdy, które mrugają do nas z nieba nad głowami, podobne do cekinów na ciemnogrnatowym kaszmirowym swetrze. - Laska?

- Przestań - mówię i pochylam się lekko w jego stronę.

W razie gdyby, no wiecie, chciał mnie pocałować.

Bo zaczynam sobie zdawać sprawę, że to, iż Luke to Jean-Luc, trudno uznać za złą nowinę. Biorąc pod uwagę, że nie muszę się już martwić tym, jak złapać Shari. I gdzie się dzisiaj w nocy podzieję.

Nie wspominając już o tym, że to najmiłszy, najseksowniejszy facet, jakiego poznałam od bardzo długiego czasu. Który nie jest uzależniony od teksańskiego pokera... A przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

I o tym, że chyba mu się podobam.

I że spędzę w jego towarzystwie całą resztę lata.

I że on mnie trzyma za ręce.

Nagle humor mi się poprawia. Potężnie poprawia.

- A więc - pyta Luke - wybaczysz mi?

- Wybaczam ci - mówię. Nie mogę przestać uśmiechać się do niego jak idiotka, którą według niego nie jestem. On jest po prostu taki... słodki.

I nie tylko słodki. No bo postawił mi obiad. I totalnie mi współczuł, kiedy ryczałam jak wariatka. Poza tym jest bankierem inwestycyjnym. Ciężko pracuje, żeby... zabezpieczać pieniądze bogatych ludzi. Czy coś. A ja z nim będę. Przez całe lato. Całe...

- Dobrze - mówi Luke. - Bo bardzo bym nie chciał, żebyś uznała, że popełniłaś błąd. No wiesz, w ocenie mojego charakteru. Tej, którą wydałaś na podstawie mojego ubrania.

- Nie wydaje mi się - mówię, spuszcżając wzrok na dekolt jego koszuli, gdzie widzę kilka wystających z niego, obiecujących włosków na piersi - żebym się pomyliła.

- Dobrze - powtarza. - Chyba naprawdę spodoba ci się Mirac.

"Wiem, że mi się spodoba, myślę - ale raz w życiu udaje mi się powstrzymać przed powiedzeniem tego na głos - jeśli ty tam będziesz, Luke.

- Dzięki - mówię. I zastanawiam się, czy teraz mnie pocałuje. Wtedy oboje słyszymy nadjeżdżający samochód, a Luke oznajmia:

- O, świetnie. Jest nasz transport.

I raptownie puszcza moje nadgarstki.

A na parking wjeżdża staroświecki, żółty mercedes kabriolet, za którego kierownicą siedzi dziewczyna o miodowo blond włosach, która woła francuskim akcentem:

- Przepraszam za spóźnienie, cheri!

A ja wiem, jeszcze zanim on do niej podbiega, żeby ją pocałować, kim jest.

Jego dziewczyną.

Można się było tego spodziewać.

*Nie tylko kobiety w początkach XIX wieku były zainteresowane podkreśleniem swojej figury. W okresie tym zaczęli pojawiać się dandysi, którzy naśladowali wyrocznie mody, George'a „Pięknisia” Brummella, dżentelmena, który upierał się, żeby jego spodnie były tak dopasowane jak druga skóra, i nie tolerował najmniejszej zmarszczki na swojej kamizelce. Ozdobą szyi dandysa był kołnierz tak wysoki, że nie mógł obracać głowy w bok.*

*Nie wiadomo, ilu panów zginęło, wchodząc pod koła przejeżdżających powozów, których nie zauważyli.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## **Rozdział 12**

*Plotka to opium dla uciśnionych mas.*

Ericajong (ur. 1942), amerykańska publicystka i pisarka

Bo, oczywiście, on ma dziewczynę. Za świetny z niego facet, żeby jej nie miał - pomijając ten mały numer z nieprzyznaniem się przede mną do własnej tożsamości.

Problem w tym, że ona się wydaje naprawdę miła. Jest zdecydowanie prześliczna, z tymi bujnymi włosami i szczupłymi opalonymi ramionami, i długimi, równie opalonymi nogami. Ma na sobie prostą czarną koszulkę bez rękawów i dość długą spódnicę z falban (nową, nie w stylu vintage, i z wyglądu drogą), i japonki z błyszczącymi kamieniami. Wyraźnie jest w wakacyjnym nastroju.

Chociaż mój radar ubraniowy może szwankować, bo Dominique Desautels - ona tak się nazywa - podobnie jak Andy jest cudzoziemką, Kanadyjką. Kanadyjką francuskiego pochodzenia. Pracuje w tej samej firmie bankowości inwestycyjnej w Houston, co Luke.

I chodzą ze sobą od sześciu miesięcy.

Tyle zdołałam wywnioskować z odpowiedzi na moje ostrożne pytania, zadawane im obojgu z tylnego siedzenia mercedesa, zanim głos mi zamarł.

Bo bardzo trudno jest skoncentrować się na zbieraniu informacji na te-mat tej dwójki, kiedy pędzi się przez taką piękną okolicę. Słońce już dawno zaszło, ale wstaje księżyc, więc i tak widzę te wielkie dęby, których gałęzie splatają się nad drogą w rodzaj baldachimu z liści nad naszymi głowami

Mkniemy pełną zakrętów, dwupasmową wiejską drogą, która wiję się wzdłuż szerokiej, szemrzącej rzeki. Trudno mi się zorientować z tej scenerii, gdzie jesteśmy.

Ani nawet w jakiej epoce jesteśmy. Sądząc z braku słupów telefonicznych i latarni, mógłby to być każdy wiek, niekoniecznie XXI. Mijamy nawet jakiś staroświecki młyn - młyn, który z boku ma takie wielkie koło łopatkowe! - ze strzechą na dachu i pięknym ogrodem.

Ale w oknach młyna widać elektryczne światło, co dowodzi, że nie jest to jednak XIX wiek.

Ale i tak widzę, że jakaś rodzina siada tam do kolacji.

W młynie!

Bardzo mi trudno pamiętać, że cierpię na depresję, gdyż mój chłopak okazał się hazardzistą, kiedy okolica przelatująca koło mnie jest taka malownicza.

A potem wyjeżdżamy spod baldachimu liści i widzę wzgórze, a na nich zamki, a Luke wyjaśnia mi, że w ten rejon Francji (nazywany Dordogne, tak samo jak ta rzeka) słynie ze swoich zamków, których jest tu tysiąc, oraz z jaskiń, w których są malowidła na ścianach datowane na piętnaście tysięcy lat przed naszą erą.

A potem Dominique dodaje, że Perigord, które jest częścią rejonu Dordogne, w którym się znajdujemy, znane jest także z czarnych trufli i foie gras. Ale prawie jej nie słucham. Trudno się oderwać od widoku murów obronnych - Luke mówi, że to stara, średniowieczna wioska Sarlat i że możemy tu przyjechać po zakupy, jeśli będę miała ochotę.

Zakupy! Ale to niemożliwe, żeby tu mieli jakiś sklep z ciuchami vintage. Może chociaż jakiś sklep z używaną odzieżą... Boże, kto wie, jakie znaleziska mogą tu czekać na taką osobę jak ja? Givenchy, Dior, Chanel... Kto wie?

Skręcamy z drogi na coś, co się wydaje bardzo stromą, zwirowaną górską drogą, ledwie na tyle szeroką, żeby zmieścił się na niej samochód. Gałęzie rzeczywiście objijają się o jego boki - i o mnie prawie też, dopóki nie przesiadam się na środek tylnego siedzenia.

Dominique zauważa, że się przesuwam, i mówi:

- Musisz kazać ludziom przyciąć te gałęzie, zanim twoja matka tu przyjedzie, Jean-Luc. Wiesz, jaka ona jest. Luke mówi:

- Wiem, wiem. -A potem dodaje: -W porządku tam z tyłu?

- W porządku - odpowiadam, chwytając za oparcie siedzenia przede mną. Nieźle mnie na tym siedzeniu telepie. Podjazd - jeśli to jest pod-jazd - też wymaga naprawy.

A potem, właśnie wtedy, kiedy myślę, że rozklekotany samochód zaraz się rozpadnie - i zastanawiam się, czy kiedykolwiek wjedziemy na szczyt wzgórza, czy może najpierw te gałęzie pourywają nam głowy - wyjeżdża-my spoza ostatnich drzew na szeroką, trawiastą połąć, z której rozciąga się widok na dolinę pod nami. Zapalone pochodnie oświetlają podjazd, pro-wadzący w stronę czegoś, co wygląda jak - jeśli mnie oczy nie mylą - dom, w którym mieszkał pan Darcy w Dumie i uprzedzeniu wyświetlanym na kanale A&E.

Tylko że ta posiadłość jest większa. I wygląda jeszcze wspanialej. Ma więcej zabudowań gospodarczych.

I mają elektryczne oświetlenie, które sprawia, że te setki okien wręcz płoną na tle aksamitnie granatowego nieba. Przed kolistym podjazdem rozciąga się szeroki trawnik, rosną na nim wielkie, majestatyczne dęby, jest też ogromny basen - oświetlony i połyskujący w nocy niczym szafir - a tu i tam stoją ogrodowe, białe meble z kutego żelaza.

Nie widziałam dotąd bardziej idealnego miejsca na ślub. Cały ten starannie przystrzyżony trawnik otoczony jest niskim kamiennym murkiem. Za tym murkiem, za którym jest chyba jakaś przepaść, widać oświetlone światłem księżyca drzewa, daleko w dole, a jeszcze dalej kolejne urwisko jak to, na które właśnie wjechaliśmy, a na jego szczycie chate'au, które mogłoby być bliźniakiem naszego, a którego światła jarzą się w nocnej ciemności.

Widok zapiera dech w piersiach. Serio. Łapię się na tym, że podziwiając to wszystko, wstrzymałam oddech.

Luke parkuje samochód na kolistym podjeździe i wyłącza silnik. Słyszę wyłącznie świerszcze.

- No i? - pyta, obracając się na przednim siedzeniu. - Co o tym sądzisz?

Po raz pierwszy w życiu nie mogę znaleźć słów. To historyczne wydarzenie, ale Luke nawet tego nie wie.

Świerszcze są bardzo hałaśliwe w tej ciszy, która zapada po pytaniu Luke'a. Nadal nie mogę złapać tchu.

-Tak- mówi Dominique, wysiadając z samochodu i kierując się w stronę masywnych dębowych drzwi chateau, w obu dłoniach trzymając torbę na ubrania z suknią ślubną w środku. - Rzeczywiście robi takie wrażenie na ludziach. Ładnie jest, prawda?

Ładnie? Ładnie? To tak, jak powiedzieć, że Wielki Kanion jest spory.

- Prawda - mówię, odzyskując głos dopiero, kiedy Dominique weszła do środka, a Luke pomaga mi wyciągnąć walizkę z bagażnika. - W życiu nie widziałam piękniejszego miejsca.

- Naprawdę? - Luke spogląda na mnie, ale jego ciemnych oczu nie widzę w półmroku. -Tak uważasz?

Wciąż mówi, że kiepsko mu wychodzą żarty. Ale chyba sobie teraz ze mnie żartuje. Na całej planecie nie może być piękniejszego miejsca.

- Absolutnie - odpowiadam, chociaż nawet to wydaje mi się strasznym niedopowiedzeniem.

I wtedy dobiegają mnie znajome głosy z trawiastego tarasu.

- Czyżby to monsieur de Villiers powrócił z Paryża? - stanowczo domaga się odpowiedzi Chaz, który wychodzi z cienia pod jednym z wielkich drzew. - Ależ, owszem. I kogóż to my z nim widzimy?

A potem, w połowie kolistego podjazdu, Chaz przystaje, rozpoznając mnie. Trudno powiedzieć, bo księżyc oświetla go zza pleców - a daszek czapki bejsbolowej Uniwersytetu Michigan ma nisko nasunięty na oczy, jak zawsze - ale mam wrażenie, że się uśmiecha.

- Proszę, proszę, proszę - mówi zadowolonym tonem. - Popatrzcie, co nam tu spadło z nieba.

- Co? - Za jego plecami staje Shari. - O, cześć, Luke. Przywiozłeś...

A potem jej głos cichnie. A sekundę później Shari się wydziera:

- Lizzie? To ty?

A potem biegnie przez podjazd i chwytam mnie w objęcia, i woła:

- Przyjechałaś! Przyjechałaś! Nie mogę uwierzyć, że przyjechałaś! Jak się tu dostałaś? Luke, skąd ją wytrzasnąłeś?

- Z pociągu - odpowiada Luke, uśmiechając się na widok spanikowanego spojrzenia, jakie mu rzucam nad ramieniem ściskającej mnie Shari.

Ale nie mówi nic więcej. Tak, jak go prosiłam.

- Ależ to niesamowite! - woła Shari. - To znaczy, że akurat wy dwoje, ze wszystkich ludzi, wpadliście na siebie...

- Niezupełnie- prostuje Chaz. - Biorąc pod uwagę, że byli jedyną dwójką Amerykanów jadących do Souillac...

- Och, tylko nie kolejny z tych twoich wykładów na temat natury przypadku - mówi Shari do Chaza. - Proszę. - A do mnie woła: - Ale dlaczego nie dzwoniłaś?! Wyszlibyśmy po ciebie na stację.

- Dzwoniłam - mówię. - Mniej więcej ze sto razy. Ale łączyłam się tylko z pocztą głosową.

- To niemożliwe - stwierdza Shari i wyciąga komórkę z kieszeni szortów. - Mam swoją... Wow. - Krzywi się, spoglądając na wyświetlacz w świetle księżyca. - Zapomniałam ją dziś rano włączyć.

- Myślałam, że pewnie ci wpadła do toalety.

- Nie tym razem - mówi Chaz, obejmując mnie ramieniem, żeby mnie szybko na powitanie uściskać. A kiedy to robi, szepcze: - Czy tam w Anglii został ktoś, komu mam przyłożyć? Bo, Bóg mi świadkiem, pojedę tam i skopię mu goły, chudy tyłek. Powiedz tylko słowo.

- Nie - zapewniam go, śmiejąc się trochę boleśnie. - Wszystko w porządku. Naprawdę. To tak samo moja wina, jak i jego. Powinnam była ciebie posłuchać. Miałeś rację. Zawsze masz rację.

- Nie zawsze- mówi Chaz i opuszcza ramię. - Tylko że te sytuacje, kiedy się myślę, nie zapadają ci w pamięć z taką wyrazistością, jak te, kiedy mam rację. Ale jeśli chcesz, uważaj dalej, że jestem nieomylny.

- Przestań już, Chaz - prosi Shari. - Poza tym kogo obchodzi, co się zdarzyło w Anglii? Teraz ona jest tutaj. Może z nami zostać, prawda, Luke?

- Sam nie wiem- żartuje Luke. - Czy umie zarobić na swoje utrzymanie? Nie potrzebujemy nowych leni. Ten jeden całkiem wystarczy. - Klepie Chaza po ramieniu.

- Hej - mówi Chaz. - Ja tu pomagam. Testuję alkohol pod względem świeżości i czystości przed przyjazdem mamy Luke'a.

Shari kręci głową, patrząc na swojego chłopaka, i mówi:

- Jesteś nieznośny. - A do Luke'a dodaje: - Lizzie jest nieoceniona. No cóż, z igłą w rękę. Jeśli macie tu jakieś szycie dla niej...

Luke wydaje się zdziwiony, słysząc, że umiem szyć. Większość ludzi się dziwi. W tych czasach już niewiele osób to potrafi.

- Może i by się znalazło. Dowiem się od, ekhm, mamy, kiedy tu przyjedzie jutro. Ale teraz mamy chyba ważniejsze sprawy na głowie: trzeba po-móc Chazowi w testowaniu alkoholu.

- Tędy, moje panie. - Chaz z dworskim ukłonem wskazuje ścieżkę prowadzącą do baru, który zaaranżował, jak widzę, pod gołym niebem. - Pana też zapraszam.

Shari i ja idziemy za facetami po chłodnej, nieco wilgotnej trawie. Kiedy podchodzimy do niskiego kamiennego murku, wyglądam zza nie-go i widzę rozciągającą się w dole dolinę, rzekę, która - dokładnie tak, jak obiecywał Chaz - wije się w świetle księżyca niczym długi, srebrny wąż. Jest tak pięknie, że coś mnie ściska za gardło. Jestem tym widokiem porażona. Wydaje mi się, że śnię.

I nie tylko ja jedna.

- W głowie mi się to nie mieści - szepcze Shari, nadal trzymając mnie za ramię. - Co się stało? Wiem, że byłam dość pijana, kiedy po raz ostatni z tobą rozmawiałam, ale wydawało mi się, że mówiłaś, że jakoś postarasz się z Andym dogadać.

- Taa - odszeptuję. - Próbowałam. Ale potem dowiedziałam się - no cóż, to długa historia - opowiem ci kiedyś, kiedy - kiwam głową w stronę Luke'a i Chaza - nie będzie ich w pobliżu.

Chociaż, oczywiście, Luke zna już sporą część tej historii. No dobra. Całą. I to ze szczegółami.

- Aż tak źle było? - pyta Shari, a jej ładna buzia przybiera wyraz troski. - Wszystko w porządku?

- Jasne - zapewniam ją. - Naprawdę. Trochę było mi kiepsko, ale... - Znow zerkam w stronę Luke'a. - Znalazło się przyjazne ramię, na którym mogłam się wyplakać.

Ciemne oczy Shari podążają w ślad za moim spojrzeniem. Widzę, że unosi brwi pod swoją kręconą grzywką. Ciekawe, co sobie myśli. Mam nadzieję, że nie: Och, biedna mała Lizzie, zakochana w facecie tak kompletnie poza swoim zasięgiem.

Bo to nieprawda. To znaczy, że jestem w nim zakochana.

Ale ona mówi tylko:

- No cóż, miło mi to słyszeć. A więc nie masz złamanego serca?

- A wiesz? - mówię po chwili zastanowienia. - Chyba nie. Trochę poobijane, to wszystko. Czyja naprawdę mogę się tu zatrzymać?

Shari się krzywi.

- Mama i tata Luke'a się rozwodzą, ale najwyraźniej ona - pani de Villiers - już dawno obiecała swojej siostrzenicy, że będzie mogła wziąć ślub w Mirac. A więc ona - to znaczy, pani de Villiers - przyjeżdża jutro, ze swoją siostrą, siostrzenicą, panem młodym - z całą rodziną. To może być niesamowita impreza. Zwłaszcza że rodzice Luke'a prawie ze sobą nie rozmawiają, a on w tym wszystkim tkwi między nimi jak bufor. Chaz mówi, że mama Luke'a to ostra żyłeta.

Krzywię się, wspominając ostrzeżenie Dominique co do zarośli przy drodze, które Luke powinien usunąć przed przyjazdem swojej matki.

- Więc nie będą mnie tu chcieli... - szepczę, żeby mieć pewność, że Luke nas nie podsłucha. Mówię „oni”, ale tak naprawdę mam na myśli właśnie jego. -To znaczy, ja nie chcę przeszkadzać...

- Lizzie, wszystko jest totalnie w porządku... - mówi Shari. - Ten dom jest ogromny, ma mnóstwo pokoi. Nawet z całą wielką rodziną Luke'a tu-taj, jeszcze zostaną wolne miejsca. A poza tym będzie dużo do roboty. To wręcz dobrze, że tu jesteś. Przyda nam się pomoc. Najwyraźniej ta siostrzenica - cioteczna siostra Luke'a, Vicky -jest jakąś ozdobą teksańskie-go towarzystwa. Już zdążyła zmusić Luke'a, żeby pojechał do Paryża i odebrał jej suknię od jakiejś świetnej paryskiej krawcowej, która ją uszyła, a Vicky nawet tu jeszcze nie przyjechała. Poza tym chyba zaprosiła na swoje wesele połowę Houston, włącznie z kapelą rockową swojego brata, która właśnie podpisała jakiś kontrakt na nagrania i podobno ma być niedługo nowym najmodniejszym zespołem. Więc to raczej nie będzie kameralna impreza.

- No cóż, to dobrze - mówię. - Bo ja naprawdę nie wiedziałam, co robić, poza tym żeby przyjechać tutaj. Nie mogłam wracać do domu...

- Oczywiście, że nie mogłaś - potakuje Shari z przerażeniem w głosie. -Twoje siostry nie dałyby ci żyć!

- Wiem - mówię. - Więc po prostu stwierdziłam... No cóż, mówiłaś, że mogę tu przyjechać...

- I bardzo się cieszę, że to zrobiłaś. Spójrz tylko na tych dwóch. - Wskazuje głową w stronę swojego chłopaka i Luke'a, którzy zdryfowali ku jednemu ze stolików z kutego żelaza i mieszają jakieś mikstury w kieliszkach do szampana. - Są jak bliźniaki, które się odnalazły po latach. Cały czas tylko bla, bla, bla, o wszystkim, o czym się da - o Nietzschem, o Tigerze Woodsie, piwie, prawdopodobieństwie wystąpienia takich samych dat urodzin, starych dobrych czasach w szkole. Czułam się tu jak totalne piąte koło u wozu. - Obejmuje mnie ramieniem. - Ale teraz mam własną przyjaciółkę, z którą mogę sobie paplać.

- Wiesz, że do paplania zawsze się nadaję - mówię z szerokim uśmiechem. - Ale co z dziewczyną Luke'a, Dominique? Z nią nie możesz popaplać?

Shari się krzywi.

- Jasne. To znaczy, jeśli chcesz plotkować o Dominique.

- W pewnym sensie rozumiem, zauważyłam te japonki - mówię.

- Naprawdę? - Shari ma zaciekawioną minę. Zawsze ceniła moje analizy ubioru. - Dają ci jakieś złe wibracje?

- Nie - mówię szybko. - Nic podobnego. Tylko to wygląda, jakby nie-co za bardzo się starała. No, ale ona jest Kanadyjką. Chyba mój radar prze-staje działać, kiedy chodzi o obcokrajowców.

Shari się krzywi.

- Chodzi ci o Andy'ego? Taa, no cóż, zawsze się zastanawiałam, co w nim widzisz. Ale nie mylisz się co do Dominique. Te japonki? One są Manolo Blahnika.

- Nie?! - Japonki Manolo Blahnika, jak wiem z lektury „Vogue”, mogą kosztować powyżej sześciuset dolarów. - Kurczę, zawsze się zastana-wiałam, kto je kupuje...

- Hej, wy dwie! - Chaz idzie w naszą stronę po oświetlonej światłem księżycy trawie. - Żadnego migania się od obowiązków. Mamy tu alkohol do sprawdzenia.

- Zaczekaj.- Luke idzie za nim o krok. - Mam tu dla nich pierwsze zadanie do odrobienia. - Podaje każdej z nas wysoki kieliszek do szampana, pełen musującego napoju. - To kir royal - mówi - z szampana wyprodukowanego na miejscu, w Mirac.

Nie wiem, co to jest kir royal, ale chętnie go spróbuję. Dominique pojawia się znowu i też ma ochotę na drinka.

- Za co wypijemy? - mówi, unosząc kieliszek.

- A może - proponuje Luke - za nieznanomych spotykających się w pociągach?

Uśmiecham się do niego przez tych parę metrów rozdzielającego nas trawnika.

- Dla mnie brzmi dobrze - mówię i stukam się kieliszkiem ze wszystkimi. A potem biorę łyk.

Zupełnie jakbym piła czyste złoto. Zmieszane aromaty jakichś jagód, słońca i szampana tańczą mi na języku.

Okazuje się, że kir royal to szampan z dodatkiem likieru - chassis, wyjaśnia mi Shari, z czarnej porzeczki.

- A teraz ty mi coś wyjaśnij ~ mówi Shari, kiedy już skończyła swój wykład na temat chassis.

- Hm? - Jestem teraz już prawie całkowicie pewna, że to wszystko to tylko jakiś sen, z którego się wreszcie kiedyś obudzę. Ale póki to nie na-stąpi, mam zamiar jak najlepiej się bawić. - Co takiego?

- Co Luke miał na myśli z tym toastem? Nieznajomi w pociągu i tak dalej?

- Och! - Oglądałam się na niego, śmieje się z czegoś z Chazem. - Nie wiem. O nic.

Shari patrzy na mnie i mruży oczy.

- Już ty mi nie wciskaj kitu, Lizzie. Gadaj. Co się stało w tym pociągu?

- Nic! - wołam, sama trochę się śmiejąc. - No cóż, to znaczy, byłam zdenerwowana - no wiesz, Andym. I trochę popłakałam. Ale jak mówi-łam. .. On mi bardzo współczuł.

Shari tylko kręci głową.

- W tej historii jest coś więcej. Coś, czego mi nie mówisz. Ja to wiem.

- Nic podobnego - zapewniam ją.

- No cóż - mówi Shari. -Jeśli coś jest, to ja się kiedyś dowiem. Nigdy nie udało ci się utrzymać przede mną sekretu.

Tylko się do niej uśmiecham. Jest kilka sekretów, które na razie udało mi się przed nią zachować. I nie zamierzam w najbliższej przyszłości się z nimi zdradzać.

Ale mówię tylko:

- Naprawdę, Shari. Nic się nie stało.

Co jest, w zasadzie, prawdą.

Nieco później idę wolnym krokiem w stronę niskiego kamiennego murku i stoję tam, próbując nasycić się tym widokiem - doliną, księżycem wschodzącym nad dachem chateau po przeciwnej stronie od naszego, wygwieżdzonym nocnym niebem, świerszczami, słodkim zapachem jakichś kwitnących nocą kwiatów.

Za wiele tego. O wiele za wiele. Przenieść się z tego okropnego gabinetu w biurze pośrednictwa pracy tutaj, w ciągu zaledwie jednego dnia...

Słyszę głos Luke'a, któremu jakoś udało się na chwilę wyrwać Chazowi i Dominique, pyta:

- Już lepiej?

- Znacznie lepiej - odpowiadam i uśmiecham się do niego. - Nie wiem, jak mam ci dziękować za to, że pozwoliłeś mi się tu zatrzymać. I dzięki za... No wiesz. Że im nic nie powiedziałeś.

Ma szczerze zdziwioną minę.

- No jasne - mówi. - Od czego są przyjaciele?

Przyjaciele. A więc tym jesteśmy.

I w jakiś sposób, w tym świetle księżycy, zupełnie mi to wystarczy.

*Epoka romantyzmu (lata dwudzieste XIX wieku) znów spowodowała zapotrzebowanie na heroiny o wąskich taliach, jak te w powieściach sir Waltera Scotta (Dana Browna swojej epoki - chociaż sir Walter nie odważyłby się ubrać Francuzki, bohaterki swojej powieści, w wielki sweter i czarne legginsy, tak jak pan Brown ubrał biedną Sophie w Kodzie Leonarda), i gorsety zdobywały sobie popularność, podczas gdy spódnice stały się coraz szersze. Sir Walter stał się takim idolem, że nie-które co mniej rozsądne damy owej epoki na jakiś czas oszalały na punkcie szkockiej kraty, chociaż, na szczęście, szybko sobie zdały sprawę ze swoich błędów.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

### **Rozdział 13**

*Me mówiłbym aż tyle o sobie, gdyby istniał ktokolwiek inny, kogo bym równie dobrze znał.*

Henry David Thoreau (1817-1862), amerykański filozof, pisarz i naturalista

Kiedy się budzę następnego dnia rano, zdezorientowana rozglądam się po maleńkim pokoju, w którym śpię, z niskim sufitem, z bielonymi, jasnymi ścianami i ciemnym belkowaniem. Zasłony - na kremowym tle, duże różowe róże - zasłaniają jedyne w pokoju okno, więc nie widzę, co jest za nim. Przez sekundę nie pamiętam, gdzie jestem - w czyjej sypialni ani nawet w jakim kraju.

Potem widzę staroświeckie drzwi, z klamką, którą się naciska, a nie obraca -jak zamknięcie ogrodowej furki - i zdaję sobie sprawę, że jestem w chateau Mirac. W jednej z kilkunastu sypialni na poddaszu, gdzie, w czasach świetności chateau, mieszkała służba, a teraz nocuje Shari, Chaz i ja sama - nie wspominając już o Jean-Luke'u i jego dziewczynie Dominique.

To dlatego że paradne sypialnie, te pod nami, są zarezerwowane dla państwa młodych - i gości weselnych - którzy zjadą się dziś po południu. Udostępniając główny dom, ojciec Luke'a - którego Shari nazywa monsieur de Villiers - przeniósł się do małego domku krytego strzechą przy piwnicach, gdzie leżakują dębowe beczki z winem, zanim będzie gotowe do butelkowania. Shari powiedziała mi wczoraj wieczorem, kiedy wdrapywałyśmy się chyba po setkach schodów do naszych pokoi po czterech - a może pięciu? - kolejnych kir royalach, że ptaki regularnie zakładają gniazda pod tą strzechą i trzeba je stamtąd usuwać, żeby ich odchody nie przeżarły dachu.

Dach kryty strzechą chyba już nigdy nie będzie mi się wydawał taki malowniczy.

Przez chwilę mrugam oczami, wpatrując się w pęknięcia na suficie nad moją głową, a potem dociera do mnie, co mnie obudziło. Ktoś puka do drzwi.

- Lizzie - słyszę głos Shari. - Wstałaś już? Jest południe. Masz zamiar spać przez cały dzień?

Odrzucam kołdrę i biegnę otworzyć drzwi. Stoi tam w bikini i sarongu i trzyma dwa wielkie, parujące kubki. Jej włosy, zazwyczaj ciemne i kręcone, zburzyły się, wyraźny znak, że na zewnątrz jest gorąco.

- Naprawdę jest już dwunasta? - pytam, zaniepokojona, że zasnęłam. Zastanawiam się, czy ludzie - no dobra, Luke - nie uznają, że jestem niegrzecznym leniem.

- Pięc po - mówi Shari.- Mam nadzieję, że zabrałaś kostium. Musimy złapać tyle słońca, ile się da, zanim przyjdzie mama Luke'a i jej goście i będziemy musiały zacząć wszystko szykować do posiłków i degustacji win. Mamy dla siebie zaledwie cztery godziny. Ale najpierw - wręcza mi jeden z parujących kubków - cappuccino. Mnóstwo słodzika, tak jak lubisz.

- Och - wzdycham z uznaniem, kiedy mleczna para owiewa mi twarz. - Ratujesz mi życie.

- Wiem - mówi Shari i wchodzi do pokoju, a potem rozsiada się wygodnie na moim rozgrzewanym łóżku. - A teraz. Chcę wiedzieć wszystko o tym, co się stało z Andym. I z Lukiem, w pociągu. Więc zeznawaj.

Zeznaję, siadając koło niej. Oczywiście, nie mówię jej wszystkiego.

Jeszcze jej nie powiedziałam prawdy o mojej pracy licencyjnej i absolutnie nie zamierzam mówić o tej lasce. Jasne, opowiedziałam o obu tych

sprawach zupełnie nieznanemu spotkaniu w pociągu. Ale w jakiś sposób to było o wiele łatwiejsze, niż powiedzieć o tym mojej najlepszej przyjaciółce, która, jak wiem, w obu tych sprawach wyraziłaby swoją dezaprobatę - zwłaszcza w tej drugiej. No bo zrobienie komuś laski, która nie jest niczym odwzajemniona, to szczyt sprzeniewierzenia się feministycznym zasadom.

- A więc - mówi Shari, kiedy już skończyłam - między tobą i Andym to już naprawdę koniec.

- Zdecydowanie - potwierdzam, dopijając resztę pysznego cappuccino.

- Powiedziałaś mu to. Powiedziałaś mu, że to jest koniec.

- Totalnie - mówię. Powiedziałaś? Wydaje mi się, że tak.

- Lizzie. - Shari rzuca mi ostre spojrzenie. - Wiem, jak bardzo nie cierpisz konfrontacji. Czy ty mu naprawdę powiedziałaś, że to już koniec?

- Powiedziałaś mu, że muszę pobyć sama - odpowiadam. Zdając sobie sprawę, nieco za późno, że to nie to samo, co powiedzieć komuś, że to koniec.

Ale i tak Andy zrozumiał. Wiem, że zrozumiał.

Ale na wszelki wypadek, jeśli zadzwoni znowu, może nie będę odbierał.

- I naprawdę ci to nie przeszkadza? - chce wiedzieć Shari.

- Raczej nie - mówię. - To znaczy, mam poczucie winy z powodu pieniędzy. ..

- Jakich pieniędzy?

- Pieniądzy, które on chciał pożyczyć - wyjaśniam. - Na swoje czesne. Pewnie powinnam była mu je dać. Bo teraz nie będzie mógł wrócić na studia jesienią...

- Lizzie - odzywa się Shari z niedowierzaniem w głosie. - On miał pieniądze. On je przepuścił w karty! Gdybyś dała mu więcej, też by je przegrał. Pomagałabyś mu kontynuować to destruktywne zachowanie. Czy tego chcesz?

- Nie - mówię żałośnie. - Ale, no wiesz. Ja go naprawdę kochałam. Nie da się miłości włączać i wyłączać, jak światła.

- Można, jeśli facet usiłuje wykorzystać twoją szczodłą naturę.

- Pewnie tak - wzdycham. - Naprawdę nie powinnam czuć się źle. On faktycznie wyludził zasilek, mając pracę.

Kącik ust Shari się unosi.

- Uwielbiam to, że dla ciebie to najwyraźniej najgorsza rzecz, jaką zrobił. A co z hazardem? Co z tym tekstem o grubasce?

- Ale oszukiwanie rządu jest czymś o wiele gorszym niż któraś z tych dwóch rzeczy.

- Okay. Skoro tak twierdzisz. W każdym razie krzyżyk na drogę. A te-raz przestaniesz już wreszcie być takim utrapieniem i przeniesiesz się do Nowego Jorku ze mną i z Chazem?

- Shari... - mówię. - Ja po prostu... - Jak mam jej powiedzieć prawdę? Że nie mogę się zająć szukaniem pracy w Nowym Jorku, nie mając dyplomu, a nie wiem, czy skończę tę swoją pracę do czasu, kiedy ona i Chaz będą gotowi do wyjazdu? I o tym, że nawet jeśli będę miała dyplom, to nie wiem, czy uda mi się znaleźć pracę w wielkim mieście.

- Dobra - mówi Shari, wyraźnie źle interpretując moje ociąganie z odpowiedzią. - Rozumiem. To trudna decyzja. Potrzeba ci czasu, żeby się przyzwyczaić do tego pomysłu. No, a co z tą drugą sprawą?

- Jaką drugą sprawą?

- Z tobą i Lukiem. W pociągu.

- Shari, już ci mówiłam. Nic się nie stało. Dajże spokój. Dopiero co uwolniłam się z katastrofalnego związku z facetem, którego prawie nie znałam. Sądziś, że zamierzam śpieszyć się do kolejnego, tak z miejsca? Miej do mnie trochę zaufania. Poza tym, czy ty przyjrzałaś się uważnie jego dziewczynie? Dlaczego facet, który ma kogoś takiego, miałby się za-interesować mną?

- Mogłabym znaleźć parę powodów - oświadcza Shari ponurym tonem.

Ale zanim zdążyłam zapytać ją, co miała na myśli, ciągnie:

- Dobra, posłuchaj. Wiem, że w ostatnich dniach sporo przeszłaś, więc przez jakiś czas nie będę ci marudzić o Nowym Jorku. Może zrobisz sobie trochę wolnego od martwienia się o przyszłość? Bóg świadkiem, że to ci się należy. Potraktuj kilka następnych dni jako zasłużone wakacje. Wrócimy do tego tematu później, kiedy



już będziesz miała szansę dojść do siebie po tym odkryciu, że mężczyzna twoich marzeń i snów okazał się mężczyzną rodem z koszmaru. A teraz - klepie mnie po nodze - wskakuj w kostium i spotkamy się przy basenie. Trzeba się poopalać.

Nie spieram się z nią. Szybko łapię kosmetyczkę, żeby się trochę obmyć przed zejściem na basen.

- Aha, i pospiesz się - mówi, zanim zamaszystym krokiem opuści mój pokój. - Zmarnujesz najlepsze godziny na opalanie.

Biegiem spełniam polecenie, bo Shari nie lubi, kiedy nie wykonuje się jej rozkazów. Przemykam przez korytarz do staroświeckiej łazienki, w której stoi wielka wanna na lwich łapach i toaleta z drewnianą deską i takim zbiornikiem, gdzie wodę się spuszcza, ciągnąc za łańcuszek. Po szybkiej kąpieli i nałożeniu makijażu wkładam bikini - po raz pierwszy w życiu.

Siostry kiedyś, w czasach zanim jeszcze schudłam, bezlitośnie mi dokuczały, ile razy usiłowałam się wbić w kostium.

Być może dlatego, że wszystkie moje kostiumy były jednocześnie i typu vintage, a wiele miało wszyte krótkie spódniczki i ogólnie przypominały styl Annette Funicello.

Ale chociaż mogłam być najpulchniejszą dziewczyną na basenie, byłam też najoryginalniej ubrana... Czy też, jak to ujmowała Rose, największym „wybrykiem mody”.

W moim nowym kostiumie wcale nie wyglądam jak jakiś wybryk. A przynajmniej tak mi się nie wydaje. Jest dwuczęściowy i też w stylu vintage... To kostium Lilly Pulitzer, z lat sześćdziesiątych. Sarah zwykła mawiać, że to obrzydliwe nosić używany kostium kąpielowy, ale jeśli kilka razy upierze się go przed włożeniem, nie ma sprawy.

Teraz, przyglądając się swojemu odbiciu w nieco zmatowiałym, ale poza tym całkiem sensownym lustrze na drzwiach łazienki, mam wrażenie, że wyglądam... Dobrze. Oczywiście, daleko mi do Dominique. No ale komu łatwo być taką Dominique?

Pomijając samą Dominique, oczywiście.

Szybko wracam do swojego pokoju, narzucam letnią sukienkę do kompletu z kostiumem, też Lilly Pulitzer, i szybko ścielę łóżko, a potem rozsuwam zasłony i otwieram małe okienko w kształcie rombu, żeby wpuścić nieco świeżego powietrza...

I wstrzymuję oddech, uderzona widokiem z okna...

Bo przed sobą mam dolinę rozciągającą się poniżej chateau, tym razem za dnia. Zielone aksamitne korony drzew i faliste wzgórza, jasnobrązowe skalne urwiska i wysoko ponad tym wszystkim najbardziej niebieskie i bezchmurne niebo, jakie w życiu widziałam.

Jest tak pięknie. Widzę chyba całe hektary wyłącznie lasów i wijącej się przez nie srebrnej rzeki, upstrzonych tu i tam maleńkimi wiejskimi domkami, a gdzieś wznosi się jakieś chateau czy zamek, stojące na szczycie urwiska. Zupełnie jak na ilustracji z książki z bajkami.

Jak Luke może wracać do Houston, kiedy spędzi tu trochę czasu? Jak ktokolwiek może mieć ochotę stąd wyjeżdżać?

Ale nie mam czasu zastanawiać się nad tym. Muszę lecieć na spotkanie z Shari przy basenie albo liczyć się z jej furją.

To nie żarty, próbować znów trafić na dół, schodząc miriadami schodów i korytarzy, z których zdaje się składać chateau Mirac, ale jakoś udaje mi się wreszcie trafić do wykładanego marmurem holu i wymknąć się na łagodne, słodko pachnące latem powietrze. Gdzieś w oddali słyszę wizg motoru - to chyba kosiarka, sądząc po zapachu świeżo skoszonej trawy - i brzęk... krowich dzwoneczków? To niemożliwe...

A może jednak?

Nie zatrzymuję się, żeby to sprawdzić. Wkładam swoje nabijane kryształami górskimi okulary słoneczne, a potem szybko mijam podjazd i wreszcie przechodzę przez trawnik nad basen, gdzie widzę Shari, Dominique i jeszcze jedną dziewczynę, rozpartą na leżakach obitych materiałem w białobłękitne paski. Leżaki zwrócone są w stronę doliny i słońca. Dominique i ta druga dziewczyna są już opalone - widać, że to nie pierwszy dzień, jaki spędzają na słońcu. Shari, jak widzę, zdecydowana jest je dogonić, zanim lato się skończy.

- Dzień dobry - mówię do Dominique i tej drugiej dziewczyny, która jest raczej pulchna i ma wygląd nastolatki. Włożyła jednocześnie kostium Speedo, a leżąca obok niej Dominique obnasza czarne bikini ze stringami Calvina Kleina.

A te stringi nie wydają się zbyt ściśle przylegać.

- Bonjour - odpowiada pogodnie nastolatka.

- Lizzie, to jest Agnes - mówi Shari. Ale wymawia to z francuska, to znaczy jak: „Ańjes”.- Pracuje tu latem jako au pair. Jej rodzina mieszka w tym młynie przy drodze.

- Och! - wołam. - Widziałam ten młyn! Jest taki piękny!

Agnes nadal uśmiecha się do mnie miło. To Dominique mówi:

- Nie zwracaj sobie głowy. Ona nie rozumie ani słowa po angielsku. Twierdziła, że zna język, kiedy starała się o pracę tutaj, ale okazało się, że nie mówi nic poza „cześć”, „do widzenia” i „dziękuję”.

- Bonjour! Je m'appelle Lizzie - mówię. I uśmiecham się do Agnes. - Co w zasadzie wyczerpuje moją znajomość francuskiego, pomijając jeszcze: Excuzes-moi j'aime pas de tomates.

Agnes zarzuca mnie w odpowiedzi mnóstwem słów, których komplet-nie nie rozumiem, a Shari mówi:

- Uśmiechnij się po prostu i pokiwaj głową, i dogadacie się obie świetnie.

Robię tak. Agnes uśmiecha się do mnie promiennie, a potem wręcza mi biały ręcznik i butelkę zimnej wody z lodówki turystycznej, którą ze sobą przyniosła. Zastanawiam się, czy w tej lodówce nie ma czasem coli light, ale rzut oka, zanim zdążyła zamknąć pokrywę mówi mi, że nie. Czy oni w ogóle mają colę light we Francji? Muszą. To przecież nie jest Trzeci Świat, na litość boską.

Dziękuję Agnes za wodę i rozkładam ręcznik na leżaku stojącym między nią a Dominique, bo wyglądałoby to nieładnie, gdybym, zajęła ten po drugiej stronie Shari. Nie chcę, żeby Agnes albo Dominique pomyślały, że ich nie lubię.

Zdejmuję sukienkę, a potem zrzucam sandały. Kładę się na wygodnej poduszce leżaka i zaczynam się wpatrywać w bezchmurne niebieskie niebo.

Zdaję sobie sprawę, że mogłabym się do tego przyzwyczaić. I to szybko. Anglia, ze swoim chłodnym, wilgotnym powietrzem... Wydaje się, że to było dawno temu.

Andy też się już wydaje przeszłością.

- To bardzo... niezwykle kostium - oświadcza Dominique.

- Dziękuję - mówię, chociaż rodzi się we mnie podejrzenie, że nie zamierzała prawić mi komplementów. Ale pewnie znów coś wymyślam, przez te japonki za sześćset dolarów. - A gdzie są Luke i Chaz?

- Przycinają gałęzie wzdłuż podjazdu - odzywa się Shari.

- Nie mów, że nie ma tu... Sama nie wiem. Jakiejś firmy ogrodniczej, która się tym zajmie?

Dominique rzuca mi bardzo ironiczne spojrzenie znad swoich okularów słonecznych Gucciego.

- Jasne... Gdyby ktoś pomyślał, żeby ich w porę zamówić. Ale, jak zwykle, ojciec Jean-Luca zwlekał do ostatniej chwili i nikogo już nie zna-łazł. Więc teraz Jean-Luc musi to zrobić sam, jeśli nie chce, żeby Bibi do-stała szału po przyjeździe.

- Bibi?

- Matka Jean-Luca - wyjaśnia Dominique.

- Pani deVilliers jest nieco... szczególnie, jak rozumiem - mówi Shari bezbarwnym tonem ze swojego leżaka.

Dominique pozwala sobie na delikatne parsknięcie.

- Można to tak określić. Można też, oczywiście, powiedzieć, że jest po prostu sfrustrowana totalnym roztargnieniem swojego męża. On myśli wyłącznie o tych swoich głupich winogronach.

- Winogronach?

Dominique macha ręką w stronę, gdzie, za naszymi plecami, stoi kilka zabudowań gospodarczych, za którymi rozciąga się coś w rodzaju sadu.

- Winnica - mówi.

A więc to jest winnica, a nie sad! Oczywiście!

- No cóż, pan de Villiers powinien myśleć o swoich winogronach - mówię. -To miejsce to przede wszystkim winnica, nieprawdaż? Ten interes z weselami to tylko coś na boku?

- Oczywiście - mówi Dominique. -Ale w Mirac nie było porządných zbiorów już od lat. Najpierw była susza, potem zaraza ziemniaczana... Każdy by to odebrał jako znak, że trzeba się przeczucić na coś innego, ale nie ojciec Jean-Luca. Mówi, że rodzina de Villiersów zajmuje się winiarstwem od XVII wieku, kiedy zbudowano Mirac, i że on nie będzie tym, który się wycofa z branży.

- No cóż - mówię z podziwem. -To się wydaje takie... szlachetne. Bo jest takie, nieprawdaż?

Dominique wydaje jakiś zde gustowany odgłos.

- Szlachetne? To kompletne marnotrawstwo. Mirac ma nieprawdopodobny potencjał, gdyby tylko Jean-Luc i jego ojciec zechcieli go dostrzec.

- Potencjał?

O czym ona mówi? Tu jest wspaniale tak, jak jest. Idealne otoczenie, piękny dom, cappuccino z pianką... Co tu zmieniać? Ale okazuje się, że Dominique ma parę pomysłów.

- To chyba oczywiste; dom aż się prosi o nowoczesne udogodnienia. Trzeba go kompletnie wyremontować - a zwłaszcza łazienki. Trzeba za-mienić te kiczowate wanny na lwich łapach na jacuzzi... i te toalety ze spluczkami na łańcuszek! Mój Boże. Je też trzeba usunąć.

- Mnie się podobają te z łańcuszkiem - mówię. - Uważam, że są w pewien sposób... czarujące.

- No cóż, to oczywiste, że tobie tak się wydaje - mówi Dominique i znacząco unosi brew, spoglądając na mój kostium. - Ale większość ludzi tak nie uważa. Kuchnia też wymaga dużych przeróbek. Ty wiesz, że oni tu nadal mają - zaraz, jak to się w ogóle nazywa? - aha, spiżarnię? Bez sensu. Nie da się zatrudnić żadnego szefa kuchni, który zgodziłby się pracować w obecnych warunkach.

- Szefa kuchni? - mówię. I kiedy myślę o gotowaniu, zaczyna mi burczeć w brzuchu. Jestem głodna jak wilk. Wiem, że ominęło mnie śniadanie ale kiedy będzie lunch? Czy tu rzeczywiście jest jakiś szef kuchni? Czy to on zrobił mi cappuccino?

- Ależ oczywiście. Żeby zamienić Mirac w prawdziwy, światowej klasy hotel, potrzebny nam będzie szef kuchni z pięcioma gwiazdkami od Michelina.

Ach tak...

- Zamienić go w... - Siadam i patrzę na Dominique. - Zaraz. Oni chcą przerobić to miejsce na hotel?

- Jeszcze nie - mówi Dominique, sięgając po butelkę wody, którą usta-wiła sobie obok leżaka. -Ale, jak ciągle powtarzam Jean-Lucowi, powinni. Pomyślcie tylko o fortunie, jaką można by zarobić na samym ośrodku wypoczynkowym dla korporacji i centrum konferencyjnym! A poza tym, oczywiście, można urządzić spa. Mogliby się pozbyć winnicy, przekształcić ją w ścieżki do joggingu albo trasy do jazdy konnej, a budynki gospodarcze przerobić na pokoje do masażu, akupunktury i hydroterapii. Ośrodki zapewniające odosobnienie dla dochodzących do siebie po operacjach plastycznych kwitną...

- Co takiego?! - przerywam. Przykro mi się przyznać, ale wykrzyczałam te słowa. Byłam tak zaszokowana pomysłem, że ktokolwiek mógłby chcieć przerobić to wspaniałe miejsce na spa.

- Ośrodki zapewniające odosobnienie dla dochodzących do siebie po operacjach plastycznych - powtarza Dominique z poirytowaną miną. - Ludzie, którzy niedawno przechodzili liposukcję albo lifting twarzy, potrzebują miejsca, gdzie mogą dojść do siebie, a ja zawsze uważałam, że Mirac byłoby wspaniałe z tego punktu widzenia...

Nic nie poradzę. Muszę zerknąć na Shari i zobaczyć, co ona o tym wszystkim myśli.

Ale Shari tylko trzyma książkę jeszcze bliżej przed oczyma, żeby ukryć wyraz twarzy, i udaje, że czyta.

I tak widzę, że ramiona jej drżą. Z trudem powstrzymuje śmiech.

- Naprawdę - ciągnie Dominique, popijając wodę. - Rodzina de Villiersów nie dostrzega biznesowego potencjału tej posiadłości. Zatrudniając wykwalifikowany, profesjonalny personel - zamiast miejscowych szumowin - i oferując usługi takie, jak stałe łącza internetowe i telewizję satelitarną, instalując klimatyzację, a może nawet małą salę kinową, przyciągniemy o wiele zamożniejszą klientelę. I osiągniemy zysk znacznie większy niż zyski z tego marnego biznesu z szampanem ojca Jean-Luca.

Zanim zdążyłam sformułować jakąkolwiek odpowiedź na tę straszną przemowę, mój żołądek zdecydował się odezwać za mnie, wydając z siebie wyjątkowo głośne, głodne burczenie. Dominique je ignoruje, ale Agnes siada i plecie coś, co brzmi jak jakieś pytanie. Słyszę słowo go ter, co, jak wiem, oznacza przekąskę.

- Ona pyta, czy chcesz, żeby ci przyniosła coś do jedzenia - tłumaczy Dominique znudzonym głosem.

Mówię:

- Och. Hm...

Agnes mówi coś jeszcze, a Dominique powtarza tym samym znudzonym tonem:

- To żaden kłopot. I tak idzie przynieść sobie coś do przegryzienia.

- W takim razie tak, bardzo chętnie, dziękuję ślicznie. - Uśmiecham się do Agnes i dodaję:- Oui, merci.- A potem jeszcze dorzucam:- Est-ce que vous... Est-ce que vous...

- O co próbujesz ją zapytać? - mówi Dominique, nieco uszczypliwie, moim zdaniem. Ale może tak tylko mi się zdaje, przez tę gadaninę o liposumpcjach. Nadal ciężko mi uwierzyć, że ona naprawdę chciałaby przekształcić to piękne miejsce w jeden z tych hoteli, do jakich wysyłają uczestniczki takich programów, jak Łabędzie, kiedy już dostaną te swoje nowe nosy.

- Chciałam spytać, czy mają tu jakąś colę light.

Dominique się krzywi.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabyś chcieć karmić swój organizm tymi okropnymi chemikaliami?

Bo są pyszne, mam ochotę odpowiedzieć. Ale zamiast tego mówię:

- Okay. To... nieważne.

Dominique mówi coś ostrym tonem do Agnes, która kiwa głową, podrywa się z ręcznika, wsuwa stopy w parę gumowych chodaków - które wydają mi się całkiem odpowiednim obuwiem do chodzenia po trawie i żwirze. O wiele bardziej odpowiednim niż zamszowe Manolo. Łapie swój sarong i rusza w stronę domu.

- Wow - mówię. - Jest bardzo miła.

- Ona powinna robić to, co jej każesz. Ona jest tu w pracy - mówi Dominique.

Spoglądam na Shari.

- Ale przecież my też. To znaczy, jesteśmy w pracy...

- Ale od was nie oczekuje się, że będziecie biegać na posyłki - mówi Dominique. - I nie powinnaś się zwracać do niej przez vous.

- Przepraszam... - Kręcę głową. - Czego nie powinnam?

- Zwróciłaś się do niej przez vous - mówi Dominique. - Przed chwilą, kiedy usiłowałaś mówić do niej po francusku. To niewłaściwa forma. Ona jest od ciebie młodsza i jest służącą. Powinnaś mówić do niej tu - to nie-formalne ty - w przeciwieństwie do uous. Nabierze fałszywego mniemania co do swojej pozycji. Już

zresztą nie zna swojego miejsca. Moim zdaniem to nie do końca właściwe, żeby korzystała z basenu w czasie wolnym od pracy. Ale Jean-Luc powiedział, że nie ma sprawy, i teraz nie sposób się jej pozbyć. Siadam i znów gapię się na nią, kompletnie niezdolna do zrozumienia słów, które właśnie padły z ust Dominique. Szrzi, ze swojej strony, rzeczy-wiście zasłania sobie książką twarz, tak bardzo stara się ukryć, że śmieje się do rozpuku.

Jakby Dominique miała to w ogóle zauważyć. A przecież już myśli o czym innym, bo po chwili mówi:

- Tak gorąco...

Zresztą ma rację. Żar się leje z nieba. Zanim Dominique zaczęła się rozwodzić o tym vous i tu, zastanawiałam się, czy nie zanurkować w tę czystą, błękitną wodę tak kusząco połyskującą przed nami...

Ale wtedy Dominique wprawia mnie w zdumienie, bo nagle siada, rozpina górę od bikini i przewieszają przez oparcie leżaka, mówiąc:

- Ach. Tak lepiej.

*Rok 1848 (trafnie nazwany Rokiem Rewolucji) był świadkiem wielu chłopskich powstań w całej Europie i upadku monarchii we Francji oraz nieurodzaju ziemniaka i klęski głodu w Irlandii, a moda zareagowała na społeczne niepokoje, zachęcając kobiety do jak najdokładniejszego zakrywania ciała, włącznie z kapelusikami z „budką” i spódnicami, które wlokły się niechlujnie po podłodze, a zostały okrzyknięte nieodzownym elementem stroju.*

*Były to czasy Jane Eyre, która, jak wszyscy pamiętamy, odmówiła przyjęcia szczodrej propozycji pana Rochestera, który chciał sprawić jej nową garderobę, i wolała wełnę merynosów od organdy, którą dla niej zamawiał. Szkoda, że nie miała pod ręką takiej Melanii Trump, która by skorygowała jej błędne podejście do kwestii mody.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## Rozdział 14

*Nigdy nie mówić o samym sobie to bardzo szlachetny objaw hipokryzji.*

Fryderyk Nietzsche (1844-1900), niemiecki filozof, uczonek i krytyk

Dobra. Ja wiem, że to Europa i ludzie tutaj o wiele swobodniej podchodzą do swojej cielesności i nagości niż my (pomijając, że Dominique nie jest Europejką. Jest Kanadyjką. Co pewnie znaczy, że jest trochę jakby Europejką. Ale i tak).

Tylko że trudno jest siedzieć i rozmawiać z kimś, kiedy jego gołe sutki jakoś tak... celują w ciebie.

A Shari wcale mi nie pomaga. Twardo nie odrywa spojrzenia od książki, którą czyta. Chociaż zauważyłam, że w ogóle nie odwraca jej stron.

Zdaję sobie sprawę, że nie pozostaje mi nic, jak tylko zachowywać się normalnie. Przecież przywykłam do widoku nagich damskich biustów pod wspólnymi prysznicami w akademiku McCracken.

Niemniej jednak ja znałam wszystkie te dziewczyny.

Poza tym cycki Dominique są -jakby to ująć? - nawet jeszcze bardziej podejrzanie sterczące niż Brianny Dunleavy.

A Brianna dorabiała na pół etatu w toples barze.

- A więc - mówię od niechcenia - wspominałaś Luke'owi o wszystkich swoich pomysłach, hm, ulepszenia Mirac?

Bo jakoś nie mogę przestać się zastanawiać, co on sądzi o planach Dominique.

- Oczywiście - potwierdza Dominique, unosząc dłoń, żeby odrzucić za ramię długie, jasne włosy.- I jego ojcu też. Ale staruszek interesuje się tylko jednym. Swoim winem. Więc do jego śmierci... - Dominique wymownie wzrusza ramionami.

- Luke czeka na śmierć swojego ojca, żeby urządzić tu hotel Hyatt Regency? - pytam, a głos mi się nieco łamie. Bo po prostu nie mogę uwierzyć, że Luke, którego wczoraj poznałam, mógłby robić coś takie-go-

- Hyatt? - Dominique ma zgorzsną minę. - Mówiłam ci, to będzie pięciogwiazdkowy, luksusowy hotel, a nie tania amerykańska sieć noclegowni. I nie, Jean-Luc nie jest entuzjastycznie nastawiony do moich planów. Na razie. Po pierwsze dlatego, że musiałby się na stałe przenieść do Francji, żeby doglądać przeróbek, a on nie jest zainteresowany rzucaniem posady w Lazard Freres. Chociaż mówiłam mu, że to nic trudnego prze-nieść się do ich paryskiego biura. A potem moglibyśmy...

- My? - Czepiam się tego słowa jak babcia puszeki buda. - Wy się pobieracie?

- No cóż, naturalnie - mówi Dominique. - Kiedyś.

To śmieszne, że akurat to stwierdzenie przeszywa moje serce bólem. Ja go prawie nie znam. Spotkałam go zaledwie wczoraj.

Ale z drugiej strony jestem tą samą dziewczyną, która przeleciała na drugi kraniec świata do Anglii, żeby zobaczyć się z facetem, z którym spędziła zaledwie dwadzieścia cztery godziny trzy miesiące wcześniej.

I patrzcie tylko, co z tego wyszło.

- Ty i Luke jesteście zaręczeni? - wreszcie ożywia się Shari. - To zabawne, ale Chaz nigdy mi o tym nie wspominał. Sądziłam, że Luke by mi powiedział.

- No cóż, nie zaręczaliśmy się w żaden formalny sposób - mówi Dominique z wyraźną niechęcią. - Kto jeszcze w ogóle urządza zaręczyny? To takie staroświeckie. W dzisiejszych czasach pary tworzą układy partnerskie, nie małżeństwa. Łączą dochody i inwestują je we wspólną przyszłość. A ja wiedziałam od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam Mirac, że to przyszłość, w którą pragnę inwestować.

Patrzę na nią i mrugam powiekami. „W dzisiejszych czasach pary tworzą układy partnerskie, nie małżeństwa? Łączą dochody i inwestują je we wspólną przyszłość?”

I o co chodzi z tym: „od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam Mirac”? Czy ona nie chciała czasem powiedzieć: od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam Jean-Luca?

- To piękne miejsce - mówi Shari, odwracając stronę książki, chociaż wiem, że jej nie przeczytała. - Czemu twoim zdaniem Luke nie chce się przenieść do Paryża?

- Bo Jean-Luc nie wie, czego chce - twierdzi Dominique z pełnym frustracji westchnieniem.

- A jaki facet wie? - twierdzi Shari. A ja wyraźnie słyszę po tonie jej głosu, że ta rozmowa ogromnie ją bawi.

- Może nie chce być zbyt daleko od ciebie - zauważam, bardzo wspaniałomyślnie, moim zdaniem, biorąc pod uwagę, że lekko się w jej chłopaku durzę. Bo to tylko to. Lekkie zadurzenie. Naprawdę.

Dominique obraca głowę, żeby na mnie zerknąć.

- Proponowałam, że przeniosę się do Paryża razem z nim - mówi bezbarwnym tonem.

- No cóż. Jego mama mieszka w Houston, prawda? Może nie chce jej opuszczać.

- To nie to - twierdzi Dominique. - Chodzi o to, że jeśli złoży wniosek o przeniesienie do Paryża i oni go przyjmą, będzie musiał jechać. A wtedy tam utkwiał. I już nie będzie miał szansy na zrobienie takiej kariery, o jakiej marzy.

- A o jakiej karierze naprawdę marzy? - pytam.

- On chce - Dominique sięga po butelkę wody, którą ustawiła przy leżaku, i unosi ją do ust, a potem pociąga długi łyk - zostać lekarzem.

- Lekarzem? - Jestem zachwycona. W głowie mi się nie mieści, że Luke mi nie wspominał o tym w pociągu, kiedy powiedziałam te wszystkie złe rzeczy o bankowości inwestycyjnej. - Naprawdę? Ależ to świetnie. No bo lekarze... oni pomagają ludziom.

Dominique spogląda na mnie, jakbym powiedziała coś najbardziej oczywistego pod słońcem. Bo rzeczywiście powiedziałam coś takiego.

Ale ona jeszcze się nie zorientowała, że ja z reguły mówię pierwszą rzecz, jaka mi przychodzi do głowy. Poważnie. To jak choroba.

- Chodzi mi o to, że - szybko dodaję - że lekarze są tacy ważni. No wiesz. Dla społeczeństwa. Bo bez nich my wszyscy... bylibyśmy znacznie mniej zdrowi.

Spoglądam na nią, żeby się przekonać, co sądzi o tej mojej inteligentnej wolcie. Dominique oparła się na łokciach - chociaż ten ruch, w jakiś tajemniczy sposób, w ogóle nie poruszył jej piersi - patrzy za mnie, na Shari.

- Twoja przyjaciółka - zwraca się do Shari - bardzo dużo mówi.

- Tak - zgadza się Shari. - Lizzie ma do tego skłonności.

- Przepraszam - mówię, czując, że się rumienię. Ale przecież nie mam zamiaru się zamknąć. Bo to fizycznie niemożliwe. - Ale dlaczego Luke nie pójdzie do szkoły medycznej? To znaczy, jeśli to właśnie chce robić? Bo przecież nie może chodzić o to, że lekarze nie zarabiają dość pieniędzy.

Ten Luke, którego znam - ten, który pozwolił mi, totalnej nieznajomej, wypłakać się na swoim ramieniu wczoraj w tym pociągu i podzielił się ze mną orzeszkami - nigdy by nie wybierał kariery, kierując się wyłącznie tym, na jaką pensję mógłby w danym zawodzie liczyć.

Czyja się myślę?

Nie. Wykluczone. Hugo zamiast Hugo Bossa! Dajcie spokój! Tak wybiera mężczyzna, który przedkłada osobistą wygodę nad styl...

- A ile kosztuje szkoła medyczna? - pytam. - Bo na pewno rodzice Luke'a utrzymywaliby go, gdyby studiował. Myślałaś o tym, żeby porozmawiać na ten temat z mamą albo z tatą Luke'a?

Mina Dominique zmienia się z lekko zniesmaczonej - najwyraźniej mną - w przerażoną.

- A czemu miałabym to robić? - Dominique wygląda jakby kompletnie tego nie rozumiała. - Ja chcę, żeby Luke przeniósł się do Paryża ze mną i pracował w Lazard Freres, żebyśmy mogli przerobić to miejsce na pięciogwiazdkowy hotel, zarobić na nim sporo kasy i przyjeżdżać tu na weekendy. Nie chcę być żoną lekarza i mieszkać w Teksasie. Czy tak to trudno zrozumieć?

Gapię się na nią.

- Hm - mówię. - Nie.

Ale w duchu myślę sobie: Wow. Oto dama, która wie, czego chce. Założę się, że ona nie miałaby żadnych wątpliwości co do przeprowadzki do Nowego Jorku bez dyplomu, bez pracy i załatwionego z góry mieszkania.

Zresztą założę się, że ona by ten Nowy Jork pożarła.

I w tym momencie Agnes wraca z kuchni, niosąc talerz z przekąskami.

- Voila - mówi z niezmiernie zadowoloną z siebie miną, podając mi to, co dla mnie przyszykowała.

A to okazuje się połówką francuskiej bagietki, przekrojoną wzdłuż, a w środku jest...

- Baton Hershey! - woła Agnes, zachwycona, że może użyć tych jedynych angielskich słów, jakie zna.

Właśnie mi podano kanapkę z batonem Hershey.

Agnes wyciąga talerz w stronę Shari, która rzuca okiem i mówi:

- Nie, dziękuję.

Agnes wzrusza ramionami i podsuwa talerz Dominique. Nastolatka wy-daje się zupełnie niezażenowana tym, że dziewczyna jej szefa jest na wpół naga. To dowodzi, że Francuzi w każdym wieku są o wiele bardziej swobodni w kwestiach nagości niż ja.

Dominique rzuca jedno spojrzenie na kanapkę na talerzu przed sobą, wzdyga się i mówi:

- Mon Dieu, non.

No cóż, dobra. Może mimo wszystko nie pożarłaby Nowego Jorku. O wiele za tuczący.

Agnes znów wzrusza ramionami, bierze własną czekoladową kanapkę z talerza, siada na swoim leżaku i zatapia zęby w bagietce. Chrupkie kruchy skórki sypią się po całym przodzie jej kostiumu, kiedy odgryza pierwszy kęs. Żuje i rzuca mi czekoladowy uśmiech.

- Cest bon, ca - mówi, wskazując kanapkę.

Tyle to ja widzę. Prawdziwe pytanie brzmi, jakim cudem miałyby nie być dobre?

Zresztą jak mogę nie wziąć tak życzliwie i troskliwie przygotowanej kanapki? Nie chcę urazić uczuć tej dziewczyny.

Oczywiście mogę zrobić tylko jedno. I robię to.

A to jest, bez wątpienia, najlepsza kanapka, jaką jadłam w życiu.

Ale to jest tego typu kanapka, jakich Dominique- gdyby udało jej się wbić te zorientowane na biznes pazury w tę posiadłość - natychmiast by zabroniła! Kobiety dochodzące do siebie po liposukcji nie chcą, żeby im podawać kanapki z bagietek z batonami Hershey! Ludziom na korporacyjnych wyjazdach integracyjnych nie można serwować batonów! Właściwie widzę, jak przez głowę Dominique przelatują te myśli, kiedy podnosi buteleczkę środka z filtrem i zdecydowanym ruchem spryskuje sobie tors.

Agnes i jej kanapki z batonami niedługo będą należeć do przeszłości, jeśli Dominique uda się przeforsować własny sposób zarządzania Mirac.

Chyba że ją ktoś powstrzyma.

- Moje panie.

Prawie się krztuszę wielkim kawałkiem kanapki z czekoladowym batonem, który właśnie odgryzłam. To dlatego, że po drugiej stronie basenu pojawili się właśnie Luke i Chaz, spoceni i zakurzeni po poranku spędzonym na przycinaniu chaszczki wzdłuż podjazdu.

- Salut- mówi Dominique, unosząc mocno opalone ramię, żeby im pomachać. Jej piersi, zauważam, wcale się przy tym nie poruszają. Z punk-tu widzenia grawitacji to cud.

- Cześć, chłopaki - mówi Shari.

Ja raz w życiu nie mówię nic, bo nadal usiłuję przeżuć kęs kanapki.

- Dobrze się bawicie, dziewczyny? - pyta Chaz. Uśmiecha się szeroko i wiem czemu, to ta półnaga Dominique. Trudno nie zauważyć rozbawionego spojrzenia, rzucanego przez Shari, która z kolei mówi bez złośliwości:

- Och, bawimy się rewelacyjnie. A wy?

- Wspaniale - mówi Chaz. - Pomyśleliśmy, że popływamy, żeby się trochę ochłodzić.

Jeszcze nie skończył mówić, a już ściąga koszulę.

Jedną rzecz Chazowi przyznam. Może i ma duszę magistra filozofii, ale ciało trenera fitnessu.

Ale Luke - jak mogę aż za dobrze się przekonać, kiedy też ściąga koszulę sekundę później - jest jeszcze bardziej spektakularnym przykładem atletycznej muskulatury niż Chaz. Na jego opalonym, dobrze umięśnionym ciele nie ma ani grama tłuszczu, a te ciemne włosy na klatce piersiowej, chociaż niezbyt obfite, i tak tworzą bardzo wyraźną strzałkę, która zdaje się wskazywać dokładnie w stronę jego...

Plusk! Obaj faceci wskazują do lśniącej wody, nie przejmując się tym, żeby najpierw ściągnąć szorty, pozbawiając mnie przyjemności obejrzenia sobie, jaki kierunek wskazuje ten ślad włosów prowadzący z klatki piersiowej Luke'a w dół i znikający w okolicach paska szortów.

- Chryste, super! - krzyczy Chaz, wypłynąwszy na powierzchnię. - Shar, chodź tutaj.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, panie - mówi Shari. Odkłada książkę, wstaje i wskazuje do wody.

Przy skoku opryskuje nieco Dominique, która otrzepuje się z wody.

- Dominique! - woła Luke, wynurzając się na głębszej części basenu. - Chodź. Woda jest świetna.

Dominique szczebiocze coś po francusku, czego kompletnie nie chwytam, chociaż słowo cheveux oznacza włosy albo konie. Jakoś nie wydaje mi się, żeby Dominique mówiła, że nie chce sobie zmoczyć koni.

Shari pod pływa do brzegu basenu i przytrzymując się ramionami na jego obramowaniu, wychyla się, żeby powiedzieć:

- Lizzie, musisz wejść do wody. Jest świetna.

- Skończę najpierw kanapkę - mówię, bo jeszcze jem rozpaćkaną - ale aż nieprzyzwoicie pyszną - przekąskę, którą wręczyła mi Agnes.

- Lepiej odczekaj pół godziny po jedzeniu - radzi Luke z głębokiego krańca basenu. - Jeśli nie chcesz, żeby cię złapał skurcz.

Na szczęście jestem zajęta żuciem, więc mam zbyt pełne usta, żebym mogła spytać: A jeśli mnie złapie, to mnie uratujesz, Luke? Flirt byłby zupełnie nie na miejscu, biorąc pod uwagę, że jego dziewczyna siedzi tuż obok mnie. W toplesie.

I wygląda o wiele lepiej, niż ja kiedykolwiek mogłabym sobie wymarzyć.

- Ach, nowa dziewczyna!

O mało nie wypluwam kawałka bułki z czekoladą, który mam w ustach, tak mnie zaskakuje ten rozlegający się za mną męski głos, mówiący z ciężkim francuskim akcentem. Obracam się na leżaku i znajduję się oko w oko ze starszym panem w białej koszuli i spodniach khaki podtrzymywanych stylowo haftowanymi szelkami.

- Hm - mówię, kiedy już przełknęłam. - Cześć.

- To ta nowa dziewczyna? - Pyta starszy pan Dominique, wskazując na mnie palcem.

Dominique obraca się, spogląda na starszego pana i odzywa się o wiele przyjemniejszym tonem niż poprzednio:

- Ależ tak, monsieur. To jest przyjaciółka Shari, Lizzie.

- Enchante - mówi starszy pan, unosząc swoją dłoń - tę, w której nie ściskam resztki kanapki z batonem Hershey - i podnosi ją do ust, chociaż jej nimi nie dotyka. - Jestem Guillaume de Villiers. Zechcesz obejrzeć moją winnicę?

- Tato... - odzywa się Luke z drugiego końca basenu, z którego teraz pośpiesznie wychodzi. - Lizzie nie ma ochoty akurat teraz oglądać twojej winnicy, okay? Relaksuje się przy basenie.

A więc ten czarujący starszy pan to ojciec Luke'a! Nie mogę powiedzieć, żebym zauważyła między nimi jakieś podobieństwo - monsieur de Villiers ma rzadkie i proste włosy, nie kręcone jak Luke, i śnieżnobiałe, a nie ciemne.

Ale ma takie same iskierki w ciemnych oczach, jak Luke.

- Ależ nie ma sprawy - mówię, sięgając po swoją letnią sukienkę. - Bardzo chętnie zobaczę pana winnicę, monsieur de Villiers. Tyle o niej słyszałam. A wczoraj próbowałam pańskiego pysznego szampana...

- Ach! - Monsieur de Villiers ma zachwyconą minę. - Ale ściśle rzecz biorąc, nie powinno się go nazywać szampanem, chyba że został zrobiony z regionie Szampanii. To, co wytwarzam, można nazywać tylko musującym winem.

- No cóż - mówię, dojadając resztę kanapki, tak że obie ręce mam te-raz wolne i mogę włożyć sukienkę. - Jakkolwiek to nazwać, było pyszne.

- Mera, merci! - woła monsieur de Villiers. A do Luke'a, który podszedł do mojego leżaka i teraz kapie z niego woda na Dominique, która rzuca mu poirytowane spojrzenie, mówi: - Podoba mi się ta dziewczyna!

- Nie musisz z nim iść - zwraca się do mnie Luke. - Naprawdę. Nie daj mu się tyranizować. On z tego słynie.

- Ale ja chcę iść - zapewniam Luke'a. - Jeszcze nigdy nie byłam w winnicy. Bardzo bym ją chciała obejrzeć, jeśli monsieur de Villiers znajdzie czas, żeby mi ją pokazać.

- Mam mnóstwo czasu! - woła ojciec Luke'a.

- Wcale nie tak dużo - oświadcza Dominique, zerkając na swój delikatny, złoty zegarek. - Bibi będzie tu za niecałe dwie godziny. Nie powinien pan czasem...

- Nie, nie, nie - mówi monsieur de Villiers. Ujmuję mnie za łokieć, żebym nie straciła równowagi, kiedy wsuwam sandały. A może, żebym nie uciekła. Bo dokładnie na to mam ochotę, zorientowawszy się, że ojciec Luke'a rozmawia z jego dziewczyną, która ma kompletnie goły biust!!!

Usiłuję wyobrazić sobie sytuację, w której czułabym się swobodnie w toplesie w towarzystwie ojca któregoś ze swoich byłych chłopaków, ale mi się nie udaje.

- Pośpieszymy się - monsieur de Villiers zapewnia Dominique.

- Pójdę z wami i tego dopilnuję, tato - postanawia Luke, biorąc ręcznik, który podaje mu Agnes. - Nie chcę, żeby Lizzie zanudziła się na śmierć pierwszego dnia pobytu u nas.

Ale teraz, kiedy wiem, że Luke pójdzie z nami, jestem pewna, że to mi akurat nie grozi. To znaczy, nuda. Zwłaszcza że kiedy oddaliśmy się od basenu i idziemy w stronę winnicy, która jest za domem, zdaję sobie sprawę, że Luke nie zabrał koszuli.

Naprawdę, coś jest w tym całym chodzeniu z nagim torsem.

*Rewolucji przemysłowej zawdzięczamy nie tylko silnik paro-woy i koncepcję naprzemiennej uprawy roślin motylkowych i zbóż. Skąd! W połowie XIX wieku wynaleziono coś o wiele bardziej istotnego i przydatnego ludzkości: krynolinę, czyli halkę na stelażu. Mogąc wsunąć się w klatkę ze stalowych obręczy, zamiast wkładać na siebie, kilogram po kilogramie, kolejne warstwy halek, żeby uzyskać wymaganą w owych czasach u modnej kobiety szerokość spódnicy, damy wreszcie zaczynały pod tymi spódnicami swobodnie poruszać nogami.*

*Ale to, co wydawało się przebłykiem geniuszu, wkrótce przyniosło też zgubę niejednej niczego niepodważającej wiejskiej dziewczynie, bo krynolina nie dość, że przyciągała niewłaściwych adoratorów, to jeszcze odpowiadała za setki przypadków porażenia młodej damy podczas pikniku przez piorun.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## **Rozdział 15**

*Człowiek, rzeczywiście gadające zwierzę, jest jedynym, które potrzebuje rozmowy do rozmnażania swojego gatunku...*

*W miłości rozmowa odgrywa większą rolę niż wszystko inne.*

*Miłość to najbardziej rozgadane z uczuć i w znacznym stopniu wyłącznie z gadatliwości się składa.*

Robert Musil (1880-1942), australijski pisarz

O kay, więc jest środek dnia, a ja jestem pijana. Ale to nie moja wina! Jedyne, co mi dziś trafiło do żołądka, to cappuccino, kanapka z batonem Hershey i kilka przykurzonych, niezbyt dojrzałych winogron, które monsieur deVilliers zerwał dla mnie, kiedy zwiedzaliśmy winnicę.

A potem, kiedy skierowaliśmy się do piwnicy, tata Luke'a ciągle mi nalewał wina z różnych dębowych beczek, każąc spróbować każdego z osobna. Po jakimś czasie usiłowałam odmawiać. Ale robił taką zranioną minę...

Był dla mnie szalenie miły, oprowadził mnie po całej winnicy - i po farmie za winnicą też - i cierpliwie czekał, kiedy głaskałam po nosie wielkiego konia, który wystawił łeb nad kamiennym murkiem, żeby się z nami przy-witać, i kiedy piszczalam, znalazłszy źródło odgłosów tych krowich dzwonek (prawdziwe krowy, aż trzy, które dostarczają mleka dla chateau).

A potem pojawiły się jeszcze psy, które chciały przywitać się ze swoim panem, basset imieniem Patapouf i charcica Minouche. Trzeba im było rzucać patyki do aportowania - chociaż basset, biegając za kijkiem, potykał się o własne uszy - i wysłuchać opowieści o całym życiu obu psów.

I trzeba się było jeszcze przywitać z farmerem i uścisnąć jego sękatą dłoń, i wysłuchać jego niezrozumiałej francuszczyzny - po czym monsieur de Villiers zapytał mnie, ile z tego zrozumiałam, a kiedy przyznałam, że nic, roześmiał się na całe gardło.

I trzeba było pojeździć na traktorze, i wysłuchać historii regionu - nic dziwnego, że mi szumi w głowie. Wszystkie to i jeszcze dziesięć rodzajów wina? Chociaż każde było pyszne.

Ale zaczyna mi się trochę kręcić w głowie.

A może to tylko ze względu na bliskość Luke'a. Niestety, poszedł do domu i przebrał się w koszulę i czystą parę dżinsów, zanim do nas dołączył.

Ale włosy nadal miał mokre. Wilgotne kosmyki kleiły mu się do opalonego karku w sposób, który kazał mi, na tym traktorze, marzyć o objęciu go ramionami. Nawet teraz, we względnie chłodnym wnętrzu piwnicy z beczkami, nie mogę przestać zerkać na opaloną skórę jego przedramion i zastanawiać się, jak by to było dotknąć jej czubkami palców...

O mój Boże, co się ze mną dzieje? Ja naprawdę muszę być pijana.

Przecież on jest zajęty. I to przez kogoś o wiele ładniejszego i bardziej wykształconego niż ja.

Poza tym jeszcze jest cały ten proces dochodzenia do siebie. Przecież ja dopiero zaczynam się leczyć z Andy'ego.

Nie mogę przestać myśleć o tym, że Dominique to nie jest właściwa osoba dla Luke'a. I nie mam wcale na myśli jej obsesji obuwniczej. Mnóstwo osób totalnie sympatycznych pod każdym innym względem kolekcjonuje buty.

I nie mówię też wcale o tym jej planie przerobienia Mirac na hotel. Ani nawet o lekceważeniu skrywanego marzenia Luke'a, żeby zostać lekarzem (Nie podzielił się tym skrywanym marzeniem ze mną. Muszę po prostu wierzyć w tej sprawie Dominique na słowo, że Luke w ogóle ma jakieś skrywane marzenie).

Chodzi mi o to, że Luke jest taki dobry dla swojego ojca, okazuje nieskończoną cierpliwość wobec fiksjacji starszego pana na punkcie wytwarzania win, historii winiarstwa i opowiadania o niej. Że tak dbał o to, aby ojciec nie spadł z żadnej maszyny, na którą się wdrapywał, żeby nam zademonstrować, jak działa. Kazał



Patapoufowi i Minouche siedzieć, kiedy uznał, że dość już tego skakania na jego ojca. Jakim łagodnym gestem wyjął mankiet koszuli ojca z pyska tego wielkiego konia.

Na co dzień już się nie widuje takiej czułości ze strony syna wobec ojca. Chaz, na przykład, nawet nie rozmawia z własnym ojcem. No dobra, wszystko wskazuje na to, że Charles Pendergast Senior to kawał drania.

Ale i tak.

Facet taki jak Luke - cierpliwy, tolerancyjny i słodki - zasługuje na coś lepszego niż dziewczyna, która nie wspiera jego skrywanych marzeń...

- Jesteś bardzo staroświecka - mówi monsieur de Villiers, przerywając mi te niezyczliwe myśli na temat dziewczyny Luke'a. We trójkę, w przyjaznym milczeniu, opieramy się o którąś beczkę, sącząc cabernet sauvignon, który według ojca Luke'a jest bardzo młody... Jeszcze zbyt młody, żeby go można było butelkować. Sama nie jestem w stanie zauważyć jakiejś różnicy.

- Przepraszam? - Wiem, że jestem pijana. Ale o czym, u diabła, on mówi? Nie jestem staroświecka. Swojemu ostatniemu chłopakowi zrobiłam przecież laskę.

- Ta sukienka. - Monsieur de Villiers wskazuje moją letnią sukienkę. - Jest bardzo stara, prawda? Jesteś bardzo staroświecka jak na młodą Amerykankę.

- Chodzi panu o to, że lubię styl vintage - mówię, chwytając jego aluzję. - No cóż, ta sukienka rzeczywiście jest stara. Chyba nawet starsza niż ja.

- Widziałem już kiedyś taką sukienkę - przypomina sobie monsieur de Villiers. Ze sposobu, w jaki odgania muchę z twarzy - niezbyt pewnym gestem - widzę wyraźnie, że on też wypił o parę łyków własnego wina za dużo. No cóż, dzień jest rzeczywiście gorący. Cała ta ganianina - i jazda na traktorze - i człowiek się robi spragniony. A w piwnicy z beczkami nie ma klimatyzacji.

Ale i tak jest tu w środku przyjemnie chłodno. Musi tak być, tłumaczy mi monsieur de Villiers, żeby wino fermentowało w odpowiednim tempie.

- Na górze - ciągnie - w... - Spogląda pytająco na Luke'a. - Grenier?

- Na poddaszu - mówi Luke i kiwa głową. - Racja. Tam jest trochę starych ubrań.

- Na poddaszu? - Natychmiast zapominam o tym, jak bardzo jestem pijana i jak seksownie wygląda Luke. Prostuję się i patrzę na nich dwóch, mrużąc oczy. - Na waszym poddaszu są stare sukienki Lilly Pulitzer?

Monsieur de Villiers ma skonsternowaną minę.

- Nie znam tego nazwiska - mówi. - Ale widziałem tam podobne sukienki. Chyba należały do mojej matki. Miałem zamiar podarować je na jakąś akcję dobroczynną...

- Czy mogę je obejrzeć? - pytam. Próbuję nie mówić tego zbyt gorliwie.

Ale chyba i tak widać mój zapal, bo tata Luke'a chichocze i powiada:

- Ach! Więc ty kochasz stare ubrania tak samo, jak ja kocham swoje wina!

Zaczynam się rumienić - jestem strasznie zażenowana! Nie chciałam wypaść na osobę zachłanną.

Ale monsieur de Villiers kładzie mi dłoń na ramieniu uspokajającym gestem i mówi:

- Nie, nie, wcale nie miałem zamiaru się z ciebie śmiać. Jest mi po prostu bardzo miło. Lubię, jak ludzie mają jakieś pasje, bo widzisz, sam mam swoją pasję. - Unosi w górę kieliszek wina, żeby pokazać, co jest tą pasją, w razie, gdybym się jeszcze nie domyśliła.

- Ale jest mi szczególnie miło, kiedy widzę taką pasję u młodej osoby - ciągnie. - W tych czasach zbyt wielu młodych nie dba o nic, tylko o pieniądze!

Zerkam nerwowo na Luke'a. Bo jeśli wybrał biznes zamiast medycyny, co sugerowała Dominique, to jest jednym z tych „młodych”, o których mówi jego ojciec.

Ale nie widzę u Luke'a żadnych oznak poczucia winy.

- Zabiorę cię na poddasze, jeśli naprawdę chcesz je obejrzeć - proponuje. - Ale nie rób sobie nadziei, że coś z tych rzeczy będzie w dobrym stanie. W zeszłym roku poważnie przeciekał nam dach i mnóstwo składowanych tam staroci się zniszczyło.

- Żadne zniszczyło - protestuje monsieur de Villiers. - Może tylko trochę zapleśniało.

Ale ja zawsze będę wołała zapleśniałą Lilly Pulitzer od żadnej Lilly Pulitzer. Luke musiał wyczuć moją niecierpliwość, bo roześmiał się i mówi:

- Okay. Chodźmy. - A do ojca: - Może lepiej idź do domu i napij się trochę kawy? Odrobinę wytrzeźwiejesz przed przyjazdem mamy.

- Twoja matka... - Monsieur de Villiers przewraca oczami. - Tak, chyba masz rację.

I tak kilka minut później, kiedy już wylewnie podziękowałam starsze-mu panu za uroczą wycieczkę i kiedy odstawiliśmy go do wielkiej - chociaż, jak wspomniała Dominique, mało nowoczesnej - kuchni w chateau, znalazłam się na pełnym pajęczyn poddaszu z młodszym panem de Villiers i zaczęłam grzebać w starych kufrach pełnych ubrań, bezskutecznie usiłując ukryć entuzjazm.

- O mój Boże! - wołam, otwierając pierwszy kufer i znajdując pod serwisem z chińskiej porcelany spódnice Emilio Puc ci. - Twój tata powiedział, że czyje to są rzeczy? Jego matki?

- Nie da się tego z całą pewnością ustalić - mówi Luke. Przygląda się belkom nad naszymi głowami, pozornie szukając kolejnych przecieków. - Niektóre z tych kufków stały tu na długo, zanim się urodziłem. Przykro mi to powiedzieć, ale de Villiersowie są prawdziwymi chomikami. Możesz sobie wziąć, co tylko chcesz.

- Nie mogłabym - mówię, przykładając spódnicę do bioder, żeby sprawdzić, czy na mnie pasuje - Bo za tę spódnicę z łatwością mógłbyś dostać ze dwieście dolców na eBay. - A potem gwałtownie łapię powie-trze i z niedowierzaniem zagłębiam ręce w kufrze.

Ale jednak to prawda. Znalazłam rzadkość nad rzadkościami - podomkę Lilly Pulitzer w tygrysie prążki... Z chusteczką od kompletu.

- No cóż, nie zamierzam robić sobie kłopotu ze sprzedawaniem tych rzeczy - powiada Luke. - Więc równie dobrze może je zabrać ktoś, kto potrafi je docenić. I wygląda na to, że to właśnie ty.

- Masz tu trochę naprawdę niesamowitych rzeczy, Luke. Wymagają tylko nieco pierwszej pomocy - mówię, pochylając się i znajdując coś, co mi wygląda na pognieciony, ale autentyczny, błękitny aksamitny kapelusz Johna Fredericka.

- To bardzo dobry opis - Luke obraca drewniane krzesło i siada na nim okrakiem, opierając łokcie na oparciu i przyglądając mi się - który można ogólnie zastosować do całego Mirac.

- Nie. To miejsce jest fantastyczne. Zrobiliście kawał niesamowitej roboty, utrzymując je w takim stanie przez tyle lat.

- No cóż, to nie było łatwe - mówi Luke. - Kiedy przyszedł kryzys, ten w 1929, mój dziadek stracił prawie wszystko, włącznie ze zbiorami tamtego lata, które zniszczyła zaraza. Musieliśmy sprzedać mnóstwo ziemi, żeby opłacić same podatki za posiadłość za tamten rok.

- Naprawdę? - Nagle jeszcze nieotwarte kufry stojące wszędzie do-koła mnie przestają się wydawać aż tak bardzo interesujące. - To niesamowite.

- A potem przysłała okupacja niemiecka. Dziadkowi udało się uniknąć zakwaterowania tutaj niemieckich oficerów, bo twierdził, że tata ma zakaźną żółtą febrę... Co nie było prawdą, ale Niemcy poszli szukać gdzie indziej. Ale i tak lata wojny nie przysłużyły się najlepiej winiarstwu.

Siadam na klapie kufra obok tego, w którym właśnie grzebałam. Czuję pod sobą jakieś wybrzuszenie, ale prawie nie zwracam na to uwagi.

- Musi być strasznie dziwnie - mówię - być właścicielem czegoś, co ma za sobą taką historię. Zwłaszcza jeśli...

- Jeśli?

- No cóż, jeśli zarządzanie chateau nie jest tak naprawdę karierą twoich marzeń. Dominique wspominała coś o tym, że chciałbyś być, hm, lekarzem.

- Co? - Wyprostował się, a jego spojrzenie w złotawym świetle, wpadającym przez okna w kształcie rombów po obu stronach długiego, załamane go sufitu, jest mroczne i nieprzeniknione. - Kiedy to powiedziała?

- Dzisiaj - mówię niewinnie. Bo jestem niewinna. Dominique nie mówiła, że to jakaś tajemnica. Nie żeby, przy moich uzdolnieniach, robiło to jakąkolwiek różnicę, gdyby coś takiego powiedziała. - Przy basenie. A czemu? To nieprawda?

- Owszem, to nieprawda - zaprzecza Luke. - To znaczy, jasne, kiedyś... Jezus, co jeszcze mówiła?

Że w łóżku jesteś uważnym i starannym kochankiem, mam ochotę powiedzieć. Że dziewczyna przy tobie nie musi się martwić dbaniem o własną przyjemność, bo jesteś totalnie gotowy jej przyjemnością się zająć sam.

- Nic - mówię zamiast tego. Bo, oczywiście, Dominique niczego takiego nie mówiła. To tylko moja totalnie brudna, grzeszna wyobraźnia

dorwała się do głosu. - No, może poza tym, że chciałyby przerobić Mirac na hotel czy jakieś spa, do którego ludzie mogliby przyjeżdżać, kiedy będą do siebie dochodzić po operacjach plastycznych.

Luke ma jeszcze bardziej zaskoczony minę.

- Po operacjach plastycznych?

Ups.

- Nieważne - mówię i oblewam się szkarłatem. O. Nie. Ja. Tego. Wcale. Znów. Nie. Zrobiłam. - Boże, Luke. Te rzeczy są niesamowite.

- Zaraz. Co powiedziała Dominique?

Rzucam mu pełne poczucia winy spojrzenie.

- Nic takiego - mówię. - Naprawdę. Nie powinnam była. No bo to jest sprawa między wami... Wiem, że nic tu nie mam do gadania... - Ale i tak wszystko zaczyna się ze mnie wylewać - ...ale moim zdaniem nie powinieneś przerabiać tego miejsca na hotel - mówię szybko. - Mirac wydaje się takie niepowtarzalne. Komercjalizacja je zniszczy.

- Chirurgia plastyczna? - powtarza Luke z miną nadal pełną niedowierzania.

- Chyba rozumiesz atrakcyjność tego pomysłu. Skoro chciałeś być lekarzem i tak dalej, ale...

- Ja wcale nie... - Luke podrywa się z krzesła i robi kilka szybkich kroków w stronę przeciwległego krańca poddasza, jedną ręką przeczesując swoje gęste, kręcone włosy - Mówiłem jej, że chciałem zostać lekarzem,

kiedy byłem dzieckiem. Potem dorosłem i zdałem sobie sprawę, że po studiach podstawowych musiałbym jeszcze cztery lata spędzić w szkole medycznej... Plus kolejne trzy jako stażysta. Aż tak bardzo nie przepadam za szkołą.

- A więc to nie dlatego, że lekarze nie zarabiają w obecnych czasach tyle, ile bankierzy inwestycyjni? - mówię, znów siadając na wypchanym kufrze.

- Czy ona... - Obraca się do mnie twarzą. - Czy powiedziała ci, że tak właśnie mówiłem? Widzę, że wkraczam na grząski grunt. Zrywam się z kufra i chcąc zmienić temat, mówię:

- Co tu tak sterczy z tego kufra, na którym siedzę?

- Bo to nieprawda - twierdzi Luke, podchodząc do mnie, kiedy pochylałem się, żeby wyjąć jakiś długi, jasny przedmiot. - To nie miało nic wspólnego z pieniędzmi. To znaczy, trochę miało i przez te lata, kiedy byłbym w szkole, nie miałbym żadnych dochodów. I, taa, owszem, to by był pewien problem. Nie będę cię okłamywał. Lubię mieć własne pieniądze, żebym nie musiał zależeć finansowo od rodziców. Facet lubi móc płacić własne rachunki, rozumiesz?

- Totalnie - mówię, rozwijając coś, co wygląda jak kupon białej satyny, owinięty wokół jakiegoś długiego, twardego przedmiotu.

- I okay, spojrzałem na program podyplomowych studiów medycznych na kilku uniwersytetach. Bo wiesz, skoro na studiach nie zaliczałem wstępnej szkoły medycznej, to gdybym teraz chciał pójść na medycynę, musiałbym i tak najpierw zaliczyć kilka kursów z przedmiotów ścisłych.

- Jasne - mówię, nadal rozwijając to coś, co wygląda jak zwinięty obrus.

- I owszem, okay, może nawet na kilka złożyłem papiery. I może nawet zostałem przyjęty na Columbię i Uniwersytet Nowojorski. Ale nawet jeśli zacznę się uczyć w pełnym wymiarze, włącznie z letnimi wakacjami, to i tak muszę przez rok studiować, a te studia nie liczą się do uzyskania dyplomu z medycyny. Czy ja tego naprawdę chcę? Studiować przez kolejnych pięć lat? Kiedy nie muszę tego robić?

- O mój Boże! - mówię. Bo wreszcie rozwinęłam ten długi, twarde przedmiot. I porządnie się przyjrzałam temu, w co go zawinięto.

- To - mówi Luke, z zaniepokojoną miną - dubeltówka do polowań mojego taty. Nie... Lizzie, nie trzymaj jej w ten sposób, Jezus Maria. - Szybko odbiera mi to długie coś, a potem otwiera zamek i zagląda do środka. - Nadal nabita - mówi słabym głosem.

Teraz, kiedy Luke zabrał mi strzelbę, obie ręce mam wolne i mogę po-rządnie strzepnąć materiał, w który ją zawinięto.

- Lizzie - odzywa się Luke nieco nerwowym tonem. - W przyszłości, kiedy trzymasz w rękach strzelbę - nawet nienaładowaną - nie wymachuj nią w taki sposób. A już zwłaszcza nie celuj z niej we własną głowę. O mało nie dostałem przez ciebie ataku serca.

Jego głos dobiega mnie jakby z oddali. Koncentruję się wyłącznie na sukience, którą trzymam w rękach. Mimo iż wygnieciona i poplamiona rdzą, to kremowa, długa do ziemi sukienka z jedwabnej satyny, z wąskimi ramiączkami (od spodu wyposażonymi w małe haftki, z pomocą których chowa się ramiączka od stanika właścicielki), delikatnymi szczypankami na gorsie z podwójnie złożonego materiału i z rzędem guziczków z tyłu, które mogą być wyłącznie prawdziwymi perłami.

- Luke, czyja to sukienka? - pytam, szukając w środku metki.

- Słyszałaś mnie? - mówi Luke. - Ta broń jest naładowana. Mogłaś sobie odstrzelić czubek głowy.

I wtedy je znajduję. Słowa, które sprawiają, że serce staje mi na moment, chociaż są tylko delikatnie wyhaftowane czarną nicią na małej białej metce: Givenchy Couture.

Czuję się tak, jakby ktoś mnie kopnął.

- Givenchy... - Zataczam się w tył i siadam na wieku kufra, bo nogi się pode mną uginają. - Givenchy Couture!

- Jezu Chryste! - krzyczy Luke. Rozładował strzelbę, a teraz odkładają ją na krzesło, z którego się poderwał, i szybko przechodząc przez pomieszczenie, pochyla się nade mną z troską. - Nic ci nie jest?

- Owszem, coś mi jest. - Wyciągam rękę, łapię go za gors koszuli i ciągnę tak, że musi opaść na kolano obok mojego kufra, a twarz ma zaledwie o parę centymetrów od mojej.

On nie rozumie. On zwyczajnie nie rozumie. Muszę mu to wytłumaczyć.

- To jest wieczorowa sukienka od Huberta de Givenchy. Bezcenna, unikatowa wieczorowa sukienka od jednego z najbardziej innowacyjnych projektantów mody na całym świecie. I ktoś ją wykorzystał, żeby zawinąć w nią tę starą strzelbę, która... która...

Luke zerka na mnie z troską w ciemnych oczach. - Tak?

- Która ją zabrudziła rdzą!

Z jakiegoś powodu Luke lekko unosi kąciki ust. Uśmiecha się. Jak on się może uśmiechać? Widzę, że nadal nie rozumie.

- Rdza, Luke - mówię z rozpaczą. - Rdza. Czy ty masz chociaż pojęcie, jak trudno jest usunąć rdzę z tak delikatnego materiału jak jedwab? 1 popatrz, popatrz tutaj... Jeden z paseczków jest zerwany. I obrębek - tu

jest rozdarcie. I tu też. Luke, jak ktoś mógł zrobić coś takiego? Jak ktoś mógł... zamordować taką piękną klasyczną suknię?

- Nie wiem - mówi Luke. Ciągłe się uśmiecha, co znaczy, że nadal tego nie zrozumiał.

Ale położył też dłoń na mojej dłoni, w której wciąż ściskam gors jego koszuli. Palce ma ciepłe i dodające otuchy.

- Mam jednak wrażenie, że jeśli jest na świecie ktoś, kto może reanimować tę ofiarę wypadku - ciągnie swoim głębokim, spokojnym głosem, który jest jeszcze głębszy i niższy w ciszy panującej na długim poddaszu - to jesteś to ty.

Oczy, w które mu zaglądam, są bardzo ciemne i bardzo przyjazne... Tak samo jak usta, jak zawsze zachęcające do pocałunków.

Jak on może mieć dziewczynę? To strasznie nie fair. Po prostu nie fair.

Robię jedyną rzecz, jaką mogę zrobić w takich okolicznościach. Łagodnie wypuszczam z ręki jego koszulę, cofam dłoń - i odwracam wzrok.

- Chyba... - mówię, spoglądając na metry poplamionej tkaniny leżące na kolanach, z nadzieją, że on nie dostrzeże mojego rumieńca - ani nagle przyspieszonego tętna, bo czuję, że serce mi się tłucze o żebra - chyba mogłabym spróbować. To znaczy... Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym spróbować.

- Lizzie. Ta sukienka leży na poddaszu Bóg wie od jak dawna i jak wspomniałaś, trudno powiedzieć, żeby była tu dobrze traktowana. Moim zdaniem powinna należeć do kogoś, kto będzie się z nią umiał należycie obchodzić.

Tak jak i ty, Luke! - Mam ochotę zawołać. Zasługujesz na to, żeby należeć do kogoś, kto obdarzy cię troską i uwagą jakich potrzebujesz... Kogoś, kto cię będzie wspierał w twoim marzeniu o zawodzie lekarza i nie będzie gderał, żebyś się przeniósł do Paryża. Kto będzie przy tobie trwał przez tych pięć lat studiów i kto obieca, że nigdy nie przerobi domu twoich przodków na spa dla ludzi, którzy dochodzą do siebie po operacjach plastycznych, na-wet jeśli przyniosłoby to większe dochody niż organizacja wesel.

Ale, oczywiście, nie mówię tego głośno.

Zamiast tego zauważam:

- A wiesz, Chaz jesienią idzie na Uniwersytet Nowojorski. Może gdybyś zdecydował się pójść na te jakieś tam kursy z przedmiotów ścisłych, moglibyście we dwóch znaleźć sobie razem mieszkanie.

To znaczy, dodaję w duchu, o ile Dominique nie będzie się upierała, że pojedzie z tobą...

- Taa - mówi Luke i nadal się uśmiecha. - Byłoby zupełnie jak za starych dobrych czasów.

- Bo moim zdaniem - ciągnę, trzymając kolana tak, żeby czasem nie dotknęły jego nóg, a na tych kolanach mam zwój jedwabnej gładkiej sukni - jeśli jest coś, co naprawdę chciałbyś robić, na przykład zostać lekarzem, to powinieneś do tego dążyć. Bo inaczej nigdy nie będziesz wiedział na pewno. I może przez całe życie będziesz żałował.

Luke nadal klęczy koło mojego kufra i twarz ma nadal zbyt blisko mojej twarzy, żebym się czuła swobodnie. Usiłuję nie rozmyślać nad tym, jak moja rada - że powinien spróbować robić to, co chce - stosuje się do ewentualnych pocałunków. Bo wiecie, mogę już nie mieć drugiej szansy, żeby się przekonać, jak by to było. Ale całowanie się z facetem, który ma dziewczynę, jest zwyczajnie nie w porządku. Nawet dziewczynę, która niekoniecznie troszczy się o jego dobro, w przeciwieństwie do mnie. To coś takiego, co w akademiku McCracken zrobiłaby Brianna Dunleavy.

A Brianny nikt nie lubił.

- Sam nie wiem - powiada Luke. Czy to tylko moja wyobraźnia, czy on zerka na moje usta? Czyżby coś mi się przykleiło do błyszczycy? Albo - o Boże - mam fioletowe zęby po tym całym czerwonym winie? - To naprawdę poważny krok. Taki, który zmienia człowiekowi życie. Ryzykowny krok.

- Czasami - mówię, sama patrząc na jego usta - trzeba podejmować spore ryzyko, jeśli człowiek chce się przekonać, kim jest i po co się znalazł na tej planecie. Tak jak ja, kiedy wskoczyłam do tego pociągu i przyjechałam do Francji, zamiast siedzieć w Anglii.

Okay, on się zdecydowanie nachyla w moją stronę. On się nachyla ku mnie. Co to znaczy? Czy on chce mnie pocałować? Jak on może chcieć całować mnie, skoro ma najświetniejszą dziewczynę pod słońcem, która właśnie leży półnaga przy basenie?

Nie mogę mu się pozwolić pocałować. Nawet jeśli on tego chce. Bo to by było niewłaściwe. On jest już zajęty.

A poza tym jestem pewna, że oddech jeszcze mi śmierdzi winem.

- Warto było zaryzykować? - pyta mnie.

Jakoś nie mogę oderwać oczu od jego warg, które są coraz bliżej moich.

- Totalnie - mówię i zamykam oczy.

On mnie pocałuje. On mnie pocałuje! Och, nie! Och. Tak.

*Amerykanka nazwiskiem Amelia Bloomer była pierwszą kobietą, która wystąpiła przeciwko krynolinie jako niebezpiecznej (ściąga pioruny) i niehigienicznej (spódnice zamiatały podłogi i chodniki). Zachęcała kobiety*

*do wkładania bloomerów, pumpów o szerokich nogawkach pod spódnicą długą do kolan, których w dzisiejszych czasach nikt nie uznałby za nie-skromne. Ale wiktoriańscy mężowie ostro się sprzeciwili, nie życząc sobie, żeby to kobieta w rodzinie nosiła spodnie, a bloomery podzieliły los zakietów Tylko Dla Członków Klubu oraz duetu Hall and Oates.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## **Rozdział 16**

*Kochanek dyskretny to żaden kochanek. Powściągliwość i oddanie to pojęcia ze sobą sprzeczne.*

Thomas Hardy (1840-1928), brytyjski pisarz i poeta

Jean-Luc? Zaraz. Kto to powiedział?

- Jean-Luc?

Otwieram raptownie oczy. Luke już się poderwał na równe nogi i bieg-nie do drzwi poddasza.

- Tu jestem! - woła w dół wąskiej klatki schodowej prowadzącej na trzecie piętro. - Na poddaszu!

Co się stało? W jednej chwili zamierza mnie pocałować - jestem tego niemal pewna - a w następnej...

- No cóż, lepiej tu zaraz zejść. - Głos Dominique brzmi nieco sztywno. - Twoja mama właśnie przyjechała.

- Cholera - mówi Luke. Ale nie do Dominique. Do Dominique woła: -Jasne. Zaraz zejść na dół!

Obraca się, żeby na mnie spojrzeć. Siedzę tam z wieczorową suknią Givenchy spływającą mi z kolan i czuję się tak, jakby przed chwilą coś mi wydarto. Może serce?

Ale to przecież śmieszne. Nie chciałam, żeby mnie pocałował. Nie chciałam. Nawet jeśli zamierzał to zrobić.

A przecież nie zamierzał.

- Powinniśmy zejść - mówi Luke. - Chyba że wolisz zostać tutaj.

Możesz sobie wziąć, co tylko będziesz chciała...

Poza tą jedną rzeczą, której najbardziej pragnę; teraz zaczynam sobie zdawać z tego sprawę.

- Nie, nie mogę - mówię, wstając. Jestem nieco zdziwiona, kiedy przekonuję się, że kolana nadal mogą mnie utrzymać w pionie.

Ale nie wypuszczam z rąk wieczorowej sukni, fakt, który Luke zauważa i unosi kącik warg w znaczącym uśmiechu.

- Gdybym tylko mogła zabrać to i może spróbować jakoś odratować... - dodaję, opuszczając wzrok na narecze jedwabiu, które trzymam w ramionach.

- Ależ oczywiście - mówi Luke, nadal usiłując ukryć uśmiech.

On się ze mnie śmieje. Ale nic mnie to nie obchodzi, bo teraz mamy kolejny wspólny sekret. Niedługo będę miała z Lukiem deVilliersem więcej sekretów niż 2 kimkolwiek innym.

Chociaż, dzięki Agencji Prasowej Lizzie, nie mam sekretów z nikim innym. To coś, nad czym należy popracować.

Schodzę za Lukiem po schodach. Na dole czeka na nas Dominique. Przebrała się z kostiumu kąpielowego w kremową, bardzo współczesną lnianą sukienkę, która obnaża ramiona i sprawia, że jej talia wydaje się bardzo wiotka. Na stopach, jak szybko zauważam, ma parę wsuwanych klapków z groźnymi ostrymi czubami.

- No proszę- mówi, kiedy widzi, że snuję się śladem Luke'a. -Zapewniłaś sobie pełne zwiedzanie, nieprawdaż, Lizzie?

- Luke i jego tata o to zadbali. - Staram się ukryć poczucie winy. Chociaż dlaczego miałabym się czuć winna? Nic się nie stało. I nic się nie miało stać.

Prawdopodobnie.

- Jestem tego pewna - oświadcza Dominique znudzonym tonem.

Potem krytycznym spojrzeniem obrzuca Luke'a. - Popatrz tylko na siebie.

Jesteś cały zakurzony. Nie możesz przywitać swojej matki w takim stanie.

Idź się przebrać.

Jeśli Luke nie lubi, żeby w taki sposób rozstawiać go po kątach, to tego nie okazuje. Tylko rusza korytarzem, wołając przez ramię:

- Powiedz mamie, że zejść za minutę!

Wybieram się do swojego pokoju, gdzie zamierzam schować tę wieczorową suknię, póki nie uda mi się znaleźć paru cytryn albo, jeszcze lepiej, dwuwinienu potasu, żeby ją w tym namoczyć. W przeszłości udawało mi się wywabiać plamy z rdzy na jedwabiu tymi oboma środkami.

Ale Dominique zatrzymuje mnie, zanim zdążyłam zrobić choć jeden krok.

- Co tu masz? - pyta.

- To tylko stara sukienka, którą znalazłam tam na górze. - Rozwijam suknię i trzymam ją tak, żeby na nią mogła popatrzeć. - Straszna szkoda, że cała jest w plamach rdzy. Spróbuję, czy nie uda mi się ich wywabić.

Dominique krytycznym wzrokiem obrzuca suknię od góry do dołu. Jeśli zdaje sobie sprawę z jej znaczenia dla historii mody, nie daje tego po sobie poznać.

- Chyba jest bardzo stara - mówi.

- Nie tak bardzo - odpowiadam. - Lata sześćdziesiąte. Może wczesne siedemdziesiąte.

Marszczy nos.

- Śmierdzi.

- No cóż. Leżała na zatechłym poddaszu. Namoczę ją na trochę i zobaczę, czy uda się wywabić plamy. Przy okazji zniknie też zapaszek.

Dominique sięga palcem w stronę śliskiego jedwabiu. Sekundę później wyciąga dłoń do metki.

Zobaczyła.

Ale nie piszczy, tak jak ja. To dlatego, że Dominique faktycznie potrafi się kontrolować.

- Dobrze szyjesz? - pyta mnie bardzo spokojnie. - Wydaje mi się, że twoja przyjaciółka Shari mówiła coś takiego...

- Och, jakoś sobie radzę z igłą - odpowiadam skromnie.

- Gdybyś skróciła mi tę spódnicę - Dominique wskazuje miejsce tuż nad kolanem, gdzie powinnam obciąć spódnicę - byłaby z niej śliczna sukienka koktajlowa. Oczywiście musiałabym ją ufarbować na czarno. W przeciwnym razie chyba wyglądałaby za bardzo wieczorowo.

Wow. Zaraz, minutkę!

- Bo to jest suknia wieczorowa. I jestem pewna, że to czyjaś własność. Ja tylko spróbuję ją odratować. Jestem pewna, że jej właścicielka ucieszy się, kiedy ją odzyska. Chociaż nie wiem, do kogo należy.

- Ależ to mógłby być każdy - mówi Dominique. - A gdyby temu komuś, do kogo rzekomo należy, rzeczywiście na niej zależało, to by jej tam nie zostawiał. Jeśli to kwestia ceny, ja chętnie ci zapłacę...

Wyrywam suknię z jej palców. Nic na to nie poradzę. Zupełnie jakby się zamieniła w Cruellę De Mon, a ta suknia była szczeniakiem dalmatyńczyka. W głowie mi się nie mieści, że ktoś może być tak podły, żeby sugerować skrócenie - nie wspominając już o farbowaniu - oryginalnej sukni Givenchy.

- Może sprawdzmy najpierw, czy uda mi się wywabić plamy - mówię z największym spokojem, na jaki się mogę zdobyć, biorąc pod uwagę, że prawie hiperwentyluję pod wpływem oburzenia.

Dominique wzrusza ramionami na swój francusko-kanadyjski sposób. A przynajmniej wydaje mi się, że tak to robią francuscy Kanadyjczycy, bo nigdy wcześniej żadnego nie spotkałam.

- Świetnie - mówi. - Pozwólmy Jean-Lucowi zdecydować, co z nią zrobić, w końcu to jego dom...

Nie dodaje: a ja jestem jego dziewczyną, a zatem wszystkie znaleźiska couture w tym domu prawnie należą się mnie. Bo nie musi tego dodawać.

- Odłożę ją tylko i zejdę się przywitać z panią deVilliers.

Kiedy wspominam to nazwisko, Dominique jakby przypomniała sobie, że jest potrzebna gdzie indziej.

- Tak, oczywiście - mówi i szybko zbiega po schodach.

Z nieprawdopodobną ulgą rzucam się do swojego pokoju i zamykam za sobą drzwi, a potem opieram się o nie jakbym nie mogła złapać tchu. Pociąć suknię Givenchy! Ufarbować Givenchy! Co za chora, pokrecona...

Ale nie mam czasu martwić się tym teraz. Chcę zobaczyć, jaka jest mama Luke'a. Delikatnie wieszam suknię na kołku na ścianie (bo mój po-kój nie ma szafy), a potem zrzucam sukienkę i kostium, które nosiłam cały dzień. Później narzucam szlafrok i biegnę do łazienki szybko się obmyć, poprawić makijaż i przeczesać włosy, zanim wrócę do pokoju włożyć swoją imprezową sukienkę Uszy Perette (udało mi się wreszcie wywabić plamy z farby).

Potem, kierując się odgłosami rozmowy, które dochodzą z dołu, biegnę znaleźć Bibi deVilliers. :

Która okazuje się zupełnie inna, niż sobie wyobrażałam. Poznawszy ojca Luke'a, stworzyłam sobie w głowie obraz kobiety, z jaką mógłby się ożenić - drobnutkiej, ciemnowłosej, o cichym głosie - która pasowałaby do jego słynnego roztargnienia.

Ale żadna z kobiet, które widzę na podeście drugiego piętra, kiedy tam schodzę, nie odpowiada temu opisowi.

W holu stoją trzy panie - nie licząc Shari, Dominique i Agnes - i żadna z nich nie jest ciemnowłosa ani drobna.

I zdecydowanie żadna nie jest cicha.

- No ale w takim razie, gdzie się zatrzymają Lauren i Nicole? - pyta ostro, z ciężkim południowym akcentem, dziewczyna mniej więcej w moim wieku, ale zdecydowanie jaśniejsza w kolorycie.

- Vicky, kotku, tłumaczyłam ci. - Druga kobieta, która musi być matką tej dziewczyny, bo są bardzo do siebie podobne (tyle że mama ma około dziesięciu kilo więcej niż córka), mówi tonem cierpiętniczym, ale też zdecydowanie teksańskim. - Będą po prostu musiały nocować w Sarlat. Ciocia Bibi uprzedzała, że w Mirac zmieści się tylko określona liczba ludzi...

- Ale dlaczego przyjaciele Blaine'a będą mogli tu spać - jęczy Vicky - a moje przyjaciółki muszą jechać do hotelu? I co z Craigem? Gdzie będą spali jego przyjaciele?

Młody chłopak z nadąsaną miną, chowający się w kącie obok marmurowej kolumny, mówi:

- Nie wiedziałem, że Craig ma w ogóle jakichś przyjaciół.  
- Zamknij się, debilu - rzuca ku niemu Vicky.  
- No cóż - odzywa się druga jasnowłosa pani w średnim wieku. - A mnie by się przydało coś do picia. Ktoś do mnie dołączy?  
- Proszę, Bibi. - Monsieur de Villiers szybko podchodzi z tacą kieliszków do szampana, z którą stał z boku, czekając na tego typu nagłą konieczność.  
- Ach, dzięki Bogu - mówi matka Luke'a i szybko chwyta kieliszek. Prawie o głowę wyższa od swojego francuskiego, niedługo już byłego męża (choć może to tylko dlatego, że ma aż tak spiętrzoną fryzurę), jest efektowną kobietą w portfelowej sukience Dianę von Furstenberg w kolorowe wzory, która korzystnie podkreśla jej zadbaną figurę.  
- Proszę, Ginny. - Bierze kolejny kieliszek szampana i podaje go siostrze. - Założę się, że przyda ci się jeszcze bardziej niż mnie.  
Matka Vicky nawet nie czeka, aż pozostali też zostaną obsłużeni, i wypija do dna swojego szampana. Wygląda jak kobieta na skraju... no cóż, czegoś niezbyt dobrego.  
Dominique, jak widzę, już zdążyła zejść na dół i stoi u boku pani de Villiers, nadzorując serwowanie szampana. Kiedy monsieur de Villiers podchodzi do Agnes, mówi coś po francusku ostrym tonem, a tata Luke'a robi przestraszoną minę.  
- Och, tylko na spróbowanie - mówi. - To mój nowy, demi-sec...  
Dominique ma minę pełną dezaprobaty.  
Ale najwyraźniej to nie przeszkadza Luke'owi, który podchodzi, bierze kieliszek szampana z tacy trzymanej przez ojca i podaje go zaskoczony i uradowanej Agnes.  
- To specjalna okazja - mówi Luke, niby do wszystkich zebranych. Ale jestem przekonana, że ta uwaga skierowana jest głównie do Dominique. - Siostra przyjechała tu na swój ślub. Wszyscy powinni to uczcić.  
Widzę, że Shari - która przebrała się z kostiumu w ładną białą bluzkę i oliwkowe spodnie do pół łydki - wymienia spojrzenia z Chazem, który, odkąd go widziałam po raz ostatni, też się przebrał: w spodnie khaki i czystą koszulkę polo. Jej spojrzenie wydaje się mówić: A nie mówiłam?  
Ale nie mówiłam o czym? Co tu się dzieje?  
- No cóż - mówi pani de Villiers, unosząc kieliszek. - Zatem wzniesmy toast. Za państwa młodych. Choć pana młodego tu jeszcze nie ma.  
Szczęściarz cholerny. - Odrzuca głowę w tył i się śmieje. - Tylko zartowałam.  
A potem, zauważywszy mnie, pani de Villiers dodaje:  
- Ups, Guillaume, jeszcze jeden. Jeszcze jeden kieliszek. - A monsieur de Villiers obraca się, zauważa, że schodzę po schodach, i uśmiecha się od ucha do ucha.  
- No, jesteś nareszcie - mówi, wyciągając w moją stronę ostatni kieliszek. - Lepiej późno niż wcale. I zdecydowanie warto było czekać.  
Rumieniąc się, biorę od niego kieliszek i zwracam się do wszystkich ogólnie, tak jak przedtem Luke:  
- Dzień dobry, jestem Lizzie Nichols. Bardzo państwu dziękuję za gościnność.  
Jakbym faktycznie była tu zaproszonym gościem, a nie osobą, która totalnie się wkręciła do towarzystwa.  
A potem stoję tam i marzę, żeby coś ciężkiego spadło mi na głowę i pozbawiło przytomności.  
- Lizzie, jak się masz? - Pani de Villiers występuje naprzód, żeby uściskać mi dłoń. - To ty musisz być przyjaciółką Chaza, o której tyle słyszałam. Bardzo miło cię poznać. Każdy przyjaciel Chaza jest naszym przyjacielem. Był taki kochany dla naszego Luke'a, kiedy syn był w szkole. Zawsze mu pomagał pakować się w kłopoty. Zerkam na Chaza, który śmieje się od ucha do ucha.  
- Nie dziwię się - mówię. - Znajac Chaza.  
- Nieprawda - zaprzecza Chaz. - Nieprawda. Luke w mnóstwo tara-patów wpakował się zupełnie sam, bez żadnej mojej pomocy.  
- To moja siostra Ginny Thibodaux i jej córka Vicky - mówi Bibi de Villiers, prowadząc mnie przez hol na spotkanie rodziny. Uścisk dłoni pani Thibodaux, w porównaniu z serdecznym uściskiem ręki jej siostry, przypomina ściskanie wilgotnej gąbki, a uścisk Vicky jest wcale niewiele lepszy. - A to jest Blaine, już nie taki mały braciszek Vicky. - Uścisk dłoni Blaine'a jest już lepszy niż siostry, ale twarz ma chyba na stałe wykrzywioną w wyrazie niezadowolenia, a na każdym z palców dłoni wytatuowaną literę. Ale nie widzę, jaki napis tworzą te litery.  
- No cóż - mówi Bibi, kiedy już skończyła prezentację. - Za uroczych państwa młodych.  
A potem szybko wypija szampana. Na szczęście w pobliżu stoi jej mąż z nową butelką w pogotowiu.  
- Smaczne, prawda? - pyta gorliwie każdego chętnego do odpowiedzi. - Demi-sec? Już nikt nie robi demi-sec. Wszyscy wiecznie domagają się brut. Ale ja sobie myślę, a czemu nie?  
- Fajnie, że nie myślisz sztafpowo, Guillaume - mówi Chaz pogodnie. Podchodzę do niego i do Shari i pochylam się, żeby zapytać: - Macie pojęcie, co to w ogóle jest demi-sec?  
- Och, do diabła, skąd? - odpowiada Chaz tak samo pogodnie i dopija szampana. - Hej, ja się jeszcze napiję - dodaje, idąc szybko za ojcem Luke'a.

Shari podnosi na mnie oczy - nigdy się nie pogodziła z tym, że ma tylko metr sześćdziesiąt wzrostu, tak jak ja nie pogodziłam się z tym, że miałam dwa razy większy tyłek niż ona (do niedawna) - i pyta:

- Gdzie znikłaś na całe popołudnie? I czemu jesteś taka wystrojona?
- Luke i jego tata oprowadzili mnie po winnicy - mówię.- I nie jestem wystrojona. Tę sukienkę zdegradowałam do codziennego użytku po tym, jak Maggie wysmarowała ją farbą. Pamiętasz?
- Nie ma teraz na niej żadnej farby - stwierdza Shari.
- No cóż, była rozpuszczalna w wodzie. Nikt nie daje czterolatce farb nierozpuszczalnych w wodzie. Nawet moja siostra.
- Nieważne - mówi Shari. Nigdy nie mogła zrozumieć mojego skomplikowanego kodu ubraniowego, chociaż próbowałam go jej wiele razy wytłumaczyć. - Na dziś wieczór jesteśmy zaproszeni na obiad. Tylko rodzina panny młodej, i to dlatego. Rodzina pana młodego i reszta gości zjedzie tu jutro. Zgodzisz się pomagać w kuchni?
- Jasne. Wyobrażam sobie siebie w słodkim fartuszk, kiedy przygotowuję dla wszystkich szybkie spaghetti.
- Świetnie - mówi Shari.- Matka Agnes gotuje. Podobno jest fantastyczną kucharką. My będziemy zmywać. Chodźmy jeszcze coś tyknąć, żeby nam to szybciej poszło.
- Superowo. - Idę za nią tam, gdzie stoi Luke, który przejął od ojca obowiązki związane z nalewaniem szampana, po dolewkę.
- Tu jesteś - mówi Luke, kiedy mnie zauważa. - Ładna sukienka.
- Dzięki. Ty też prezentujesz się nieźle. Wiesz może, czy u was w kuchni jest dwuwinian potasu?

Shari krztusi się lekko łykiem szampana, który właśnie wzięła do ust. Luke jednak odpowiada spokojnie:

- Nie mam pojęcia. Powiedz mi, jak to się nazywa po francusku, to sprawdzę.
- Nie wiem - mówię. -To ty jesteś Francuzem.
- W połowie - koryguje Luke, rzucając okiem na matkę, która odrzuca głowę w tył i śmieje się z czegoś, co znów powiedział Chaz.
- Creme de tartre? - podpowiada Shari.
- Upewnię się - mówi Luke i idzie dołać szampana ciotce.
- O co w tym wszystkim chodzi? - pyta Shari, kiedy Luke jest już poza zasięgiem słuchu.
- Och, nic takiego - bagatelizuję sprawę. Zaczynam uznawać to za zabawne, że ukrywam przed nią sekrety. To coś, czego nigdy przedtem w życiu nie robiłam.

Ale nie robiłam też nigdy w życiu paru innych rzeczy, których spróbowałam ostatnio. Niektórych bez powodzenia, ale... No cóż, czas pokaże.

- Lizzie. - Shari spogląda na mnie przez zmrużone powieki. - Czy coś się dzieje między tobą a Lukiem?
- Nie! Boże, nie.

Ale nie mogę powstrzymać rumieńca, myśląc o tym niedoszłym pocałunku na poddaszu. A ten wczorajszy moment wieczorem, na stacji? Czy Luke zamierzał mnie wtedy pocałować? Jakoś mi się wydawało, że to możliwe... Gdyby nie pojawiła się Dominique. Za każdym zresztą razem.

- On ma dziewczynę - przypominam Shari, mając nadzieję, że mówiąc to na głos, sama sobie też to przypomnę. - Jak mogłabym zachęcać faceta, który już ma dziewczynę. Za kogo ty mnie w ogóle bierzesz? Briannę Dunleavy?
- Nie musisz się tak jeżyć - uspokaja mnie Shari. -Tylko pytałam.
- Nie jeżę się. - Staram się mówić jak zupełnie niezjeżona osoba. - Wydawałam się zjeżona? To niechcący.
- Nieważne, wariatko.- Shari rzuca mi rozbawione spojrzenie.- Wezmę sobie kolejną dolewkę. Ty też chcesz?

Patrzę w stronę, gdzie pokazuje ręką. Luke właśnie otwiera kolejną butelkę szampana swojego taty. Akurat podniósł głowę i widzi, że patrzymy na niego z drugiego końca pomieszczenia. Uśmiecha się.

- No cóż, dobrze - mówię. - Może jeszcze trochę.

*Lata siedemdziesiąte XIX wieku były świadkiem pewnego rodzaju rewolucji w modzie, dzięki wynalezieniu maszyny do szycia i wprowadzeniu syntetycznych barwników. Masowa produkcja oznaczała tanie, modne stroje dostępne dla każdego, powodowała jednak, że po raz pierwszy w udokumentowanej historii można było, idąc ulicą, zobaczyć kogoś w takim samym ubraniu. Krynolina zniknęła, przekształcona w tiurniurę, i to był ostatni raz, kiedy modnie się wyglądało z dużym tyłkiem, aż do czasu narodzin J. Lo.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## **Rozdział 17**

*Rozmowa to sztuka w czystej formie.*

*Jej jedynym ograniczeniem jest cierpliwość słuchających, którzy, jeśli się zmęczą, mogą zawsze zapłacić za kawę,*



*dać napiwek przyjaznemu kelnerowi i wyjść.*  
Robert Musil (1880-1942), australijski pisarz

Obiad to nie tyle posiłek, ile narada wojenna. To dlatego że Vicky i jej matka chcą się upewnić, że wszystko będzie gotowe, kiedy goście - oraz przyszedły mąż i teściowie Vicky - zaczną się jutro zjeżdżać.

Chyba mogę zrozumieć ich troskę. No bo człowiek na ogół żeni się tylko raz (przy odrobinie szczęścia). Więc chce zadbać, żeby wszystko było jak trzeba.

Ale i tak byłoby miło, gdybyśmy mogli bardziej skoncentrować się na jedzeniu, które przygotowała dla nas matka Agnes, madame Laurent, niż na narzekaniach pani Thibodaux na wyboisty podjazd.

Bo to chyba jeden z najpyszniejszych posiłków, jakie jadłam w życiu, począwszy do kremowego rybnego cassoulet (to znaczy gulaszu), z jabłkiem pokrojonym w plastry, przez kaczkę karmelizowaną w jakimś przepysznym słodkawym sosie, młodą sałatę z czosnkowym dressingiem i ogromną deskę serów, a do wszystkiego wielkie kawałki idealnie wy-pieczonego chleba - chrupiącego i złotego z zewnątrz, miękkiego i ciepłego w środku - i wino do każdego dania, nalewane przez monsieur de Villiersa, który usiłuje nam opowiadać o każdym kosztowanym przez nas kieliszku, ale bez przerwy przerywa mu ciotka Luke'a, Ginny, która mówi takie rzeczy, jak: „A skoro mowa o bukietach, to czy ktoś rozmawiał już z kwiaciarką w Sarlat? Ona wie, że zmieniliśmy zamówienie, i to nie mają być białe lilie, tylko białe róże? Przypomnijcie mi, jak jest róża po francusku?”

Na co Luke odpowiada sucho: roś, co sprawia, że woda, którą właśnie popijałam, cofa mi się nosem, zaczynam się tak bardzo śmiać.

Na szczęście on tego nie zauważa - to znaczy Luke - bo siedzi na drugim końcu tego wielkiego stołu - przy którym, jak mnie poinformowała Dominique po drodze do jadalni o imponująco wysokim suficie i wystawnych dekoracjach, może zasiadać dwadzieścia sześć osób - po jednej stronie mając matkę, a po drugiej Dominique. Ja siedzę z drugiego krańca, obok ojca Luke'a. A z drugiej strony mam gburowatego Blaine'a.

Nie żeby mi to przeszkadzało. Zwłaszcza że ja przecież wcale nie lubię Luke'a w taki sposób. A przynajmniej tak sobie wmawiam, od kiedy Shari zaczęła się mnie czepiać.

I wreszcie udało mi się zobaczyć z bliska, w jaki napis układają się litery wytatuowane na palcach Blaine'a: F-U-C-K-Y-0-U-!

Moim zdaniem ten wykrzyknik to miły akcent. Jak sądzę, matka musi być z Blaine'a bardzo dumna.

Jeśli w ogóle zdarza jej się o nim myśleć, co mi się wydaje raczej mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę, w jaki sposób wytrząsa się nad własną córką, która, żeby to ująć jakoś łagodnie, nie wygląda na najszcześliwszą pannę młodą. Najwyraźniej nic nie zostało zrobione jak trzeba, a Vicky nie bardzo wierzy, że cokolwiek uda się zrobić porządnie w przyszłości, mimo zapewnień matki, Luke'a, a nawet monsieur de Villiersa.

- Kochanie, już dzwoniłam do hotelu i konsjerż zapewnił mnie, że mają tam mnóstwo miejsca dla twoich siostr z korporacji studenckiej. Albo będą mieli jutro, kiedy wyprowadzą się jacyś niemieccy turyści. A przynajmniej - pani Thibodaux rzuca spojrzenie swojej siostrze - chyba coś takiego powiedział. Ciężko było zrozumieć, z tym jego akcentem...

- Ale dlaczego przyjaciele Blaine'a nie mogą nocować w hotelu? - pyta Vicky. - Zamiast moich? W końcu to ja jestem panną młodą!

- Przyjaciele Blaine'a biorą udział w ceremonii - przypomina jej matka. - Przecież to ty chciałaś, żeby grali w czasie wesela.

- Ha - mruczy Blaine, siedzący obok mnie, i dziabie kawałek camemberta raz za razem swoim nożykiem do masła. - Ale dopiero po podpisaniu przez nas tego kontraktu na płytę.

- Jeszcze nie jesteście żadnymi znanymi muzykami - rzuca ostro w je-go stronę Vicky z przeciwnego krańca stołu. - Nie wiem, czemu zaczynasz się zachowywać, jakbyście już byli sławni. Twoi durni kumple mogli-by równie dobrze spać w furgonetce i nie zauważyliby żadnej różnicy.

- Moi durni kumple - odpala Blaine - to jedyna w miarę fajna rzecz na tym weselu i ty dobrze o tym wiesz.

- Hm, wybac. Moim zdaniem branie ślubu we francuskim chateau to zupełnie wystarczająco fajna sprawa - rzuca Vicky.

- Jasne- mówi Blaine, przewracając oczami. - Jakbyś nie chwaliła się całej prasie w mieście, że na twoim weselu będzie grała najmodniejsza kapela houstońskiej sceny muzycznej.

- Czy moglibyście się oboje łaskawie zamknąć? - pyta ich ciotka Bibi

głosem jeszcze bardziej niewyraźnym niż zwykle, dzięki tej ilości szampana, który wypija przed obiadem, z kamiennym spokojem ignorując swojego porzuconego małżonka, który bez przerwy czyni rozpaczliwe wysiłki, żeby siedzieć albo stać koło niej i włączać ją do rozmowy. W sumie to trochę smutne obserwować, jak ożywiony jest monsieur de Villiers po powrocie żony - nawet jeśli tylko tymczasowym i tylko na ślub siostrzenicy-a jak totalnie mało ożywienia wywołuje w niej ten powrót.

- Doprawdy, dzieci - mówi pani Thibodaux, chyba bliska łez. - To nie jest pora na sprzeczki. Czas, żebyśmy połączyli wysiłki i spróbowali prze-trwać ten kryzys jak najlepiej się da.

- Kryzys? - Monsieur de Villiers ma skonsternowaną minę. - Jaki kryzys? Victoria wychodzi za mąż! Gdzie tu jakiś kryzys? Przecież to radosna okazja, nie?

Bibi i jej siostra patrzą na niego i mówią jednocześnie:

- Nie.

Vicky rzuca spojrzenie jednej kobiecie, a potem drugiej i nagle gwałtownym ruchem odsuwa krzesło od stołu, podrywa się na równe nogi i wybiega z jadalni, dramatycznym gestem zasłaniając twarz jedną dłonią.

A wtedy Shari wstaje i mówi:

- Przy okazji... Dziękujemy bardzo. To był uroczy wieczór. Jestem całkiem pewna, że wszyscy wiemy już, co trzeba będzie robić jutro, kiedy zaczną się zjeżdżać pozostali goście państwa. Ale w tej chwili Lizzie i ja pójdziemy się już chyba zając naczyniami.

- Pomogę wam - proponuje Chaz, podrywając się na nogi. Chętnie by uciekł przed tymi kłótniami i dyskusjami na temat ozdób z ciętych kwiatów.

- Ja też - mówi Luke.

Ale w tej samej chwili, w której zaczyna się podnosić z krzesła, jego matka kładzie dłoń na jego nadgarstku i mówi, tym razem wyjątkowo wyraźnie:

- Siadaj.

Luke siada powoli ze zboląłą miną.

Zaczynam zbierać puste nakrycia przy swoim krańcu stołu. Nie mogę się doczekać, aż się wyrwę z kręgu tego napiętego milczenia.

Kiedy wchodzę do wysokiej - chociaż staroświeckiej - kuchni, uśmiecham się do Agnes i jej matki. Podnoszą wzrok znad kolacji, którą jedzą przy stole z masywnym, drewnianym blatem.

- Ne pas se lever - mówię do nich, niepewna, czy to właściwe wyrażenie na „proszę nie wstawać”. Ale chyba tak, bo wywiera pożądaną efekt - obie siadają, żeby dokończyć posiłek.

- O mój Boże! - mówi do mnie Shari, uśmiechem witając obie panie Laurent. - O mój Boże. O co im tam wszystkim chodzi?

Chaz jest wyraźnie wstrząśnięty.

- Mam wrażenie, że naruszono moje granice.

- Och, nieważne. - Łapię kosz na odpadki i zaczynam zdrapywać do niego resztki z talerzy. - Moja rodzina potrafi jeszcze gorzej się zachować.

- Nie patrzyłam na to pod tym kątem - mówi Shari. - Ale to całkiem słuszna uwaga.

- Wiecie, śluby to zwykle stresujące okazje - mówię, sięgając po talerze, które wniósł Chaz, i je też opróżniam z resztek. - No bo oczekiwania są takie wielkie, a potem, jeśli coś pójdzie nie tak, ludzie się rozklejają.

- Jasne - mówi Shari. - Rozklejają się. Wiesz, w czym leży jej problem? To znaczy, Vicky?

- Jest Mechagodzilla wśród pań młodych? - zgaduje Chaz.

- Nie - wyjaśnia Shari. - Popęlnia mezalians.

- Nie gadaj - mówię ze śmiechem.

- Nie, serio. Dominique mi o tym opowiedziała dzisiaj przy basenie, kiedy poszłaś na swoją małą wycieczkę po winnicy, Lizzie. Vicky wychodzi za mąż za jakiegoś programistę komputerowego, którego rodzina pochodzi z Minnesoty czy coś, zamiast za jakiegoś bogatego teksańskiego barona od ropy naftowej, którego starannie wybrałaby dla niej mamusia. Pani Thibodaux jest tym wszystkim zrozpaczona, ale nijak nie może zmusić Vicky do zmiany zdania. To wieeelka miłość.

- A gdzie w tym wszystkim jest pan Thibodaux? - pyta Chaz. - Tata Vicky?

- Och, ma jakieś szalenie ważne spotkanie w Nowym Jorku w sprawach swojej firmy inwestycyjnej czy coś. Pojawi się tu w ostatniej chwili, żeby ją poprowadzić do ołtarza i ani minuty wcześniej, jeśli jest w miarę bystry. - Shari podaje Chazowi ściereczkę do naczyń. - Trzymaj. Ja płuczę, ty wycierasz.

- Och, uwielbiam, kiedy mną pomiatasz przy zmywaniu - mówi Chaz.

Patrząc na tych dwoje, jak sobie dokuczają przy kuchennym zlewie, i myślę, jak im się poszczęściło, że mają siebie nawzajem. Oczywiście, to co ich łączyło, to nie tylko zabawne żarciki i podróże do Francji. Był taki czas, kiedy Shari musiała zabić i zrobić mu sekcję zwłok pana Jinglesa, swojego szczura laboratoryjnego na uniwersytecie, żeby zaliczyć zaawansowany kurs behawioralnej neurologii, a Chaz namawiał ją, żeby darowała panu Jinglesowi życie, niepostrzeżenie podmieniając go na szczura sobowtóra, którego znalazł w PetSmart w centrum handlowym.

Ale Shari nie chciała zamienić szczurów, bo uznała, że jako naukowiec musi się nauczyć separować emocjonalnie od przedmiotu swoich badań. Po czym Chaz nie odzywał się do niej przez dwa tygodnie.

W sumie jednak są najfajniejszą parą, jaką znam. Poza moimi rodzicami.

I wszystko bym dała, żeby samej uczestniczyć w podobnym związku.

Ale, oczywiście, nie posunęłabym się do tego, żeby zniszczyć czyjś związek, po to by sama w nim zaistnieć. Nawet gdybym mogła. Ale nie mogę.

Więc nie wiem po co tu stoję i rozmyślam o pewnej osobie, którą po-znałam w pociągu zaledwie wczoraj.

Agnes i jej matka, skończywszy jedzenie, chcą nam koniecznie pomóc z resztą naczyń, więc robotę kończymy wcześniej, niż myślałam, biorąc pod uwagę liczbę zjedzonych dań i zastawę.

Ale jeszcze lepsze niż skończenie zmywania naczyń jest to, że madame Laurent naprawdę mnie zrozumiała, kiedy ją spytałam, czy nie wie, czy w kuchni znajdzie się trochę creme de tartre. Co więcej - udaje jej się znaleźć

dla mnie cały pojemnik. Ma trochę skonfundowaną minę na widok mojej radości, kiedy dostaję w swoje ręce ten pospolity środek zakwaszający, ale cieszy się, że mogła pomóc. Obie z córką życzą nam bonne nuit - które to życzenia z entuzjazmem odwzajemniamy - a potem wracają na noc do młyna.

Chaz oświadcza, że idzie sprawdzić, czy nie uda mu się wyrwać Luke'a ze szponów jego matki i pani Thibodaux i namówić go na jednego szybkiego przed snem. On i Shari chcą, żebym poszła z nimi, ale ja mówię, że jestem zmęczona i idę spać.

Co jest wprawdzie kłamstwem, ale wstydzę się przyznać, że mam inne plany... I że te plany wiążą się z koniecznością znalezienia miednicy dość dużej, żeby namoczyć w niej suknię Givenchy - z dodatkiem dwuwinienu potasu - na całą noc.

W pozycji na czworakach grzebię z głową w szafce pod kuchennym zlewem, szukając czegoś odpowiedniego - znajduję jakieś plastikowe wiadro, kiedy słyszę, że drzwi za moimi plecami się otwierają. Zaniepokojona, że to może być Luke i, nie daj Boże, ogląda mnie teraz pod tym najmniej korzystnym kątem, chcę wstać, ale źle oceniam odległość między zlewem a moją głową i walę się ciemieniem o wewnętrzną krawędź szafki.

- Au - mówi za mną jakiś męski głos. - To musiało zabołeć.

Jedną ręką trzymając się za głowę, oglądam się przez ramię i widzę Blaine'a, w jego luźnych czarnych dżinsach, z ufarbowanymi na czarno włosami i w T-shircie Marylin Manson, którą włożył chyba wyłącznie dla żartu.

- Nic ci nie jest? - pyta, unosząc brwi.

- Nie - mówię.

Puszczam głowę, sięgam po wiaderko i podnoszę się na nogi.

- A tak w ogóle czego tu szukasz? - pyta Blaine.

- Potrzebne mi to - mówię, starając się schować wiaderko za moją szeroką spódnicą. Nawet mnie nie pytajcie czemu. Po prostu nie mam ochoty wyjaśniać mu, po co mi to wiadro.

- Okay. Słuchaj. Nie masz tu czasem ognia? - To wtedy zauważam nie-zapalonego, wyraźnie zwijanego ręcznie papierosa, którego trzyma w ustach.

- Przykro mi - mówię. - Nie mam.

Garbi się w drzwiach. Naprawdę. Wygląda na zupełnie załamane go człowieka.

- Cholera.

Oczywiście, nie pochwalam palenia, ale biorąc pod uwagę, co musiał wytrzymywać ten facet przez cały wieczór, nie winię go za to, że potrzebuje nieco stymulacji.

- Możesz skorzystać z palnika - podpowiadam, wskazując na masywną i staroświecką kuchenkę w kącie.

- Świetnie. - Staje nad palnikiem, włącza płomień, pochyla się i zaciąga.

- Aaaaach - mówi, kiedy już się wyprostował i wypuścił powietrze. - Tego właśnie było mi trzeba.

A ja rozpoznaję ten słodkawy, silny odór, który natychmiast przypomina mi akademik McCracken. To wtedy orientuję się, że w tym papierosie wcale nie zrolowano tytoniu.

- Jakim cudem - pytam naprawdę zaskoczona - udało ci się coś takiego przemycić na trasie transatlantyckiego lotu?

- Mówią o nich naszki, kotku - mówi Blaine, siadając na kuchennym krześle, z którego niedawno wstała madame Laurent, i opierając nogi w wojskowych butach na ciężkim drewnianym blacie stołu.

- Przeszmuglowałeś marihuanę do Francji w bieliźnie? - Jestem zdumiona.

Zerka na mnie i chichocze.

- Marihuana - przedrzeźnia. - Jesteś słodka, wiesz?

- Przecież mają na lotniskach te psy do tropienia - przypominam mu.

- Jasne, że tak. Ale one są tresowane do wykrywania bomb, a nie trawki. Masz. - Głęboko zaciąga się jointem, a potem wyciąga go w moją stronę. - Pociągnij sobie.

- Nie, dzięki. - Obejmuję swoje wiaderko ramionami, a potem, nieco za późno, zdaję sobie sprawę, że muszę wyglądać strasznie pruderyjnie.

Spogląda na mnie niedowierzająco.

- Co? Nie palisz zieleń?

- Nie mogę sobie pozwolić na utratę żadnych więcej szarych komórek. Od początku wcale nie miałam ich za dużo.

Znów chichocze.

- Dobry tekst - mówi. - No więc co robi taka miła dziewczyna jak ty w tej dziurze?

Zakładam, że on żartuje, bo chateau Mirac trudno nazwać dziurą.

- Przyjechałam odwiedzić znajomych.  
- Tego wysokiego dupka - mówi Blaine - i tę lesbę?  
Czuję się tym tekstem urażona.  
- Shari nie jest lesbijką! Nie żeby było w tym coś złego. Ale Shari nią nie jest.  
Ma zdziwioną minę.  
- Nie? Wow. A głowę bym dał. Sorki.  
- Ona i Chaz chodzą ze sobą już dwa lata! - Nadal jestem zaszokowana.  
- Okay. Jezu, nie musisz tak się na mnie rzucić. Powiedziałem, że przepraszam. Po prostu wydawała mi się taka trochę lesbowata.  
- Zamieniła z tobą wszystkiego ze dwa słowa!  
- Właśnie.  
- Co, każda kobieta, która na twój widok nie pada na kolana, to lesbijka?  
- Wyluzuj, dobra? - mówi Blaine.- Boże, jesteś jeszcze gorsza niż moja siostra, na litość boską.  
- No cóż, rozumiem, czemu twoja siostra mogłaby mieć do ciebie żal, jeśli wiecznie oskarżasz jej przyjaciółki o to, że są lesbijkami, kiedy nimi nie są. I nie żeby w byciu lesbijką było coś złego.  
- Jezu - mówi Blaine. - Wyluzuj. Co, sama jesteś lesbijką, czy jak?  
- Nie - mówię,, czując, że policzki zaczynają mnie palić. - Nie jestem lesbijką. Nie żeby...  
- .. .było w tym coś złego, wiem, wiem. Przepraszam. Tylko że wiesz, jesteś tu sama i tak się zdenerwowałaś, kiedy zapytałem o twoją przyjaciółkę...  
- Dla twojej informacji - mówię - jestem tu sama, bo właśnie zerwałam bardzo nieciekawą związek z pewnym Brytyjczykiem. Wczoraj. Dlatego właśnie się tu znalazłam.  
-Taa? A co zrobił? Zdradził cię?  
-Gorzej. Oszukiwał brytyjski rząd. Wyłudzenie zasiłku dla bezrobotnych.  
- Hej, to fatalnie.- Blaine ma taką minę, jakby był pod wrażeniem.-Moja ostatnia dziewczyna też okazała się pomyłką. Tylko że to ona rzuciła mnie.  
- Naprawdę? Dlaczego? Ją też oskarżałeś o lesbijstwo?  
Uśmiecha się.  
- Bardzo śmieszne. Nie. Ona oskarżyła mnie o to, że jestem sprzedawczykiem, kiedy moja kapela podpisała kontrakt z Atlantic Records.  
Umawianie się z muzykiem, który ma fundusz powierniczy, to jedna rzecz. Umawianie się z muzykiem, który ma prawdziwy kontrakt na nagrania okazuje się czymś zupełnie innym.  
- Och! - wzdycham. A on ma taką smutną minę, że przez chwilę robi mi się go naprawdę żal. - No cóż, jestem pewna, że poznasz kogoś innego. Na pewno jest na świecie mnóstwo dziewczyn, które chciałyby się spotykać z kimś, kto ma kontrakt na płytę oraz fundusz powierniczy.  
- Sam nie wiem. - Blaine ma przygnębioną minę. - Jeśli tak, to żadnej jeszcze nie spotkałem.  
- Daj sobie trochę czasu. Nie chcesz się przecież z niczym śpieszyć.  
Musisz dać sobie szansę jakoś się emocjonalnie pozbierać.  
Brzmi to jak dobra rada, sama powinnam się zastanowić, czy się jej nie posłuchać.  
- Taa - mówi Blaine i pociąga swojego jointa. - Rozumiem. To samo mówiłem siostrze co do Craiga. Ale czy ona mnie posłuchała? Nie.  
- Och? Craig to narzeczony twojej siostry? To nim się leczy z innego?  
- Och, do diabła, tak. To znaczy, on jest lepszy niż ten poprzedni facet, za którego o mało nie wyszła. Ten przynajmniej nie należy do „towarzystwa” z Houston - zaznacza cudzysłów palcami dłoni, w której nie trzyma papierosa - ale jest okropnie nudny. No bo przy tym facecie Bill Gates to jakiś cholerny Jam Master Jay, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.  
- Jasne - mówię.  
- Nieważne.- Blaine wrzusza ramionami.- On ją uszczęśliwia.  
A przynajmniej w takim stopniu, w jakim facet może ją uszczęśliwić. Ale mama wolałaby, żeby wyszła za kogoś bardziej w stylu starego dobrego Jean-Luca.  
Jestem zdegustowana sobą za to, że serce mi podskakuje na sam dźwięk imienia Luke'a.  
- Och, doprawdy? - Usiłuję udawać niewielkie zainteresowanie tematem.  
- Cholera - mówi Blaine. - No co ty?! Gdyby mama mogła skłonić Vicky, żeby zaczęła chodzić z facetem, który uczęszczał do jednej z tych snobistycznych prywatnych szkółek, jak Luke, i ma zamek we Francji, to by się chyba zmotowała ze szczęścia. Zamiast tego - wzdycha - został jej Craig. -Wyciąga rękę i przygląda się literom F-U-C-K. - I ja.  
- Och, tak - mówię. - Zauważyłam twój tatuaż przy obiedzie. To musiało... boleć.  
- Prawdę mówiąc - odzywa się Blaine - nie pamiętam, czy bolało, czy nie. Byłem za bardzo pijany. Kiedy tylko wrócę do domu, usunę to laserem. Przez jakiś czas to było zabawne, ale teraz robię poważne muzyczne interesy i inne takie. Głupio mi chodzić na spotkania do wielkich firm z napisem fuck you na rękach.

Właśnie sprzedaliśmy jedną z naszych piosenek Lexusowi do reklamy. Sześć cyfr, niech mnie. To niesamowite.

- Wow - mówię. - Będę na nią czekała. A jak się w ogóle nazywa twoja kapela?

Wydmuchuje niebieski dym z marihuany w stronę sufitu.

- Cień Szatana - wypowiada te słowa nabożnym tonem. Kaszlnęłam. I to nie ze względu na dym.

- No cóż - mówię. - To niezwykła nazwa.

- Vicky uważa, że jest głupia, ale zauważyłem, że nadal chce, żebyśmy zegrali na jej imprezie.

- Dziewczyny przykładają wielką wagę do słów. Pewnie powinieneś przeprosić swoją siostrę, nie sądzisz? Bo ona jest naprawdę zestresowana. Jestem pewna, że nie chciała się na tobie wyżywać.

- Taa - mówi Blaine, z trudem podnosząc się z krzesła - pewnie masz rację. Hej, a ty nie byłabyś zainteresowana, co?

Skołowana, mrugam powiekami.

- Zainteresowana? Czym?

- No wiesz - oświadcza Blaine. - Mną. Ja bym nigdy nie oszukał rządu. Mam od tego księgowych.

- Bardzo ci dziękuję za propozycję. - Uśmiecham się do niego zaskoczona. W normalnych okolicznościach, oczywiście, skakałabym z radości. - Ale, jak już mówiłam, dochodzę do siebie po poprzednim związku i chyba nie powinnam zbyt szybko wchodzić w następny.

- Taa - mówi Blaine z westchnieniem. - Wszystko jest zawsze kwestią czasu. No cóż, dobranoc.

- Dobranoc - odpowiadam. - Aha, i powodzenia. Dla Cienia Szatana i tak dalej.

Macha ręką i powłócząc nogami, wychodzi z kuchni. Ja też szybko z niej wybiegam, ściskając w objęciach swoje wiaderko.

*Pod koniec XIX wieku popularność zyskały bufiaste rękawy, za którymi tak tęskniła bohaterka klasycznej serii książek dla dzieci Ania z Zielonego Wzgórza. Suknie były dłuższe niż kiedykolwiek, co wymagało unoszenia spódnic podczas przechodzenia przez ulicę. Przy tej okazji zobaczyć można było obrzeżone koronką halki; dzięki masowej produkcji dostępne teraz nie tylko dla bogatych.*

*Spodnie Amelii Bloomer znalazły wreszcie zagorzałe zwolenniczki wśród młodych entuzjastek niedawno wynalezione-go roweru i żadne reprimendy ze strony rodziców, księży oraz prasy nie zdołały zmusić dziewczyn do porzucenia ani bloomerów, ani rowerów.*

Historia mody Praca licencjacka

Elizabeth Nichols

## Rozdział 18

*Jego mowa była niczym potok, który bieży, Raptownie przechodząc od kamieni do róż.*

Winthrop Mackworth Praed (1802-1839), brytyjski poeta

Wywabiłam te plamy po rdzy. Ja wiem. Sama ledwie w to wierzę. Stoję w kuchni chateau Mirac następnego dnia po tym, jak namoczyłam suknię na noc w swoim pokoju. Rano zbiegłam na dół - wydawało mi się, że to świt, ale rzut okiem na wyświetlacz komórki powiedział mi, że jest już ósma - żeby ją wypłukać w kuchennym zlewie, który jest o wiele pojemniejszy niż umywalka w łazience po przeciwnej stronie korytarza od mojego pokoju.

Przysięgam, że to jedyny powód. To nie ma nic wspólnego z moją obawą, że Dominique mogłaby mnie tam znaleźć i zażądać zwrotu sukni te-raz, kiedy została już odratowana.

Odratowana, ale daleka od stanu idealnego. Muszę naprawić oberwane ramiączko i naddarte fragmenty przy obrąbku spódnicy, a poza tym super-dokładnie ją uprasować, kiedy wreszcie wyschnie.

Ale mi się udało. Udało mi się wywabić tę rdzę.

To istny cud.

Przyglądam się sukni pogrążona w pełnym zachwyty samozadowoleniu, kiedy słyszę, jak ktoś za moimi plecami mówi:

- Udało ci się!

Jestem tak zaskoczona, że o mało nie dostaję ataku serca.

- Boże! - wołam, obracając się na pięcie, i widzę w drzwiach uśmiechniętego Luke'a, który ma entuzjastyczną minę. - Usiłujesz mnie zabić?

- Przepraszam- mówi Luke.- Nie chciałem cię przestraszyć. Ale... Udało ci się! Te plamy poznikały!

Serce wali mi w tempie miliona uderzeń na minutę - ale muszę przyznać, że nie tylko dlatego, że mnie przestraszył. Także dlatego, że wygląda po prostu fantastycznie w tym porannym świetle. Jego świeżo ogolona twarz jeszcze jest lekko zaróżowiona od tego, co stosuje jako płyn po go-leniu (podejrzewam, że czysty alkohol, bo nie pachnie niczym szczególnym poza świeżością), a końcówki ciemnych włosów kręcą się od wilgoci przy kołnierzyku koszulki polo. Znów ma na sobie dzinsy - te, które nosił, kiedy go poznałam.

Lewisy, idealnie dopasowane na tyłku, nie za obcisłe, ale wcale też nie za luźne. Wygląda jak desant zrzucony z helikoptera - no wiecie, idealny facet dla dziewczyny w potrzebie, uwięzionej na bezludnej wyspie.

Ta dziewczyna to ja, a bezludna wyspa to moje życie.

Poza tym, oczywiście, że on jest nie dla mnie.

Fakt, który musi mu sprawiać ogromną ulgę, podejrzewam, kiedy prze-nosi spojrzenie z sukni, którą trzymam w rękach, na moje ubranie - czyli dzinsy z Sears i koszulkę Run Katie Run.

No cóż, pani Thibodaux dość jasno określiła, czym się dziś będziemy zajmować przez cały dzień - ustawianiem stolików i krzeseł w ramach przygotowań do jutrzejszego wesela. Nie chcę, żeby mi się pobrudziła któraś z moich ładnych sukienek.

Poza tym nie miałam czasu dziś rano zawracać sobie głowy fryzurą, więc związałam włosy w koński ogon na czubku głowy. Ale przynajmniej się umalowałam. Chociaż trochę. Wystarczy, żebym nie miała oczu jak świnka.

- Więc ten dwuwinian potasu działa? - Tylko tyle mówi Luke, kiedy znów patrzy na sukienkę. Co przynosi mi pewną ulgę. Robię się naprawdę nerwowa, kiedy te ciemne oczy kierują się w moją stronę.

- Absolutnie tak.- Strzepuję suknię z satysfakcją.- Oczywiście, to nie zawsze działa tak szybko. Czasami trzeba coś namoczyć kilkakrotnie. Nie wydaje mi się, żeby ta strzelba leżała w niej zbyt długo. Smar i rdza wcale nie wniknęły tak głęboko. Osoba, do której należy, naprawdę się ucieszy, kiedy ją dostanie jak nową. Luke uśmiecha się szeroko.

- Odnalezienie właścicielki może się okazać nieco trudne. Mieliśmy tu sporo młodych panien w czasie ostatnich kilku stuleci.

- No cóż, ta młoda panna mogła ją nosić tylko w ostatnich kilku dziesięcioleciach - zauważam. - Moim zdaniem, od późnych lat sześćdziesiątych albo wczesnych siedemdziesiątych. Chociaż, muszę ci to przyznać, z Givenchy nigdy nic nie wiadomo... On naprawdę nie poddaje się kaprysom popularnych trendów.

Luke uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Kaprysy popularnych trendów? Rumienię się.

- Wydawało mi się, że to dobrze brzmi.

- Och, zabrzmiało. Przekonałaś mnie. Więc jak? Masz ochotę jechać ze mną po rogaliki?

Gapię się na niego.

- Rogaliki?

- Tak. Na śniadanie. Pojadę zaraz do miasteczka, do piekarni i przywiozę je, zanim wszyscy się pobudzą i zejną na dół, marudząc, że chcą śniada-nie. Wiem, że nie widziałas jeszcze Sarlat, i wiem, że ci się spodoba. Chcesz mi towarzyszyć?

Gdyby mnie spytał, czy chcę się wybrać na Dzień Rodziny do miejscowego Gap, kiedy wszyscy pracownicy sklepu dają trzydzieści procent zniżki swoim przyjaciółom i krewnym na wszystkie produkty Gap - co jest w zasadzie moim wyobrażeniem piekła na ziemi - też bym chciała z nim pojechać. Tak bardzo mi już odbiło na jego punkcie.

Pomijając, oczywiście, pewien drobny szczegół.

- A gdzie jest Dominique? - pytam.

Czuje, że to miła, neutralna forma dowiedzenia się, czyjego dziewczyna też się z nami wybiera. Bez pytania o to wprost. Bo: „Czy twoja dziewczyna też z nami jedzie?” - mogłoby sugerować, że jej nie lubię albo że chcę jechać tylko z nim, jeśli uda się uniknąć jej towarzystwa czy coś takiego. Co nie jest prawdą. W ogóle.

Chociaż jeśli ona też jedzie, to ja może jednak znajdę sobie coś innego do roboty. Bo siedzenie i patrzenie na tych dwoje razem nie plasuje się zbyt wysoko na mojej liście fajnych rzeczy, które można robić, kiedy jest się na wakacjach na południu Francji.

- Ona jeszcze śpi - tłumaczy Luke. -Trochę za dużo szampana z moją mamą wczoraj wieczorem.

- No cóż, daj mi tylko chwilę - mówię, nadal zachowując starannie neutralny wyraz twarzy. - Powieszę to do wyschnięcia. I zaraz wracam.

- Będę czekał w samochodzie - informuje mnie Luke, wskazując tylne drzwi kuchni, za którymi zaparkowany jest żółty kabriolet.

Biegnę jak wiatr. Wieszam sukienkę na kołku na ścianie (którego służące pewnie w dawnych czasach używały do wieszania swoich uniformów), a pod spodem stawiam wiadro, żeby skapywała do niego woda.

Potem chwytam torebkę i pędem zbiegam na dół.

Luke siedzi za kółkiem. W samochodzie nie ma nikogo innego. Poranne powietrze pachnie świeżo, jak właśnie złożone pranie, a słońce, które już zaczyna przygrzewać, wspaniale jest poczuć na skórze. Jest zupełnie cicho, pomijając śpiew ptaków i posapywanie Patapoufa, basseta, który zaczął się kręcić w okolicach drzwi kuchni, licząc, że dostanie coś do jedzenia.

- Gotowa? - pyta mnie Luke z uśmiechem.

I mimo moich najszczerszych wysiłków setce wyrywa mi się z piersi i zaczyna latać w kółeczko dokoła mojej głowy na małych anielskich skrzydełkach. Zupełnie jak w kreskówce.

- Tak - mówię do niego głosem, mam nadzieję, zupełnie normalnym, biorąc pod uwagę, że serce z ptasim świergotem lata mi wokół głowy, i szybko siadam na przednim siedzeniu pasażera.

Po prostu przepadłam.

Ale co z tego? Przecież mam wakacje! Fajnie jest tak się nieco zadurzyć. Zresztą lepiej nawet zadurzyć się w Luke'u, który jest tak bezpiecznie za-jęty, niż, powiedzmy, w takim Blainie. Bo mogłoby się skończyć na tym, że zeszląbym się z Blaine'em, który jest dostępny. To byłoby dla mnie bardzo emocjonalnie ryzykowne, biorąc pod uwagę moją kruchość po nie-dawnym zerwaniu.

Nie ma w tym nic złego, że się trochę durzę w Luke'u. On jest bezpieczny. Bo nic z tego nie będzie. Nic a nic.

Zjazd tą samą drogą, którą tak długo pięliśmy się pod górę poprzednie-go wieczoru, jest przezabawnie wyboisty. Muszę się czegoś trzymać, żeby mną nie rzucało po szerokim przednim siedzeniu. Ale Luke i Chaz zrobili naprawdę dobrą robotę, wycinając wszystkie te gałęzie przy drodze - żadne już nas nie smagają. A potem nagle przedzieramy się zza drzew na drogę, którą przedwczoraj przyjechaliśmy ze stacji... Ale wtedy było ciemno. Widząc po raz pierwszy rzekę z bliska, w dziennym świetle, nie mogę powstrzymać westchnienia.

- Tu jest tak pięknie! - wołam. Nakrapiana słońcem, leniwie płynąca rzeka o łagodnych porośniętych trawą brzegach, nad którymi pochylają się wysokie dęby; ich gęsto ulistnione gałęzie oferują kąpiącym się i pływającym tratwami przyjemny cień...

- To Dordogne - wyjaśnia Luke. - Kiedyś często spływałem po niej tratwą, jako dzieciak. To brzmi tak, jakby na rzece były jakieś bystrzyny, choć ich nie ma. Spływaliśmy po niej na nadmuchanych dętkach. To przyjemny, leniwy spływ.

Kręcę głową pod wrażeniem tego całego naturalnego piękna.

- Luke, nie rozumiem, jak ty możesz wracać do Houston, kiedy tu masz wszystko.

Luke śmieje się i odpowiada:

- To jeszcze nie jest moje. Ogromnie kocham tatę, ale niekoniecznie chciałbym mieszkać razem z nim.

- Nie - mówię ze smutkiem. -Twoja mama też chyba nie chce.

- On ją doprowadza do szału - zgadza się Luke. -Jej się wydaje, że obchodzi go tylko wino. Kiedy on tu jest, ciągle się tylko nad swoimi winami wytrząsa, a kiedy jedzie razem z nią do Teksasu, też nic, tylko się o nie martwi.

- Ale on ją tak bardzo kocha - zauważam. - Czy ona tego nie dostrzega? Przecież on od niej oczu nie może oderwać.

- Jej chyba trzeba czegoś więcej - twierdzi Luke. - Jakiegoś dowodu, że kiedy jej tutaj nie ma, wtedy też o niej myśli. A nie tylko o swoich winogronach.

Zastanawiam się nad tym, kiedy mijamy zakręt i widzę młyn Laurentów, przed którym madame Laurent podlewa eksplozję kwiatów wokół ogrodowej altany.

- Och! - wołam. -To mama Agnes! - Macham ręką. - Bonjour! Bonjour, madame!

Madame Laurent podnosi wzrok znad swoich kwiatów i z uśmiechem mi odmachuje.

- No cóż - mówi Luke, zerkając na mnie. - Widzę, że jesteś dziś rano w naprawdę dobrym humorze.

- Och! - wzdycham, opadając na siedzenie, zażenowana swoim ożywieniem na widok kucharki z Mteau Mirac w jej domowym otoczeniu. - Tu jest po prostu tak pięknie. A ja jestem taka szczęśliwa, że tu jestem.

Z tobą, chciałabym dodać. Ale raz w życiu udaje mi się utrzymać język za zębami, zanim mnie znów poniesie.

- Podejrzewam - mówi Luke, skręcając w stronę otoczonego wysokim murem miasteczka, które widziałam, uczepione krawędzi klifu, wieczorem w dniu przyjazdu - że jesteś tego typu osobą, która jest w dobrym humorze niezależnie od tego, gdzie się znajdzie. Chyba że akurat odkrywasz, że twój chłopak wyłudza zasiłek dla bezrobotnych - dodaje, robiąc do mnie oko.

Uśmiecham się do niego trochę zażenowana, bo nadal mi wstyd. Ze wszystkich ludzi, którym mogłam opowiadać o swoich romantycznych perypetiach, dlaczego musiałam się zwierzać akurat jemu?

Ale chwilę później, kiedy wjeżdżamy do miasteczka Sarlat, zapominam o wszystkim na widok tych czerwonych pelargonii, które wylewają się ze skrzynek u okien nad moją głową, wąskich brukowanych uliczek, mieszkańców miasteczka, którzy spieszą wracają z targu pod gołym niebem z koszykami pełnymi bagietek i warzyw. To zupełnie jak francuskie średniowieczne miasteczko z jakiegoś planu filmowego. Tylko że to nie jest plan filmowy. To prawdziwe średniowieczne miasteczko!

A ja tu jestem w samym środku!

Luke parkuje przed dziwnym małym sklepikiem z napisem Boulangerie ze złotych liter nad dużą frontową witryną, z którego płynie aromat świeżego pieczywa, powodując, że w żołądku głośno mi burczy.

- Zgodzisz się poczekać w samochodzie? - pyta Luke. - W ten sposób nie będę musiał szukać miejsca do parkowania. To potrwa tylko sekundkę.

Już dzwoniłem do nich z zamówieniem. Muszę je tylko odebrać.

- Pas un probleme - mówię, bo wydaje mi się, że to znaczy: „Nie ma

sprawy". Chyba mam rację, bo Luke uśmiecha się i szybko wchodzi do sklepu.

Ale i tak sekundę później moja znajomość francuskiego zostaje poddana próbie, bo jakaś starannie ubrana starsza pani podchodzi do samochodu i zaczyna paplać do mnie w tempie karabinu maszynowego. Jedyne słowo, jakie rozpoznaję, to „Jean-Luc”.

- Je suis desolee, madame - zaczynam dukać. To chyba znaczy, że jest mi przykro. - Maisje ne parle pas francais...

Jeszcze zanim te słowa na dobre padły z moich ust, starsza pani odzywa się po angielsku z ciężkim francuskim akcentem i ze zgorzszą miną:

- Ależ ja zrozumiałam, że petite amie Jean-Luca jest Francuzką!

Przynajmniej wiem, co znaczy petite amie.

- Och, ja nie jestem dziewczyną Jean-Luca - tłumaczę pośpiesznie. - Jestem tylko znajomą. Przyjechałam na trochę do Mirac. Luke jest w sklepie, odbiera rogaliki...

Wygląda na to, że starszej pani ogromnie ulżyło.

- Och! - śmieje się. - Widzisz, rozpoznałam samochód i po prostu założyłam... Musisz mi wybaczyć. To był szok. Żeby Jean-Luc nie żenił się z Francuzką... To byłby okropny skandal!

Przyglądam się uważnie apaszcze zamotanej pod szyją starszej pani - widać, że to Hermes - i jej garsonce z cienkiej welenki (w tym upale musi się w niej gotować) i stwierdzam:

- Musi być pani zatem znajomą monsieur deVilliersa?

- Och, znam Guillaume'a od lat. Dla nas wszystkich to był ogromny szok, kiedy on ożenił się z kobietą z Teksasu. Powiedz mi - starsza pani mruży swoje idealnie podmalowane oczy - czy ona tam teraz jest? Madame de Villiers? W chateau Mirac? Słyszałam taką plotkę...

- Owszem, tak. Jej siostrzenica wychodzi tam jutro za męża i...

- Madame Castille - odzywa się Luke, kiedy wychodzi z piekarni z dwiema dużymi papierowymi torbami w ramionach. - Co za radość. - Ale jego uśmiech nie sięga oczu.

- Och, Jean-Luc! - Starsza pani rozpromienia się na jego widok (a kto by się nie rozpromienił).

I wtedy rozpoczyna grad francuszczyzny, wobec którego Luke, widzę to wyraźnie, jest zupełnie bezradny. Dlatego kiedy madame Castille robi przerwę na oddech, wtrącam się:

- Hm, Luke? Czy nie powinniśmy już wracać? Ludzie już się pewnie budzą i czekają na śniadanie.

- Racja - mówi szybko Luke. - Musimy jechać, madame. Bardzo miło było panią zobaczyć. Przekażę ojcu pozdrowienia, proszę się nie niepokoić.

Dopiero kiedy odjeżdżamy, Luke oddycha z potężną ulgą i mówi:

- Dzięki. Myślałem, że będzie gadać cały dzień.

- Jest twoją wielką fanką - mówię z wystudiowaną nonszalancją. - Wzięła mnie za twoją dziewczynę i o mało nie dostała ataku serca, że nie jestem Francuzką. Powiedziała, że to byłby straszny skandal, gdybyś się nie ożenił z Francuzką. Najwyraźniej to był duży skandal, kiedy twój tata ożenił się z twoją mamą.

Luke wrzuca bieg z większą siłą niż to konieczne.

- Jedyne osoba, którą to zgorzzyło, to ona. Uganiała się za moim tatą, odkąd byli dziećmi. Teraz, kiedy on i mama się rozstają, nie może się do-czekać, aż będzie miała szansę dostać go w swoje szpony.

- Ale to się nie uda - mówię - bo twój tata nadal kocha twoją mamę. Racja?

- Racja - odpowiada Luke. - Chociaż staruszek gotów się z nią ożenić, byleby tylko dała mu spokój. O, proszę. Kupiłem ci coś.

Stuka w torbę niebiańsko pachnącą rogalikami, która stoi między nami.

- Rogalika? - pytam, otwierając torbę. Uderza mnie drożdżowy, ciepły zapach. Są jeszcze gorące, prosto z pieca. - Dzięki. - Decyduję się nic nie wspominać o mojej diecie bez węglowodanów. I tak już ją praktycznie zarzuciłam od momentu tych bułeczek w pociągu.

- Nie ta torba - mówi Luke, patrząc na mnie jak na wariatkę. - Ta druga.

Zauważam mniejszą torbę, za tą dużą z rogalikami, i ją otwieram. I oczy prawie wychodzą mi na wierzch.

- Co?! - Łapię oddech. Po raz drugi w życiu kompletnie odbiera mi mowę. - Skąd... skąd wiedziałeś?

- Chaz coś wspominał - tłumaczy Luke.

Wyciągam z torby sześciopak - połyskujący wilgocią - i gapię się na niego.

- One są... one są jeszcze zimne - mówię z niedowierzaniem.

- No cóż - odzywa się Luke trochę oschłym tonem. - Tak. Ja wiem, że Sarlat wygląda nieco staroświecko, ale mają już tam lodówki.

Wiem, że to śmieszne. Ale oczy wypełniają mi się łzami. Staram się jak mogę odpędzić je mruganiem. Nie chcę, żeby wiedział, że płaczę z radości, dlatego że kupił mi sześciopak coli light. B0 tak nie jest. Liczy się gest, nie sam napój.

- Dz-dzięki - wykrztuszam. Wiem, że muszę mówić krótko albo dosłyszysz drzenie w moim głosie. - Chcesz jedną?



- Nie ma za co - mówi Luke. - I nie, dziękuję. Wolę czerpać kofeinę w sposób tradycyjny, z parzonej kolumbijskiej kawy. A więc? Na co się zdecydowałaś?

Wyjęłam jedną z puszek z plastikowej obejmy i zaraz ją otworzę.

- Zdecydowałaś?

- Chodzi o to, co zamierzasz robić, kiedy wrócisz do Stanów. Zostaniesz w Ann Arbor? Czy przeprowadzisz się do Nowego Jorku?

Otwieram puszkę. Ostry syk gazowanego napoju jest dla moich uszu muzyką porównywalną z szemraniem rzeki płynącej obok.

- Nie wiem. Chcę się przenieść do Nowego Jorku. No wiesz, z Shari. Ale co ja bym tam robiła?

- W Nowym Jorku?

- Właśnie. No bo spójrzmy prawdzie w oczy. Okazuje się, że niewiele można zrobić z dyplomem ze specjalizacją w zakresie historii mody. Nie wiem, co ja sobie wyobrażałam.

- Jestem całkiem pewien, że coś wymyślisz - mówi Luke z tajemni-czym uśmiechem.

- Jasne - rzucam bardzo sarkastycznym tonem. To znaczy, przynajmniej jak na mnie. - No i jeszcze pozostaje ten drobny fakt, że na razie nie mam jeszcze dyplomu. Jak znajdę pracę, skoro nie mam jeszcze licencjatu?

- No cóż. To chyba zależy od pracy.

- Sama nie wiem. - Biorę łyk swojej coli light. Bąbelki łaskoczą mnie w język. Boże, jak mi tego brakowało.- Może prościej będzie zostać jednak w Ann Arbor na ten ostatni semestr.

- Właśnie - potakuje Luke. - I zobaczyć, czy nie da się jakoś dogadać z tym, jak mu tam.

Jestem tak zaszokowana, że o mało nie wypływam coli, której się właśnie napiłam. Tak! Prawie jednej szesnastej moich cennych sześciu puszek!

- Co?!- wołam, kiedy już udaje mi się przełknąć.- Dogadać z... O czym ty w ogóle mówisz?

- Tylko sprawdzam - tłumaczy Luke. - Mówisz, że chcesz zostać w Ann Arbor... A on będzie w Ann Arbor, tak?

- No cóż, owszem. Ale to nie dlatego. To znaczy, w Ann Arbor nadal mam przynajmniej pracę w swoim sklepie. Mogłabym mieszkać w domu i oszczędzać pieniądze, a potem dołączyć do Shari w styczniu. O ile do tego czasu nie znajdzie sobie innej współlokatorki.

- To - powiada Luke, kierując samochód na drogę do Mirac - nie brzmi jak słowa tej dziewczyny, którą niedawno poznałem w pociągu a która wyruszyła do Francji, nawet nie wiedząc, czy będzie miała się gdzie zatrzymać po przyjeździe.

- Wiedziałam, że będę miała się gdzie zatrzymać - mówię. - To znaczy wiedziałam, że Shari gdzieś tu jest. Wiedziałam, że nie będę sama.

- Tak samo, jak nie będziesz sama w Nowym Jorku.

Śmieję się.

- Gadane to ty masz - stwierdzam. - Dlaczego sam nie przeniesiesz się do Nowego Jorku? Powiedziałeś, że przyjęli cię na Uniwersytet Nowojorski.

- Taa - mówi Luke, kiedy podskakujemy na wybojach stromej podjazdy. - Ale sam nie wiem, czy to jest to, co naprawdę chcę robić. No bo zrezygnować z moich sześciocyfrowych dochodów na rzecz kolejnych pięciu lat nauki?

- Wolałbyś już raczej pomagać bogatym ludziom jeszcze powiększać ich bogactwo, niż ratować ludzkie życie?

- Wow - mówi Luke z uśmiechem.

Wzruszam ramionami. A przynajmniej staram się, o ile mogę, skoro tak mocno rzuca mną po siedzeniu, a jednocześnie próbuję chronić cenny eliksir w puszcze, którą trzymam.

- Może trochę przesadzam. Bo zajmowanie się cudzymi portfelami akcji to poważne zajęcie. Ale jeśli ma się okazać, że jesteś dobry w leczeniu chorych ludzi, to czy nie jest błędem tego właśnie nie robić?

- Chodzi o to, że nie wiem, czy jestem w tym dobry. To znaczy w leczeniu chorych ludzi.

- Tak samo jak ja nie wiem, czy jest coś takiego, w czym jestem na tyle dobra, że ktoś w Nowym Jorku faktycznie będzie mi chciał płacić za robienie tego czegoś.

- Ale - mówi Luke -jak ciągle powtarza mi to pewna osoba, nigdy się tego nie dowiesz, jeśli nie spróbujesz.

I w tym momencie znów wypadamy zza drzew na kolisty podjazd prowadzący do domu. W świetle dziennym, jak się okazuje, wygląda jeszcze bardziej imponująco niż wieczorem.

Nie żeby Luke to w ogóle zauważał. Pewnie dlatego, że tyle razy już to widział.

- To co innego - oświadczam. - Bo ty już wiesz, że jest coś, co umiesz robić. Ktoś ci za to płaci szesciocyfrową pensję. A ty wiesz, ile ja zarabiam?

Dostaję osiem dolarów za godzinę w Vintage to Vavoom. Wiesz, na ile człowiekowi wystarczy osiem dolarów za godzinę w Nowym Jorku? No cóż, ja też nie wiem. Ale zgaduję, że nie na wiele.

Luke, kiedy nerwowo zerkam w jego stronę, żeby sprawdzić, co sądzi o mojej ostatniej uwadze, uśmiecha się jeszcze szerzej niż do tej pory.

- Czy tak rozmawiasz ze wszystkimi? - pyta. - Czy to tylko mnie się tak poszczęściło, że w chwili słabości wyjawiałaś wszystkie swoje najgłębsze sekrety?

- Obiecałaś, że nikomu o nich nie powiesz - przypominam mu. - A zwłaszcza Shari o tej mojej pracy...

- Hej... - mówi Luke, zatrzymując samochód przed chateau. Nie odrywa ode mnie spojrzenia. Już się nie uśmiecha. - Obiecałem, że nie po-wiem. Pamiętasz? I nie zamierzam. Możesz mi zaufać.

I przez chwilę - kiedy siedzimy tam, patrząc na siebie ponad torbą rogalików - mogłabym przysiąc, że coś się między nami... dzieje.

Nie wiem co. Ale to się jakoś różni od tych wszystkich chwil, kiedy mi się wydawało, że on mnie zaraz pocałuje. W tym, co się dzieje w samo-chodzie, nie ma nic erotycznego. To bardziej przypomina jakieś... obopólne porozumienie. Coś w rodzaju wzajemnego zrozumienia, że stanowimy pokrewne dusze. Jakieś takie magiczne przyciąganie...

A może to tylko ten zapach rogalików. Naprawdę od dawna nie jadłam żadnego pieczywa.

Cokolwiek się dzieje między mną a Lukiem - jeśli coś się w ogóle dzieje - kończy się chwilę później, kiedy drzwi chateau otwierają się gwałtownie, staje w nich Vicky w bładoniebieskim kimonie i mówi:

- Boże, czemu to trwało tyle czasu? My tu umieramy z głodu. Wiesz, że dostaję hipoglikemii, jeśli z rana czegoś nie zjem.

I to coś między Lukiem a mną - cokolwiek to było - znika.

- Proszę, oto twoje lekarstwo na hipoglikemię - mówi pogodnie Luke, chwytając torbę rogalików.

A potem, kiedy Vicky zamasztył krokiem wraca do wnętrza domu, Luke obraca się do mnie i robi oko.

- Popatrz tylko - mówi.-Już lecę ludzi.

*Początek XX stulecia często określany jest jako la belle epoque, czyli „piękna epoka”. Z całą pewnością moda tego okresu była piękna: zalecała obfite fryzury, głębokie dekolty i tony koronek (patrz: Winslet Kate, Titanic oraz Kidman Nicole, Moulin Rouge). Kobiety starały się naśladować wygląd „dziewczyny Gibsona” (stworzonej przez popularnego malarza o tym nazwisku), nawet pełna życia córka prezydenta Roosevelta, „księżniczka” Alice, czesała się w typowym dla dziewczyny Gibsona stylu madame Pompadour- fryzura bardzo trudna do utrzymania podczas jazdy automobilem, ulubionego sportu Alice.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## **Rozdział 19**

*Przez większość czasu milcz,*

*Mów tylko, kiedy musisz,*

*A i wtedy krótko.*

Epiktet (55-135 n.e.), grecki filozof, stoik

Cała reszta poranka mijają nam w wirze różnych dostaw. Pierwsza z przyjeżdżających ciężarówek przywozi parkiet do tańca, scenę i sprzęt nagłaśniający dla kapeli grającej na weselu - w tym przypadku nie będzie to kwartet smyczkowy, który występuje na większości ślubów organizowanych w Mirac, mówi mi Luke, ale kapela Blaine'a, Cień Szatana. Kiedy pracownicy firmy za to odpowiedzialnej zaczynają rozstawiać sprzęt, kolejna ciężarówka - tym razem pełna składanych stolików i krzeseł na próbną kolację i weselne przyjęcie (obie imprezy odbędą się na trawniku) - wjeżdża z łoskotem na podjazd (łamiąc wszystkie gałęzie, których Luke z Chazem nie mogli osiągnąć; chłopcy są zmuszeni do przejścia się wzdłuż drogi i usunięcia z niej świeżo opadłych gałęzi) i trzeba pomagać przy wyładunku.

W tej samej chwili, kiedy Shari, Chaz, Blaine - który, skoro jego kapela jeszcze nie przyjechała, deklaruje, że się nudzi, i zaczyna się włączać do pomocy - i ja zdejmujemy z ciężarówki ostatnie składane krzesła, przyjeżdża kolejna, tym razem zjedzeniem, które szef kuchni i personel miejscowej restauracji będą podawali na uroczystościach. Jedzenie też trzeba wy-ładować i zanieść do kuchni, gdzie madame Laurent nadzoruje rozkładanie nie zapasów, a szef kuchni zaczyna szykować tartinki na czas koktajli, które będą serwowane po południu...

To wtedy zaczynają się pojawiać goście; przyjeżdżają albo wypożyczonymi samochodami, albo są przywożeni ze stacji kolejowej przez Dominique, której udało się uniknąć wszelkiej cięższej pracy dzięki temu, że się tym zajęła. Jako pierwszy przyjeżdża pan młody z rodzicami. Jestem bardzo ciekawa tego programisty komputerowego, za którego Vicky wychodzi zamiast za jakiegoś bogatego teksańskiego barona od ropy naftowej, którego wolałaby dla niej matka, i muszę przyznać, że kiedy wreszcie widzę Craiga, rozumiem, czym ją pociąga. Nie żeby był przystojny - bo nie jest.

Ale kiedy Vicky wypada pędem z wnętrza domu i plecie trzy po trzy o wszystkim, co się nie udaje, poczynając od jej przyjaciółek, dla których nadal brak miejsca w hotelu, po Blaine'a, który jej powiedział, że

wygląda grubo w swojej sukni na próbną kolację, Craig reaguje z taką samą flegmą, z jaką jego rodzice zareagowali na widok Mirac:

- Vic, wszystko będzie dobrze - mówi.

A Vicky faktycznie przestaje płakać.

Przynajmniej dopóki pół tuzina jej przyjaciółek - równie ładnych i jasnowłosych jak ona - nie wysypuje się z minibusów i nie zaczyna potykać się chwiejnie na swoich wysokich obcasach na zwirowanym podjeździe, chcąc ją uściskać. Wtedy na nowo zaczyna ryczeć, a Craig, który, zdaje się, zupełnie się tym nie przejmuje, wolno prowadzi swoich rodziców do winnicy, gdzie uszczęśliwiony monsieur de Villiers oprowadza ich po swojej wielkiej sali z beczkami.

Wkrótce wygląda na to, że całe chateau jest obleżone przez śmietankę houstońskiego towarzystwa - pełno tu modnie odzianych matron, które holują mężów w granatowych blezerach, a Dominique bryluje wśród nich, rozbawiona.

Ludzie z Houston z kolei unoszą brwi na widok pozostałych członków Cienia Szatana, którzy pojawiają się w niesłychanie mało reprezentacyjnej furgonetce, a których Blaine wita specjalnym, szatańskim pozdrowieniem, składającym się z poklepywania po głowie i zawodzenia, na którego od-głos Vicky wpada do środka domu, wrzeszcząc: „Mamooooo!”, a Shari, która pomaga mi rozkładać obrus na ostatnim z mniej więcej dwudziestu pięciu stolików na trawniku, kręci głową i mówi:

- Boże, strasznie się cieszę, że jestem jedynaczką.

Na szczęście teraz personel restauracji przejmuje stery i zaczyna rozstawiać zastawę. To nam daje chwilę wolnego, więc biegniemy się przebrać, zanim zaczną podawać koktajle - to konieczne, skoro mamy stać za barem w czasie imprezy, otwierając butelki wina i szampana, które będzie nam dostarczał monsieur de Villiers. Osobiście nie mam ochoty zniechęcić ni-kogo widokiem swoich plam z potu. Nie mam zbyt dużego doświadczenia w otwieraniu butelek z winem, więc podejrzewam, że wieczór może się okazać całkiem interesujący.

Właśnie schodzę z powrotem na dół, odświeżona i w miarę dobrze się prezentująca w czarnej lnianej sukience bez rękawów Annę Fogarty, kiedy o mało nie wpadam na grupkę ludzi wchodzącą po schodach na górę, prowadzoną przez Luke'a, który targa dwie naprawdę ciężkie z wyglądu walizy.

- Mówię ci, synu - zwraca się do Luke'a zażywny, łysy dżentelmen

w spodniach khaki i czarnej koszulce polo. - To okazja, jakiej nie wolno ci przegapić. Byłeś pierwszą osobą, o której pomyślałem, kiedy o tym usłyszałem.

Za łysym panem idzie Ginny Thibodaux, wyraźnie podenerwowana.

- Geraldzie, czy ty mnie słuchasz? Powiedziałam, że moim zdaniem Blaine znów pali. Przysięgam, że przed chwilą poczułam od niego papie-rosy. Te dziwne, zagraniczne, o których on i jego przyjaciele ciągle mówią...

Za plecami pani Thibodaux odzywa się Vicky:

- Mamo, musisz z nim porozmawiać. On twierdzi, że jego głupia kapela nie będzie grała cudzych utworów. Mamo, on przysięgał, że będą je grali. Teraz mówi, że mogą grać tylko własne kawałki. Jak ja mam tańczyć z ojcem do piosenki pod tytułem: Bat na gepardzkę?

- Nie wiem, kochanie - mówi pani Thibodaux. - Twój brat po prostu nie jest sobą, odkąd zostawiła go ta Nancy. Chciałabym, żeby poznał jakąś miłą dziewczynę. Czy któraś z twoich przyjaciółek...

- Jezu, mamo. Czy mogłabyś raz na odmianę pomartwić się o coś, co faktycznie ma jakieś znaczenie? Co zrobimy, jeśli on rzeczywiście nie ze-chce grać cudzych utworów? Craig i ja nie zatańczymy pierwszego tańca jako para małżeńska do czegoś pod tytułem: Chciałbym puknąć to twoje pudełko...

- Cześć - wita mnie Luke z uśmiechem, kiedy cofam się, żeby razem z państwem Thibodaux mogli mnie wyminąć. - Ładnie wyglądasz!

- Dziękuję - mówię, patrząc uważnie na starszego pana. To, zakładam, dawno oczekiwany tata Vicky.

- Zastanów się jeszcze, synu - namawia pan Thibodaux Luke'a. - To niesamowita szansa.

- Dziękuję, wujku Geraldzie - odpowiada Luke i mruga do mnie, a potem dalej wspina się po schodach, a za nim ciągnie się rodzina Thibodaux, nadal terkocząc jak karabiny maszynowe i w ogóle nie słuchając się nawzajem. Szybko schodzę po schodach na sam dół i znajduję panią deVilliers i Dominique w holu, gdzie ucinają sobie małą pogawędkę w cztery oczy...

Ale nie dość cichymi głosami, żebym nie usłyszała, o czym mówią.

- ...otwierają oddział w Paryżu - ciągnie Dominique z ożywieniem. - Gerald mówi, że natychmiast pomyślał o Jean-Lucu. To niesamowita propozycja. O wiele większa odpowiedzialność - i pieniądze - niż to, czym Jean-Luc zajmuje się w Lazard Freres. Thibodaux, Davies i Stern to jedna z najważniejszych na świecie firm inwestycyjnych dla prywatnych klientów!

- Znam firmę mojego szwagra - mówi pani de Villiers z odrobiną ironii w głosie. - Nie jestem jednak pewna, kiedy to Luke zdecydował, że chce się przenieść do Paryża.

- Żartuje pani?- dziwi się Dominique. - Przecież od zawsze o tym marzymy!

Słyszając te słowa, staję jak wryta. My marzymy?

I wtedy Dominique biegnie szybko po schodach za Lukiem. Prawie mnie nie zauważa, mijając mnie, i rzuca mi tylko jakiś cierpki uśmieszek.

A więc wujek Luke'a zaproponował mu pracę. W Paryżu. Za o wiele więcej pieniędzy niż zarabia teraz. To śmieszne, żebym tak bardzo przeżywała tę informację. Bo Luke'a poznałam zaledwie dwa dni temu. Przecież ja się w nim tylko odrobinę zadurzyłam. Naprawdę tylko odrobinę. Ta chwila w samochodzie dzisiaj rano - to coś, co nas połączyło jak mi się zdawało... To pewnie tylko moja dozgonna wdzięczność dla niego za to, że mi kupił sześciopak coli light. To wszystko.

Ale nie da się zaprzeczyć, że coś mnie ścisnęło za gardło. Paryż! On nie może się przenieść do Paryża! Już i tak źle, że mieszka w Houston! A teraz jeszcze cały ocean między nami? Nie ma mowy.

Co ja sobie wyobrażam? Co się ze mną dzieje? To nie moja sprawa. To zupełnie nie moja sprawa.

Powtarzam to sobie stanowczo, kiedy schodzę po ostatnich kilku stopniach schodów...

...i przekonuję się, że pani deVilliers opadła na jedną z krytych aksamitem kanap w holu, a minę ma zaniepokojoną. Uśmiecha się na mój widok, a potem zmartwienie znów rysuje się na jej twarzy, kiedy pogrąża się we własnych myślach.

Przechodzę obok. Wiem, że pewnie jestem potrzebna na dworze. Słyszę szmer głosów gości, którzy zbierają się na koktajle na trawniku. Jestem pewna, że są tam butelki szampana, które trzeba pootwierać. A ja przecież obiecałam pomóc.

Ale nagle zastanawiam się, czy nie powinnam najpierw zrobić czegoś innego. Może to jednak moja sprawa. Bo niby dlaczego skończyło się na tym, że Luke i ja siedzieliśmy obok siebie w tym pociągu? Jasne, innych wolnych miejsc nie było. Ale dlaczego nie było żadnych innych wolnych miejsc?

Może dlatego, że ja miałam koło niego usiąść. Żebym mogła zrobić to, co zrobię teraz.

A konkretnie - uratować go.

Zanim zdążę zmienić zdanie, zawracam i podchodzę do pani deVilliers.

Widząc, że przed nią stoję, matka Luke'a podnosi wzrok.

- Tak, kochanie? - Uśmiecha się lekko. - Przepraszam, zapomniałam, jak masz na imię...

- Lizzie - mówię. Serce zaczyna mi bardzo szybko walić w piersi. W głowie mi się nie mieści, że robię to, co robię. Ale z drugiej strony, czuję, że to mój obowiązek, jako głównej prezenterki Agencji Prasowej Lizzie. - Lizzie Nichols. Nic nie poradzę, ale słyszałam, co przed chwilą powiedziała Dominique... - Kiwam głową w stronę schodów, po których Dominique przed chwilą weszła na górę. - I chciałam tylko powiedzieć pani, tak wyłącznie między nami, że to nie do końca prawda.

Pani deVilliers mruga powiekami. Naprawdę jest bardzo atrakcyjną kobietą. Totalnie mogę zrozumieć, czemu monsieur deVilliers tak bardzo się w niej zakochał i czemu jest mu tak smutno, że ona już tego nie odwzajemnia.

- Co nie jest do końca prawdą, kochanie? - pyta mnie.

- To, że Luke chce się przenieść do Paryża - mówię szybko, żeby mieć to wszystko z głowy, zanim ktoś nam przerwie. Albo ja oprzytomnieję. - Ja wiem, że Dominique chce się tam przenieść, ale nie jestem pewna, czy Luke tego chce. On się zastanawia, czy nie iść na studia medyczne. Już złożył papiery na jakiś uzupełniający kurs na Uniwersytet Nowojorski i został przyjęty. Chyba nikomu o tym nie powiedział - poza mną - bo nie jest pewien, czy rzeczywiście to właśnie chce robić. Ale ja uważam, że jeśli nie pójdzie na te studia, to zawsze będzie tego żałował. Powiedział mi, że kiedyś marzył o tym, że zostanie lekarzem, ale nie może sobie wyobrazić, że będzie jeszcze przez cztery lata studiował - no cóż, pięć lat, licząc ten kurs, w którego ramach musi zaliczyć wszystkie przedmioty ściśle, zanim w ogóle będzie mógł rozpocząć studia medyczne... Głos mi cichnie, kiedy zdaję sobie sprawę, na widok jej zaskoczonej miny, jak głupio brzmi to, co jej opowiadam.

- Studia medyczne? - Oczy pani de Villiers są podkreślone niebieską kredką. Wydobywa zielone błyski w jej piwnych oczach. Ta zieleń staje się jeszcze bardziej widoczna, kiedy patrzy na mnie, jak teraz, szeroko otwartymi oczami.

- Luke rzeczywiście zawsze chciał zostać lekarzem, kiedy jeszcze był małym chłopcem - mówi lekko chropawym, podekscytowanym głosem. - Zawsze znosił do domu chore albo ranne zwierzaki i próbował je leczyć, i tutaj, i w Houston...

- Moim zdaniem on naprawdę chciałby się zająć medycyną - ciągnę, gorliwie kiwając głową. - Ale przekształcenie Mirac w miejsce, gdzie pacjenci po operacjach plastycznych będą mogli wracać do zdrowia, nie będzie chyba wystarczającą namiastką...

- Co?! - Na twarzy matki Luke'a pojawia się wyraz przerażenia.

Och. Nie. Proszę, nie mówcie mi, że znów to zrobiłam.

Ale widzę wyraźnie z miny pani deVilliers, że tak się stało. Jest tak samo zaszokowana, jakbym powiedziała jej, że Jimmy Choo już nie projektuje butów, które noszą jego markę. Co jest zresztą prawdą.

Okay. A więc te liposukcje to nie jest temat, który Dominique już zdążyła przerobić z rodzicami Luke'a.

Naprawdę nie to chciałam osiągnąć, kiedy zaczynałam rozmowę z ma-mą Luke'a. Nigdy nie zamierzałam sypanąć Dominique. Chciałam tylko dać znać pani de Villiers, że jej syn ma pewne skrywane marzenie...

Marzenie, które - teraz zaczynam zdawać sobie sprawę - chyba chciał utrzymać w sekrecie. Ale ja wszystko, oczywiście, rozgadałam.

- Ja tylko... No bo jeśli dochody z winnicy nie są wystarczające... -jąkam się, usiłując zmienić temat. - Myślałam sobie, że może lepszym wyjściem byłoby wynajmowanie Mirac ludziom - oczywiście, zamożnym ludziom - którzy chcą spędzić miesiąc wakacji w jakimś przyjemnym chateau, albo na jakiejś zjazdy absolwentów uniwersyteckich czy coś...

- Chirurgia plastyczna?! - powtarza pani de Villiers zaskoczonym tonem, trochę podobnym do tego, jakim odezwał się Luke, kiedy wspomniałam mu o pomysle Dominique. Widzę, że moja próba zmiany tematu zbyttnio się nie powiodła. - Kto, na miłość boską, wpadł na...

- Nikt - zapewniam ją szybko. - To tylko taki pomysł, o którym mówiło się tu i tam...

- Ale? kto mówił?! - dopytuje się pani de Villiers, która ma nadal prze-razoną minę.

- Wie pani... - zaczynam i mam ochotę natychmiast zapaść się pod ziemię. - Chyba moja przyjaciółka Shari mnie woła. Muszę już iść...

I dokładnie to robię - zrywam się na nogi i wybiegam z domu, najszybciej jak się da.

Przepadłam. Przepadłam jak nic. Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego znów wszystko wypaplałam? I to zwłaszcza coś, co mnie w ogóle nie dotyczy... Boże, jestem straszną idiotką.

Policzki mam szkarłatne i rozpalone. Biegnę przez trawnik do Chaza, który już stoi za barem (długim stołem nakrytym białym obrusem). Przed nim długa kolejka spragnionych houstończyków, żądnych swoich pierwszych tego dnia koktajli.

- Jesteś wreszcie - mówi Chaz na mój widok. Zdaje się, że nie zauważył ani moich rozpalonych policzków, ani stanu zaawansowanej nerwicy. -Dzięki BBogu. Zaczynaj otwierać te butelki z szampanem. Gdzie Shari?

- Mysłślałam, że jest tu na dole, z tobą - mówię, sięgając po butelkę drżącymi palcami.

- Co, jeszcze się nie zdążyła przebrać? - Chaz kręci głową, a potem patrzy na stojącego przed nim chłopaka, który wygląda jak student, członek korporacji. - Co mogę ci podać?

- Stoliczną z lodem - żąda chłopcaś.

- Przykro mi, stary - mówi Chaz. -Tylko piwo albo wino.

-Posrało was? - drze się chłopcaś. Chaz mierzy go spokojnym spojrzeniem.

- Jesteś w winnicy, koleś. Czego się spodziewałeś?

- Dobra - dąsa się chłopcaś. -W takim razie piwo.

Chaz prawie rzuca w niego butelką, a potem spogląda na mnie. Udało mi się ściągnąć z szyjki butelki ten metalowy drucik, ale wyjęcie korka mnie przerasta. Nie chciałabym, żeby wystrzelił i kogoś trafił.

Dlaczego powiedziałam pani de Villiers, że Luke chce być lekarzem? Dlaczego pozwoliłam, żeby mi się wymknęła ta informacja o liposukcjach? Dlaczego jestem fizycznie niezdolna do jakiegokolwiek dyskrecji?

- Skorzystaj z serwetki - mówi Chaz i rzuca mi jedną.

Patrzę na niego bezmyślnie. Nie mam pojęcia, o czym on mówi. Czyja teraz, na domiar wszystkiego, jeszcze się ślinię?

- Żeby wyciągnąć korek - dodaje Chaz niecierpliwie.

Ach! Opuszczam wzrok, owijam korek serwetką i pociagam - i korek wychodzi bez trudu, z łagodnym odgłosem, nie czyniąc nikomu szkody.

Super. Okay. A więc przynajmniej jedną rzecz umiem zrobić jak trzeba.

Totalnie zaczynam łapać, jak to się robi. Chaz i ja zaczynamy pracować w przyjemnym, zgodnym rytmie...

To znaczy, do momentu, w którym pojawia się Shari.

- Gdzieś ty była? - pyta Chaz.

Shari go ignoruje. Dopiero wtedy zauważam, że jej oczy miotają płomienie. I że patrzy na mnie.

- A więc kiedy konkretnie - pyta ostro Shari - miałaś zamiar mnie zawiadomić, że jeszcze nie zrobiłaś dyplomu, co, Lizzie?

*Początek I wojny światowej zastał modę kobiecą w trakcie zmian niemal równie szokujących, jak ówczesny klimat polityczny. Gorsety zarzucono, talia obniżyła się, a kraweędź spódnicy podniosła nawet do pół łydki. Po raz pierwszy w historii nowożytnej modnie było nie mieć biustu. Kobiety o niedużych piersiach cieszyły się, a ich nieco hojniej obdarzone przez na-turę siostry zmuszone były do kupowania staników spłaszczających biust, żeby zmieścić się w najpopularniejsze w tym okresie fasony sukien.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## Rozdział 20

*Jeśli też nie możesz o nikim powiedzieć jednego dobrego słowa,*

*Siądź proszę tutaj obok mnie.*

Alice Roosevelt Longworth (1884-1980), amerykańska pisarka i humorystka

W głowie mi się nie mieści, że jej powiedział. Zaufałam mu, a on moje zaufanie kompletnie zawiódł!

- Ja... miałam zamiar ci o tym powiedzieć - jękam się.

- Poproszę kir royal - mówi kobieta, która ma taką minę, jakby żałowała, że przy tej pogodzie włożyła sukienkę z długimi rękawami.

- Kiedy? - pyta ostro Shari.

- No wiesz... - Nalewam tej pani kieliszek szampana, a potem do-daję do niego odrobinę chassisa.- Niedługo. To znaczy, ja sama dopiero co się dowiedziałam! Skąd miałam wiedzieć, że muszę napisać jakąś pracę?

- Gdybyś przykładła nieco większą wagę do swoich studiów - mówi Shari - a nieco mniejszą do ubrań i pewnego Anglika, może byś się zorientowała.

- To nie fair - oświadczam, podając kobiecie kir royal i tylko troszkę rozlewając koktajl na jej dłoń.- Ubrania to temat moich studiów.

- Jesteś niemożliwa - wyrzuca z siebie Shari. - Jak się przeniesiesz do Nowego Jorku ze mną i Chazem, skoro jeszcze nie masz dyplomu?

- Nigdy nie mówiłam, że przeprowadzę się do Nowego Jorku z tobą i Chazem.

- No cóż, teraz na pewno się z nami nie przeprowadzisz - oświadcza Shari.

- Hej - irytuje się Chaz. - Mogłybyście obie wyluzować? Mamy tu mnóstwo Teksańczyków, którzy chcą się napić, a wy wstrzymujecie kolejkę.

Shari wysuwa się przede mnie i pyta tęą kobietę, którą właśnie miałam zamiar obsłużyć:

- Co mogę pani podać?

- Hej - mówię z urazą. - Tutaj ja stałam.

- To może idź i zajmij się czymś pozytywnym - odgryza się Shari. - Na przykład skończ swoją pracę licencyjną.

- Shari, to nie fair. Ja ją kończę. Pracowałam nad nią cały...

Dokładnie w tym momencie jakiś wrzask przeszywa wieczorną ciszę.

Zdaje się, że dobiega z drugiego piętra domu. Po nim słychać słowa: „Nie, nie, nie!”- wykrzywane wysokim głosem, z wielką liczbą decybeli, osiągalną tylko dla jednej jedynej osoby spośród goszczących w Mirac: Vicky Thibodaux.

Craig, przy stole, który obsługujemy, zerka w stronę domu. Stojący za nim Blaine mówi:

- Człowieku, nie rób tego. Nie idź tam. Cokolwiek się stało, nie chcesz tego wiedzieć.

Ale Craig ma zrezygnowaną minę.

- Zaraz wrócę - mówi i rusza do domu.

- Pożałujesz tego! - woła za nim Blaine. A potem dodaje, patrząc w moją stronę: - Co minuta rodzi się na świecie jakiś frajer.

- A nie przeszło ci ani na moment przez myśl, że mogło się zdarzyć coś naprawdę poważnego? - pyta go Shari, która wyraźnie nie ma nastroju do żartów. Dobrze widać, że nie podziela beztrioski Blaine'a - chociaż jako jedna z niewielu. Wszyscy inni obecni na trawniku, najwyraźniej przyzwyczajeni do wybuchów Vicky, niewzruszenie ignorują to, co przed chwilą usłyszeli.

- Z moją siostrą? - Blaine kiwa głową. - Z nią jest coś poważnie nie tak od chwili, kiedy się urodziła. To się nazywa syndrom zepsutego bachora.

W tej samej chwili podbiega do mnie zdyszana Agnes i mówi bez tchu:

- Mademoiselle! Mademoiselle! Chcą, żeby pani przyszła. Musi pani przyjść natychmiast.

- Kto chce, żebym przyszła? - pytam zdziwiona.

- Madame Thibodaux - odpowiada Agnes.- I jej córka. Są w domu. Twierdzą, że to nagły wypadek...

- Dobrze - mówię i odkładam serwetkę.- Pójdę. Ale... - Zdumiona, z trudem łapię oddech. - Agnes, ty mówisz po angielsku!

Agnes błędnie i zdaje sobie sprawę, że ją przyłapano.

- Proszę nie mówić mademoiselle Desautels - błaga. Chaz, rozbawiony, uśmiecha się do niej szeroko.

- Ale skoro mówisz po angielsku, to czemu udajesz, że nie mówisz? Teraz Agnes nie jest już błada, tylko oblewa się rumieńcem.

- Bo jej nie lubię - oświadcza i wzrusza ramionami. - A to, że nie rozumiem po angielsku, strasznie ją wkurza. A ja ją lubię wkurzać.

Wow.

- Okay - mówię. - A do Chaza i Shari dodaję: -Wracam za minutę. Dobrze?

Shari, zaciskając usta w wąską linijkę, nie chce nic powiedzieć. Ale Chaz, który szybko napełnia kieliszki, spogląda na mnie i mówi:

- Leć. Agnes może cię zastąpić. Prawda, Agnes?

- Jasne - rzuca Agnes i zaczyna otwierać butelki szampana z taką wprawą, jakby zajmowała się tym od lat.

Nie waham się ani chwili dłużej. Obiegam stół i kieruję się do domu, z ulgą znikając z oczu wściekłej Shari... Ja też jestem zła, że Luke jej po-wiedział. Dlaczego? Dlaczego powiedział jej cokolwiek, kiedy jeszcze dziś rano obiecywał, że tego nie zrobi?

Okay, może nie do końca dotrzymałam jego sekretów...

Ale wydanie jego sekretu nie znaczy, że wszyscy się na niego wściekną, tak jak w przypadku mojego.

Oczywiście, powinnam była wiedzieć. Nie można ufać mężczyźnie, że dochowa sekretu. No cóż, dobrze, mnie też nie można pod tym względem zaufać. Ale myślałam, że Luke różni się od reszty facetów.

Myślałam, że mogę mu powiedzieć wszystko...

O mój Boże! Co on jeszcze powiedział Shari? Czy powiedział jej, no wiecie o czym? Nie, na pewno nie. Gdyby to zrobił, ona by się zdradziła. Nie przejmowałaby się tym, że zaszokuje te wszystkie Córy Amerykańskiej Rewolucji. Powiedziałyby: „Zrobiłaś Andy'emu łaskę?! Czyś ty oszalała?!”

A przynajmniej wydaje mi się, że tak by zrobiła...

O tym właśnie myślę, kiedy biegnę pędem do domu i na górę po schodach. Nie spotykam nikogo po drodze na drugie piętro, gdzie wpadam na Craiga, który stuka do drzwi pokoju Vicky i mówi:

- Via Wpuść mnie do środka. Natychmiast.

- Nie! - krzyczy Vicky udręczonym tonem zza drzwi. - Nie możesz mnie teraz zobaczyć! Idź stąd!

Podchodzę nieco zdyszana.

- Co się stało? - pytam Craiga.

- Nie wiem - mówi pan miody i wrusza ramionami. - Coś z jej sukienką. Nie wolno mi jej zobaczyć, bo to przynosi pecha. Nie chce mnie wpuścić.

Coś z sukienką? Pukam do drzwi.

- Vicky? - mówię. - Tu Lizzie. Mogę wejść?

- Nie! - woła Vicky.

Ale w następnej chwili drzwi się gwałtownie otwierają.

Jednak nie otworzyła ich Vicky, tylko jej matka. Wyciąga rękę, łapie mnie za ramię i wciąga do środka z lakonicznym: „Idź sobie, proszę, Craig”, po czym zatrzaskuje za nami drzwi tuż przed nosem swojego przyszłego zięcia.

Staję w wielkim, jasnym, narożnym pokoju, o ścianach obitych różową tapetą i z wielkim podwójnym łóżem. Mój wzrok natychmiast przyciąga dziewczyna, która szlocha na wyściełanym, różowym fotelu w kącie. Pani de Villiers głaszcze siostrzenicę po włosach, próbując ją uspokoić. Dominique, z jakiegoś powodu z miną mroczną i złowrogą, przeszywa mnie morderczym spojrzeniem.

- Dominique mówi, że umiesz szyć - odzywa się pani Thibodaux, na-dal nie puszczając mojego ramienia. - To prawda?

- Hm - mruczę, zupełnie zbита z tropu. - Tak. To znaczy, potrafię szyć...

- Możesz coś z tym zrobić? - pyta ostro pani Thibodaux i obraca mnie wokół osi, więc mogę spojrzeć na jej córkę, która właśnie wstała z fotela i teraz stoi przede mną...

...w najohydniejszej ślubnej suk nijką widziałam w życiu. Wygląda, jakby obrzygała ją cała fabryka koronek. Koronki są wszędzie... Na bufiastych rękawach... w wycięciu dekoltu... spływają ze stanika i spódnicy, a poza tym pęczkami ozdabiają cały brzeg sukni na dole. To tego typu suknia, o jakiej marzą dziewczyny... Kiedy mają po dziewięć lat.

- Jak do tego doszło? - pytam. Vicky zanosi się płaczem.

- Widzisz? -jęczy do swojej matki. -Wiedziałam! Pani Thibodaux przygryza dolną wargę.

- Tłumaczyłam jej, że nie jest aż tak źle. Tak się zdenerwowała... Podchodzę do zrozpaczonej panny młodej, żeby spojrzeć na tył sukni.

Jest dokładnie tak, jak podejrzewałam. Na tyłku ma ogromną kokardę z koronek.

Kokarda na tyłku.

Gorzej być nie mogło.

Wymieniam spojrzenie z matką Luke'a. Na króciutką chwilę unosi wzrok do sufitu.

Nie mam wyjścia, muszę im powiedzieć prawdę.

- Jest niedobrze - mówię. Vicky tak szlocha, że aż się krztusi.

- J..jak to się mogło stać, mamó?

- Co?! - Pani Thibodaux ma oburzoną minę. -To ja jestem osobą, która cię ostrzegę! To ja ci powtarzałam, żebyś nie przedobrzyła! Ona sama

ją zaprojektowała! - wyjaśnia mi pani Thibodaux - I dała do ręcznego

uszycia jakiejś paryskiej krawcowej, na podstawie swojego szkicu.

No cóż, to wszystko wyjaśnia. Amatorki nigdy nie powinny projektować własnych sukienek. A już na pewno nie ślubnych sukienek.

- Aleja nie chciałam, żeby tak wyglądała - zawodzi Vicky. - Przy ostatniej przymiarce wyglądała zupełnie inaczej!

- Mówiłam ci - odzywa się pani Thibodaux do córki. - Mówiłam ci, żebyś nie czekała ze zmierzeniem ślubnej sukni do ostatniej chwili, na dwanaście godzin przed ślubem! I mówiłam ci, żebyś nie dodawała tych wszystkich koronek! Ale nie chciałaś słuchać. Ciągłe powtarzałaś, że będzie śliczna. Ciągłe powtarzałaś, że chcesz więcej koronek.

- Chciałam mieć coś oryginalnego. - Vicky płacze.

- No cóż, jest zdecydowanie oryginalna - mówi sucho pani deVilliers.

- Pytanie brzmi - po raz pierwszy od chwili, kiedy weszłam do pokoju, odzywa się Dominique - czy możesz to naprawić?

- Ja? - rzucam spanikowane spojrzenie na suknię. - Naprawić? Jak?!

- Pozbądź się tego wszystkiego - mówi Vicky, pociągając nosem, i unosi wiotką warstwę koronki, która zwisa, nie wiadomo po co, u gorsu sukni.

Pochyliłam się nad suknią, żeby jej się przyjrzeć. Jest, tak jak stwierdziła Vicky, ręcznie uszyta. Ściegi są znakomite.

I niemal niemożliwe będzie rozprucie ich bez uszkodzenia materiału pod spodem.

- Sama nie wiem - mówię. - To znaczy, koronki są naszyte naprawdę porządnie. Po ich usunięciu mogą zostać dziurki. W rezultacie suknia będzie wyglądać naprawdę dziwnie.

- Dziwniej niż teraz? - pyta Vicky, unosząc ramiona i pokazując coś, co wygląda jak skrzydła z koronki doszyte do rękawów.

- O dobry Boże w niebiesiech! - woła matka Luke'a na widok tych skrzydeł.

Skrzydła chyba przypiętowały sprawę dla pani Thibodaux.

- Nie możesz zaszyć dziurek? - pyta mnie

- Na tyle szybko, żeby Vicky mogła włożyć ją jutro w południe? - Matka Luke'a nadal odzywa się cierpkim tonem. - Ginny bądź rozsądna. Nawet profesjonalna krawcowa - gdybyśmy mogły taką w tej ostatniej chwili zaleźć - nie byłaby w stanie zdążyć.

- Och, Lizzie jest bardzo zdolna - mówi Dominique. - Jean-Luc nie może się wprost nachwalić jej rozlicznych talentów.

Luke nie może się mnie nachwalić? Rozliczne talenty? Jakie talenty? O czym ta Dominique mówi?

- Naprawdę? - Pani de Villiers przygląda mi się z wyraźnym zainteresowaniem. Nie wiem, czy to z powodu tego, co przed chwilą powiedziała Dominique, czy też tego, co powiedziałam jej dzisiejszego wieczoru o aspiracjach medycznych jej syna.

- Jean-Luc mówi, że ona sama szyje wszystkie swoje stroje - ciągnie Dominique. - Uszyła nawet tę sukienkę, którą ma teraz na sobie.

- Co? - Jestem tak zdumiona, że aż podskakuję. - Nie uszyła jej. To Annę Fogarty z lat gdzieś tak sześćdziesiątych - Ja jej nie uszyła.

- Och, Lizzie, nie bądź taka skromna - mówi Dominique ze śmiechem. Jean-Luc wszystko mi powiedział.

O czym ona mówi? Co tu się dzieje? Co Luke jej o mnie opowiedział? Co Luke opowiedział o mnie Shari? Co ten Luke wyprawia, chodzi i ze wszystkimi o mnie rozmawia?

- Lizzie poradzi sobie z tym w mgnieniu oka - orzeka Dominique. - I doprowadzi suknię Vicky do porządku.

- Och! - Pani Thibodaux klaszcze w dłonie, a łzy - prawdziwe łzy - zaczynają błyszczeć w jej oczach. - To rzeczywiście prawda, Lizzie? Naprawdę umiałabyś to zrobić?

Przenoszę wzrok z pani Thibodaux na panią de Villiers, a potem na Dominique i z powrotem. Coś się tutaj dzieje. Coś, co, jak podejrzewam, ma więcej wspólnego z Dominique niż z kimkolwiek innym.

- Myślisz, że uda ci się ją uratować, Lizzie? - pyta mnie pani deVilliers ze zmartwioną miną.

Czy Luke naprawdę powiedział, że mam liczne talenty? Że jestem uzdolniona?

Nie mogę go zawieść. Nawet jeśli wydał mnie przed Shari.

- Zobaczę, co da się zrobić - mówię z wahaniem. - To znaczy, nic nie mogę obiecać...

- Nieważne - mówi Vicky. - Nie chcę wyglądać w dniu swojego ślubu jak Stevie Nicks.

Dobrze ją rozumiem. Ale...

- Zdejmij sukienkę i daj ją Lizzie - przykazuje córce pani Thibodaux. -

I przebierz się w sukienkę na próbną kolację. Na dole czeka na nas mnóstwo ludzi. Bóg wie, co oni sobie myślą o tym, co się tutaj dzieje.

Nie wytykam im, że większość ludzi chyba nie przeraziła się za bardzo krzykami Vicky, bo zdaje się, że ona dość często wrzeszczy.

Minutę później stoję tam i trzymam w ramionach kłęb satyny i koronek.

- Zrób, co zdołasz - mówi do mnie pani Thibodaux, kiedy Vicky, przebrawszy się w skromną różową letnią sukienkę i poprawiwszy zniszczony łzami makijaż, otwiera drzwi i wychodzi na spotkanie Craiga, który spokojnie przez cały ten czas na nią czekał.

- Nie możesz jej przecież bardziej zepsuć - mówi matka Luke'a, przepływając obok mnie.

A Dominique, idąc za dwiema siostrami, dodaje:



- Powodzenia.

W oczach ma tak złośliwą radość, że dociera do mnie - poniewczasie - że właśnie własnymi rękoma wykopałam sobie grób, z którego już nigdy się nie zdołam wygrzebać.

I że to Dominique usłużnie podała mi szpadel.

### Część 3

*Pierwsza wojna światowa odebrała życie milionom, ale też rzucała się w oczy śmierć przedwojennych konwenansów. Generacja młodych kobiet, które wykonywały „wojenną robotę” pod nieobecność mężczyzn walczących na froncie, uznała, że skoro świat i tak chyli się ku upadkowi, to równie dobrze mogą zacząć palić, pić i w ogóle robić wszystko to, czego przez tak wiele lat im zabraniano.*

*Dziewczyny, które uprawiały takie rozrywki, wkrótce zyskały określenie „chłopczyce”, bo jak niesforni mali chłopcy po raz pierwszy próbowały zaznać niezależności. Sprzeciwiając się rodzicom i, w niektórych przypadkach, prawodawcom, dziewczyny te strzygły włosy na krótko, skracaly spódnice do kolan i zaczynały wyznaczać drogę dla tych, które dzisiaj ustanawiają trendy w modzie (patrz: Stefani Gwen, projekty L.A.M.B. oraz Spears Britney, top z amerykańskim dekoltem i jedzenie banana).*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

### Rozdział 21

*Me ma sensu próbować utrzymać sekretu przed kimś, kto ma prawo go poznać, sekret sam się opowie.*

Ralph Waldo Emerson (1803-1882), amerykański eseista, poeta i filozof

O kay. Nie ma sprawy. Totalnie sobie z tym poradzę. Po prostu rozpruję szwy. Mam ze sobą przybornik do szycia, mam przyrząd do rozcinania szwów i małe nożyczki. Poradzę sobie śpiewająco. Po prostu odpruję te wszystkie koronki i zobaczę, czym dysponuję, kiedy to zrobię. Poradzę sobie. Poradzę sobie świetnie. Muszę sobie poradzić, bo jak nie, to zrujnuję wielki dzień panny młodej. I nie tylko to, ale jeszcze zawiodę wszystkich tych ludzi, którzy byli dla mnie tacy uprzejmi.

Okay. Muszę sobie z tym poradzić. Muszę.

Pruję.

Och, to wygląda naprawdę kiepsko. Może zacznę od tej kokardy na tył-ku. Pruję. Tak, to już wygląda lepiej.

Dobrze, pruję.

Problem w tym, że jedna osoba chce, żebym sobie nie poradziła, i ja to wiem. To takie oczywiste. Właśnie dlatego Dominique mówiła to, co mówiła. Luke pewnie wcale nie twierdził - pruję dalej - że mam tak wiele talentów ani że tyle umiem. Nie wierzę, że dałam się na to nabrać. Ona to powiedziała tylko dlatego, że wiedziała, że jeśli to usłyszę, będzie mi trudniej odmówić.

I chciała, żebym się zgodziła, a potem wszystko zawaliła.

Ale dlaczego - pruję - ona miałaby chcieć, żebym wszystko zawaliła? Co ja jej złego zrobiłam? Przecież cały czas byłam dla niej bardzo miła.

No cóż, dobra, powiedziałam mamie Luke'a, że on chciałby zostać lekarzem. Mogła być tym nieco poirytowana, skoro sama chce przenieść się do Paryża.

A poza tym jest jeszcze i to, że zdradziłam ten jej mały plan przekształcenia Mirac na hotel dla pacjentów po liposukcjach.

Ale nigdy nie powiedziałam pani de Villiers, że to Dominique ten plan wymyśliła.

Więc dlaczego miała zrobić coś tak okropnie wrednego? Ona wie równie dobrze jak ja, że ta sukienka to stracona sprawa. Tego czegoś nie uratowałaby sama Vera Wang. Nikt by nie uratował. Co tę Vicky napadło?

Jak ona sobie w ogóle mogła wyobrażać, że...

- Lizzie?

Chaz. Chaz stoi za drzwiami mojego pokoju.

- Proszę! - wołam.

Otwiera drzwi i wsuwa głowę do środka.

- Hej, a co ty tu robisz? Jesteś nam potrzebna na...

Milknie, widząc bałagan, jaki zapanował w moim pokoju. Śnieżne zwały koronki walają się... No cóż, wszędzie.

- Słodki Jezus - mówi Chaz. - Czy tu eksplodowała Cukrowa Wróżka?

- Podbramkowa sytuacja z suknią ślubną - mówię, unosząc suknię Vicky.

- A kto w tym bierze ślub? - pyta Chaz. - Bjórk?

- Bardzo śmieszne - mówię. - W każdym razie nie spodziewaj się, że w najbliższym czasie stanę przy barze.

Mam tu pełne ręce roboty.

- To widać. Ale nie bez powodu, Lizzie... Czy ty w ogóle wiesz coś o szyciu sukni ślubnych?

Ze wszystkich sił próbuję ukryć przed nim, że płaczę.

- Chyba się niedługo przekonamy, nieprawdaż? - mówię pogodnie.

- Tak, chyba tak. No cóż, nie martw się, na dole nie dzieje się nic takiego, czego warto żałować. Mnóstwo gaduł przechwala się swoimi jachtami. Aha, słuchaj, co się dzieje między tobą a Shar?

Pociągam nosem i pocieram nim o ramię, jakby tylko mnie swędział i jakby wcale mi z niego nie ciekło.

- Dowiedziała się, że tak naprawdę wcale jeszcze nie zrobiłam dyplomu - mówię.

Chaz wygląda jakby mu ulżyło.

- To wszystko? Jezus, zachowuje się tak, że myślałem, że wspomniałaś coś o panu Jingles. No wiesz, ona nadal czuje się winna, że...

- Nie - mówię. - Ja tylko nie raczyłam jej poinformować, że jeszcze nie skończyłam pisać pracy licencjackiej. A ona się o tym dowiedziała. W jakiś sposób.

Wiecie, zasłużyłam sobie na to. To znaczy na to, żeby Luke powiedział Shari, że nie zrobiłam dyplomu. Skoro ja powiedziałam jego mamie o tej sprawie z medycyną.

Tylko że ja jestem fizycznie niezdolna do zachowania żadnego sekretu. Jaka jest jego wymówka?

- Nie skończyłaś pracy? Jezus, przecież to drobiazg - rzuca Chaz lekceważąco. - Możesz machnąć tę prackę błyskawicznie. Powiem Shar, żeby trochę wyluzowała.

- Właśnie - mówię i pociągam nosem. Kiedy rzuca mi pytające spojrzenie, wyjaśniam: - Alergia. Naprawdę. I dzięki, Chaz.

- Okay. No cóż. Powodzenia. - Chaz rozgląda się po pokoju niepewnie. - Wygląda na to, że ci się przyda.

A potem wychodzi.

Pozwalam sobie na cichy szloch, ale potem biorę się w garść. Poradzę sobie. Poradzę sobie. Robiłam to już setki razy z sukienkami w Vintage to Vavoom, sukienkami, których nikt nie chciał kupować, bo były zbyt brzydkie. Kilka ruchów nożyczkami, aksamitna róża tu i tam, i... wow. Parfait!

I zazwyczaj udawało nam się sprzedać je przy pięćdziesięcioprocentowejniżce.

Właśnie usunęłam te skrzydła opadające u rękawów, kiedy rozlega się kolejne pukanie do drzwi. Nie mam pojęcia, jak długo pracowałam ani która jest teraz godzina, ale za małym okienkiem w kształcie rombu na ścianie za moim łóżkiem widzę, że słońce zachodzi, pokrywając niebo jaskrawym, rubinowym kolorem. Słyszę śmiechy, które tu dobiegają z trawnika przed domem, i pobrząkiwanie sreber. Goście jedzą.

A ja, skoro pomagałam przynieść jedzenie z ciężarówki dostawczej, sądząc po tym, co wtedy widziałam, mogę stwierdzić ze sporą pewnością, że to co jedzą, jest pyszne. Jestem całkiem pewna, że wchodzi w grę trufle i foie gras.

- Proszę - mówię w odpowiedzi na pukanie, myśląc, że może to znów Chaz.

Jestem totalnie zaskoczona, kiedy się okazuje, że to nie Chaz, ale Luke.

- Cześć - mówi, wchodząc do małego pokoiku, a potem rozglądając się po nim z niepokojem.

A ma prawo się niepokoić. To wewnątrz wygląda jak fabryka konfetti.

- Chaz właśnie mi powiedział, co się dzieje. Nie miałem pojęcia, że cię w to wrobiły. Przecież to jakieś kompletne szaleństwo.

- Taa - mówię sztywno. Postanowiłam, że się nie rozplaczę. A przynajmniej nie przy nim. - Faktycznie szaleństwo.

Trzymaj się, Lizzie. Możesz sobie z tym poradzić.

- Jak one cię na to namówiły? - pyta. - No bo Lizzie, przecież nikt nie jest w stanie uszyć ślubnej sukni przez jedną noc. Dlaczego nie odmówiłaś?

- Dlaczego nie odmówiłam? - Och, nie. Napływają łzy. Czuję je, gorące i mokre pod powiekami. - Kurczę, Luke, nie wiem. Może dlatego, że twoja dziewczyna stała tam i opowiadała im, jaka, twoim zdaniem, jestem utalentowana.

Luke ma zaskoczoną minę.

- Co? Ja nie...

- Zdaję sobie z tego sprawę - przerywam mu. - Teraz. Ale wtedy tego nie rozumiałam i miałam chyba nadzieję, że to prawda czy coś. No wiesz, że powiedziałaś o mnie coś miłego. Oczywiście, powinnam była zorientować się, że to był taki trik.

- O czym ty mówisz? - pyta Luke. - Lizzie... czy ty płaczesz?

- Nie - zaprzeczam, unosząc nadgarstek, żeby obetrzeć lecące ciurkiem łzy. - Nie płaczę. Jestem tylko bardzo zmęczona. To był naprawdę długi dzień. I naprawdę nie podoba mi się to, co zrobiłaś.

- A co ja zrobiłam? - Luke ma totalnie zdezorientowaną minę.

Poza tym, w świetle mojej małej nocnej lampki, wygląda seksownie. Przebrał się w imprezowe ciuchy, białą lnianą koszulę z kołnierzykiem i czarne spodnie z kantami ostrymi jak brzytwa. Biała koszula podkreśla głęboką opaleniznę jego szyi i rąk.

Ale nie poddaję się męskiemu urokowi. Nie tym razem.

- Och jasne - mówię. -Jakbyś nic nie wiedział.  
- Bo nie wiem - twierdzi Luke. - Nie wiem, co powiedziała Dominique, że ja powiedziałem, ale przysięgam...  
- Ja nie mówię o tym, co ty powiedziałeś Dominique - przerywam. - Już wiem, że to było kłamstwo. Ale dlaczego... - Urywam. I tyle z obiecywania sobie, że się przy nim nie rozplączę. No trudno. Nie pierwszy raz widzi mnie zapłakaną. - Dlaczego powiedziałeś Shari o mojej pracy?  
- Co? -Wyraz jego twarzy w świetle lampki to mieszanina niedowierzania i zamętu. - Lizzie. Przysięgam. Nie powiedziałem jej ani słowa.  
Wow. Tego się akurat naprawdę nie spodziewałam. No wiecie, wypierania się. Spodziewałam się, że się przyzna... powie, że to zrobił, i przeprosi.  
I oczywiście zamierzałam te przeprosiny przyjąć, skoro sama czuję się winna, bo wygadałam się przed jego mamą. To prawda, że nic między nami nie będzie już takie, jak przedtem. Ale może, z czasem, moglibyśmy odbudować jakąś odrobinę wzajemnego zaufania...  
Ale stać tu i się wypierać? W żywe oczy?  
- Luke - mówię, a rozczarowanie sprawia, że głos mi nieco drży. - To musiałeś być ty. Nikt inny o tym nie wiedział.  
- To nie byłem ja - upiera się Luke. Spoglądam na niego i widzę, że nie jest już zaskoczony i nieufny. Jest wściekły. A przynajmniej na coś takiego wskazuje zmarszczone czoło.- Słuchaj. Ja nie wiem, w jaki sposób Shari dowiedziała się, że nie zrobiłaś dyplomu. Ale ja się nie wygadałem. W przeciwieństwie do niektórych innych osób obecnych w tym pokoju, umiem dotrzymać sekretu. A może to nie ty powiedziałaś mojej matce, że chcę iść na studia medyczne?  
Ups. W ciszy, zanim odpowiem, znów słyszę szcęk sztućców spod domu, a oprócz tego cykanie świerszczy i głos Vicky, która woła bardzo wyraźnie:  
- Lauren! Nicole! Trafiliście!  
Przełykam ślinę.  
No. To. Przepadłam.  
- Tak. Tak, powiedziałam jej. Ale mogę wyjaśnić, że...  
- Czy ty naprawdę uważasz - przerywa mi Luke - że masz prawo oskarżać ludzi, że nie dotrzymują sekretów, kiedy sama najwyraźniej tego nie potrafisz?  
- Ale... - mówię, czując, że cała krew odpływa mi z twarzy. Bo on ma rację. Oczywiście, jestem największą hipokrytką na świecie. - Ale - zaczynam znowu - ty nie rozumiesz. Twoja dziewczyna, twój wujek, wszyscy cały czas powtarzali, że masz zamiar przyjąć tamtą posadę, a ja po prostu pomyślałam, że...  
- Po prostu pomyślałaś, że możesz się wtrącić do czegoś, co w ogóle nie jest twoją sprawą? - pyta ostro Luke.  
Jestem. Tak. Strasznie. Głupia.  
- Próbowałam pomóc - mówię cicho.  
- Nigdy nie prosiłem o pomoc, Lizzie. Nigdy nie oczekiwałem po tobie pomocy. Chciałem, żebyś... Myślałem, że my...  
Zaraz. Luke czegoś ode mnie chciał? Luke myślał, że my moglibyśmy... co?  
Nagle serce zaczyna mi dziko walić. O mój Boże. O mój Boże.  
- Wiesz co? - mówi nagle Luke. -Już nieważne.  
A potem odwraca się i wychodzi z pokoju, bardzo stanowczo zamykając drzwi za sobą.

*Niektórzy twierdzą, że dojście do władzy Hitlera - i faszyzm - można obwiniać za powrót, w latach trzydziestych, dłuższej spódnicy i mocno zaznaczonej talii, co znów zmusiło kobiety do noszenia gorsetów. Początek wielkiego kryzysu praktycznie uniemożliwił przeciętnej kobiecie posiadanie drogich paryskich kreacji, jakie widziała u zmysłowych gwiazd kina. Ale utalentowane szwaczki, które umiały naśladować te projekty, używając mniej kosztownych materiałów, znajdowały mnóstwo nabywczyń i tak wreszcie narodziła się „podróbka"... która niech nam żyje wiecznie (patrz: Vuitton Louis)!*

Historia mody Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## **Rozdział 22**

*Plotka bywa uroczą! Historia to zaledwie plotka. Ale skandal to plotka, którą moralność czyni czymś nużącym.*

Oscar Wilde (1854-1900), angielsko-irlandzki dramaturg, powieściopisarz i poeta

Czy mogłabym tylko zaznaczyć, że bardzo trudno jest równo kroić, kiedy człowiek płacze tak mocno, że nie widzi na oczy?

No cóż, nieważne. Poza tym komu on jest potrzebny? Jasne, wydaje się bardzo miły. I jest na pewno przystojny. A poza tym bystry i zabawny.

Ale on kłamie. No bo najwyraźniej opowiedział Shari o mojej pracy. Niby jak inaczej by to odkryła? Nie wiem, dlaczego nie chciał się do tego przyznać, tak jak ja się przyznałam do opowiedzenia jego mamie o sekretnym marzeniu syna o medycynie.

Przynajmniej ja to zrobiłam w dobrej wierze. Bo podejrzewam, że Bibi de Villiers to taka kobieta, która dowiadując się, że jej dziecko ma jakieś skrywane marzenie, zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby mogło to marzenie spełnić. Czy taką matkę naprawdę trzeba utrzymywać w nieświadomości co do najszczerzych pragnień jej syna?

Właściwie zrobiłam Luke'owi przysługę, opowiadając o wszystkim jego matce. Jak on może tego nie widzieć?

Och, racja. Bo jestem wścibską intrygantką i ogólnie okropną idiotką.

I przez to go straciłam ... Chociaż prawdę mówiąc, nigdy go tak właściwie nie miałam. Och, jasne, był ten moment dziś rano, kiedy kupił mi trochę coli light...

Ale nie. Mnie się to tylko wydawało. Nie mam teraz co do tego wątpliwości. Moim przeznaczeniem jest samotne życie i samotna śmierć. Romans i Lizzie Nichols po prostu się ze sobą nie łączą.

I nie ma sprawy. Jest przecież mnóstwo ludzi, którzy prowadzą idealnie szczęśliwe, udane życie, nie mając kogoś bliskiego. Nie przypominam sobie w tej chwili żadnych nazwisk. Ale na pewno tacy ludzie są. Po prostu będę jak oni. Będę tą samą Lizzie... tylko samą.

Usiłuję wsunąć ostrze nożyczek pod szczególnie mocny szew, kiedy znów ktoś puka do moich drzwi.

Poważnie. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.

Drzwi się otwierają, zanim miałam szansę powiedzieć: „proszę”.

I ku swojemu wielkiemu zdziwieniu widzę w nich Dominique, wysoką i opanowaną, w klapkach Manolo na wysokich obcasach i zielonej, obcisłej sukience z dużym dekoltem.

Kręcę głową.

- Słuchaj - mówię. - Wiem, że to kiepsko wygląda, ale zawsze najgorzej jest tuż przed burzą. Skończę tę sukienkę, jeśli tylko ludzie dadzą mi spokój, żebym mogła pracować.

Dominique wchodzi do pokoju, rozgląda się wkoło uważnie, jakby bała się, że na podłodze są pułapki z rozciągniętego drutu zamiast stosów zwykłych koronek.

- Nie przyszedł tu w sprawie sukienki - oświadcza Dominique. Zatrzymuje się przy mojej otwartej walizce i zerka na bezładny stos starych sukienek i dżinsów z Sears. A potem uśmiecha się z wyższością.

- Posłuchaj... - mówię. Naprawdę zniosłam już tyle, ile mój umysł jest w stanie znieść. - Jeśli chcesz, żebym to skończyła do rana, to będziesz musiała dać mi spokój, okay? Powiedz Vicky, że robię, co mogę.

- Mówiłam ci - powtarza Dominique. - Nie jestem tu w sprawie Victorii ani jej sukni. Przyszedłam w sprawie Luke'a.

Luke'a? Słyszając to, odkładam nożyczki. A co Dominique może chcieć mi powiedzieć na temat Luke'a?

- Wiem, że jesteś w nim zakochana - zaczyna, podnosząc mój rodzinny pojemnik Tums z komody i przyglądając mu się dokładnie.

Gapię się na nią z otwartymi ustami.

- C-co?

- To całkiem oczywiste - twierdzi Dominique, odstawiając Tums na miejsce. - Najpierw się nie niepokoiłam, bo... No cóż, popatrz na siebie.

Jak totalna idiotka, którą przecież jestem, rzeczywiście spoglądam po sobie. Do mojej czarnej sukienki przyłgnęło mniej więcej osiemdziesiąt pięć tysięcy skrawków białej koronki. Włosy zebrałam w jakiś bezładny kucyk, a buty zgubiłam gdzieś pod wszystkimi tymi fałdami materiału pokrywającymi podłogę pokoju.

- Ale wiem, że on ciebie... lubi. - Dominique unosi swoją spiczastą bródkę.

Taa. No cóż, może kiedyś. Teraz? Raczej nie bardzo, jak się domyślam.

- Moim zdaniem on myśli o tobie jak starszy brat o zabawnej młodszej siostrze - ciągnie Dominique.

Świetnie. Tak jak Blaine o Vicky. Po prostu świetnie. Chociaż to już chyba lepsze niż nienawiść.

- Moim zdaniem on ci mówi różne rzeczy. - Znalazła jedną z moich licznych laterek do książek i podnosi ją, żeby jej się przyjrzeć. - Zastanawiam się, czy powiedział ci coś na temat oferty swojego wuja.

Udaję ignorancję. Bo co innego mogę zrobić? Nie mogę przecież się przyznać, że podsłuchiwałam. Chociaż tak było.

- Oferty?

- Na pewno słyszałaś. Chodzi o pracę w Paryżu dla bardzo ekskluzywnej firmy pana Thibodaux. Zarabiałby nawet jeszcze o wiele więcej niż w tej chwili. Nie wspominał ci o tym?

- Nie - mówię. I chociaż raz nie kłamie.

- Jakie to dziwne - powiada Dominique. - On się naprawdę dziwnie zachowuje.

- To się zdarza - mówię lekko. - No wiesz, kiedy nagle trafiają ci się naprawdę duże pieniądze. Ludzie świrują. Popatrz tylko na Blaine'a.

- Blaine'a? - Dominique ma taką minę, jakby nic nie rozumiała.

- Właśnie. Blaine Thibodaux. - Kiedy Dominique nadal ma skonsternowaną minę, wyjaśniam: - Jego kapela podpisała kontrakt z firmą nagraniową, a dziewczyna Blaine'a go zostawiła. Bo stwierdziła, że teraz jest za bogaty. Więc, jak mówiłam, kiedy człowiek trafia na dużą kasę, czasami... po prostu zachowuje się dziwnie. Dominique ma zaskoczoną minę. Całkiem zapomniała o mojej latarce do książki, którą trzyma w dłoni.

- Firmy nagraniowe dużo płacą?

- To oczywiście - mówię. - Poza tym, wiesz, Blaine dopiero co sprzedał prawa do jednej ze swoich piosenek Lexusowi. Do jakiejś reklamy.

Dominique mruży oczy.

- Doprawdy. - Odkłada latarkę. - To bardzo ciekawe. - Tonem głosu sugeruje, że wręcz przeciwnie. -Więc nie wiesz, czemu Luke tak dziwnie się zachowuje?

- Nie mam pojęcia - odpowiadam. Bo naprawdę tego nie wiem. A przynajmniej nie wiem, dlaczego zachowuje się dziwnie wobec Dominique. Chyba że jak ja nazwała go kłamcą. W takim razie, oczywiście, zrozumiała-bym.

- No cóż - mówi Dominique. I rusza w stronę drzwi. - Dzięki. Powodzenia z tą sukienką. - Unosi kącik warg w czymś z grubsza przypominającym uśmiech. -Wygląda na to, że ci się przyda.

A potem znika, zanim zdążyłam chociaż powiedzieć: „dziękuję”.

No cóż, jeśli Luke woli tego typu kobiety - wysokie, naturalnie szczupłe, sztucznie nadmuchane w okolicy klatki piersiowej (ręczę za to życiem bab-ci) i z obsesją na temat pieniędzy, to ja mu życzę wszystkiego najlepszego.

Chociaż, no wiecie. Trochę rozumiem, czemu mógłby woleć tego typu kobietę niż taką, która go oskarża o kłamstwa. Nawet jeśli ją okłamał.

I wcale mi się nie wydaje, żeby Dominique mogła go okłamać. Jest na to o wiele za przebiegła.

Dość przebiegła, żeby mnie skłonić do podjęcia się zadania, którego nijak nie dam rady skończyć na czas. A przynajmniej nie tak, żeby kogokolwiek zadowolić. Do czasu, kiedy na dole zaczynają się toasty - słyszę stukanie łyżeczek o kryształ, potem ciszę, a potem ogólny śmiech - pozbawiłam suknię Vicky wszystkich ozdób.

I przekonuję się, że to, co zakrywała koronka, jest jeszcze gorsze niż sama koronka.

Stoję tu i pytam samą siebie, czy nie powinnam z powrotem przyszyć koronek i przyznać się do porażki albo może spakować swoje rzeczy i po prostu zwać stąd, gdzie pieprz rośnie, kiedy drzwi do mojego pokoju otwierają się i do środka bez pukania wpada Shari. W rękach ma talerz zjedzeniem.

- Zanim otworzysz usta i jeszcze bardziej pogorszysz sprawę- mówi gniewnie, stawiając talerz na komodzie, obok lатарki do książki - chcę, żebyś coś wiedziała. Dzisiaj zaczął mi się okres, a ja, jak idiotka, zapomniałam przywieźć tampony. Więc przyszedłam tutaj. Myślałam, że jakieś znajdę, bo wiem, że zawsze się pakujesz, jakbyś się wybierała na Mount Everest i miała tygodniami nie widzieć żadnej cywilizacji, nawet kiedy wyjeżdżasz na jedną noc. I w ten sposób znalazłam notes, w którym piszesz swoją pracę. To znaczy, on leżał otwarty tu, na twoim łóżku. Nijak nie mogłam na niego nie spojrzeć. Pomyślałam, że to twój pamiętnik. I miałam PMS. Musiałam zerknąć, najwyraźniej. Patrzę na nią z otwartymi ustami.

- Wiem, że nie powinnam była - ciągnie. - Ale i tak przeczytałam. I stąd wiem, że jeszcze nie dostałaś dyplomu. Luke mi nie powiedział. Chociaż, jeśli wolno mi coś dodać, w głowie mi się nie mieści, że powiedziałaś o tym Luke'owi, facetowi, którego poznałaś zaledwie ze dwa dni temu, a nie mnie, która jestem twoją najlepszą przyjaciółką od przedszkola.

Czuję, że gdzieś na dole coś wydaje jakiś pomruk. W pierwszej chwili mam wrażenie, że to podłoga się rozstępuje. Potem domyśliłam się, że burczy mi w brzuchu.

- Luke ci nie powiedział? - odzywam się słabym głosem.

- Nie - mówi Shari. Siada na moim łóżku, nie zwracając uwagi na piętrzące się tam koronki. - Więc to naprawdę miło, że go o to oskarżyłaś. Mam wrażenie, że się tym ucieszył. I bardzo cię za to polubił.

- O Boże. - Trzymam się za żołądek i opadam na łóżko obok niej.-Co ja narobiłam?

- Schrzaniłaś. I to potężnie. To znaczy, biorąc pod uwagę, że się w nim kochasz i tak dalej.

Patrzę na nią żałośnie.

- To aż tak bardzo widać?

- Dla tych z nas, którzy cię znamy od osiemnastu lat? Owszem. Dla niego? Pewnie nie.

Padam na łóżko i patrzę oczyma pełnymi łez na belki sufitu.

- Jestem taką idiotką - mówię.

- Tak - stwierdza Shari. - Jesteś. Dlaczego po prostu od razu mi nie powiedziałaś o tej swojej pracy?

- Bo wiedziałam, że się na mnie wściekniesz.

- I jestem na ciebie wściekła.

- Widzisz? Wiedziałam.

- No cóż, Lizzie, daj spokój. To, że wykształcenie miałaś za darmo, to jeszcze nie powód, żeby je sobie lekceważyć. Historia mody?! Jako specjalizacja?!

- No cóż, przynajmniej nie musiałam mordować żadnych szczurów!  
Żałuję tych słów w tej samej chwili, w której wyrwały mi się z ust. Bo teraz oczy Shari wypełniają się łzami.

- Mówiłam ci - odzywa się. - Musiałam zabić pana Jinglesa. Naukowiec nie może angażować się uczuciowo.

- Wiem - mówię i siadam, obejmując ją ramionami. - Wiem i przepraszam, że to powiedziałam. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Po prostu... nie mogę dość ze sobą do ładu.

Shari nie odwzajemnia uścisku. Zamiast tego rozgląda się po pokoju i mówi:

- Nie możesz dość do ładu i wpakowałaś się w niezły nieład. Lizzie, co ty masz zamiar zrobić w sprawie sukni tej dziewczyny?

- Nie wiem - mówię ze smutkiem, spoglądając na tę ruinę. - W sumie wygląda gorzej niż przedtem.

- Ja jej przedtem nie widziałam. Ale nie wiem, jak mogłaby wyglądać gorzej niż teraz.

Biorę głęboki oddech.

- Zrobię z tym porządek - mówię. I wcale nie mam na myśli wyłączyć sukienki Vicky. - Jeszcze nie wiem jak. Ale zrobię. Nawet gdybym musiała siedzieć całą noc.

- No cóż - mówi Shari. A potem wstaje z łóżka i przynosi mi talerz z komody. - Proszę. Propozycja rozejmu. Stawia mi talerz na kolanach. Są na nim różne potrawy z próbnej kolacji - coś, co wygląda jak kurczę, jakieś zapiekane warzywa, sałatka w sosie winegret, rozmaite sery i...

- To foie gras - mówi Shari, wskazując na brązową kluchę na brzegu talerza. - Wiem, że chciałaś tego spróbować. Ale nie przyniosłam ci żadnego chleba, bo mam nadzieję, że nadal jesteś na tej swojej ubogo węglowodanowej diecie - pomijając rogaliki i kanapki z batonami Hershey. Masz tu widelec. Aha, a tutaj... Podchodzi do drzwi pokoju, otwiera je, pochyla się i sięga po coś, co stoi tuż za nimi. To kubek z lodem. Podnosi jego pokrywkę i odsłania.

- Moja cola light - mówię, zwalczając nową falę łez.

- Taa. Znalazłam ją wciśniętą w kąt lodówki, za nutellą. Uznałam, że przyda ci się, jeśli masz tu zamiar zarwać nockę. Na co - rozgląda się po resztkach ślubnej sukni Vicky - ewidentnie się tu zanosi.

- Dzięki, Shari - mówię i znów zaczynam pociągać nosem. - I... Przepraszam. Nie wiem, dlaczego nie byłam bardziej przytomna w sprawach uczelni. Trochę mnie chyba za bardzo rozpraszał Andy pod sam koniec, żebyśmy mogła koncentrować się na nauce.

- Nie o to chodzi - powiada Shari. - Tylko częściowo masz rację. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, Lizzie. Szkoła nigdy nie była dla ciebie aż tak ważna. - Kiwa głową w stronę przybornika do szycia. - A to, owszem. A jeśli ktokolwiek umie zrobić porządek z tą paskudną sukienką, to właśnie ty.

Oczy znów mam pełne łez.

- Dzięki. Tylko... No bo co ja zrobię z Lukiem? Czy on... czy on na-prawdę mnie zniecierpliwiał?

- Nienawiść to może za ostre słowo. Powiedziałabym, że jest nieco... zgorzkniały.

- Zgorzkniały? - Ocieram oczy dłońmi. - Już lepiej, że zgorzkniały. Ze zgorzknieniem sobie poradzę. Nie żeby - dodaję szybko na widok zaciekawionego spojrzenia, jakie rzuca mi Shari - to miało jakiegokolwiek znaczenie. Skoro on już ma dziewczynę i mieszka w Houston, a ja dopiero dochodzę do siebie po związku bez przyszłości i nie jestem zainteresowana zaczynaniem niczego nowego i tak dalej.

- Jasne - mówi Shari i unosi brew. - No, dobra. Cóż, zabieraj się do roboty, Coco. Rano będziemy niecierpliwie wyglądać twojej kreacji.

Usiłuję się roześmiać, ale wyrzywa mi się tylko szloch i czkawka.

- Aha, Lizzie? - Shari zatrzymuje się przy drzwiach.

- Taa?

- Czy ja jeszcze powinnam coś wiedzieć? - pyta. - Jakies inne sekrety, które przede mną ukrywasz?

Przetykam ślinę.

- Absolutnie nie - oświadczam.

- Dobrze - mówi Shari. - I tego się trzymajmy.

A potem zamaszystym krokiem wychodzi z pokoju.

*Chodzi o to, że ja wcale nie czuję się źle, że jej nie powiedziałam o tam-tej lasce. Są pewne rzeczy, których nawet twoja najlepsza przyjaciółka wiedzieć nie musi.*

*Kiedy Niemcy rozpoczęli okupację Paryża w 1940 roku, w modzie nastąpiła stagnacja. Wojna położyła kres eksportowi drogich kreacji, a racjonowanie, które miało na celu oszczędzanie zasobów na rzecz wojennego wysiłku, oznaczało, że takie towary, jak na przykład jedwab, konieczny do produkcji spadochronów, były niedostępne. Jednakże uparte miłośniczki mody nie chciały rezygnować ze swoich jedwabnych pończoch, zaczęły więc farbować sobie nogi i rysować na nich linie imitujące szew na swoim ulubionym wyrobie pończosznym. Kobiety, które nie były aż tak artystycznie uzdolnione, wolały raczej nosić spodnie. Społeczeństwo wreszcie je zaakceptowało, przyzwyczajając się już do rzeczy znacznie gorszych, jak bombardowania i jazz w stylu bebop.*

### Rozdział 23

*Plotka to wiadomość, która wyprzedza samą siebie, ubrana w czerwoną satynową suknię.*

Liz Smith (ur. 1923), amerykańska dziennikarka i pisarka

Budzę się z kawałeczkiem koronki przylepionym do twarzy i słyszę od-głos niecierpliwego pukania do drzwi mojego pokoju. Rozglądam się wkoło, półprzytomna. Pokój wypełnia blade dzienne światło. Dociera do mnie, że wczoraj wieczorem zapomniałam zaciągnąć zasłony. Dociera do mnie, że zapomniałam wczoraj wieczorem zrobić wiele rzeczy. Na przykład przebrać się w piżamę, zmyć makijaż albo wy-szorować zęby.

Ktoś nadal wali do moich drzwi.

- Idę! - wołam, zwlekając się z łóżka, a potem nieco się zataczam, kiedy gwałtowne uderzenie krwi do głowy przeszywa mi bólem skronie. Tak się kończy fundowanie sobie bezsennej nocy z popijaniem coli light.

Idę do drzwi i ostrożnie je uchylam o parę centymetrów.

W holu stoi Vicky Thibodaux w swoim jasnoblękitnym peniuarze.

- No i? - zarzuca mnie gradem pytań. - Skończyłaś? Udało ci się? Zdołałaś ją uratować?

- Która godzina? - pytam, trąc piekące oczy.

- Ósma - mówi. - Wychodzę za mąż za cztery godziny. Cztery godziny! Skończyłaś?!

- Vicky - zaczynam, powoli wypowiadając słowa, które obracałam w głowie od mniej więcej drugiej w nocy.

-Jest taka sprawa...

- A, do diabła... - rzuca Vicky, całym ciałem napiera na drzwi i otwiera je siłą, odpychając mnie na bok.

Zrobiwszy trzy kroki w głąb pokoju, zamiera, kiedy widzi, co wisi na wieszaku na kołku w ścianie.

- T-to... -jąka się z szeroko otwartymi oczami. -T-to jest...

- Vicky - mówię. - Pozwól sobie wyjaśnić. Sukni, na której twoja krawcowa naszyła te wszystkie koronki, brakowało wystarczającej wewnętrznej integralności, żeby mogła istnieć sama w sobie bez tych wszystkich...

- Jest cudowna - wzdycha Vicky.

- ...koronek, które ją zakrywały. W rzeczy samej, twoja ślubna suknia składała się z tych koronek, i tyle.

Więc... Zaraz. Co powiedziałaś?

- Jest cudowna - powtarza Vicky. Sięga bezwiednie po moją dłoń i ściska ją. Ani na moment nie odrywa wzroku od sukni wiszącej na ścianie. - Nigdy w życiu nie widziałam czegoś piękniejszego.

- Dzięki. Ja też tak uważam - mówię, czując ogromną ulgę. - Znalazłam ją przedwczoraj na strychu. Była trochę zabrudzona, ale wywabiłam plamy, naprawiłam parę rozdarć przy obrąbku i przyszyłam na nowo ramiączko. Wczoraj w nocy dopasowałam ją do wymiarów twojej sukienki. Powinna pasować, o ile przez noc nie utylaś - albo suknia się nie zbiegła. Potem przez jakąś godzinę ją prasowałam... Dzięki Bogu, że na dole w kuchni znalazłam żelazko...

Vicky prawie mnie nie słucha. Wciąż nie może oderwać wzroku od połyskliwej sukni Givenchy.

- Chcesz ją przymierzyć?

Vicky kiwa głową, najwyraźniej nadal niezdolna wykrztusić słowa, i na nic już nie czekając, zaczyna zdejmować peniuar.

Delikatnie zdejmuję suknię z wieszaka. Oryginalna suknia Vicky - ta koronkowa katastrofa - wisi w pobliżu, na drugim kołku. Specjalnie powiesiłam je obok siebie, żeby sama mogła sobie wybrać. Jej oryginalna suknia nie wygląda zresztą aż tak źle - nawet jeśli ja sama tak twierdzę. Udało mi się poskromić te koronki - chociaż wszystkich w żaden sposób nie zdołałam usunąć - i nadal została z tego jakaś sukienka. Zamiast wyglądać jak coś z szafy Stevie Nicks, teraz wygląda jak ciuch, który Oksana Baiul mogłaby obnosić w Barbie na lodzie.

Ale obok Givenchy nie ma najmniejszej szansy.

I właśnie na coś takiego liczyłam.

Łapię się na tym, że wstrzymuję oddech, kiedy zarzucam te całe metry kremowo-białego jedwabiu na głowę Vicky. A potem, kiedy przekłada ręce przez ramiączka sukni, staję za nią, żeby zapiąć perłowe guziczki. Jeden po drugim, zapinają się bez trudu. A ona wcale nie wciąga brzucha, wiem, bo słyszę, jak wzdycha z entuzjazmem, wpatrując się w suknię.

- Pasuje! - woła radośnie, kiedy dochodzę do ostatniego guziczka. - Pasuje idealnie.

- No cóż - mówię. - Przesunęłam zaszewki... Vicky obok mnie wiruje wokół własnej osi.

- Chcę to zobaczyć! - woła. - Gdzie jest lustro?

- Jest jakieś w łazience, po przeciwnej stronie korytarza...

Wybiega z mojego pokoju, hałaśliwie trzaskając drzwiami, a potem równie hałaśliwie wpada do łazienki. Z której dobiega mnie:

- O mój Boże! Ona jest idealna!

Łapię się na tym, że z ulgą opieram się o ścianę mojej sypialni. Jej się podoba.

Wreszcie udało mi się zrobić coś jak trzeba. Vicky pędem wpada do mojego pokoju.

- Uwielbiam ją - mówi.

Po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, cała rozplywa się w uśmiechach.

A uśmiechając się, Vicky zmienia się nie do poznania. Już nie jest rozpieszczoną salonową lalką, która nie cierpi swojego brata i w zasadzie niemal całego świata.

Zamiast tego zaczynam dostrzegać słodką, ujmującą dziewczynę, która zdecydowała się wyjść za mąż za flegmatycznego programistę komputerowego z Minnesoty zamiast za bogatego dziedzica teksańskiej fortuny naftowej, jakiego wołałaby dla niej matka.

Chyba prawdą jest to, co mówią o pannach młodych w dzień ślubu. Wszystkie są wtedy piękne. Nawet o tak wczesnej porannej godzinie, bez śladu makijażu, Vicky wygląda olśniewająco.

- Uwielbiam ją i uwielbiam ciebie - rozplywa się Vicky. - Biegnę po-kazać się mamie.

Pochyla się, żeby mnie cmoknąć w policzek, a potem zgniata mnie w zadziwiająco mocnym, niedźwiedzim uścisku.

- Dziękuję ci. Dziękuję ci bardzo. Nigdy tego nie zapomnę. Jesteś geniuszem. Absolutnym geniuszem.

I wreszcie, w wirze białego jedwabiu, znika.

A ja, kompletnie wyczerpana, padam z powrotem na łóżko, rozpaczliwie potrzebując jeszcze paru minut snu.

Udaje mi się przespać godzinę, może dwie, kiedy znów ktoś robi mi pobudkę, tym razem przygniatając mnie całym ciałem. Ktoś, kto brzmi zupełnie jak Shari i woła:

- O mój Boże, o mój Boże, Lizzie, obudź się! Nigdy w to nie uwierzysz... Wstawaj!

Zakrywam głowę poduszką, mocno zaciskając powieki.

- Cokolwiek to jest - odzywam się - nie chcę nic wiedzieć. Poważnie. Jestem wykończona. Idź sobie.

- To będziesz chciała wiedzieć - mówi Shari i wyrywa mi poduszkę z rąk.

Kiedy wreszcie udało jej się pozbać mnie jedynej ochrony przed słońcem, które zalewa moją sypialnię, zerkam na nią spod zapuchniętych powiek i mówię tonem potężnej niechęci:

- Lepiej, żeby to było coś ważnego, Shar. Nie spałam dziś do piątej rano, pracując nad tą głupią sukienką.

- Och, to bardzo ważne - mówi Shari. - Luke ją rzucił. Gapię się na nią, osłupiała.

- Kogo?

- Jak to kogo? - Shari wali mnie po głowie poduszką, którą mi odebrała. - Dominique, ty idiotko. Właśnie powiedział Chazowi, a on powtórzył mnie. A ja przybiegłam powiedzieć tobie.

- Czekał. - Opieram się na łokciu. - Luke zerwał z Dominique?

- Jak widać, wczoraj wieczorem, kiedy wszyscy poszli spać. Wydawało mi się, że słyszę ich kłótnię, ale mury w tym domu są takie grube...

- Zaraz. - Te nowiny poważnie przekraczają to, z czym mogę się uporać na kofeinowym kacu po nieprzespanej nocy. - Zerwali wczoraj wieczorem?

- Nie zerwali - mówi Shari ze złośliwą satysfakcją. - On ją rzucił. Powiedział Chazowi, że wreszcie zrozumiał, że pragną w życiu zupełnie różnych rzeczy. I że jej cycki są sztuczne.

- Co?!

- No cóż, to nie jest jeden z powodów, dla których z nią zerwał, oczywiście. To tylko coś, co powiedział mimochodem.

- O mój Boże! - Leżę tam i usiłuję określić swoje samopoczucie. Przede wszystkim czuję się fatalnie. Ale to może dlatego, że udało mi się przespać raptem ze trzy godziny.

- To moja wina - mówię wreszcie. Shari patrzy na mnie tak, jakbym oszalała.

- Twoja wina? A to niby dlaczego?

- Powtórzyłam mamie Luke'a to, co Dominique nam mówiła... O tym, że Luke chce być lekarzem. I napomknęłam też o pomysłе przekształcenia tego domu w hotel dla pacjentów po operacjach plastycznych. Założyłam się, że powiedziała coś Luke'owi. To znaczy, jego mama.

Shari rzuca mi bardzo ironiczne spojrzenie.

- Lizzie, faceci nie zrywają ze swoimi dziewczynami dlatego, że ich dziewczyny mama nie lubi.

- Ale...

- Wiem, bo Chaz mi powiedział. No bo ta kobieta nosi japonki za sześćset dolarów. Daj spokój. Weź się w garść. To nie ma nic wspólnego z tobą ani z niczym, co mogłaś powiedzieć mamie Luke'a.

Trawię jej słowa. Shari ma rację, oczywiście. Byłabym potężnie zarozumiała, gdybym sądziła, że to, co zaszło między Lukiem a jego dziewczyną, ma cokolwiek wspólnego ze mną.

- Wiedziałam, że one są sztuczne - podsumowuję.

- Oczywiście. Bo się nigdy nie ruszały. Na przykład, kiedy machała ręką.

- No właśnie! - wołam. - Czyżby cycki nie podskakują, kiedy człowiek się rusza? To znaczy, jeśli są duże.

- No więc wiesz, co to znaczy - powiada Shari. - Mimo wszystko totalnie masz u niego szansę.



- Shari... - mówię, bo zaczyna mnie ogarniać przerażenie. Bo wiem, że narobię sobie nadziei na próżno. - On mnie nienawidzi. Pamiętasz?

Shari marszczy brwi.

- On ciebie nie nienawidzi.

- Powiedziałaś, że jest pełen goryczy.

- No cóż. Owszem. Był nieco zgorzkniały, kiedy wczoraj mówił o tobie.

- No widzisz.

- Ale to było, zanim rzucił swoją dziewczynę! Z powrotem opadam na poduszki.

- Ale od wczorajszego wieczoru nic się między nim a mną nie zmieniło - mówię w stronę sufitu. - Przecież ja go oskarżyłam o to, że powie-dział ci o mojej pracy. A on tego totalnie nie zrobił.

- Taa, bystra uwaga. A może spróbowałaś go przeprosić?

- To niczego nie zmieni - ciągnę, nadal zwracając się do sufitu. - Nie, jeśli on nadal ma do mnie żal. A pewnie ma. Ja bym na jego miejscu miała.

- Nie miałaś. Ale to już inna sprawa. Posłuchaj, nie mam cienia wątpliwości, że będziesz musiała trochę się przed nim popłaszyc. Ale nie uważasz, że on jest tego wart?

- Tak - mówię. - Oczywiście.

Myślę o tamtym dniu w pociągu, jaki był wtedy miły, cierpliwy i zabawny. Jak długie były jego rzęsy w tym zachodzącym słońcu. Jaki słodki był dla mnie tego dnia na poddaszu. I o tej coli light, którą mi kupił. O sposobie, w jaki twierdził, że jestem odważna, mimo dowodów świadczących o czymś przeciwnym. I serce ścisła mi się z tęsknoty.

- Shari - mówię. - To nie ma sensu. No bo popatrz tylko na...

Drzwi mojego pokoju otwierają się gwałtownie i Chaz wsuwa głowę do środka, a minę ma rozzłoszczoną.

- Wybaczcie, moje panie. Ja wiem, że miło jest poplotkować sobie o moim przyjacielu Luke'u. Ale czy żadnej z was nie przyszło do głowy, że my tu mamy ślub, który obiecaliśmy pomóc zorganizować?!

I w ten sposób już godzinę później roznoszę tacę z koktajlami mimoza, oferując mile widziane kieliszki spragnionym - i gderliwym - hordom, które zebrały się na trawniku, żeby być świadkami ślubu Victorii Rose Thibodaux i Craiga Petera Parkinsona. Nikt nie przewidział, że będzie aż tak gorąco, i wszyscy mężczyźni pocą się w swoich odświętnych garniturach i krawatach, a kobiety wachlują się ślubnymi programami. Ślub ma się zacząć w południe i wszystko wskazuje na to, że faktycznie się wtedy zacznie. Pastor - sprowadzony aż z kościoła parafialnego panny młodej w Houston - już przyjechał, przyjechały też kwiaty, ślubny tort i nawet kwartet smyczkowy, który zagra ślubny marsz (bo Cień Szatana nadal odmawia grania cudzych utworów, ze ślubnym marszem z Lohengrina włącznie).

Nawet panna młoda, ku zdziwieniu wszystkich obecnych, jest już gotowa i podobno czeka spokojnie w domu na wybicie dwunastej.

Też bym chciała robić coś spokojnie, ale jestem roztrzęsiona. To dlatego że jeszcze nie widziałam Luke'a. To znaczy, owszem, widziałam go - wszędzie go tu pełno, bo wita gości i rozwiązuje wszelkie problemy - a wygląda olśniewająco w swoim smokingu i w przeciwieństwie do wielu panów obecnych w Mirac, wcale nie widać po nim zmęczenia upałem.

Ale ani razu nie podszedł do mnie bliżej ani nawet nie popatrzył w moją stronę.

Totalnie rozumiem jego gniew - to znaczy żal - w stosunku do mnie.

Ale przynajmniej powinien mi dać szansę wszystko wyjaśnić.

- Czy w tym jest jakiś alkohol? - pyta mnie Baz, perkusista Cienia Szatana, wskazując na kieliszki, które roznoszę.

- Tak - mówię. - Szampan.

- Dzięki Bogu - mówi Baz i łapie dwa kieliszki, wychyla oba, a potem odstawia puste na moją tacę. - Strasznie tu gorąco, nie?

- No cóż - stwierdzam grzecznie. - Przynajmniej jesteś ubrany odpowiednio do pogody.

Bo kapela brata Vicky, jak widzę, ma za nic elegancję; ubrali się w szorty i japonki, a Kurt, keyboardzista, zrezygnował nawet z koszulki.

- Hej - mówi Baz. - Widziałaś Blaine'a?

- Nie widziałam - rzucam rozkojarzona. To dlatego że widzę w pobliżu Luke'a, pomagającego jakiejś starszej pani usiąść na jednym ze składanych krzeseł, które razem z Chazem rozstawiali w rzędach zdaje się już od siódmej rano. W przejściu między nimi zaraz rozłożą biały dywan.

Baz idzie za moim spojrzeniem i widząc Luke'a, unosi rękę.

- Luke! - woła. - Yo! Tutaj!

Nie! O Boże, nie! Oczywiście, chcę zamienić parę słów z Lukiem, ale nie w taki sposób... Chcę porozmawiać na osobności. Nie chcę, żeby nasze pierwsze spotkanie po tej wczorajszej wieczornej nieprzyjemnej scenie rozgrywało się w obecności osób trzecich - a już zwłaszcza nie w obecności perkusisty o imieniu Baz.

- Tak? - pyta grzecznie Luke, podchodząc do nas.

Jak zwykle na jego widok puls mi przyspiesza jak dziewczusce z podstawówki w czasie wyprzedaży w Claire. Po prostu wygląda tak świetnie, kiedy stoi w słońcu, z tymi swoimi szerokimi ramionami, świeżo ogoloną twarzą i, o Boże, w lakierkach. W błyszczących, dokładnie wypolerowanych lakierkach!

Z trudem udaje mi się nie upuścić tacy.

Dlaczego musiałam zrobić coś tak głupiego i oskarżyć go, że powiedział Shari o mojej pracy? No cóż, ja nie umiem dochować żadnego sekretu, ale to jeszcze przecież nie powód, żeby zakładać, że nikt inny tego nie potrafi, prawda?

- Stary, nie widziałeś swojego ciotecznego brata? - pyta Baz Luke'a. - Nikt go nie może znaleźć.

- Nie widziałem go - mówi Luke. Nie mogę nie zauważyć, że patrzy na mnie. Chociaż co się dzieje za tymi jego ciemnymi oczami, nie umiem wyczytać. Czy on mnie nienawidzi? Czy on mnie lubi? A może w ogóle nigdy nic o mnie nie myślał? - A próbował ktoś szukać go w pokoju? O ile dobrze pamiętam, Blaine lubi spać do późna.

- Och, taa - mówi Baz. - Dobry pomysł.

I odchodzi, powłócząc nogami, zostawiając Luke'a i mnie razem, w niezręcznym milczeniu - okazja, którą chwytam, zanim Luke ma szansę się stąd wycofać.

- Luke... - mówię głosem bardzo cichym w porównaniu z waleniem serca, które słyszę we własnych uszach.

-Ja chciałam tylko powiedzieć...

że wczoraj... Shari mi powiedziała...

- Zapomnijmy już o tym, dobrze? - mówi Luke krótko.

W oczach zbierają mi się łzy.

Shari powiedziała, że on ma żal. I ma do tego pełne prawo.

Ale nawet nie pozwoli mi przeprosić?

Zanim jednak mam okazję odezwać się chociaż słowem, podchodzi do mnie monsieur de Villiers, dziarski w swoim kremowym garniturze, kra-wacie, a w rękę trzyma butelkę szampana.

- Lizzie, Lizzie - beszta mnie wesoło. -Widzę na tej tacy puste kieliszki. Musisz chyba podejść do madame Laurent po nowe koktajle.

- Proszę. - Luke usiłuje mi odebrać tacę. -Ja się tym zajmę.

- Ja to zrobię - mówię i wyrywam mu tacę. Tylko fakt, że na tacy stoją zaledwie trzy kieliszki, w tym dwa opróżnione przez Baza, ratuje nas przed nieuchronną katastrofą.

- Powiedziałem - mówi Luke i znów wyciąga ręce - że sam się tym zajmę.

- A ja powiedziałam, że ja...

- Lizzie!

Luke, jego ojciec i ja obracamy się zgodnie na dźwięk podnieconego głosu Bibi de Villiers. Wygląda oszalałamijaco w swojej żółtej sukni i w pięknym kapeluszu, który ocienia jej twarz. Woła:

- Lizzie, gdzie ty znalazłaś tę sukienkę?!

Spoglądam po sobie. Włożyłam sukienkę-chinę, którą po raz ostatni miałam na sobie na Heathrow, kiedy chciałam zrobić wrażenie na Andym... Jakiś milion lat temu. To jedyna rzecz z tego, co ze sobą zabrałam, która jako tako nadaje się do włożenia na taką okazję jak ślub. No cóż, pomijając to, że nie mogę pod nią wkładać majtek. Ale o tym nikt poza mną nie musi wiedzieć.

- W sklepie, w którym pracuję w Minnesocie, nazywa się Vin... - mówię.

- Nie tę sukienkę - prostuje matka Luke'a. Jej mina to dziwna mieszanka ożywienia i niepokoju. Nie żeby to przeszkadzało tacie Luke'a, który patrzy na nią tak, jakby była prezentem właśnie wrzuconym przez komin przez Świętego Mikołaja. - Chodzi mi o suknię, którą ma na sobie Vicky - ciągnie pani de Villiers. - Tę, którą podobno przerobiłaś dla niej przez noc.

Obok mnie Luke zamiera w bezruchu. Jego ojciec, z drugiej strony, na-dal wpatruje się w żonę rozkochanym spojrzeniem.

Ostrzeżona sztywną postawą Luke'a, że coś się tu kroi, odpowiadam na pytanie jego matki bardzo ostrożnie.

- Znalazłam ją tutaj, w Mirac. Na poddaszu.

- Na poddaszu? - Pani de Villiers jest zdumiona. - Gdzie na poddaszu? Nie mam zielonego pojęcia, co się święci. Ale wiem, że zainteresowanie pani de Villiers tą suknią Givenchy nie jest przypadkowe. A może to była jej sukienka? Rozmiar by się zgadzał... Pasowała na Vicky a Vicky jest jej siostrzenicą, więc...

Nie zamierzam ryzykować. Za żadne skarby nie opowiem jej, w jakim straszliwym stanie znalazłam tę sukienkę. Ten jeden sekret zabiorę ze sobą do grobu.

W przeciwieństwie do wszystkich innych mi powierzonych.

- Znalazłam ją w takim specjalnym pudełku - mówię, zmyślając na bieżąco. - Była owinięta bibułką. Powiedziałabym wręcz, że pieczołowicie owinięta...

Wiem, że powiedziałam właściwą rzecz, bo pani de Villiers obraca się do męża i woła:

- Przechowałaś ją! Po tych wszystkich latach!

I nagle zarzuca ramiona na szyję ojca Luke'a, który promienieje ze szczęścia.

- Ależ oczywiście - mówi. - Oczywiście, że ją przechowałam! A co ty myślałaś, Bibi?

Chociaż jest rzeczą jasną - przynajmniej dla mnie - że on nie ma zielonego pojęcia, o czym mówi jego żona. Cieszy się, że znów ją trzyma w ramionach.

Słyszę, że stojący obok mnie Luke cicho zaklął.

Ale kiedy podnoszę na niego oczy przerażona, że zrobiłam coś złego - znowu - widzę, że się uśmiecha.

- O co w tym wszystkim chodzi? - pytam go kącikiem ust.

- Wiedziałem, że ta sukienka wygląda jakoś znajomo - mówi Luke cicho, żeby jego rodzice, którzy się właśnie całują, nie podsłuchali.- Ale ja ją widziałem tylko na czarno-białych zdjęciach, więc nigdy... Ta sukienka, którą znalazłaś? Ta, z której usunęłaś rdzę? To była jej ślubna suknia.

Wydaję okrzyk zdziwienia. Nic na to nie poradzę. -Ale...

- Ja wiem - mówi Luke i biorąc mnie pod ramię, odciąga kawałek dalej od rodziców. -Wiem.

- Ale... strzelba! Ona była owinięta...

- Ja wiem - mówi Luke, prowadząc mnie przez trawnik w stronę, gdzie madame Laurent trzyma dzbanek soku pomarańczowego. - Ta suknia była kością niezgody między nimi przez całe lata. Ona myślała, że on ją wyrzucił razem ze wszystkim innym po tym, jak nam zalało poddasze...

- Ale nie wyrzucił. On...

- Ja wiem - powtarza Luke. Przystanął i ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu opuścił dłoń, którą trzymał mnie za łokieć.- Posłuchaj, on ją naprawdę kocha. Ale raczej nie jest romantykiem. Mama wiele dla niego znaczy. Ale strzelba do polowań też. Wątpię, żeby w ogóle zdawał sobie sprawę, co to za sukienka. Po prostu uznał, że ma idealne wymiary, żeby w nią zawinąć strzelbę i... No cóż, sama rozumiesz.

- O mój Boże! - wykrzykuje, a przerażenie chwyta mnie za serce. -A ja przesunęłam zaszewki, żeby pasowała na Vicky!

- Jakoś - mówi Luke, obracając się za siebie, żeby zerknąć na rodziców, którzy nadal obściskują się przy wszystkich obecnych na trawniku - nie wydaje mi się, żeby mama miała ci to za złe.

Stoimy tam, obserwując jego rodziców przez dobre pół minuty, zanim przypominam sobie, że powinnam go przecież przeprosić. Mimo że kiedy próbowałam po raz ostatni, raczej mi się to nie udało.

Otwieram usta, zastanawiając się, jak ja mam mu to powiedzieć - czy wystarczy zwyczajne „przepraszam”? Shari powiedziała, że mam się trochę przed nim popłaszyc. Czy powinnam paść przy tym na kolana?

Ale zanim zdążyłam odezwać się słowem, Luke pyta mnie głosem odbiegającym od tego ostrego, którym kilka minut temu sugerował, że bym dała sobie spokój:

- Skąd wiedziałaś? Że masz nie wspominać o tym, w jakim stanie na-prawdę ją znalazłaś? To znaczy, tę sukienkę?

- Och! - wzdygam, nagle niezdolna patrzeć mu dłużej w oczy. Opuszczam wzrok na swoje pantofle retro na cienkich obcasikach, które tym głębiej zapadają się w trawę, im dłużej stoję zupełnie bez ruchu. - No cóż, rozumiesz. Zorientowałam się, że ta sukienka musiała dla twojej mamy dużo znaczyć, więc spróbowałam sobie wyobrazić, jak chciałabym, żeby przechowywano moją suknię Givenchy...

W tym momencie Luke wyjmuje mi z rąk tacę z kieliszkami i odstawia ją na stół, którym zajmują się madame Laurent i Agnes, i chwyta mnie za rękę.

- Lizzie... - mówi niskim głosem.

A ja muszę podnieść oczy znad własnego francuskiego pedikiuru. Muszę.

Tak, zaczynam rozumieć. On mi właśnie wybacza. Chyba żeby nie.

- Luke - zaczynam -ja cię prze...

Ale wtedy, zanim zdążyłam dopowiedzieć to słowo, kwartet smyczkowy, usadowiony w cieniu pobliskiego dębu, nagle zaczyna grać te cztery znajome nuty:

Tam ta ta tam...

*Koniec II wojny światowej przyniósł nowe style w modzie. Powróciła sylwetka w kształcie klepsydry i nagle nawet najbardziej znani projektanci zaczęli produkować linie ubrań gotowych - zwłaszcza dla nastolatków, które w czasie boomu ekonomicznego po wojnie zaczęły dysponować wystarczającymi środkami finansowymi, żeby móc sobie wreszcie pozwolić na samodzielne kupowanie strojów. Jak inaczej wyjaśnić popularność kloszowej spódnicy? Tak jak w przypadku dzisiejszych džinsów-rurek, urok tego ciucha przemawiał wyłącznie do oso-by go noszącej.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## Rozdział 24

*Miłość to tylko paplanina. Liczą się wyłącznie przyjaciele.*

Gelett Burgess (1866-1951), amerykański artysta, krytyk i poeta

Ślub Vicky i Craiga jest uroczy. I to wcale nie dlatego, że jestem jedną z osób, które pomogły go zorganizować, dbając o to, żeby panna młoda miała na sobie tak oszałamiająco piękną kreację. Byłby uroczy, nawet gdyby Vicky wystąpiła we własnej sukni.

Tylko wiecie. Byłoby bardziej koronkowo.

Shari, Chaz, madame Laurent, Agnes i ja siedzimy sobie z tyłu i obserwujemy ceremonię składania małżeńskiej przysięgi, przy czym madame Laurent i ja ocieramy wilgotne oczy, a Chaz uśmiecha się złośliwie (co ci faceci mają z tymi ślubami?)

Przez cały czas ukradkiem zerkam na Luke'a, który siedzi w jednym z pierwszych rzędów krzesel, po stronie panny młodej (w sumie obie strony są stronami panny młodej, bo poza rodzicami, siostrą i trzema kumplami ze studiów, strona pana młodego była zupełnie pusta, dopóki nie po-proszono gości panny młodej o zajęcie wolnych miejsc). Luke, jak widzę, często spogląda w stronę rodziców, którzy zachowują się jak para zakochanych nastolatków.

Zauważam, że nie ma Dominique. Albo odmówiła zejścia na dół, albo już wyjechała z chateau.

A potem nagle pastor mówi:

- Craig, możesz pocałować żonę.

Jeszcze pani Thibodaux wydaje z siebie głośny, radosny szloch i jest już po wszystkim.

- Chodź - mówi Shari, łapiąc mnie za ramię. - Znów musimy stanąć za barem.

Spoglądam tęsknie w stronę Luke'a. Czy kiedykolwiek będę miała szansę powiedzieć mu, że go przeproszam? A nawet jeśli znajdę okazję pomówić z nim na osobności, czy on zechce mnie wysłuchać?

Szybko idziemy zając się tłumem zgrzanych, spragnionych gości weselnych i natychmiast zaczynamy strzelać (w moim przypadku - ostrożnie pykać w serwetkę) korkami szampana. Wszyscy zdają się w o wiele lepszym humorze teraz, kiedy ceremonia dobiegła końca. Mężczyźni rozluźniają krawaty i zdejmują marynarki, a panie, bojąc się poplamzić trawą kry-te materiałem pantofle, chodzą boso. Papatouf i Minouche, miejscowe psy, kręcą się wśród gości, wchodząc prosto pod nogi kelnerom, roznoszącym na tacach tartinki. Wszystko chyba idzie zgodnie z planem...

... dopóki Luke, mijając nas, nie pyta cichym głosem:

- Czy ktoś z was widział Blaine'a?

Zerkam przez trawnik i widzę podium, wzniesione wczoraj dla kapeli. Baz i Kurt są już na swoich miejscach przy perkusji i keyboardzie. Na scenie stoi basista (zapomniałam, jak ma na imię) i dostraja gitarę. Nawet grupa przyjaciółek Vicky stoi na drewnianym parkiecie do tańca i niecierpliwie oczekuje na koncert.

Ale przed mikrofonem na środku sceny nie stoi nikt.

- Cień Szatana chyba zgubił wokalistę - zauważa Shari.

W tej samej chwili nadbiega Agnes, która wygląda jak anioł w swojej najlepszej świątecznej sukience z różowej organdy, odpowiedniejszej raczej na bal maturalny niż na czyjś ślub.

Ale właśnie dlatego wygląda tak słodko.

Mówi coś zdyszana, błyskawiczną francuszczyzną do Luke'a, który wysoko unosi brwi.

- Och! - wzdycha.

I szybkim krokiem rusza w stronę ciotki i wuja.

- Agnes - mówię, prędko napełniając podsuwane mi kieliszki. - Co się stało? Co powiedziałaś Luke'owi?

- Och! - mówi Agnes, odgarniając z twarzy parę kosmyków włosów. - Tylko to, że pokój Blaine'a jest pusty. Zniknęła jego walizka, wszystko...

I tak samo pokój Dominique. I nie ma furgonetki Cienia Szatana.

Zaczynam czuć na dłoni coś chłodnego i mokrego i kiedy opuszczam wzrok, widzę, że całą rękę oblałam sobie szampanem.

- Cholera - mówi Chaz, który to podsłuchał. Czy on nie mógłby na chwilę przestać się śmiać? - Cholera.

- Co? - Shari jest rozzłoszczona. Nigdy nie czuła się swobodnie, kiedy musiała serwować jedzenie. - Co cię tak bawi?

- Blaine i Dominique - mówię wargami, które nagle mi zdrętwiały. Bo wspominam rozmowę, którą odbyłam tamtego wieczoru w kuchni z Blaine'em. Kiedy go zapewniałam, że gdzieś na świecie znajdzie się jakaś dziewczyna, której nie będzie przeszkadzał jego niedawno zdobyty majątek.

I rozmowę z Dominique, wczorajszej nocy, o tym, że Blaine właśnie podpisał kontrakt na płytę... Nie wspominając już o jego reklamie dla Lexusa.

Wygląda na to, że Blaine znalazł sobie nową dziewczynę, a Dominique mężczyznę, który może nawet posłucha tych jej niekończących się planów, jak tu się jeszcze wzbogacić.

- Tak - mówi Shari niecierpliwie. - Blaine i Dominique, co?

- Wygląda na to, że razem uciekli - mówię.

I to wszystko moja wina.

Znowu.

Tym razem to Shari rozlewa szampana. Wprost na tenisówki Chaza.

- Hej, uważaj! - woła Chaz.

- Blaine i Dominique? - powtarza Shari. - Jesteś pewna?

- Jego tu nie ma i jej też. - Zerkam w stronę sceny. - Cień Szatana będzie mieć kłopoty.

Do przyjaciółek dołączyła Vicky, która, olśniewająca w swojej ślubnej sukni i welonie, chyba dopiero teraz zauważa, że jej brat urwał się z ceremonii ślubnej.

- Mam nadzieję, że nie tylko Blaine umie śpiewać - mówi Chaz.

- Czy możemy jeszcze wykorzystać kwartet smyczkowy? - zastanawia się Shari.

- Przecież ojciec panny młodej nie zatańczy z córką pod Czajkowskiego - mówię.

W głowie mi się nie mieści, że to się dzieje. W głowie mi się nie mieści, że Blaine mógł zrobić coś takiego własnej siostrze!

No cóż, biorąc pod uwagę, że maczała w tym palce Dominique, chyba jednak się mieści.

Ale to wcale nie umniejsza mojej winy. Po co ja jej w ogóle opowiadałam o Blainie? On był przecież podatny na romanse. Oczywiście, że nie zdołałby się oprzeć jej zakusom!

A kiedy Luke ją rzucił, musiała się czuć znieważona... Oczywiście, że potrzebowała tego terapeutycznego balsamu, jakim dla dziewczyny takiej jak Dominique jest facet, który ma fundusz powierniczy.

I nieważne, co na ten temat myśli Shari, to moja wina, że Luke i Dominique ze sobą zerwali. I nie dlatego, że on się we mnie potajemnie kocha czy coś. Ale dlatego że go namawiałam, żeby zrealizował swoje marzenie o szkole medycznej zamiast marzenia Dominique o mieszkaniu w Paryżu...

To naprawdę moja wina.

Zaczynam rozumieć, że mogę teraz zrobić tylko jedną rzecz. To znaczy, jeśli chcę jakoś to wszystko naprawić.

Pozostaje tylko pytanie, czy starczy mi odwagi?

Chyba będzie musiało.

- Zaraz wracam - mówię, rzucając serwetkę do wyciągania korków. I maszeruję w stronę sceny.

- Hej! - woła za mną Shari. - A ty dokąd?

Idę dalej. Wcale nie chcę tego robić. Ale raczej nie mam wyboru. Vicky, jak widzę, zaczęła teraz płakać. Craig usiłuje ją pocieszyć, rodzice też. Goście weselni kręcą się wkoło, bardziej zmartwieni tym, że Vicky jest taka zdenerwowana, niż samym brakiem podkładu muzycznego.

- Jak on mógł mi to zrobić? - zawodzi Vicky. - Jak?!

- Kochanie - pociesza ją pani Thibodaux. - Nic się nie stało. Chłopcy zagrają coś innego. Prawda, chłopcy?

Baz, Kurt i basista wymieniają spojrzenia. Baz jest jedynym, któremu starcza odwagi, żeby powiedzieć:

- Hm. Żaden z nas nie umie śpiewać.

- Ale przecież umiecie grać? - rzuca ostro pani Thibodaux. - Nie połamaliście palców, prawda?

Baz z rozpędu zerka na swoje palce.

- Nie, ale... Co mamy zagrać? Blaine miał playlistę.

- Zagrajcie coś stosownego do tańca panny młodej z ojcem - syczy pani Thibodaux.

Baz i Kurt zerkają na siebie.

- Bat na gepardzicę? - proponuje Baz.

- No, nie wiem, stary. - Kurt ma przerażoną minę. A przynajmniej na tyle przerażoną, na ile przerażony może być potężnie upalony dwudziestolatek. - W tej często rzucaemy kurwami.

- Taa - mówi Baz. - Ale skoro nikt nie śpiewa...

Zerkam na Luke'a. Z troską patrzy na rozsłochaną cioteczną siostrę.

Zanim zdołałam to sobie wybić z głowy, wchodzę na scenę. Baz i Kurt gapią się na mnie. Basista (jak mu na imię?) uśmiecha się szeroko, patrząc na moje gołe nogi, i mówi:

- Hej.

- Czy to jest włączone? - pytam i chwytam ze stojaka mikrofon.

Czytojestczytojestczytojestwłączone? Mój głos niesie się echem przez dolinę.

- Och - mówię - chyba tak.

Chybatakchybatakchybatak.

Wszyscy ludzie na trawniku obracają się i gapią na mnie... Włącznie z, jak widzę, Vicky, która ma szeroko otwarte usta. I włącznie z Lukiem.

Który ma taką minę, jakby ktoś go właśnie kopnął. Super.

- Cześć - mówię do mikrofonu.

Co ja robię? I dlaczego ja to znów robię? Ach, taa. Bo to wszystko moja wina. Ciekawe, czy oni widzą, że drżą mi kolana.

- Jestem Lizzie Nichols. Miał tutaj stać Blaine Thibodaux, nie ja, ale przydarzył mu się, hm, nagły wypadek... - Zerkam za siebie, szukając jakiegoś wsparcia. Baz energicznie kiwa głową. - Tak. Zdarzyła się nagła sprawa i musiał pilnie wyjechać. Ale i tak została nam reszta Cienia Szatana - mówię, wskazując ręką zespół, żeby ich przedstawić. - Chłopaki?

Członkowie kapeli przestępują z nogi na nogę. Tłum gości, zaskoczony, ale uprzejmy, lekko nas okłaskuje.

Poważnie, trudno mi uwierzyć, że ci faceci właśnie podpisali kontrakt na wiele milionów dolarów.

- A więc - mówię, widząc, że Shari, z miną skrajnie zszokowaną, przepycha się w moją stronę przez tłum. - Chciałam tylko złożyć gratulacje Vicky i Craigowi. Tworzycie naprawdę przepiękną parę.

Tym razem więcej okłasków, całkiem szczerych. Vicky nie przestała płakać, ale nie szlocha już tak rozpaczliwie. Minę ma tylko oszołomioną. Trochę tak jak jej brat cioteczny Luke.

- No i, aha - mówię do mikrofonu. lahaiahaiahaiaha. - Ponieważ brak nam wokalisty, pomyślałam, że dla uczczenia waszego wielkiego dnia...

Widzę, że Shari, na parkiecie do tańca, patrzy na mnie i kręci głową, a oczy ma pełne przerażenia. Nie, nie rób tego.

- ...moja przyjaciółka panna Shari Dennis i ja zaśpiewamy piosenkę, którą tradycyjnie zawsze śpiewa się w czasie pierwszego tańca nowożeńców tam, skąd pochodzę...

Shari kręci głową w takim tempie, że pasma gęstych włosów wałą ją po twarzy.

- Nie - mówi. - Lizzie, nie.

- ...w wielkim stanie Michigan - ciągnę.- To piosenka, którą na pewno wszyscy znacie. Jeśli macie ochotę, zaśpiewajcie ją z nami. Chłopaki.- Obracam się w stronę Cienia Szatana. - Wiem, że wy też ją znacie. Nie próbujcie mi wmawiać, że nie.

Baz i Kurt patrzą na siebie nawzajem i unoszą brwi. Basista nie odrywa wzroku od moich nóg.

- Vicky i Craig - mówię. -To dla was.

A potem odchrząkuje.

- Now I... - śpiewam, tak jak setki razy wcześniej na rodzinnych spotkaniach, pokazach szkolnych talentów, konkursach w akademiku, wieczorach karaoke i za każdym razem, kiedy wypiję trochę za dużo piwa.

Tylko że tym razem mój głos jest tak wzmocniony, że słyszę, jak niesie się po całym trawniku... przez winnicę... w dół wzgórza i po całej doli-nie. Niemieccy turyści, którzy spływają na nadmuchiwanym dętkach rzeką Dordogne, też mnie słyszą. Turyści, którzy całymi autobusami zajeżdża-ją pod jaskinię w Lascaux, oglądać malowidła naskalne, słyszą mnie. Pewnie Dominique i Blaine, gdziekolwiek są, też mnie słyszą.

Ale nikt się nie dołącza.

No cóż, może potrzebują dłuższego wprowadzenia.

- ...had...

Hm. Nadal nikt się nie dołącza. Nawet kapela. Obracam się i zerkam na nich. Gapią się na mnie bezrozumnie. Co się z nimi dzieje?

- ...the time only ...

To niemożliwe, żeby nie znali tej piosenki. Okay, jasne, to faceci. Ale co, sióstr nie mają?

- ... and I never...

Co się dzieje? To niemożliwe, żebyśmy była jedyną osobą, która zna tę piosenkę. Shari ją zna.

Ale ona nadal stoi pod sceną na parkiecie, kręci głową i bezgłośnie powtarza:

- Nie, nie, nie.

- No, dalej, chłopaki. Wiem, że znacie ten kawałek - mówię zachęcającym tonem do kapeli. - .. .felt this way before...

Wreszcie Vicky się uśmiecha. I lekko podryguje. Przynajmniej ona zna tę piosenkę. Chociaż Craig ma nieco zagubioną minę.

O mój Boże! Co ja wyrabiam? Co ja wyrabiam?! Stoję tu, przed tymi wszystkimi ludźmi i wyśpiewuję swoją ukochaną piosenkę wszech czasów - idealną piosenkę na wesela - a oni tylko sterczą tu i gapią się na mnie.

Nawet Luke patrzy na mnie tak, jakby właśnie teleportowano mnie na tę scenę ze statku kosmicznego Enterprise.

A teraz jeszcze Shari zniknęła. Gdzie ona się podziała? Była tu przed sekundą. Jak ona może zostawiać mnie własnemu losowi? Wyśpiewujemy razem tę piosenkę od przedszkola. Ona zawsze śpiewała fragmenty śpiewane przez dziewczynę. Zawsze.

Jak mogła mnie tak porzucić? Wiem, że dałam plamę z tą pracą licencjacką, ale jak długo można się wściekać na kogoś, z kim człowiek przy-jaźni się od zawsze? Poza tym przecież ją za to przeprosiłam.

I wtedy to słyszę. Uderzenie werbla.

Baz. Baz się włącza.

Wiedziałam, że on zna tę piosenkę. Wszyscy ją znają.

- ...Oh, I... - śpiewam, obracając się, żeby uśmiechnąć się do niego z wdzięcznością. Teraz Kurt bierze jakiś eksperymentalny akord. Tak, Kurt. Złapałeś, Kurt.

- .. .had the time only Uje...

Och, dzięki, chłopaki. Dzięki, że nie zostawiliście mnie z tym samej.

A potem grzmi głos, który nie jest moim głosem:

- ...it's the truth...

Shari wspina się na scenę, podchodzi i staje obok mnie, śpiewając do mikrofonu.

A basista, jak mu tam na imię, zaczyna wygrywać znajome sobie nuty, podczas gdy na parkiecie pod nami Craig okręca Vicky w obrocie...

I wszyscy zaczynają klaskać. I zaczynają śpiewać z nami.

- ...and I owe it all to you... - śpiewamy razem z Shari.

O mój Boże, to działa. To działa! Ludzie zaczynają się bawić. Zapominają o upale, o tym, że brat panny młodej uciekł z dziewczyną gospodarza przyjęcia. Zaczynają tańczyć. Zaczynają śpiewać razem z nami!

- You're the one thing - śpiewamy z Shari, razem z Cieniem Szatana, państwem Thibodaux i resztą gości weselnych- that I can't get enough of, baby...

Zerkam na dół i widzę rodziców Luke'a, którzy tańczą ze wszystkimi.

- So I'll tell you something - śpiewam, nie do końca wierząc temu, co moje oczy widzą tam, na dole - this must be love!

Ludzie się świetnie bawią. Ludzie klaszczą w dłonie i tańczą. Cień Szatana nadaje tej piosence brzmienie nieco latynoskie. Którego nie po-winna mieć, ale nieważne. Teraz zaczyna brzmieć trochę jak Vamos a la playa.

Ale, co dziwne, wychodzi jej to raczej na dobre.

A potem, kiedy zbliżamy się do wielkiego finału, Shari szturcha mnie mocno łokciem - co zresztą nie należy do naszej dopracowanej choreografii. Zerkam na nią i widzę, że twarz jej zbladła pod kolor ślubnej sukni Vicky. Pokazuje palcem.

I widzę Andy'ego Marshalla, który przepycha się w stronę sceny.

*Swingujące lata sześćdziesiąte przyniosły coś więcej niż tylko rewolucję seksualną. Moda także uległa rewolucyjnym zmianom. Nagle zaczęto mieć wrażenie, że „wszystkie chwytaki są dozwolone”, począwszy od minispódniczek, skończywszy na nierównomiernym farbowaniu materiału. Powrót tkanin naturalnych - wyrabianych z tych samych włókien, z których nasi starożytni przodkowie przędli swoje przepaski biodrowe - w latach siedemdziesiątych spowodował, że moda zatoczyła pełne koło, kiedy hippisi pokazali inne zastosowanie konopi niż to, które spopularyzowali bitnicy dekadę wcześniej... chociaż najpopularniejszy sposób ich wykorzystania nadal nie wy-chodzi z mody na uniwersyteckich kampusach.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## Rozdział 25

*Podczas gdy plotki kobiece są ogólnie wyśmiewane jako rzecz niska i trywialna, plotka rozpowszechniana przez mężczyzn, zwłaszcza jeśli dotyczy kobiet, nazywana jest teorią, ideą albo wręcz faktem.*

Andrea Dworkin (1946-2005), amerykański krytyk i feministka

Na szczęście właśnie już skończyliśmy zawodzić And love it all to you. Bo gdyby się pojawił w jakimś innym momencie, chyba bym się zakrzuszyła własną śliną.

Tłum nagradza nas gromkimi oklaskami, Shari i ja się kłaniamy. Mamy głowy w okolicach kolan i widzę, że basista schyla się, żeby sprawdzić, czy uda mu się zobaczyć, co się dzieje pod naszymi spódnicami - czyli, w moim przypadku, bardzo wiele, gdyby akurat udało mu się tam zerknąć, a potem Shari mówi:

- Jezu Chryste, Lizzie. A co on tu robi?!

- Nie wiem - odpowiadam. Chce mi się płakać. - Co mam robić?

- Jak to, co masz robić? Musisz z nim porozmawiać.

- Ja nie chcę z nim rozmawiać! Powiedziałam mu już wszystko, co mam mu do powiedzenia.

- No cóż, widać, że nie powiedziałaś tego wystarczająco dobitnie - twierdzi Shari. -Więc idź i powiedz mu to jeszcze raz.

Obie się prostujemy, kiedy jedna z przyjaciółek Vicky, wśród okrzyków: „Idź na całość, Lauren!” i „Dawaj, dawaj!”, wbiega na scenę i zabiera nam mikrofon.

- Hej - mówi do nas. - Dziewczyny, byłyście świetne. -A potem obraca się do kapeli i wola: - Chłopaki, znacie Lady Marmalade?

Baz zerka na Kurta. Kurt wzrusza ramionami.

- Pewnie jakoś się połąpiemy - mówi basista.

I Kurt zaczyna wybijać rytm.

- Lizzie - mówi Andy, stając u stóp sceny. Ma ze sobą tę swoją skórzaną kurtkę, przerzucił ją przez ramię.

Co on tu robi? Jak mnie znalazł? Dlaczego przyjechał? On mnie nie kocha. Wiem, że mnie nie kocha.

Więc po co zadawać sobie tyle trudu?

Mój Boże. To musi chodzić o tamtą laskę. Poważnie!

Nie miałam pojęcia, że taka laska ma w sobie tyle mocy. Gdybym wie-działa, nigdy bym mu jej nie zrobiła, przysięgam.

Zaczynam schodzić ze sceny, a Shari idzie tuż za mną i szepcze:

- Powiedz mu, żeby stąd wyjechał. Powiedz mu, że nie chcesz mieć z nim nic do czynienia. Powiedz, że wyrobisz sądowy zakaz zbliżania się do ciebie. Jestem pewna, że stosują je we Francji. Prawda?

Andy czeka na mnie u stóp schodów. Twarz ma bladą i pełną niepokoju.

- Liz - zwraca się do mnie. - Tu jesteś. Szukałem cię wszędzie...

- Andy. Co ty tutaj robisz?

- Przepraszam cię, Lizzie - mówi, sięgając po moją dłoń. - Ale ty po prostu uciekłaś! Nie mogłem tego w taki sposób zostawić...

- Przepraszam - przerywa nam jakaś kobieta z ciężkim teksańskim akcentem. - Ale czy ty nie jesteś tą dziewczyną, która zaprojektowała suknię panny młodej?

- Nie zaprojektowałam jej. To zabytkowa suknia. Ja ją tylko odrestaurowałam.

- No cóż, chciałam ci tylko powiedzieć - ciągnie kobieta - że spisałaś się fantastycznie. Ta sukienka jest śliczna. Po prostu śliczna. Nigdy bym się nie domyśliła, że nie jest nowa. Nigdy w życiu.

- Dziękuję pani.

Kobieta odchodzi.

A ja znów odwracam się do stojącego za mną faceta.

- Andy - mówię. W głowie mi się to nie mieści. Jeszcze nigdy żaden facet nie jeździł za mną po całej Europie. No cóż, a przynajmniej na drugą stronę kanału. - My ze sobą zerwaliśmy.

- Nie - odpowiada Andy. - To znaczy ty zerwałaś ze mną. Ale nigdy nie dałaś mi szansy wyjaśnić...

- Przepraszam panią. - Podchodzi do nas kolejna kobieta. - Ale czy naprawdę to pani uszyła tę suknię, w której wystąpiła mała Vicky?

- Nie, nie uszyłam jej - odpowiadam. - Odratowałam ją. To stara suknia. Ja ją tylko wyczyściłam i dopasowałam do figury.

- No cóż, jest piękna - oświadcza kobieta. - Po prostu piękna. I bardzo mi się podobała ta wasza piosenka.

- Och! - mówię i zaczynam się rumienić. - Dzięki.

A kiedy odchodzi, zwracam się do Andy'ego:

- Słuchaj, nie ułożyło się nam. Bardzo mi z tego powodu przykro. Ale nie jesteś osobą, za jaką cię uważałam. I wiesz co? Okazuje się, że ja też nie jestem osobą, za jaką się uważałam.

Nieco mnie samą zaskakuje, że coś takiego mówię. Ale to faktycznie prawda. Nie jestem tą samą dziewczyną, która wysiadła z tamtego samolotu na Heathrow, nawet jeśli przypadkiem mam na sobie tę samą sukienkę. Jestem teraz kimś totalnie innym. Nie wiem dokładnie kim, ale...

Kimś innym.

- Naprawdę - mówię do Andy'ego i ściskam jego rękę. - Nie mam do ciebie żadnych pretensji. Po prostu się pomyliliśmy.

- Moim zdaniem się nie pomyliliśmy - twierdzi Andy i zaciska rękę na mojej dłoni. I to wcale nie w taki przyjazny sposób, jak ja przed chwilą. Robi to tak, jakby nie chciał pozwolić mi odejść. - Uważam, że popełniłem błąd. Masę błędów. Ale, Lizzie, nawet nie dałaś mi żadnej szansy po-rządnie cię przeprosić. Dlatego tu jestem. Chcę cię przeprosić jak należy, a potem może zabrać cię na jakiś przyjemny obiad, a następnie zawieźć do domu...

Nasza rozmowa, już dosyć dziwaczna, zaczyna się robić jeszcze dziwniejsza dzięki oprawie muzycznej. Lauren wyśpiewuje: Gitchy gitchy ya ya da da i wykonuje jakąś choreografię, która przynajmniej na twarzy basisty wywołuje uszczęśliwiony uśmiech.

- Skąd... Skąd ty w ogóle wiedziałeś, gdzie mnie szukać, tak w ogóle? - pytam ze zdumieniem.

- W swoich mailach milion razy mi pisałaś, że twoja przyjaciółka Shari przez miesiąc będzie mieszkać w chateau w okolicy Dordogne, pod nazwą Mirac. Nie było aż tak trudno trafić. A teraz powiedz, że -wrócisz ze mną do domu, Liz. Możemy zacząć od nowa. Obiecuję, że tym razem będzie inaczej... Ja będę inny.

- Nie wracam z tobą do Anglii, Andy - wyjaśniam tak uprzejmie, jak umiem. - Ja już nie czuję do ciebie tego, co kiedyś. Bardzo miło było mi poznać cię bliżej, ale doprawdy... Sądzę, że to ten moment, w którym trzeba sobie nawzajem powiedzieć do widzenia.

Andy'emu opada szczęka.

- Jeśli można... - mówi jakaś kobieta. Obracam się i staję przed panią w średnim wieku, która ma przepraszającą minę. - Wybacz, naprawdę mi przykro, że przerywam, ale słyszałam, że to ty odratowałaś suknię panny młodej. Co znaczy, jak rozumiem, że znalazłaś jakąś starą suknię i doprowadziłaś ją do porządku?

- Owszem. Tak było.

- No cóż... Wybacz, że ci przeszkadzam... Ale moja córka chciałaby włożyć na swój ślub ślubną suknię mojej babki, ale nie udało nam się znaleźć nikogo, kto by się podjął, hm, odratowania jej. Wszyscy, do których się zwracaliśmy, mówią, że materiał jest za stary i za delikatny i nie chcą ryzykować, że ją zniszczą.



- Takie są zwykle obawy przy starych materiałach - mówię. - Ale bywają one o wiele lepszej jakości niż materiały stosowane na suknie ślubne w obecnych czasach. I przekonałam się, że jeśli używać do czyszczenia tylko naturalnych środków - żadnych chemikaliów - to można uzyskać całkiem niezłe rezultaty.

- Naturalne środki czyszczące - powtarza kobieta. - Rozumiem. Kochanie, masz jakąś wizytówkę? Bo bardzo bym chciała jeszcze się z tobą w tej sprawie skontaktować. - Zerka na twarz Andy'ego. - Ale widzę, że w tej chwili jesteś trochę zajęta.

- Hm. - Klepię się po bokach, ale potem przypominam sobie, że przecież ta sukienka-chinka nie ma żadnych kieszeni. A nawet gdyby je miała, to ja i tak nie mam wizytówek. - Nie mam nic przy sobie. Ale znajdę panią i podam pani swoje namiary. Możemy się tak umówić?

- Ależ jak najbardziej - mówi kobieta, rzucając kolejne nerwowe spojrzenie na Andy'ego. - To... po prostu do zobaczenia.

Oddala się chyłkiem, a Andy, który już nie może wytrzymać dłużej, wybucha:  
- Lizzie, nie możesz tego mówić poważnie. Rozumiem, że chcesz chcieć, żebyśmy spędzili trochę czasu z dala od siebie. Może kiedy trochę czasu minie, zdasz sobie sprawę, że łączyło nas, ciebie i mnie, coś naprawdę niezwykłego. Udowodnię ci to. Będę cię traktował tak, jak chcesz być traktowana. Przysięgam, Lizzie, nadrobię wszystko. Kiedy wrócisz do Ann Arbor jesienią, zadzwonię do ciebie...

Kiedy Andy to mówi, ogarnia mnie jakieś przedziwne uczucie. Nie potrafię tego sensownie wyjaśnić, mam tylko wrażenie, że na moment zyskałam możliwość zerknięcia w przyszłość...

Przyszłość, którą widzę teraz równie wyraźnie jak na obrazie o dużej rozdzielczości.

- Nie wracam jesienią do Ann Arbor, Andy - oświadczam. - To znaczy, wracam tylko po swoje rzeczy. Przenoszę się do Nowego Jorku.

Za moimi plecami Shari woła:

- Taaaaak!

Ale kiedy obracam się, żeby na nią spojrzeć, ona z kamienną miną obserwuje, jak Lauren zachęca gości weselnych, żeby się z nią dziś wieczorem couche avec.

- Do Nowego Jorku? - Andy ma skołowaną minę. - Ty?

Wysuwam brodę naprzód.

- Tak, ja - mówię głosem, który brzmi zupełnie jak nie mój. - A co? Uważasz, że mi się nie uda?

Andy kręci głową.

- Lizzie, ja cię kocham. Moim zdaniem możesz robić wszystko.

Cokolwiek ci do głowy przyjdzie. Uważam, że jesteś niesamowita.

Wychodzi mu to trochę jak: „Uważam, że jeffef niefamowita”. Ale nie ma sprawy. Bo teraz mogę mu to wybaczyć. Wybaczam mu wszystko.

- Dziękuję ci, Andy - mówię, a na twarzy pojawia mi się szeroki uśmiech. Może ja się co do niego myliłam. Och, nie co do tego, że my dwoje do siebie nie pasujemy. Ale, no wiecie. Może on nie jest mimo wszystko aż taki zły. Może chociaż nie możemy być parą, moglibyśmy się jeszcze przyjaźnić...

- Przepraszam - mówi ktoś.

Ale tym razem nie jest to jakaś teksańska matrona, która podchodzi, żeby mnie prosić o pomoc w wywabieniu plam z pięćdziesięcioletniej koronki.

To Luke.

I nie wydaje się przesadnie szczęśliwy.

- Luke - mówię. - Cześć. Ja...

- To on? - pyta Luke. Wskazuje kciukiem w stronę Andy'ego.

Nie wiem, co napadło Luke'a, zawsze tak niezawodnie dla wszystkich uprzejmego.

To znaczy dla wszystkich poza mną. Ale chyba mi się to należało.

- Hm - mówię, czując się nieswojo. - Tak. Luke, to jest Andy Marshall. Andy, to jest...

Ale nie udaje mi się dokończyć zdania. Bo zanim je kończę, Luke robi zamach i z całej siły wali Andy'ego pięścią w twarz.

*Anarchia! To był okrzyk punków w latach osiemdziesiątych. Ale w ich postapokaliptycznym stylu nie było nic anarchicznego. Styl punk, razem z modą na fitness, która rozpoczęła się w latach osiemdziesiątych i trwa nieprzerwanie od tamtej pory, zaczęły wywierać wpływ zarówno na modę ekskluzywną, jak i styl ulicy przez wiele kolejnych lat, im zawdzięczamy takie podstawowe elementy garderoby, jak buty motocyklowe i spodnie do jogi.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols

## Rozdział 26

*Milczenie to najbardziej nieznośna forma odpowiedzi.*

Mason Cooley (1927-2002), amerykański aforysta

- On mnie próbował zabić - powtarza raz po raz Andy. Chociaż mówi niewyraźnie z powodu kuchennej ściereczki wypełnionej lodem, którą madame Laurent przyciska mu do ust.

- Wcale nie próbował cię zabić - tłumaczy Chaz znużonym głosem. - Przestań być takim cholernym dzieciakiem.

- Wal się! Chciałbym zobaczyć, jak ty byś się zachował, gdyby jakiś palant rąbnął cię w twarz! - mówi Andy przycupnięty na krawędzi masywnego kuchennego stołu.

Ale z powodu spuchniętych warg i brytyjskiego akcentu słowa te brzmią raczej jak: „Fciałbym fobaczyć, jak ty byf fię zafował, gdyby jakif palant rąbnął fię w twaf!”

- Chaz - pytam z niepokojem, ignorując ich sprzeczkę - gdzie jest Luke?

- Nie wiem - mówi Chaz. To on wkroczył do akcji i przerwał bójkę. No cóż, nie żeby to była jakaś wielka bójka. Wyglądało to raczej na próbę mordu tylko z jednej strony. Luke zadał cios, a potem cofnął się, wymachując dłonią, którą najwyraźniej skaleczył sobie o zęby Andy'ego.

Andy teraz się skarży, że mu te zęby obluzował.

Chaz, który podszedł pogratulować Shari totalnej kompromitacji na scenie, zdołał powstrzymać Andy'ego przed reakcją na cios Luke'a.

Wystarczyło zresztą położyć mu dłoń na ramieniu. Jak się okazuje, Andy jest znacznie lepszym kochankiem niż wojownikiem. Chociaż chyba sam o tym nie wie.

- To był zupełnie niesprovokowany atak! - upiera się Andy. - Ja nic Liz nie zrobiłem! Ja z nią tylko rozmawiałem!

- Lizzie - poprawia go Shari znużonym tonem. Opiera się o kuchenny zlew, usiłując schodzić z drogi kelnerom, którzy wpadają do kuchni i wnoszą z niej pierwszą potrawę - łososia - i gapią się na nas gniewnie, podczas gdy szef kuchni usiłuje przy kuchence zrobić jakieś postępy z drugą potrawą -foie gras. - Ona ma na imię Lizzie. Nie Liz.

- Nieważne - mówi Andy w ściereczkę do naczyń. - Kiedy znajdę tego drania, już ja mu pokażę.

- Nic nikomu nie będziesz pokazywał - zapowiada Andy'emu Chaz stanowczym tonem. - Bo stąd wyjeżdżasz. O trzeciej masz powrotny pociąg do Paryża, a ja zadbam o to, żebyś do niego wsiadł. Ty, mój przyjacielu, narobiłeś już dość kłopotów jak na jeden dzień.

- Ja nic nie zrobiłem! - woła Andy. - To ten francuski dupek!

- On nie jest Francuzem - prostuje Shari nadal znużonym tonem, oglądając sobie skórki przy paznokciach.

- Lizzie - mówi Andy zza ściereczki.- Posłuchaj. Przykro mi, że teraz to poruszam. Wiem, że to może nie najlepszy moment, ale tak się zastana-wiałem z tymi pieniędzmi...

Patrzę na niego i mrugam oczami.

- Z pieniędzmi?

- No, tak! Tymi, które powiedziałaś, że mi pożyczysz na czesne? Bo one mi są naprawdę potrzebne, Liz.

- No, nie! - wybucha Shari. - Nie, powiedzcie mi, że on nie...

- Shari, uspokój się. Sama sobie poradzę.

Bo sobie poradzę.

Przecież ja ani przez moment nie łudziłam się, że on tu przyjechał pogodzić się ze mną, bo mnie tak kocha.

Ale szczerze ani na moment nie przyszło mi do głowy, że zrobił to ze względu na pieniądze.

- Andy - mówię - przejechałeś taki szmat drogi, żeby zapytać, czy nadal zamierzam ci pożyczyć pięćset dolarów?

- Naprawdę - zaznacza Andy głosem stłumionym przez ściereczkę - obiecałaś, że mi je dasz. Ale pożyczka też może być. Okropnie się czuję, że cię o to proszę, ale w pewien sposób jesteś mi te pieniądze winna. Przecież przyjąłem cię w swoim domu, no i wiesz, tata wydał kasę na benzynę, kiedy cię odebrał z lotniska, i...

- Mogę go teraz walnąć? - pyta Chaz. - Lizzie, proszę?

- Nie, nie możesz - protestuję.

Chociaż z mojej zaskoczonej miny musi wynikać, że nie mam zamiaru wyklądać żadnej kasy, bo Andy przestał na mnie patrzeć z tą miną zbitego psa. Zamknął nawet oczy.

Shari aż sapnęła.

- O mój Boże! Andy, będziesz płakał?!

Kiedy on się odzywa, słyhać, że i owszem.

- Chcesz mi powiedzieć - mówi przez łzy - że ja tu jechałem autostopem taki kawał drogi, a ty mi jednak nie dasz tej kasy?

Jestem zaszokowana. Płacze? On płacze.

Luke musiał go walnąć mocniej, niż nam się wydawało.

- Powiedziałaś przez telefon, że nie możesz o tym rozmawiać! - szlocha Andy. -To wszystko! Nigdy nie mówiłaś...

- Andy... - Kręcę głową. Czy to się dzieje naprawdę?- To znaczy, Andy, my ze sobą zerwaliśmy. Co innego miało się twoim zdaniem stać?

- Ty nie rozumiesz! - woła Andy. - Jak nie spłacę tym gościom kasy, którą im wiszę, to oni... Oni mi połamią nogi.

Wymieniam zaskoczone spojrzenia z Shari i Chazem.

- Biuro kwestury połamie ci nogi, jeśli nie zapłacisz chesnego?

- Nie.-Andy łapie drżący oddech.-Ja... nie do końca powiedziałem ci prawdę w tej kwestii. Naprawdę wiszę kasę tym facetom, którzy prowadzą szulernię. Oni... No cóż, dość poważnie traktują sprawę zwrotu tych pieniędzy, które jestem im winien. Nie mogę poprosić o nie mamy i taty - wywalą mnie z domu. A od kumpli też już nie mogę pożyczyć. Naprawdę, Lizzie... Byłaś moją ostatnią nadzieją.

Patrząc na niego, kiedy te słowa do mnie docierają. A potem zerkam na Chaza i Shari i widzę, że oboje się we mnie wpatrują. Chaz z lekkim uśmieszkiem, a Shari groźnym wzrokiem, który mówi mi wyraźnie: „Nie ugnij się. Nie rób tego, Nichols. Nie tym razem”.

Obracam się do Andy'ego i mówię:

- Och, Andy, tak mi przykro!

Wyciągam rękę i ze współczuciem klepię go po ramieniu. W głowie mi się nie mieści, że kiedyś to ramię kochałam.

I w głowie mi się nie mieści, że on naprawdę uważa mnie za takiego głupka, że dam mu choć dziesiątka. Za kogo on mnie w ogóle bierze? Za jakąś pierwszą naiwną?

- Przynajmniej poczęstuj się przed odjazdem ślubnym tortem. Do widzenia.

A potem wymykam się tylnymi drzwiami. Gdzie czekają na mnie Papatouf i Minouche, gorliwie wypatrując resztek upuszczonych przez kelnerów. Słyszę, jak Chaz odzywa się serdecznym tonem:

- Andy, drogi chłopcze, jestem człowiekiem o otwartym umyśle. I tak się składa, że jestem nadziany. Porozmawiajmy zatem o interesach. Co możesz zaoferować w charakterze zabezpieczenia pożyczki? Tak przy okazji, czy ta kurtka, którą tu przytargałeś, jest coś warta?

Agnes jest na zewnątrz i opiera się o żółtego mercedesa. Ożywia się na mój widok, bo ma nadzieję na ploteczki. Zdaję sobie sprawę, że bójka Luke "a z Andym jest najbardziej ekscytującą rzeczą, jaka wydarzyła się w Mirac od dawna. Będzie miała mnóstwo do opowiadania koleżankom, kiedy jesienią znów wróci do szkoły.

- Trzeba tego Anglika zawieźć na szpital? - pyta rzeško. - Bo jeśli tak, to mogę zadzwonić do ojca i on może po twojego przyjaciela przyjechać.

- To nie jest mój przyjaciel - mówię. - I nie trzeba go odwozić na szpital. To znaczy, do szpitala. Chaz zabierze go na stację i więcej go tu nie zobaczymy.

Agnes ma rozczarowaną minę.

- Szkoda - mówi. - Miałam nadzieję na następną bójkę.

- Chyba już dość było bójek jak na jeden dzień. A tak przy okazji, widziałaś, dokąd poszedł Luke?

Agnes znów się rozpromienia.

- Och, tak! Widziałam, że szedł w stronę winnicy. Chyba poszedł do sali z beczkami.

- Dzięki, Agnes - mówię i ruszam trawnikiem na tyły domu.

Przyjęcie weselne trwa w najlepsze i ludzie świetnie się bawią teraz, kiedy Cień Szatana pogodził się już z graniami cudzych utworów. Jedna z sióstr Vicky z korporacji studenckiej stoi na scenie i wyrzaskuje do mikrofonu tekst You Ought to Know Alanis Morissette. To raczej nie jest weselny repertuar, ale wszyscy są chyba za bardzo pijani, żeby to zauważyć. Większość gości, dzięki licznym koktajlom, była zbyt pijana, żeby zauważyć, że doszło do bójki. Zauważyło ją tylko kilka osób stojących najbliżej, a szybka interwencja Chaza położyła kres wszelkim nadziejom na kontynuację dramatycznej sceny, więc wszyscy znów skupili uwagę na tym, co się dzieje na scenie.

Ale i tak, chociaż nie byli świadomi, że doszło do bójki, wszyscy zdają się mnie rozpoznawać. No cóż, pewnie tak się właśnie dzieje, kiedy człowiek robi z siebie kompletnego i skończonego debila na scenie, na oczach dwustu obcych sobie osób. Wszystkim się nagle wydaje, że jesteś ich najbliższym przyjacielem.

A może to tylko rozeszła się wiadomość o moim zmyślnym zastosowaniu dwuwinienu potasu. Bo każda z obecnych tu kobiet chce mi zadać jakieś pytanie na temat tej zabytkowej sukni ślubnej - pytają, jak mają wywabić jakąś plamę albo jak wszyć klin, jak mogą unowocześnić suknię, nie niszcząc delikatnego materiału, a nawet gdzie same mają szukać takiej sukni ślubnej w stylu vintage.

Odpowiadam na te pytania najlepiej jak potrafię i wreszcie udaje mi się przejść przez trawnik i dotrzeć do sali, gdzie przechowywane są wina -olbrzymiego pomieszczenia o grubych murach, podobnie jak główny dom, liczącego sobie setki lat - i otwieram ciężkie dębowe, obite żelazem drzwi.

W środku panuje cisza jak w jakimś mauzoleum- chociaż w przeciwieństwie do mauzoleum złotawe światło sączy się z okien umieszczonych wysoko wzdłuż ścian. Nie słychać tu kapeli grającej na zewnątrz - którą pewnie da się słyszeć po drugiej stronie doliny - ani trajkotania weselnych gości. Ściany są obstawione wysokimi do pasa dębowymi beczkami z winem - zawartości wielu z nich musiałam spróbować wobec

nalegań ojca Luke'a. Kieliszki, z których piliśmy - i kieliszki gości weselnych, których monsieur de Villiers tu przyprowadził w czasie kolejnych tur zwiedzania winnicy - piętrzą się obok kamiennego zlewu w odległym krańcu pomieszczenia.

Obok kamiennego zlewu, nad którym Luke polewa sobie rękę wodą.

Nie słyszał, jak weszłam. A jeśli słyszał, to nie zareagował. Stoi plecami do mnie, pochylając ciemną głowę i pozwalając wodzie spływać po dłoni. Musiał naprawdę mocno się skaleczyć o zęby Andy'ego.

Serce mam w gardle na myśl o przepraszaniu go za te wszystkie paskudne rzeczy, o które go wczoraj oskarżałam. Podbiegam do niego.

- Daj, popatrzę - proponuję.

Podskakuje.

- Jezu - mówi, patrząc na mnie ze zdziwieniem. - Tak się podkradać do faceta, no wiesz?

Wyciągam jego dłoń spod strumienia wody z bulgotem płynącej ze staroświeckiego kurka. Kłykcie ma czerwone i opuchnięte, ale nie pokaleczone.

- Masz szczęście. - Spoglądam na dłoń. - On mówi, że ma obłuzowane zęby Powinieneś był się o nie zranić.

- Wiem - mówi Luke, drugą ręką zakręcając wodę. - Niepotrzebnie mierzyłem w zęby. Powinieneś dać mu w nos.

- W ogóle nie powinieneś mu w nic dawać. - Puszczam jego rękę. - Totalnie miałam sytuację pod kontrolą.

Luke nawet nie próbuje się spierać. Wyciera dłoń w najbliższą ściereczkę do naczyń.

- Wiem - mówi ze wstydem. - Nie mam pojęcia, co mnie napadło. Po prostu w głowie mi się nie mieściło, że jest tak bezczelny, żeby tu przyjeżdżać. No chyba że...

Gapię się na niego. Nie mogę nie zauważyć, jak gęste i ciemne są jego włosy w jasnych promieniach słońca wpadających przez okna tuż pod sufitem.

- Chyba że co?

- Chyba że go tutaj zaprosiłaś - mówi Luke, unikając mojego wzroku.

- Co?! - Słyszając to, musiałam się roześmiać. - Ty tak poważnie? Czy ty naprawdę sądzisz, że...

- No cóż - mówi Luke i odkłada ściereczkę na bok. - Nie wiedziałem.

- Myślałam, że w pociągu wyrażałam się na ten temat całkiem jasno. Andy i ja zerwaliśmy ze sobą. On tu tylko przyjechał za mną, bo myślał, że wyciągnę go ze złej finansowej sytuacji, w którą się zaplątał.

- I... pomogłaś mu? - pyta Luke. Nie spuszcza ze mnie swoich ciemnych oczu.

- Nie - mówię. - Chyba Chaz zajął się tą sprawą.

- To do niego podobne - oświadcza Luke z szerokim uśmiechem.

Muszę odwrócić wzrok: jest za przystojny, gdy się uśmiecha.

A potem przypominam sobie, że miałam mu coś powiedzieć, więc z uczuciem dziwnej nieśmiałości zwracam się szybko w stronę własnego francuskiego pedikiuru:

- Luke. Przepraszam cię za wczoraj. Powinnam była wiedzieć, że dotrzymałeś obietnicy - mówię. - To znaczy nie powiedziałeś Shari. O mojej pracy. Nie wiem, co mnie napadło.

Luke nic nie mówi. Podnoszę wzrok, tylko na moment, żeby sprawdzić, czy mnie usłyszał.

Spogląda na mnie z najbardziej nieodgadnioną miną, jaką kiedykolwiek widziałam - coś pośredniego między uśmiechem a zmarszczeniem brwi. Czy on mnie nienawidzi? Czy to możliwe, że mimo mojej wielkiej, głupiej, niewyparzonej gęby - mimo wszystko - on mnie lubi?

Serce wali mi tak mocno, że Luke na pewno musi to dostrzegać przez jedwab mojej sukienki, kiedy znów opuszczam oczy i mówię, tym razem w stronę jego stóp, a nie swoich własnych, czego natychmiast żałuję, bo znów zauważam te lakierki, takie seksowne...

- I za to, że powiedziałam twojej mamie, że się dostałaś na Uniwersytet Nowojorski. I o planach Dominique co do chateau. To znaczy ja naprawdę tylko próbowałam zasugerować jakieś rozwiązania alternatywne do otwarcia tu spa. Na przykład wynajmowanie go bogatym rodzinom, które chciałyby po prostu spędzić miesiąc wakacji w jakimś miłym chateau, czy może na zjazdy absolwentów. Ja naprawdę tylko chciałam pomóc...

- No cóż, przez całe dwadzieścia pięć lat udawało mi się całkiem nieźle sobie radzić bez twojej pomocy - mówi Luke.

Au!

Urażona, nie mogę nie podnieść wzroku i nie powiedzieć:

- I dlatego jesteś taki zadowolony ze swojej kariery i życia, i dziewczyny?

I dlatego Vicky wyglądała tak ślicznie w swojej sukni, a twoi rodzice chyba się ze sobą godzą i wszyscy tam, na zewnątrz tak się... dobrze... bawią?

Głos mi zamiera, kiedy zdaję sobie sprawę, że on się do mnie uśmiecha.

- Żartowałem - mówi. - To miał być żart. Mówiłem ci, że żarty wy-chodzą mi fatalnie.

Wyciąga do mnie ręce, bierze mnie w objęcia i zaczyna całować.

Jestem w kompletnym szoku. Nie rozumiem, co się dzieje. To znaczy rozumiem... Ale to nie ma sensu. Luke de Villiers mnie całuje. Luke de Villiers obejmuje mnie ramionami i przyciąga do siebie tak mocno, że

czuję, że serce mu wali o żebra tak samo mocno jak moje. Usta Luke'a de Villiersa składają tysiące lekkich jak muśnięcie piórkami pocałunków na moich ustach.

A teraz moje wargi rozchylają się, poddając jego naporowi. A on całuje mnie mocno i długo, i słodko, a ja do niego przywieram, bo kolana kompletnie się pod mną uginają, a jego ramiona to jedyne, co mnie jeszcze podtrzymuje. Jego język jest w moich ustach, zupełnie jakby nie mógł się mnie nasmakować, i czuję coś twardego przez tkaninę jego spodni. A ręką - tą ręką uderzył Andy'ego - obejmuje moją pierś przez jedwabny materiał sukienki, a ja chciałabym go poczuć jeszcze mocniej i wydaję z siebie jakiś odgłos...

- Chryste, Lizzie - mówi głosem, który wcale nie przypomina zwykłego głosu.

I zanim się zorientowałam, unosi mnie i sadza na najbliższej beczce wina, a ja jakimś cudem rozchyłam nogi, a on między nimi staje. I wtedy sukienkę mam już też rozpiętą z przodu. Nawet nie wiem, jak to zrobił, bo to zapięcie jest dobrze kryte. I czuję jego palce - i to gorące słońce, które leje się przez wysoko umieszczone okna - na swoich nagich piersiach.

I nie mogę przestać go całować ani przesuwając dłoni przez gęste ciemne włosy, gdy nagle jego wargi zaczynają wędrować po mojej szyi, a potem aż parzą skórę na moich piersiach. We wszystkich tych miejscach, które pieści słońce, jego wargi też mnie pieszczą.

Aż nagle mruczy:

- Chryste, Lizzie, nie masz żadnej bielizny. Na co ja odpowiadam:

- Wiem, nie chciałam, żeby było widać linię majtek. A on tam też mnie całuje.

I siedząc na tej beczce wina, czuję, jak przenika mnie słońce - ale przenika w taki przyjemny sposób - i zerkam w dół przez półprzymknięte powieki, i myślę, jakie to dziwne, że widzę ciemną głowę Luke'a de Villiersa między swoimi udami - ale dziwne w takim przyjemnym sensie tego słowa - a potem już w ogóle o niczym nie myślę przez jakiś czas, tylko o tym słońcu, które zamieniło się chyba w supernową, dokładnie tu, w sali z winami monsieur de Villiersa.

A potem Luke prostuje się, obejmuje mnie mocno w talii i przyciąga do siebie, a ja go obejmuję nogami i czuję pod palcami nagą skórę na jego klatce piersiowej i zastanawiam się, jak to się stało. A potem on jest nagle we mnie i to jest jeszcze przyjemniejsze, niż kiedy czułam tam jego usta, i poruszamy się w zgodnym rytmie, a on wchodzi we mnie coraz głębiej i głębiej, a ja próbuję jeszcze mocniej do niego przywrzeć, a on całuje mnie po szyi i ramionach, tam gdzie padają na nie promienie słońca, i nagle całą mnie oblewa słońce, zupełnie jakbym znalazła się pod prysznicem złotych słonecznych kropel, i wołam głośno, jak mi z tym dobrze, a Luke też krzyczy.

A potem stoi tam i mocno mnie do siebie tuli, i ciężko oddycha prosto w moje włosy. A ja zdaję sobie nagle sprawę, że właśnie skończyliśmy uprawiać seks na beczce wina.

I to jest coś fantastycznego. Nawet nie musiałam zajmować się dbaniem o własną przyjemność! Luke sam o nią zadbał. O nas oboje.

- Czy ja już wspominałem - mówi Luke, kiedy już złapał oddech - że moim zdaniem zakochałem się w tobie?

Zaczynam się śmiać. Nic na to nie poradzę.

- Czy ja ci mówiłam - pytam - że to uczucie jest odwzajemnione?

- To duża ulga - mówi Luke.

Nie rusza się i ja też się nie ruszam. Dobrze jest tak razem stać. Czy, w moim przypadku, siedzieć.

- Powinienem ci też powiedzieć - dodaje Luke - że zdecydowałem się jednak odbyć ten kurs uzupełniający na Uniwersytecie Nowojorskim.

Ciekawe, czy on słyszy, jak mi serce wali w piersi. Chociaż usiłuję mówić swobodnym tonem.

- Naprawdę? To zabawne. Bo ja też się przenoszę do Nowego Jorku.

- Co za zbieg okoliczności - mówi Luke, opierając czoło o moje czoło.

- Nieprawdą? - odpowiadam i też się uśmiecham.

Chwilę później ręka w rękę wymykamy się z sali z winami, w samą porę, żeby zobaczyć jak państwo młodzi kroją wielopiętrowy tort. Agnes, która pierwsza nas dostrzeża, podbiega z tacą kieliszków szampana, a my bierzemy sobie po jednym i stajemy, ręka w rękę, patrząc, jak Vicky i Craig karmią się nawzajem pierwszym kawałkiem.

- Mam nadzieję, że nie rozmażą go sobie po twarzach - mówię. - Nie cierpię, kiedy ludzie to robią.

- Poza tym miałabyś jeszcze do wywabienia plamy z czekolady.

- Nawet o tym nie mów. - Wzdrygam się i ściskam go za ramię.

- Hej, cześć - wita nas Shari, która holuje za sobą Chaza. - Gdzie oboje zniknęliście?

- Nigdzie - mówię szybko, rumieniąc się aż do linii włosów.

- Jasne - rzuca Shari ze znaczącym uśmiechem. - Też tam byłam.

- O czym ty mówisz? - pyta niekumaty Chaz. - Byłaś tu cały czas. To ja musiałem zabrać tego dziwaka na stację. Zdecydowałem, Lizzie, że od tej pory będę najpierw sam sprawdzał twoich chłopaków. Nie można ci pozostawić wyboru.

- Czy rzeczywiście? - mówię, wymieniając z Lukiem, który obejmuje mnie ramieniem, rozbawione spojrzenie.

- Ja ci w tym chyba pomogę, Chaz - zgłasza udział Luke. - Moim zdaniem z Lizzie nie poradzisz sobie w pojedynkę.

Chaz zauważa ramię, którym Luke mnie obejmuje, i spogląda na nas, mrużąc oczy.

- Hej - odzywa się. - Co się dzieje?

- Któregoś dnia ci wyjaśnię, dziecinko - mówi Shari, poklepując go po ramieniu.

- Nikt mi nic nigdy nie mówi - dąsa się Chaz.

- To dlatego że trzeba się zawsze zwracać do samego źródła - oświadcza Shari.

- To znaczy?

- Do APL. A do kogo niby? - mówi Shari, kiwając głową w moją stronę.

I to wtedy zauważa nas nieźle już wstawiona Ginny Thibodaux. Podbiega, żeby pocałować mnie w policzek.

- Lizzie! - woła. - Wszędzie cię szukałam. Chciałam ci podziękować za to, co zrobiłaś dla mojej Vicky. Ta sukienka jest taka piękna! Wybawiłaś nas z prawdziwego kłopotu. Nigdy w życiu takiej sukni nie widziałam. Powinnaś otworzyć własną firmę!

- Być może - odpowiadam z uśmiechem - tak właśnie zrobię.

*Przekonaliśmy się, jak ważną rolę odgrywa moda w rozwoju kultury i historii naszego świata. Poczynając od kawałków futra noszonego dla ochrony i ciepła przez ludzi jaskiniowych skupionych wokół swojego ogniska, do butów Prądy, noszonych na koktajlach dla ich piękna i klasy przez współczesną pracującą kobietę, moda, poprzez stulecia, stała się jednym z największych i najciekawszych osiągnięć człowieka - a przede wszystkim kobiety.*

*Autorka niniejszej pracy jest niezmiernie ciekawa, jakie niespodzianki i innowacje oczekują ją w dziedzinie mody - i poza nią - w nadchodzących latach.*

Historia mody

Praca licencjacka Elizabeth Nichols